ROK XX.
Ogólnego zbioru Tom XC.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik

WARSZAWA.

1895.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

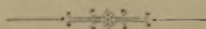
SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 13.

Druk ukończono d. 9 października 1895 r.

Manfred, hr. Henryk i Płoszowski

jako przedstawiciele trzech pokoleń XIX stulecia.



Od czasu do czasu jakiś geniusz poetycki rzuca na papiér postać, która, urągając biegowi wieków, zostaje wiecznie młodą, zawsze blizką sercu czytelnika, chociaż cały szereg pokoleń przejdzie nad nią, chociaż zmienią się warunki życia, instytucye, zwyczaje. Do takich postaci zaliczamy Fausta i Don Juana, Hamleta i Gustawa (z Dziadów), Manfreda i hr. Henryka z Nieboskiéj, Wertera i Płoszowskiego.

Co unieśmiertelnia te utwory? Co nadaje ich postaciom żywotność? Dlaczego typy te nazywamy ogólnie ludzkiemi?

Bo każdy z nich odbija w sobie pewną stronę natury naszéj, każdy jest odzwierciedleniem owéj „czystéj treści człowieka", która zostaje niezmienną wśród przemian ukształtowania zewnętrznego, żywioł trwały, ponad którym znamiona czasu przebiegają jak fale toczące się na powierzchni oceanu, nie mącąc jego głębi.

Ale po za tą stroną trwałą charakteru, postaci poetyckie mają jeszcze inne znaczenie: każda epoka ma swój typ przeważny, gdyż warunki historyczne sprzyjają rozwojowi téj lub innéj strony natury ludzkiéj i w tém znaczeniu prawie każdy typ poetycki jest charakterystyczny dla jakiejś chwili dziejowéj, jest przedstawicielem pewnego pokolenia.

Faust szkicowy, Faust podania ludowego mógł powstać w XVI stuleciu — wieku rozpoczynającéj się oświaty, ale skończoną postacią

poetycką, stał się na schyłku XVIII wieku, kiedy dzieło oświaty doprowadzone zostało do szczytu.

Aby typ wieczny nie został czystą abstrakcyą, aby idea wcieliła się w postać żywą, niby z krwi i ciała urobioną, powinna przybrać piętno pewnéj epoki i pewnego miejsca, zostać historycznie i geograficznie określoną. Forma, w którą się wylewa postać poetycka, odmienna jest w każdéj dobie dziejowéj i zależna od warunków historycznych.

Każda więc większa postać poetycka jest dwoistą [1]. Estetyka-psychologa zajmuje przeważnie pierwsza, wieczna i ogólnie ludzka strona tych postaci; historyk-filozof, śledzący rodowód dziejowy pewnego typu, powinien skupić uwagę na cechach, które dla psychologa są podrzędnemi i przypadkowemi.

W jakiém znaczeniu mamy jednak prawo mówić o rodowodzie typu poetyckiego?

Jak syn dziedziczący po ojcu pewne cechy przyrodnicze, pewne zdolności i usposobienia, może jednak daleko odbiedz od niego pod wpływem zasobów myśli i przekonań wyrobionych w odmiennych warunkach życia, w innéj dobie dziejowéj, tak jednakowy skład charakteru może wydać w rozmaitych epokach typy tak niepodobne do siebie, że trzeba długo i uważnie im się przyglądać, aby dostrzedz wspól-

---

[1]) Niezrozumieniem tego dwoistego charakteru każdéj większéj kreacyi poetyckiéj grzeszy większość prób reformatorstwa w dziedzinie krytyki. Autor jednéj z niedawno wydanych historyi literatury (Posnett. *Comparative literature* London, 1886), przenoszący do literatury metodę porównawczą językoznawstwa, któréj próbę zastosowania do historyi uczynił już Freemann (*Comparati politics*), co bynajmniéj nie wymaga zaprzeczenia krytyki literackiéj w dzisiejszém znaczeniu słowa, robi jednak szereg najniesłuszniejszych a często nielogicznych zarzutów przeciw powszechnie przyjętemu sposobowi pojmowania utworów poetyckich. Zarzuty te opierają się głównie na owéj dwoistości, przedstawianéj jako sprzeczność i wziętéj za kamień węgielny planów reformatorskich. Zapomina przytém autor, że chociaż każdy normalny człowiek ma w sobie coś z Faustowskich pragnień wiedzy i Don Juańskiéj żądzy użycia, coś z refleksyi Hamleta i wyrzutów Manfreda, jednak warunki danéj epoki mogą sprzyjać temu, że ta właśnie a nie inna cecha urośnie do idealnéj potęgi, stanie się przeważną, a w ten sposób typ nie przestając być ogólnie ludzkim i wiecznym, staje się jednak postacią charakterystyczną dla pewnéj epoki i pewnego społeczeństwa. Krytyka ze stanowiska filozoficznie dziejowego, nie czyni zbyteczną krytyki psychologicznéj, lecz ją uzupełnia, a żadna z nich nie przeszkadza studyom porównawczym nad literaturą. Gdyby prawdą były twierdzenia Posnetta, nikt dziś nie mógłby rozumiéć piękności nietylko Homera, ale i Szekspira.

ność zasadniczego tła psychologicznego. Jeśli zaś obok téj wspólnéj podstawy psychologicznéj, któréj zbadanie stanowi przedmiot zwykłéj krytyki, wykryjemy w dwóch typach różnice, ściśle odpowiadające różnicom warunków dziejowych, w jakich żyły po sobie pokolenia, do których typy te należą; jeśli potrafimy wykazać związek rysów charakterystycznych każdéj postaci z ideowemi, obyczajowemi i innemi czynnikami, oddziaływającemi na jéj rozwój, to możemy mówić o genezie czyli rodowodzie typów; rzecz tak się przedstawia, jakby jeden rozwinął się z drugiego, przyczém naturalnie rozwój nie zawsze bywa postępem.

Jeśli teraz zestawimy z sobą cechy psychologiczne kilku wymienionych wyżéj wiecznych typów, zauważymy w nich wiele rysów pokrewnych; bo każda z tych postaci obdarzona jest właściwościami najbardziéj nadającemi się do tego, ażeby z niéj utworzyć p o s t a ć t y p o w ą swego czasu.

Cóż to jest postać typowa? Jest nią ta, która odbija i koncentruje w sobie dążności i pragnienia danéj epoki, silne i słabe strony pewnego pokolenia, odzwierciedla jego charakter moralny, doprowadzając pojedyncze rysy do największego wykończenia. Do takiéj roli nadaje się natura wrażliwa i złożona, możliwie wszechstronna, w któréj żadna z władz ducha nie ma stanowczéj przewagi nad innemi. Jednostka typowa czuje żywo a niekiedy i głęboko, ale nie jest odruchowo czynna, bo posiada umysł analizujący i refleksyjny; nie jest też wyłącznie rozumową, bo ma wszechstronnie rozwiniętą uczuciowość. Zdolna do wszelakich uniesień, nigdy nie staje się wyłącznym fanatykiem jakiéjkolwiek jednéj idei. Nie jest ona twórczą; nie należy do tych przodowników ludzkości, którzy torują nowe drogi, ale ma wysoko rozwinięte poczucie ideału i potrzebę przeniesienia go do życia.

Jednostka typowa nie jest ani wyłącznym bohatérem czynu, który raz wytknąwszy drogę, idzie pewnym krokiem ku zamierzonemu celowi, jak Fortinbras w „Hamlecie”, ani wyłącznym maniakiem myśli, zapominającym o świecie, jakim przedstawia Archimedesa podanie o jego śmierci; nie jest człowiekiem, którego by naraz i całkowicie ogarnąć mogła jakaś namiętność, jak Romeo lub Otello.

Te natury są zbyt proste, zbyt jednostronne. Jednostka typowa może jednak zostać i bohatérem czynu, jak Hrabia Henryk w Nieboskiéj i bohatérem myśli, jak Faust, może dać się unieść namiętnościom, jak Don Juan, lub paść jéj ofiarą, jak Werter, może się wzbić na szczyty poświęcenia, jak Konrad lub Posa, albo zostawać w odrętwieniu niezdecydowania, jak Hamlet, — ale we wszystkich tych przemianach zachowa swój charakter zasadniczy — umysłu filozoficznego

i duszy wszechludzkiéj. Jest to jakby złożony i bardzo dokładny instrument muzyczny, który może oddać zarówno heroiczną symfonię i pieśń pasterską; cichą modlitwę i zgrzytające bluźnierstwo rozpaczy, bo nie brak tu żadnego klawisza, żadnego dźwięku z bogatéj gamy duszy ludzkiéj.

Oczywiście, że typ taki nietylko może być najdokładniejszym wyrazicielem idei dziejowéj każdéj epoki, ale i doprowadza tę ideę do największego wykończenia, do wszechstronnego, wszechludzkiego rozwoju, do subtelnego pojęcia oddania wszystkich szczegółów odcieni i konsekwencyi. Dlatego téż postać taka jest ulubionym przedmiotem poetów myślicieli i krytyków filozofów.

I.

Trzy postaci wymienione wyżéj, jako przedstawiciele pokoleń naszego stulecia, mają wszystkie cechy jednostek typowych. Łączy je przytém wspólna wszystkim trzem potrzeba wzniesienia się ponad rzeczywistość, połączona z silném poczuciem swojéj wyższości. Są oni przedstawicielami tego, co Schiller nazwał „szlachectwem ducha”, a co w wieku Płoszowskiego przybiera postać „arystokracyi duchowéj.”

Najbardziéj jednak charakterystyczną ich cechą wspólną, jest owo zlanie w jedno dziedziny poezyi z zakresem rzeczywistości, będące wynikiem potrzeby konsekwencyi w wewnętrznych i zewnętrznych objawach i formach życia, cechującéj wogóle jednostkę typową.

Poezya, dziedzina piękna, jest pośredniczką pomiędzy zakresem rzeczywistości a sferą ideału; pomiędzy prawdą wiedzy a prawdą wiary i serca. Jest to jakby terytoryum neutralne, na które wolno jest robić wycieczki zastępom jednego i drugiego państwa, bez niebezpieczeństwa narażenia się na głębsze starcie. Jest ona zarazem i ucieczką ducha, pasem granicznym, na którym chroni się umysł ścigany w jednym z tych zakresów. W poezyi szukamy schronienia od rzeczywistości zbyt bolesnéj lub przygnębiającéj, zbyt szaréj i bezbarwnéj i w poezyi wylewamy te pragnienia serca, te popędy idealne, których nie możemy wcielić w czyn.

Każdy człowiek przeciętny, „zdrowy”, t. j. nie szaleniec, nie geniusz, ani bohater, ma te trzy terytorya rozdzielone w swoim umyśle. Największe tam miejsce zwykle zajmuje terytoryum rzeczywistości, a pragnienia ideału zaspakaja większość na owym pasie obojętnym, pamiętając dobrze, jakie prawa mu tu służą. Człowiek „rozsądny”

wié, że życie nie jest poezyą, a poezya nie jest życiem. Rozczula się on czytając o urojonych cierpieniach bohaterów powieści, zachwyca się ich heroicznėm zaparciem się siebie, uwielbia czyny poświęcenia, co mu nie przeszkadza odwrócić się od rzeczywistych cierpień i nędzy, gdy je napotka w życiu, lub wzruszać pogardliwie ramionami na widok poświęcenia i z uśmiechem politowania patrzéć na tych szaleńców, którzy marzą o przerobieniu świata i uszczęśliwieniu ludzkości. Swoją drogą po dobrym obiedzie chętnie bierze do ręki czułą powieść i wyléwa łzy nad niedolą ludzką. Dziedzina marzeń i dziedzina czynu są tu zupełnie oddzielone od siebie; jedne nic nie mają wspólnego z drugim. Pas graniczny strzeżony jest dobrze i żadne przemytnictwo tu niemożliwe.

Ale są umysły, w których granica ta zaciera się. Terytoryum obojętne znika, dziedzina rzeczywistości i dziedzina marzeń stykają się i zléwają na swoich kresach...

Stan ten umysłu przeżywają wszystkie lepsze jednostki w wieku młodocianym, kiedy rzeczywistość i marzenia splatają się w jedno urocze pasmo. Ale większość onych rychło léczy się z téj choroby młodości: życie robi je praktycznymi; to znaczy, że ci nawróceni wcześnie wbijają słupy graniczne pomiędzy obu terytoryami i stawiają żandarmów na straży od własnych „złudzeń."

Mniejszość jednak zostaje przez całe życie „niepraktyczną." Są to ludzie, którzy nie będąc poetami, mają naturę poetów. Weźcie organizacyę duchową poety, a odbierzcie mu geniusz twórczy, zdolność zadowolenia téj potrzeby przez wcielenie ideałów swych w dziełach sztuki; zdolność zlewania rzeczywistości z ideałem przy pomocy marmuru, płótna, pióra lub dźwięków i w ten sposób spełnienia powołania swego; odbierzcie mu umiejętność oderwania od siebie swoich pragnień i cierpień, swego bólu wszechświatowego a przelewania go w wymyślone postaci poezyi, a otrzymacie poetę czynu. Poryw ku ideałowi, który u prawdziwego poety lub artysty, znajduje ujście w dziele sztuki, tu szuka pola w życiu i dla tego, gdy pierwszy może być po za chwilami twórczości najpospolitszym filistrem o dobrze strzeżonym pasie granicznym, drugi nawet w upadku swoim zachowa cechy wyższości, które pociągają nas ku niemu, a przynajmniéj budzą żywe zajęcie.

Stosownie do warunków dziejowych, do oddziaływań psychologicznych, do wrodzonego lub nabytego hartu ducha, jednostka taka może zostać bohatérem lub pseudo-estetykiem, szlachetnym marzycielem, utopistą lub bezcelowo wlokącym życie sybarytą duchowym.

Jeżeli jednostka, o któréj mowa ma oprócz organizacyi poety i geniusz twórczy, zostaje jednym z tych sztukmistrzów, którzy wywierają potężny wpływ i elektryzują całe pokolenia, zostaje Michałem Aniołem, Byronem lub Mickiewiczem, jeśli ma potężną wolę i geniusz czynu lub gotowość do ofiar i poświęcenia się, zostaje bohatérem lub apostołem, jak Savonarola. Heroiczne porywy nie znajdujące ujścia w czynie dziejowym, wcielają się często w poezyi, gdyż poezya jest heroizmem myśli, a owocem jéj — bohatérstwo czynu. Jeżeli siła woli jednostki jest mniejsza niż geniusz twórczy, jeżeli okoliczności dziejowe są takie, że ta siła nie zdoła ich przełamać, bohatér czynu staje się bohatérem pieśni.

W życiu każdego prawie z wielkich poetów znajdujemy chwilę, kiedy świat ideału porywał go w dziedzinę czynu; lecz gdy przeszkody łamały ich wolę, gdy czuli niemoc swoją do wcielenia w życie ideału, a jednocześnie przemawiało w nich poczucie mocy duchowéj, zdolności oddziaływania na serca ludzkie, przetapiali w pieśń te porywy, w kształty piękne zaklinali ideały swoje, aby czyste i promienne z tych niedościgłych wyżyn oświetlały ludzkości drogę postępu.

Jak zaklęta królewna bajki, śpiąca w swoim kryształowym pałacu, tak zachowują świeżość i młodość owe wielkie idee, ujęte w czar pieśni... A gdy przyjdzie chwila dziejowa i rycerz czynu rozbudzi ze snu drzémiącą myśl piękna, rozbije osłaniający ją czar poezyi — staje się ona znowu bohaterskim czynem.

Wtedy piękny sen królewny wciela się w rzeczywistość dziejów.

Tak niedoszły heroizm poetów przechowuje się w skarbnicy ducha, jak stary oręż w zbrojowni, aby kiedyś inne pokolenie wyciągnęło go na światło boże.

Ale prócz wielkiéj idei, poezya wymaga pięknéj formy. Jeśli obok idealnych porywów nie posiada jednostka téj władzy nad formą, którąby pozwoliła je wcielić w kształty piękna, a warunki dziejowe lub psychologiczne nie dopuszczają jéj ujawnienia w życiu, człowiek zostaje w wiecznym rozbracie z sobą.

Przeciwnie, gdy warunki te wytwarzają atmosferę nieprzyjazną wszelkim ideałom, a obdarzona poczuciem poetyckiém jednostka, nie jest w stanie wznieść się nad nie i porwać za sobą rzeczywistość, — zostaje jéj z poezyi sama tylko piękna szata; chce więc ją przenieść do życia, bo jako jednostka typowa musi miéć poezyę w życiu, a z poezyi tylko forma mu została. Staje się więc p s e u d o - e s t e t y k i e m.

Dlaczego p s e u d o - estetykiem?

Bo z dwóch żywiołów składających się na poezyę: idealnéj treści i pięknéj formy, piérwsza tylko może i powinna być przeniesioną do

życia; druga jest chwilową szatą idei, dobrą i właściwą, dopóki idea ta jest jeszcze w dziedzinie piękna, w kraju ideałów. Ktokolwiek w ideałach poezyi widzi tylko próżne marzenie, nieświadom jest prawdziwego doniosłego jéj znaczenia; z potęgi dziejowéj czyni modny strój, rozrywkę i zabawkę chwilową, lecz kto chce do życia przenieść jéj estetyczną stronę, zapoznaje tę prostą prawdę, że dziedziną piękna jest zakres swobody, pole, na którém twórczość nie jest niczém ograniczona; że naginając formę poetycką do rzeczywistości, zacieramy idealne rysy piękna surową ręką konieczności. Estetyczność jest prawdą tylko w poezyi; przeniesiona do życia przestaje przedewszystkiém być pięknem; zostaje tylko źródłem sybarytyzmu — staje się pseudo-estetyką. Rzeczywistość ma swoją piękność, inną niż piękność poezyi, tak jak poezya natury różni się od piękna sztuki. Cechą téj ostatniéj jest świąteczność; cechą życia — powszedniość. Życie nie może być ciągłém świętem, bo ta odświętność stała by się najgorszym rodzajem powszedniości. Pseudo-estetyk chce z życia zrobić nieustającą zabawę, zamiast tego, żeby znaléźć poezyę w codziennych jego trudach; zapomina, że strój świąteczny piękny jest, gdy się wkłada w wyjątkowych okolicznościach, ale że z pracą codzienną lepiéj harmonizuje bluza robocza, niż ufryzowana głowa i świetny ubiór balowy.

Z wymienionych trzech typów, Manfred i hr. Henryk, są ludźmi porywającymi się do czynu, Płoszowski—pozbawionym energii pseudoestetykiem. Co spowodowało tę różnicę?

Odpowiedź na to da nam rzut oka na warunki dziejowe, w których urosły trzy pokolenia naszego stulecia.

II.

Wiek XVIII postawił jednostkę na szczycie dziejów, a straszna burza polityczno-społeczna, która przeleciała nad Francyą w końcu tego stulecia, napełniając swoim odgłosem i wstrząsając całą Europę, zmiotła wszystko, co stało na przeszkodzie wszechstronnemu rozwojowi osobnika w zakresie myśli i czynu, wierzeń i przekonań.

Wszystkie prądy w wieku XVIII-ym zjednoczyły się dla osiągnięcia tego ostatecznego celu; wszystkie wysiłki skierowane ku jednemu punktowi.

Ale wiek XIX-ty jest wiekiem rozbratu we wszystkich niemal sferach życia historycznego. Forma tu jest w niezgodzie z treścią, myśl z czynem, geniusz z tłumem.

Pierwszym rozdźwiękiem jest sprzeczność między zasadą bezwzględnéj swobody jednostki, a wolnością taką, jak ją rozumiał wiek oświaty. Krańcowy jego indywidualizm wystrzela taką potężną jednostką, jaką był Napoleon, przez chwilę narzucający wolę swoją całéj Europie, depcąc zasady, z których sam powstał, aby upaść również raptownie, jak się wyniósł.

Ten meteoryczny przebieg geniusza wojny, musiał oddziałać na wyobraźnię współczesnych i następnych pokoleń. Na osobie Napoleona skupiły się uwielbienia poetów, chociażby pochodzących z wrogich mu narodów, jak Byron i Heine, którego „Ideje" [1]) i „Grenadyerowie" należą do ostatnich odgłosów czci dla tego człowieka, wcielającego ideał potężnéj indywidualności. Również i nienawiść ludzi oddanych idei wolności, a nie zaślepionych fałszywą deklamacyą, ścigała tego kapłana wojny, składającego ludzkie hekatomby na jéj ołtarzu.

Kiedy na polu politycznem przykład Napoleona, zdawało się, stwierdzał paradoks, że krańcowa wolność prowadzi do despotyzmu, to znowuż w dziedzinie myśli, uczuć i wierzeń dążności ducha, stłumione dotąd przez wyłączność racyonalizmu wieku oświaty, domagają się obecnie praw swoich, wytwarzając reakcyę przeciwko filozofii oświaty.

Wiara w potęgę ducha, która dała hasło do wyzwolenia jednostki, wiara stanowiąca cechę znamienną wszystkich objawów myśli i czynu XVIII stulecia, gdy dała raz uczuć człowiekowi moc skrzydeł swoich, porywała go do lotu i kazała szukać jakichś olbrzymich zadań, do spełniania wzniosłych czynów, wielkich poświęceń, niedościgłych ideałów. Poryw ten wzmaga się pod wpływem hasła bezgranicznéj swobody serca, hasła odziedziczonego po „uczuciowéj filozofii" XVIII stulecia i poezyi, okresu burz i zapędów, ale natrafia na płytką, pozbawioną wyższych motywów rzeczywistość filistersko-mieszczańskiego życia, płynącego za prądem reakcyi.

Ten rozbrat między ideałem a rzeczywistością, powoduje inne, między geniuszami a tłumem. Ludzie poczuwający się do jakiéjkolwiekbądź wyższości duchowéj — a nigdy choroba genialności nie była tak rozpowszechniona, jak w owym czasie — z pogardą odwracają się od ogółu, grzebiącego się w mrowisku drobnomieszczańskich interesów i dążności, zamykają się w swojéj samotnéj dumie, lub szukają sztucznych warunków dla zastosowania swoich wyższych, często urojonych zasobów duchowych. Tak powstają owi bohaterowie Chateaubrianda, uciekający w pustynie krajów dziewiczych Ameryki, dokąd

---

[1]) Po polsku pod niewłaściwą nazwą „Dobosz Legrand."

ich pociąga prostota, szczerość i wyższa etyka ludów nieucywilizowanych, lub postaci z powieści pani Krüdener, odwracające się od życia, aby bujać w mglistych błękitach wyszukanych uczuć.

Co dzień z pamiątką nudnych postaci i zdarzeń
Wracać do samotności, do książek i marzeń...
(*Dziady*).

Daje się tu dostrzedz nowy rodzaj rozdźwięku — między treścią a formą. Duch czuje porywy do wielkich czynów, czuje moc ich wykonania, posiada słowem wszelkie warunki formalne, ale nie może znaléźć treści, którą by wlał w ową wielką formę i zamiast jéj szukać w rzeczywistém otaczającém go życiu, unosi się gdzieś w krainy obce i dalekie, albo trawi swoje wnętrze tą siłą, któraby mogła pójść na korzyść ludziom.

Rozbrat ten wzmaga rozdwojenie między myślą a czynem, między filozofią a życiem politycznéni i społecznéni.

Jako reakcya przeciw niepłodnemu dla dziedziny czynu materyalizmowi, występuje idealizm filozoficzny i doktryna o pierwszeństwie woli. Przez chwilę zdawało się, że płodna myśl Kanta stanie się u Fichtego tém, czém mogła być; że usunie dualizm pomiędzy myślą naukową a czynem, dając uzasadnione przez krytykę władz umysłowych podstawy do zastosowania zasad, kierujących poznaniem i wolą. Ale ciasne formy życia państwowego i społecznego Niemiec, nie dopuściły do prawidłowego rozwoju myśli rzuconéj przez wielkiego idealistę. Filozofia, która urosła z jego posiewu, nietylko okazała równie jak i materyalizm bezowocną dla życia, lecz oddała się na usługi reakcyi politycznéj i doszła do uświęcenia rzeczywistości. Fatalizm dyalektyczny Hegla zbiegł się w tym punkcie z determinizmem materyalistów, a „Zamknięte państwo handlowe" Fichtego, streszczające w sobie zagadnienie wieku i wykazujące drogę ku jego rozwiązaniu, pozostało bez żadnego wpływu przez całe stulecie.

Z tego chaosu sprzeczności nie może się wydobyć na jaw myśl dziejowa wieku, ta idea, która jedyna potrafiłaby zogniskować wszystkie usiłowania i popchnąć ludzkość drogą postępu, jak uczyniła to idea indywidualizmu w XVIII wieku.

Całe stulecie upływa na bezowocnych wysiłkach dziejów, ku stworzeniu czegoś, to przez żywiołowe zapędy mas, to przez utopijne wzloty myślicieli. Inteligencya, stojąca na czele ruchów społecznych, boi się jednych a nie rozumié drugich. Stąd te ciągłe porywy naprzód — niepewne i trwożliwe, te cofania się wstecz zaognione nienawiścią ku nowości, poparte przez wszystkie zwyciężone żywioły minio-

nego stulecia, skupiające wszystkie niedobitki ideowe wielkiéj walki filozoficzno-społecznéj wieku oświaty.

Pośród tych wahań i fluktuacyi, zostaje niejasnym wewnętrzny związek i pokrewieństwo rozmaitych prądów myśli na polu teoretycznem i praktycznem. Przeciwne obozy chwytają się nieraz tegoż samego oręża ideowego, a późniéj ze zdziwieniem widzą, że myśl, pod sztandarem któréj stanęli, zaprowadzi ich w zupełnie przeciwną, niż chcieli, stronę.

Tak idealizm i materyalizm, romantyzm i naturalizm, religijność i niewiara, utylitaryzm i moralność poświęcenia, ściągają pod hasła swoje raz żywioły postępowe, to znowuż wsteczne; w jednych krajach przyjaciół wolności i braterstwa, w drugich jéj wrogów. A zanim wyjaśni się ten związek wewnętrzny, same idee sprzężone w potworne połączenia, jakby żółwie i orły w jedném jarzmie, ulegają spaczeniu i tracą swój charakter pierwotny.

W takiéj to atmosferze idejowéj występują trzy pokolenia naszego stulecia, z temi trudnościami mają się uporać trzy jednostki, które jako typowe, muszą ogniskować w sobie wszystkie dążności wieku. A że wiek jest pełen sprzeczności, nie dziw więc, że i każdego z tych bohaterów szarpią walki i zwątpienia, że każdy z nich ma swoją tragedyę wewnętrzną.

III.

Manfred, zbliżający się pod tym względem do całego szeregu postaci poetyckich z początku naszego stulecia, postaci powstających na wyżéj nakreśloném tle dziejowém — to forma, stworzona przez geniusz poetycki, wcześniéj niż dojrzała idea mająca ją zapełnić — wielka myśl społeczna naszego stulecia; to naczynie, w które miała się wylać owa idea. Ale idea ta jeszcze nie dojrzała: naczynie zostaje próżne i ta próżnia razi nas jakimś fałszem, jakąś pustką...

Deklamacye Manfreda o wielkich porywach i zamiarach jego młodych lat, brzęczą nam w uszach, jak dźwięk próżnej czary.. Nieraz czytelnikowi nasuwa się pytanie: co to za wielkie dary, o których mówi poeta ustami swego bohatera? Czy to nie złudzenie — jego własne i najbliższego otoczenia? Czy to nie objaw ambicyi niewspółmiernéj z rzeczywistemi zasobami ducha?

Ale „nie sądźmy ludzi według ubogiéj rzeczywistości, tego co dokonali..."

O czémże marzył Manfred?

Przyswoić sobie chciałem ducha innych,
I całe ludy oświecić, biedz naprzód —
Niewiedzieć dokąd —

Są to szlachetne marzenia, ale zbyt niejasne i nieokreślone. Dokąd biedz? Z kim walczyć? Tego Manfred nie wie — i tu tkwi źródło tragizmu jego.

Poczucie wyższości swéj w Manfredzie i pokrewnych mu bohaterach wieku jest jednak uzasadnione; polega ono na sile pragnień, na wysokości celów, którym chcieliby służyć. Dążą oni do czegoś wielkiego, choć sami nie wiedzą do czego. Niesłuszném byłoby sądzić ich według tego co robią, lecz raczéj czego nie robią—bo w istocie nic nie robią. Ale chociaż nieczynni, czują oni całą piersią, że aspiracye ich wznoszą się o całe niebo po nad troski i interesa, około których krzątają się mrowiska przeciętnych ludzi.

Manfred jest poetą czynu, Manfred—to sam Byron, zanim znalazł treść dla swych porywów, treść również sztucznie wymyśloną, jak u bohaterów poetycznych téj epoki. Walka o wolność Grecyi mogła entuzyazmować w owym czasie szlachetne umysły, zwłaszcza tych, którzy, jak Byron, nie umieli się rozglądać zbyt głęboko w konstelacyach politycznych. Cóż dziwnego, że go porwała, jego, który jak Manfred „chciał biedz naprzód" a nie wiedział dokąd?

Ale czyż przy dobréj chęci nie mógłby znaléźć we własnéj ojczyźnie pola do zastosowania swéj żądzy czynu? Czy nie miał tam milionów białych murzynów, czyż o wolność i człowiecze stanowisko dla nich nie warto było stoczyć niejednéj walki? Tymczasem w epoce, kiedy używał największego powodzenia światowego, kiedy był bożyszczem całego „towarzystwa" angielskiego, zdarzyło się raz, że w kwestyi emancypacyi katolików *vota* za i przeciwko, w izbie parów były prawie równoważne; posłano więc pośpiesznie po Byrona, aby swoim głosem przechylił wahającą się szalę na korzyść sprawy postępu. Wtedy „dość niechętnie", jak sam przyznaje, „opuścił salę balową dla wyzwolenia pięciu milionów ludzi!"

Nie umiejąc znaléźć pola do działalności, cała ta namiętność czynu, tytaniczne pragnienie odczucia wszystkiego, doznania wszelkich wrażeń, skupia się na własnych osobistych uczuciach i staje się źródłem cierpień dla samego bohatera i jego najbliższych.

Potężna forma geniuszu rozsadza ubogą i szczupłą treść pospolitego życia; jest on dla tego życia nieprzydatny i łamie wszystko, starając się wyrwać z jego więzów, a wielkiéj, wszechludzkiéj pracy w któréj mógłby zużyć energię swoją, nie znajduje.

Stąd rozpacz, pesymizm, żal do życia, stanowiący istotę tragizmu Manfreda, bo wrażliwy i głęboko odczuwający, jak poeta, nie może on znaléźć ukojenia w zapomnieniu; do tego w utworze dodaje się wiele właściwego autorowi pozowania na nieszczęśliwego i nie mało buty pańskiéj.

„Żem żył, i kochał i myślał, żałuję!" W tém streszcza się cały wynik życia Manfreda, który, chociaż innemi słowy, wyraża on w znanym i często cytowanym monologu:

We are the fools of time and terror [1]):
To justify I have ceased my deeds unto myself.
(Akt I, sc. 2).

„Przestałem usprawiedliwiać swoje czyny przed sobą samym", powiada Manfred. Ale jeśli nie usprawiedliwienie, było przynajmniéj możliwém odkupienie.

Mógłby je znaléźć, gdyby mu stanęła była przed oczy wielka idea przyszłości, gdyby mógł powiedziéć o sobie:

Lecz gdy te smutne pomijając dzieje,
Wzrok ku przyszłości dalekiéj obrócę,
W sercu mém święte budzą się nadzieje
I pieśń tryumfu dla ludzkości nucę...

Ja myślę wtedy o wspaniałéj doli,
Którą dla braci praca ma zgotuje
Przypływ niezłomnéj, wszechpotężnéj woli
Do czynów wielkich i — poświęceń czuję.

I marzę szczytnie, że w téj wielkiéj dobie
Szczęście ludzkości wszystkie winy zmaże,
I wszystkie serca, co były w żałobie,
Ukoją świętéj Radości ołtarze...

Wtedy i moje winy mi przebaczą
Ci, którym czyny me ciernie wplatały...

Lecz nie ma jéj, téj wielkiéj idei odkupienia... w daremnych poszukiwaniach za nią trawi ducha swego Manfred, bo nie ma w sercu téj miłości dla ludzi, którąby nauczyła go pokochać nawet ułomną rzeczywistość, nauczyła odkrywać w każdém najbardziéj zepsutém sercu iskierkę ducha bożego. Kocha się tylko w mrzonkach swoich, lubuje się cierpieniami swojemi, ubierając się w nie jak w płaszcz tragiczny, a o ludziach mówi jak o istotach, którémi gardzi tak dalece, że nawet

---

[1]) „Jesteśmy lalki czasu i słabości" u Paszkowskiego.

na czele ich stanąć by nie chciał [1]), od których jeszcze w młodości odwracał się umysł jego [2]), z któremi spotkanie zniżało go do ich poziomu i przypominało mu, że jest prochem [3]).

Wielki geniuszu! gdybyś zamiast brzydzić się tym prochem, nachylił się do niego i wyciągnął ku niemu rękę, nicby na tém nie straciła twoja wielkość! Przeciwnie, z bohatera kartonowego jasełek urosłbyś był na prawdziwego bohatera dziejów i nie potrzebowałbyś teatralną pozą i fałszywym brzękiem słów napełniać téj strasznéj pustki, jaką czujesz w piersi po bezcelowo przeżytém życiu, strawionėm na poszukiwaniu szczęścia tylko dla siebie i tylko w sobie.

IV.

Manfred i jego pokolenie nie umiało pochwycić idei postępowéj wieku, zbyt głęboko ukrytéj wśród chaosu gruzów, którémi zasypał niwę dziejową wielki wybuch końca zeszłego stulecia. Minęło poko-

---

[1]) *I disdain'd to mingle with*
A herd, though to be leader—and of wolves.
The lion is alone, and so am I.
(Akt III, Sc. 1).

(Bo téż nigdy ja ludzi nie chodziłem torem)
samotność wolałem
Bo nie mogłem być wilkiem z serca, ni z odzieży,
Ani nawet przewodzić wilkami nie chciałem
W samotności lew żyje, pragnę żyć lwa wzorem.
(tłom. Chodźki, str. 72).

[2]) *My spirit walk'd not From my youth upwards with the souls of men*
(Akt II, Sc. 2).

Od najpierwszéj młodości duch mój szczytnych lotów
Uciekał z téj pustyni, którą światem zowiem,
Nigdy do zwykłych rzeczy i ludzkich obrotów
Nawyknąć ja nie mogłem.
(Chodźko, 36).

[3]) *For if the beings, of whom I was one, —*
Hating to be so — cross'd me in my path,
I felt myself degraded back to them,
And was all clay again.
(Akt II, Sc. 2).

lenie i idea ta zaczęła się wyraźnie zarysowywać wśród mgławicy przyszłości. Lecz nie znalazło się geniusza któryby wyprowadził ją na widownię dziejową i ukazało ludzkości w słonecznym blasku prawdy i piękna jako ideał przyszłości. Zaopatrzone w swoje drobne, egoistyczne sympatye nawyknienia i przesądy, nowe pokolenie nie dostrzegło gloryi, otaczającéj czoło przybysza, a zrażone w swojém poczuciu artystycznéj elegancyi jego ubogiemi łachmanami, zapytało jak niegdyś „naród wybrany" na widok Chrystusa: „Czyż może Mesyasz rodzić się w żłobie?" i zawołał: „Ukrzyżuj go"!

Typowym reprezentantem tego drugiego pokolenia jest hr. Henryk.

W żadnym utworze poetyckim rozbrat, cechujący nasze stulecie, nie znalazł wyrazu tak doskonałego, tak wszechstronnego, tak ogólnie ludzkiego, jak w tym poemacie, należącym treścią do środka stulecia, a poprzedzającym na lat piętnaście chwilę dziejową w któréj rozbrat ów doszedł do walki w czynie, jak ją proroczo niemal nakreślił wieszcz nasz w poemacie. „Nieboska Komedya" jest może najgłębszém" dziełem XIX stul. i tak charakterystyczném dla niego, jak Faust dla XVIII-go.

Nieboska Komedya jest dramatem dziejowym naszego stulecia, obrazem zapasów, które stacza przyszłość z przeszłością, a bohatér jéj, jak i geniusz zbiorowy pokolenia, do którego należał, staje, niestety, po stronie przeszłości.

Hrabia Henryk jest również jak Manfred arystokratą, jest postacią również kosmopolityczną, równie jak i tamten nie zajmuje żadnego dającego się określić punktu geograficznego. Lecz gdy Manfred tylko mówi i marzy, hr. Henryk działa. Mimo to czyn jego zostaje jałowym i nic mu nie gotuje prócz rozpaczy. Całe życie jego napełnia rozdźwięk pomiędzy wysokim polotem fantazyi a rzeczywistością, o którą się rozbija.

Manfred został tylko materyałem na bohatéra; nie dokonał on czynu, bo nie znalazł idei, którą by mógł w czyn wcielić; hr. Henryk rozminął się z tą ideą i zbłądził w swoim czynie.

Dla czego?

Bo miał w sobie połączoną naturę idealisty i pseudo-estetyka. Jako idealista kochał prawdziwą wielką poezyę ideałów; kochał ją w marzeniu i w życiu i pragnął pierwsze przenieść do drugiego. Jako pseudo-estetyk chciał razem z ideałem przenieść do życia i otaczającą go w poezyi świąteczną szatę, a gdy rzeczywistość kłam zadawała tym

pragnieniom, odrzucił jednę i drugą, aby cofnąć się do obozu ludzi którymi pogardzał, pod sztandary idei, w której przyszłość nie wierzył.

W znacznie późniéj napisanym „Niedokończonym Poemacie” przedstawia nam autor „męża” z Nieboskiej jako młodzieńca, który, również jak i młody Manfred, marzy o szczęściu rodu ludzkiego a w „Snie” odczuwa wszystkie jego bóle i cierpienia, dostrzega tę krzywdę z któréj ma wykwitnąć idea przyszłości. Lecz gdy pod sztandarami téj idei staje do walki obóz Pankracego, Henryk zostaje zrażony jéj niestetycznemi formami, jéj materyalistycznemi hasłami i rzuca się w obronę przeszłości...

Zbliża Henryka do Płoszowskiego znowuż pewna niepraktyczność życiowa, nieumiejętność skorzystania dla swoich celów z nasuwających się okoliczności, to co Płoszowski nazywa „nieudolnością życiową” chociaż przyczyny niepowodzeń obu są różne: u jednego zbytnia porywczość do czynu, u drugiego—wahanie się i bierność. Nieszczęściem jednego i drugiego jest, że nie umieją znaleźć właściwego dla siebie czynu na polu szerszém, co wynika raczéj z ich stosunku do epoki niż z osobistych skłonności. Henryk błądzi w wyborze żony jak późniéj zbłądzi w obiorze obozu, którego ma bronić. Pierwszą porzuci bo jeszcze miewa złudzenia; drugiego nie chce odstąpić, gdyż duma i brak wiary, zachwianéj poprzedniemi osobistemi rozczarowaniami, stoją mu na przeszkodzie.

Idealizując przeszłość a nie chcąc zrozumiéć przyszłości dla tego, że inne, niż on uroił, przybrała kształty, staje w obronie tego, co się przeżyło, nie jak bohater idei, lecz jak ambitny egoista, zakochany w swoich mrzonkach.

Wprawdzie i ambicya jego i egoizm nie są tuzinkowe, ani nawet osobiste w pospolitém znaczeniu wyrazu. Pierwsza nie dąży do zewnętrznych oznak chwały i władzy ani do wyniesienia siebie nad wszystko, ale pragnieniem jéj—położyć swoję osobistą pieczęć na ten cały wyłaniający się z chaosu dziejów świat przyszłości. Chce go takim jakim go wyśnił w marzeniach swoich a jeśli ma być innym, to niech lepiéj zginie! Staje przeciwko temu nowemu światu i gniewa się, że „poezya kiedyś go ozłoci”. Egoizm jego jest wyłącznem ukochaniem marzeń własnych, celów własnych, choć nie ku własnéj korzyści ani własnemu wyniesieniu skierowanych. Nie o ludzi, nie o szczęście pokoleń mu idzie przedewszystkiém, ale o to, aby dramat dziejowy odegrany został według estetycznych wymagań jego rozpieszczonéj wyobraźni. Dla tego też staje po stronie upadającéj przeszłości, bo sprawa zwyciężonych jest sympatyczniejszą dla poety, bo obóz Pankracego wystawia brutalnie hasła materyalizmu i użycia:

„Chleba, zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczynku w lecie!..

Szlachetny hrabia, który nigdy w życiu nie zostawał bez chleba i opału, a nie potrzebował zarobku, zapomniał że ludzie mogą być głodni, zmarznięci, znużeni...

Wprawdzie porywa go na krótko ta myśl przyszłości, gdy w chwili jasnowidzenia odsłania mu się w całéj pełni:

„Ogarniam wzrokiem raz ostatni, podchwytuję myślą ten chaos, dobywający się z toni czasu, z łona ciemności, na zgubę moją i wszystkich braci moich; gnane szałem, porwane rozpaczą myśli moje w całéj sile swéj kołują.

„Boże, daj mi potęgę, któréj nie odmawiałeś mi niegdyś—a w jedno słowo zamknę świat ten nowy, ogromny — on siebie sam nie pojmuje.—Lecz słowo to moje będzie poezyą całéj przyszłości!"

Prawda, że ten świat nowy siebie nie pojmuje; wyznaje to i Pankracy, gdy w chwili zwątpienia mówi do téj idei, w imię któréj walczy: „Świat nowy utworzyłaś naokoło siebie, a sama błąkasz się i nie wiész czém jesteś"... A chociaż zwycięzca, nie wié co począć po dokonaném zwycięstwie. Przeznaczenie jego kończy się, gdy upada ostatnia twierdza przeszłości — okopy Świętéj Trójcy. Pankracy to wcielenie żywiołowéj siły konieczności dziejowej i rozkładającéj analizy rozumu, czuje on sam, że nie wytryśnie z niego żadna myśl twórcza, a przyznaje, że „świat jego nie wyrósł jeszcze na olbrzyma, łaknie dotąd chleba i wygód, ale przyjdą czasy"!... Tak, stworzenie nowego pozostawia się czasom przyszłym... Za to w swéj roli burzyciela jest zupełnie pewny siebie, gdy woła: „zgrzybiali, robaczliwi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym zgłodniałym i silnym". A nie odstrasza go przeczucie, że sam nie będzie już świadkiem owych „czasów przyszłych". Będąc wcieleniem fatalizmu dziejowego umié uchylić czoła przed koniecznością:

„Nie łudź się marną nadzieją, bo nie draśnie mnie ołów, nie tknie żelazo, dopóki jeden z was opiera się mojemu dziełu, a co późniéj nastąpi, to już wam nic z tego".

Gdyby zamiast pozostawiać poezyi przyszłości „ozłocenie" tego obozu, Henryk ukochawszy myśl jutra, opromienił ją blaskiem ideału, niezawodnie była by zwyciężyła nie tylko w czynie, ale i w duchu, a nie uginając się przed koniecznością faktu, przed fatalizmem dziejów, była by porwała życie za sobą; orle skrzydła ducha podniosły by ludzkość o jeden wielki szczebel wyżéj ku niedościgłemu tajemniczemu celowi dziejów...

Ale nie ma już wiary w siebie Henryk, a zbyt ukochał mrzonki własne, by zajrzeć śmiało w oczy rzeczywistości i z miłością wygrze-

bać złote ziarna prawdy wśród chaotycznych gruzów przeszłości i niejasnych marzeń przyszłości. Nawyknienie brać wszystko z punktu widzenia efektów artystycznych, być swoim własnym widzem, owo rozdwojenie ducha, który, porwany w czyn, nie traci jednak zdolności badania i spostrzegania, stworzyło w nim ustawiczną niewiarę w szczerość swoich popędów. Jak we wszystkich ważnych okolicznościach życia, tak i tu głos złego ducha, głos wewnętrzny, woła doń „dramat układasz!”

Zajrzała mu w oczy sława „stary orzeł wypchany w piekle, zdjęty z pala, kędy go strzelec zawiesił w jesieni” i woła:

— „Nie ustępuj, nie ustąp nigdy, a wrogi twe, podłe wrogi twe pójdą w pył!...”

Wstyd mu odstąpić obozu, który raz obrał, przyjemność walki pociąga ku sobie:

— „Nie ma rozkoszy, jak grać w niebezpieczeństwo i wygrywać zawżdy, a kiedy przyjdzie przegrać, to raz jeden tylko!”

A przytém porywa go chęć zemsty:

— „Zemsta za shańbione popioły ojców; przekleństwo nowym pokoleniom; ich wir mnie otacza, ale nie prze za sobą.”

Szerszy powiéw tchnienia społecznego tylko przeleciał nad tą piersią ale jej nie wzruszył. Jak zgniótł kobietę, goniąc za chorobliwemi mrzonkami rozpieszczonego serca, tak w imię romantycznego uroku umierającéj przeszłości miażdży współtowarzyszy boju, poświęca ich w walce bez nadziei i celu, jedynie dla ostatniego efektu dramatycznego, aby mógł jak bohater umrzeć na gruzach zdobytej przez nieprzyjaciół twierdzy, aby nie poddać się żywcem.

I najwierniejszy z sług jego przeklina go a wyrok dziejów—może zbyt surowy—potępia go w tych słowach:

„Za to żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś, potępion na wieki.”

. . . .

Poświęcić wszystko dla przekonań swoich, oddać za nie życie swoje i życie blizkich — jest bohaterstwem, jest cnotą najwyższą, ale wtedy gdy cześć i miłość tkwi w głębi tego poświęcenia: cześć dla ideałów, miłość dla ludzi. Henryk nie ma ani jednéj, ani drugiego. Dla tego nie uwielbiony, lecz przeklęty, i sam przeklina siebie. Nawet w swych marzeniach o synu, jak to słusznie zauważył już p. Tarnowski, Henryk myślał o sobie i siebie kochał.

— „Żadnéj wiary, miłości, nie ma we mnie, jedno kilka przeczuciów krąży w téj pustyni: o synu moim, że oślepnie, o towarzystwie

w którém wzrosłem, że się rozprzęgnie: i cierpię tak jak Bóg jest szczęśliwy sam w sobie, sam dla siebie."

Pyszałek z zimném sercem i próżną piersią, z ognistą wyobraźnią i szaloną dumą:

„Człowiekiem być nie warto — Aniołem nie warto. — Pierwszy z Archaniołów po kilku wiekach, tak jak my po kilku latach bytu, uczuł nudę w sercu swojém i zapragnął potężniejszych sił. — Trzeba być Bogiem lub nicością!"

— Padnij w proch przed sobą samym — taki jest odwieczny głos szatana, gubiącego wielkie duchy.

Henryk należał do olbrzymów duchowych i spadł w przepaść „nakształt katarakty", jak o tém marzył Manfred... Jak Manfred chciał dźwignąć wiele, ale źle obrał cel wysiłków, bo zbyt zaślepiony był miłością własną.

V.

Pomiędzy rzucającym się w wir dziejów romantykiem-marzycielem a niezdolnym do czynu sceptykiem-rezonerem, staje postać, która jest wynikiem zawodów pierwszego a przyczyną niemocy drugiego— oderwany od życia doktryner. Postać ta nie wchodzi jako ogniwo do genetycznego łańcucha wiążącego typowych przedstawicieli inteligencyi XIX stulecia; ale jest wychowawcą ostatniego pokolenia, na które działa niejako ze strony i nie zostaje do niego w tym stosunku jak ojciec do syna, lecz jak nauczyciel do ucznia. Ale uczeń przejmując od rodziców temperament, skład uczuciowy, usposobienia i skłonności, kształtuje to wszystko pod wpływem idei nauczyciela. Postać tę więc powinniśmy tu wprowadzić, aby zrozumieć Płoszowskiego.

Rok 48-y dzieli nasze stulecie na dwie, rażąco nie podobne do siebie połowy. Rok ten jest chwilą upadku pewnego poglądu na świat, którego ideom kłam zadał czyn. Filozofia ideału i wielkie marzenia społeczne stają w sprzeczności z życiem dziejowém, które, urągając szlachetnym marzycielom, z usiłowań ich robi awanturnikom, jak Napoleon III, podnóżek do tronu a z idei postępowych wieku tarczę dla egoizmu klasowego.

Zrażone temi smutnemi owocami filozofii, zawiedzione w swoich nadziejach, młode pokolenie szukało innych haseł filozoficznych, innych celów w życiu. „Dość marzycielstwa, prawda naga, prawda na wszystko obojętna, przed niczém się nie wstrzymująca niech będzie jedynym przewodnikiem naszym! Nie oglądajmy się na to, czy jest użyteczną czy szkodliwą, pociągającą lub wstrętną, bo ostateczny jéj wy-

nik będzie zawsze dobry." Precz z ideałami, które nas zawiodły na rozdroża; myśli trzeźwéj, myśli naukowéj otwórzmy podwoje. Cześć dla rzeczywistości, pogarda dla mrzonek!

Tak rozumowało pokolenie, które było świadkiem rewolucyi 48 r.

Karłowacieją myśli, gasną serc wulkany
Dzieje już nie brzmią hymnem wiary archanielskiéj,
Wiek rozumu, jak tabor ciurów rozpasany
Opycha brzuch podbitéj materyi cielskiem...

Co popsuli marzyciele, naprawić mieli doktrynerzy; ale jak pierwsi błądzili nie dla tego, że byli marzycielami, lecz dla tego, że nie chcieli się liczyć z rzeczywistością, tak teraz drudzy zapomnieli, że rzeczywistość jest tylko gliną, z któréj lepi duch, ów wieczny artysta świata; gliną, którą znać potrzeba, ażeby dobrze obliczyć wysiłki nasze dla otrzymania pożądanych kształtów, ale która nie jest i nie może być ich prawodawczynią. Uczucie i wyobraźnia zawiodły—powołano do pracy rozum, i to tę część rozumu która najmniéj się wiąże z wyobraźnią, któréj obca jest wszelka twórczość, wszelka synteza. Analiza staje się głównêm narzędziem, a fakt głównym przedmiotem poznania. Wszystko co nie jest „faktem", wyrzuca się precz jako towar zakazany. I nie tylko „fakt" zostaje jedynym przedmiotem wiedzy, jedyną rzeczą, zasługującą na uwagę, ale niebawem staje się jedynym prawodawcą w życiu.

„Wszystko co możliwe—istnieje gdziekolwiek w rzeczywistości", uczył materyalista starożytny Epikur. — „Czego nie ma w najbliższéj nas rzeczywistości, jest niemożliwe" wygłosił materyalizm dzisiejszy. Kategorye obowiązku i ideału zostały wyrugowane: na miejscu „powinno być" i „pragnę aby było" stanęło z wszechwładną wyłącznością: „jest".

„Istniejący fakt" staje się Bogiem. Był to tylko krok naprzód od myśli Hegla, że wszystko co istnieje jest rozumne. Wniosek ztąd błędny pod względem formalnym jak i pod względem treści: więc to co nie jest rzeczywistością stanowi mrzonkę, urojenie i niemożliwość —wniosek ten wysnuło chętnie pokolenie, które z całéj nauki Hegla zachowało tylko jego pogląd na dzieje jako prawidłowo z nieubłaganą fatalnością rozwijający się proces, zmieniając jedynie terminologią filozoficzną na przyrodniczą, i przenosząc na całą przyrodę wyprowadzoną z ludzkich dziejów ideę p o s t ę p u pod nazwą e w o l u c y i.

Te ogniwa pośrednie pomiędzy pokoleniem marzycieli a pokoleniem schyłkowców znalazły wyraz i w naszéj literaturze.

Dusza poety podobna jest do owéj czarodziejskiéj skrzyni, do któréj dość wrzucić słowo, ażeby stworzyła rzeczywisty przedmiot. Każda abstrakcyjna myśl epoki, każda dążność umysłowa lub moralna, potrącając o umysł poety, budzi w nim siły twórcze, które wydają żywą postać, wcielającą w sobie tę ideę lub dążność. Słowo ubiera się w ciało. Ale utwór poetycki jest nieraz kopalnią złota potrzebującą swego górnika, aby ukryte w nim skarby wyciągnął na jaw i oddał na użytek ogółu, a za nić przewodnią służy przytem znajomość dziejów i ducha epoki współczesnéj lub minionéj.

Publiczność czyta nieraz dzieło poety, zachwyca się zewnętrzną szatą, ale nie pojmuje jego głębszéj myśli filozoficznéj. Odsłonięcie jéj stanowi zadanie krytyki. Nasza poezya zawiera niemałe skarby idei, czekających jeszcze na krytyka-filozofa, który by je wydobył na jaw, wiążąc z szerszém tchnieniem życia dziejowego; postaci, które były by może równie popularnemi jak Faust, Hamlet lub Manfred, gdyby znalazł się ktoś, kto by je ukazał publiczności w należytém świetle. Jak w życiu nieraz, ocierając się o geniusz poetycki, podziwiamy jego wiadomości geograficzne lub heraldyczne i nie podejrzewamy, że są to tylko drobne i nie znaczące akcesorya umysłu; tak i w literaturze przechodzimy nieraz do porządku dziennego nad wielką postacią psychologiczną, zachwycając się wzamian opisem krajobrazu lub pięknościami stylu autora. Wszak postąpili tak z Manfredem Taine i Brandes! Dramata filozoficzne Leonarda Sowińskiego, dziś prawie nieczytywane, są jednak tak bogate w myśl a tak blizkie nam, tak duchowo pokrewne... bo też pisane były w epoce zbliżonéj do naszéj, w téj drugiéj połowie stulecia, któréj dziećmi jesteśmy [1]).

---

[1]) Za dowód tego, jak wiernie pojął poeta duch czasu, niech służą następujące urywki zwrócone, zdawało by się, wprost do dzisiejszych „arystokratów ducha“:

Gdy lud, zważywszy nasze rozumy
I strupieszałéj piersi popioły,
Odepchnie próżne roszczenia dumy,
Wy, jak strącone ryczące anioły,
Ciskacie gromy na ciemne tłumy
I znieważacie myśli kościoły...
Czemuż téj ciżbie służyć nie chcecie,
Kiedy przewodzić jéj nie umiecie?!

. . . .

Jałmużna wasza o kamień dzwoni,
Modlitwa echem od ścian powraca,
Anioł od westchnień kłamanych stroni...
Faryzeusze! tu wasza płaca:

Jeden z nich pod tytułem z „Życia" należy właśnie do wspomnianego okresu przełomu; znajdujemy też w nim postać doktrynera — mistrza pokolenia Płoszowskich. Jest to raczéj szkic dramatu niż dramat. Charaktery zaledwie nakreślone. Postaci pojedyncze mają zbyt abstrakcyjny charakter, mniéj przemawiają do wyobraźni. Filozof przeważa tu nad poetą. Jak w Fauście lub Egmoncie Göthego całkowita i wszechstronna, postać człowieka-autora rozkłada się na kółka, z których każde jest wcieleniem mniéj lub więcéj jednostronnych władz ducha. Ale jakże każda z nich typowa! I czyż nie spotykamy w życiu takich, do których wprost można by przyczepić charakterystykę Uga lub Ludomira, Henryka lub Adama?

Doktór Ugo to doktryner, to wcielenie jednostronnéj wszechwładzy rozumu, badającego dla samego poznania, ale co go czyni doktrynerem—gdyż bez tego był by tylko oderwanym od życia uczonym—to chęć nagięcia życia pod tę naukę, z któréj poprzednio wyrugował wszelkie pierwiastki wiążące ją z życiem, a przez to uczynił oschłą i jałową; chęć zostania prawodawcą rzeczywistości, któréj nie rozumie, narzucenia jéj formy, któréj sam nie posiada.

Bywają chwile, że tacy zabierają głos; chwile jałowości duchowéj, kiedy tłum szukający sobie przywódzcy w braku geniusza idzie za

---

Bo tu na ziemi, wszystko już macie,
I dymy wonne i skarb niemały,
I pośród jęków troski nie znacie...
Grób ten wasz — wiecznie zimny i biały!
Lecz tam, na sądów niezłomnych szali,
Kropelka potu lub krwi Łazarzy
Nad hymny wasze Boga pochwali
I przyszłość ludów przeważy.
Bo wiara żywa czynem się pleni.
A wy ją w słowo trupie zamknęli....

A oto znowu przepowiednia, jedna z tych, które stają przed okiem duchowém wielu współczesnych, którą w innych nieco wyrazach wygłasza i Płoszowski:

Czasem na dziejów bezwładnéj fali
Długo spróchniały korab nie tonie...
Lecz niech po żaglach wicher powionie, —
Rozkołysany, wnet się rozwali,
I pracę wieków chwila pochłonie,

Bo też:

Pełno plam czarnych w zbiorowym duchu,
Gdy rdza próżności siły mu strawi
Gdy każdy pierścień w bratnim łańcuchu
Odrębne sobie cele postawi.

doktrynerem... Staje wtedy chwilowo na czele społeczeństw, prowadzi je... ale dokąd? Sam tego nie wié! Bo brak myśli twórczéj, myśli żywéj, myśli płodnéj — to cecha doktrynerów. Ta analiza, któréj wszystko poddają, umié tylko rozkładać, ale nie budować. A gdy chwyta za sztandar, który wypadł ze zdrętwiałej dłoni geniusza czynu, dźwignąć go nie są w stanie. Zdaje im się że burzą jak tytany, gdy tymczasem rozkładają spruchniałe już trupy, jak robactwo mogilne. Uganiając się za jakąś prawdą abstrakcyjną, prawdą dogadzającą ich wysuszonym mózgom, potrzebującym wszystko klasyfikować, abstrahować, określać, tracą z oka tę prawdę żywą, która stwarza czyn. Więcéj niż tracą, bo ją ignorują.

Dla mrzonek, które wylęgają się w ich głowach wśród oderwanéj od życia kontemplacyi, gotowi są poświęcić najżywotniejsze interesy społeczne. Są to ludzie pozbawieni zupełnie zmysłu społecznego, którzy jak Renan zajmują się „niewinnemi marzeniami" o przyszłéj rasie dewasów-nadludzi, kiedy ojczyznę ich szarpie wojna domowa, lub jak Taine roztrząsają z punktu widzenia lekarza psychiatry najświetniejsze karty dziejów swego narodu. Wylęgłe w ciszy pracowni myśli rzucają doktrynerzy na łup publiczności, którą porywają błyskotliwością lub rzeczywistym talentem stylu, oryginalnością prawdziwą lub naśladowaną, istotną lub udaną wiedzą, szerząc często w ten sposób zarazek moralny, którego skutków sami nie są świadomi. Zresztą rzadko bywają myślicielami oryginalnymi. Najczęściéj są to ludzie, którzy tylko zręcznie umieją korzystać z doby dziejowej dla dogodzenia swojéj nieproporcyonalnéj do zdolności ambicyi lub dla zabłyśnięcia pożyczonym blaskiem. Porywają więc od wieków spoczywający w zbrojowni myśli ludzkiéj oręż, wyciągają go na jaw, powlekają świeżym pokostem i wywijają przed oczyma tłumu. Jak zwykle w życiu, tak i u Sowińskiego Ugo jest tylko uczniem. Nauczycielem jego—doktór Omega, który niegdyś wszystko zamknął w pierś własną a teraz spędza ostatek dni w domu obłąkanych. Ugo jest tylko „jedną z najpiękniejszych myśli jego". Ten waryat żyje w świecie własnych abstrakcyi i nie chce znać innego świata, jak go nie znał, kiedy jeszcze był uczonym. Nie był i wtedy szkodliwy dla społeczeństwa, jak nie jest nim dziś—zdzieciniały waryat, za kratą domu obłąkanych. Jak pająk z siebie i dla siebie snuł tkaninę myśli swoich. Ale Ugo pochwycił te myśli i rzucił je tłumowi; przez nie chciał się wznieść, przy ich pomocy zapanować nad masą. I Omega, gdyby nie był waryatem, był by tak zdziwiony tém co z nich wynikło, jak Prometeusz w prześlicznym i głębokim obrazku p. Konopnickiej przerażony zostaje użytkiem, który Syzyf zrobił z jego boskiego daru. Omega, jako myśliciel i uczony,

szukał szczerze prawdy, a nikt mu za złe nie weźmie, że szukając jéj zbłądził, i za tę szczerość wybaczamy mu nawet zarozumiałość jego. Ale Ugo niczego nie szukał, wszystko znalazł gotowe i nawet nie zadał sobie pytania, czy ta prawda jest rzeczywistą prawdą? Czy dobrą jest w zastosowaniu? To ostatnie mógł śmiało pominąć Omega, ale nie Ugo, który z „prawdy" abstrakcyjnéj robi praktyczne hasło życia który ją rzuca tłumowi na użytek codzienny.

Buckle w swojéj „Historyi cywilizacyi" zastanawia się nad pytaniem: jak powinniśmy postępować z prawdami, które mogą pociągnąć złe następstwa? Widać tu nietylko poważnego i uczciwego badacza, szukającego prawdy przedewszystkiém, hołdującego zasadzie, że światła nie należy kryć pod korcem, ale i człowieka - obywatela którego dręczy myśl, czy ta jego miłość prawdy i prawdomówność nie staną się źródłem złego?

Starcie pomiędzy jedném a drugiém boli go i wyciska mu owe liryczne pełne smutku stronice, odbijające jego charakter moralny... Doktrynerów to nic nie obchodzi; są to *enfants terribles* postępu, którzy gotowi są każdą hypotezę lub teoryą naukową zawiesić na kiju i zrobić z niéj sztandar. Jak gdyby, po za czysto naukową ciekawością, ludzkość mogły cokolwiek obchodzić pytania: czy gatunki są stałe, czy się zmieniają; czy jest cokolwiek oprócz „atomów i próżni", lub podobne do tych zagadnienia! — Nie pytają się o następstwa tych haseł, wykutych z teoryi wytworzonych w zupełnie innym celu; nie myślą o tem, że te ich „prawdy" mogą być tylko częścią prawdy istotnéj, albo nawet złudzeniem. Błędna teorya naukowa w pracowni Omegi mogła być tylko stopniem przygotowawczym do prawdziwéj; wyniesiona na targowisko interesów, przekuta na hasło przez Uga, stała się źródłem odrętwienia, letargu moralnego. Imponują tacy przez jakiś czas masom, ciągną je za sobą, dopóki nie ujawni się, że wspaniałe obietnice wygłoszone w imieniu wiedzy są czasem złudzeniem krótkowidzów; że cała ta ich mądrość, to tylko

Widmo w blasków stropie pęku
Z nieskończoną próżnią w łonie...

i wtedy tłumnie porzuca ich masa tak, jak się tłumnie poprzednio ku nim cisnęła, skoro taki Ludmir zagrzmi hasłem żywotném. A oni zostają osamotnieni, nie rozumiejąc teraz porażki swojéj, jak nierozumieli krzywdy, którą społeczeństwu wyrządzali; dobrze jeszcze jeśli mają tyle rozumu i poczucia sprawiedliwości, aby razem ze wszystkimi uczcić Ludmira po dokonaniu jego dzieła, jak to czyni Ugo.

Postać ta jest u Sowińskiego jakby wcieleniem kolei, które prze-

chodził duch ogółu, tylko że ta faza w której go zastaje dramat jest raczéj proroctwem dotyczącym późniejszego okresu niż ten, w którym był pisany [1]). Duch wieszczy służył tu poecie jak i autorowi Nieboskiej Komedyi; niektóre sceny robią takie wrażenie, jakby były wczoraj napisane:

LUDMIR. Któż dzisiaj bóstwem rzymskiego tłumu?
HENRYK. Wenecyanin, przesławny Ugo!
LUDMIR. Znam go. W nauce ukrył się z dumą...
Na jakież losy czeka tak długo?

. . . .

. . . .

HENRYK. Księgi go chłoną, czynem pomiata.
Zanadto wątpi...
LUDMIR. A wpływ że jego?
HENRYK. Zabijający! — Ma on tu Lożę:
Stu w niéj wybranych co dzień zasiada
Prawdziwa mędrców szalonych rada —
Gdzie, jak bandyci na ostre noże,
Walczą na myśli.
LUDMIR. Igraszka babia!
Niewarta śmieci! — A sam że Hrabia
Czy także walczy?
HENRYK. On wszystko wali.
LUDMIR. A tłum co na to?
HENRYK. Kadzidła pali.
LUDMIR. Cóż on ma w piersiach?
HENRYK. Tylko zwątpienie.

Sam sobie to wyznaje Ugo, gdy mówi:

Szalony! Kruchą czaszką biję w mur z granitu
I zamiast ostatecznéj prawdy dla ludzkości,
Trudem krwawym zdobywam próżnię niepewności
I wieczny, wieczny rozbrat myśli mej i bytu.

Lecz wobec tłumu wyciąga „łachman purpury”, stroi się w dumę królewską, ażeby zaimponować masie:

Daléj — o bracia! W boskiém tem dziele
Duch wasz nie padnie—gdy ja na czele!

---

[1]) Dla tego też jedyny, o ile mi wiadomo, większy rozbiór tego szkicu dramatycznego, napisany przez p. Kaszewskiego (Bibl. Warsz. 1862 r.) nie mógł oświetlić go z tego punktu widzenia z którego dziś się przedstawia. Niech mi to posłuży za usprawiedliwienie, że tak długo na nim się zatrzymuję.

Taż sama szalona zarozumiałość dzisiejszych przedstawicieli wyższéj rasy, taż sama arogancya „arystokratów ducha") przemawiająca przez usty chóru wybranych:

Błyskawic strumienie
Wytrysły nam w głowie...
My Bogiem natchnieni!
My świata Bogowie!

Też same aspiracye ich do władzy bezwzględnéj, bezapelacyjnéj:

Wola nasza
Jest to rozkaz, którym Fatum
Prawa swoje nam ogłasza...

Zdaje się że słyszymy tu majaczenia Lapouge'a o „wyższéj rasie" Renana o d e v a s a c h lub ich niemiecką trawestacyą „nadczłowieka" Nitzschego.

Poeta Henryk jest wcieleniem téj innej prawdy, któréj nie chce znać Ugo, prawdy promieniejącéj z wiecznie młodéj krainy ideałów; „cherubin natchnienia, mistrz strun i pieśni, lutnista harmonii wiecznéj." Przeciwstawny jest z jednéj strony Ugonowi jak uczucie — rozumowi, poezya wiedzy, z drugiéj Adamowi — który jest wcieleniem zwykłych ludzkich żądz, widzących ostateczny cel w ich zaspokojeniu przez użycie, kiedy Henryk przeciwnie w wieczném dążeniu ku niedościgłym ideałom widzi przeznaczenie swoje:

Mam ja kochankę! pierś moja wrząca
Gwarzy z nią piosnką tajemną..
Postać jéj wiotka od lat tysiąca,
Przez tysiąc grobów szła ze mną.

Jaśni uśmiechem dum nieśmiertelnych,
Tęskni wspomnieniem przeszłości,
Lecim w orszaku rojeń weselnych
Na ślub ostatni w wieczności...

Nieraz w namiętném, drżącém westchnieniu
Ucho me szept jéj podsłucha,
Nieraz—w ognistych oczu spojrzeniu
Błyśnie mi promień jéj ducha...

I znowu żegnam chwile te błogie
I z widmem zaklętém w łonie,
Idę, marzący, przez lata mnogie,
Na strunach trzymając dłonie...

Miłość ta wieczna, jak czara słońca,
Światłością duch mi zalewa,..
Słowem jéj boskiém jest pieśń bez końca,
Lub czyn co wieki zdumiewa!

Adam, który zupełnie nie rozumié tego porywu ku nieskończoności, który pragnie miéć szczęście w ręku i przez to szlachetną nawet miłość swoją „zbrukał szału swego pianą”, odpowiada mu z ironią:

Co za szaleństwo! raj jednéj chwili
Oszczędzać na wieki całe!
Puhar, co mgnienie jedno wychyli
Rozbryzgać w kropelki małe!...

Tacy jak Henryk — nosiciele ideałów wieku, są natchnieniem apostołów czynu. Najbliższe więc powinowactwo wiąże go z Ludmirem, bo „Pieśń bez końca” jest zwiastunką „czynu, co wieki zdumiewa.” To też jedno i toż samo oskarżenie rzucają Ugonowi, jedno i to samo odpowiadają na jego roszczenia do przewodnictwa nad tłumem:

Henryk.

Precz mi w prochy karla dumo,
Co okrawkiem brudnéj szaty
Ukryć pragniesz oczom tłumu
Wiekuistych zadań światy!
. . . .
Kłamie wasze prawo bytu!
Nie tą drogą dziecię Boże —
Ludzkość — idąc stanąć może
U przeznaczeń swoich szczytów;
Iskrę bożą, w pierś jéj tchniętą,
Niech roznieci w żywot cały;
Myśl ofiary z nieba wziętą,
Serc najświętsze ideały —
Niech wyryje pieśnią, słowem,
Czynem wielkim i surowym
I boleścią siedmiu mieczy...
. . . .
Cóżeś stworzył wolą swoją?
Czy choć jeden owad lichy?...
. . . .
Nic nie widzę!... Czynu pole
Jedną świętą płonie chwilką...
Wiedza twoja, w marzeń kole
Zwaliskami sterczy tylko!

Wcielenie w czyn ideałów poety — jest dziełem Ludmira Trybuna „olbrzyma ciżb, społecznych potęg męża.” Sam autor mówi o nim:

Z tysiąca woli drgnień odlałem postać twoją,
Boleścią bratnich serc uolbrzymiłem duch
. . . .

Patrzajcież: otóż On! posępne cienie czoła
Rozdziera jasna myśl, jak piorun kłęby chmur;
Ofiarą zbrojna pierś ogromném hasłem woła,
A chór — przerażający odgrzmiewa mu wtór.

Ludmir jest geniuszem czynu. Zrozumiał on, że czyn jest prawdziwém powołaniem człowieka, że tu odnajduje on swobodę swoją:

Jeden tylko odłam świata
Bóstwem uznał ludzką wolę;
W dziejach tylko, w życiu, w czynie,
W dusz obszarach, w ludzie, w gminie
Wola męska, myśl i ramię
Samodzielnie kreślą prawa...

Te cztéry postaci przedstawiają wcielenie zasadniczych dążności natury ludzkiéj: Ugo — życia umysłowego, dążności do wiedzy i panowania przez nią; Henryk—życia uczuciem czystém, wyniesionėm po nad zmysłowość, dążenia do prawdy serca i do piękna; nad sercami rozciąga on panowanie swoje. Ludmir, apostoł czynu, porywa za sobą wole ludzkie, z których „tysiąca drgnień" powstała postać jego. Wreszcie Adam — to ogólne tło natury ludzkiéj; to człowiek z jego pospolitemi i samolubemi pragnieniami szczęścia, miłości, rodziny... Pragnie on zbudować szczęście swoje na czysto osobistém uczuciu i to w takiéj chwili, kiedy wszystko dokoła porywa wir dziejowego czynu. Adama każdy, nawet bohater, ma cząstkę w sobie; jest to zupełnie ludzkie... ludzkie, ale nie zwierzęce, jak stara się przedstawić okłamująca rodzaj ludzki beletrystyka francuska z ostatnich lat dwudziestu.

Dramat osobisty Adama i Ewy — zdaje się jakoby samemi imionami chciał poeta zaznaczyć praludzkie znaczenie tych postaci — przebiega tu równolegle do dramatu dziejowego; zachodzi tu stosunek odwrotny, względem tego, jaki jest w Nieboskiéj: tam żona—tu mąż kończy w domu obłąkanych. Ewa tu odczuwa całe niezadowolenie z tego życia we dwoje i dla dwojga, a gorycz jego potęguje się tém jeszcze, że odepchnięta przez Ugona, bez miłości przyjęła rękę Adama. Popełniła w tém wielki błąd, za który pokutuje głównie Adam: całą swoją istotę położywszy w tę miłość, traci rozum, gdy się dowiaduje, że zawiódł się na niéj, a mimo całéj szczerości jego uczucia, budzi on jednak politowanie prędzéj niż współczucie. Jego nieszczęście, jest wynikiem jego winy tragicznéj i obojętności zarówno na wymagania społeczeństwa, potrzebującego w téj chwili stanowczéj pomocy wszystkich swoich członków, jak i na dążność ku szerszym zadaniom Ewy, która skarży się, że mężczyźni przywłaszczyli sobie i ukryli oczom kobiety:

to wszystko czém świat promienieje —
Porywy serc bratnich w niebiosa wpatrzonych,
Skarb myśli i woli i mądrość i dzieje...

. . . .

Że sercu kobiety zamknięta kraina
Dum wzniosłych i czynów...

Napróżno wołamy: powietrza i słońca,
Wy tylko, jak orły, poicie się niemi;
Kobieta wzgardzona więdnieje bez końca,
Jak lilija wiotka, nagięta ku ziemi.

Tego, czém poją się orły, nie mógł jéj dać Adam, bo sam orłem nie był; przeznaczenie kobiety widział on zgodnie z filistrami wszystkich epok w „orzeźwianiu" mężczyzn „nektarem żywota, poezyą, szczęściem"; skończyło się więc na tém, że „wszystko zbrukał szału swego pianą."

Jak w potopie fiołków Heliogabala
Serce moje śród pieszczot namiętnych zamiera
Napróżno drżące, biedne z kwiatów się wydziera
Oddech jego piekielny skrzydła mu opala.

Tak skarży się Ewa i „brzydzi się sobą" i pierś jéj „noc zalewa okropna jak zbrodnia." Gdy Henryk jéj mówi o miłości dla męża, wybucha śmiechem, a śmiech ten, dosłyszany przez Adama, staje się śmiercią jego ducha.

(*D. n.*) *Wł. M. Kozłowski.*



Od Unny po Adryatyk.

Pod srogiém jarzmem fanatycznych wyznawców Proroka jęczała spora garść szeroko na ziemi rozsiadłego szczepu słowiańskiego. Zmiana stosunków politycznych wróciła braci braciom, Europejczyków Europie. Dzisiaj Bośnia i Hercegowina (bo o nich to właśnie mam zamiar mówić) wydarte z niewoli tureckiéj, w bliższe stosunki z resztą Słowian weszły, zyskując możność rozwijania się w swym własnym duchu. Ponieważ atoli stało się to jeszcze niedawno, więc nie zdołaliśmy się temi krajami dostatecznie zainteresować i wróconych na łono Słowiańszczyzny pobratymców bliżéj poznać.

Piękna, majestatyczna, choć może za często ponura przyroda nęci ku sobie rok rocznie dużą ilość turystów z krajów dalekich, bo z Anglii i Francyi a trochę z Niemiec. Tylko Słowianie a zwłaszcza apatyczni Polacy, obce kraje podziwiać i tam piéniądze zostawiać zwykli, zamiast zwrócić się do miejsc tak blizkich a turystycznie wcale nie wyzyskanych i wiele ciekawego przedstawiających. Nie należy bowiem zapominać, że cała Bośnia i Hercegowina, dzięki wypadkom politycznym, noszą na sobie wybitną cechę wpływów tureckich, które przez wieki działając, granicę Wschodu daleko w głąb Europy posunęły. Skutkiem tego, Mahomet zyskał wyznawców po słowiańsku mówiących, ale w wierze i wypełnianiu praktyk religijnych nie mniéj gorliwych. Dwie te prowincye śmiało bliższym Wschodem nazwać można, a poznanie go tak doprawdy nie wiele kosztów i fatygi wymaga, że więcéj nas, wrażeń i nowości chciwych, do Bośni i Hercegowiny

jeździćby mogło. Nadzieja, że pobieżny opis jednéj wycieczki potrafi może zachęcić kogoś do jéj powtórzenia, towarzyszy mi przy pisaniu tych wierszy, zawierających zestawienie doznanych wrażeń i zdobytych wiadomości.

Przez Wiedeń i Peszt, te dwa ogniska wrogich Słowianom dążności, dojechałem do Djakovy dla odwiedzenia i poznania ks. biskupa Strossmajera, tego olbrzyma Słowiańszczyzny południowéj. Z Djakovy ruszyłem na Zagrzeb ku granicy monarchii austro-węgierskiéj, aby na ziemię bośniacko-hercegowińską wkroczyć. Przejście rzeki Unny pod Kostajnicą prowadzi nas ku zamierzonemu celowi. Przyznać trzeba, że wjazd wysoce jest ciekawy i w skróceniu przedstawia to wszystko, co w ciągu drogi niejednokrotnie i na większe rozmiary widzieć będziemy. Nasyp kolejowy biegnie nad rzeką, pociąg przemyka się przez tunele, zdaleka widać Kostajnicę z dżamją (meczetem) i minaretem. Odrazu uderzają turystę stroje bośniackie, typy wschodnie, kobiety z przysłoniętemi twarzami, słowem od pierwszéj stacyi począwszy, czujesz, iż porzuciłeś dobrze znane ci kraje, a wkraczasz na ziemie, przedstawiające co krok wiele nowości, z któremi powoli w ciągu wycieczki zapoznawać się będziesz. Obok nadziei nowych wrażeń, podnieca umysł turysty świeża, młoda zieloność, będąca symbolem wiosny. I wszystko byłoby dobrze, gdyby ciągle jeszcze nie prześladowała jadącego głośna i pewna siebie mowa niemiecka, rozwielmożniająca się w krajach okupowanych coraz bardziéj i śmieléj.

Wkrótce zmrok nie pozwala oglądać okolicy, przez którą pociąg przejeżdża; nic się jednak przez to nie traci, bo oto wsiadło do wagonu kilku krajowców. Zdjąwszy pantofle i podwinąwszy pod siebie nogi, palą kręcone papierosy i prowadzą ożywioną rozmowę. Dźwięki wyraźnie słowiańskie, a jednak nieprzywykłe ucho pochwycić ich nie może i nic się z początku nie rozumié. Na obserwowaniu i oglądaniu ciekawych towarzyszów podróży upływa parę godzin czasu. Nareszcie pociąg zatrzymuje się a konduktor oznajmia, że przybyliśmy do Banjaluki, będącéj najbliższym celem wycieczki. Z gorączkowym pośpiechem wysiadłem, aby odszukać jakiś hotel, kiedy we drzwiach dworca powstrzymał mnie komisarz policyi w fezie, żądając paszportu. Trzeba bowiem wiedzieć, że jadący do Bośni i Hercegowiny, musi się zaopatrzyć w paszport, wizować go w każdém mieście, gdzie się dłużéj niż dwadzieścia cztery godziny zatrzymuje, i nosić zawsze przy sobie, aby się módz na każde zażądanie wylegitymować. Bez paszportu podróż po Bośni i Hercegowinie jest bezwarunkowo niemożliwa. O tém każdy pamiętać powinien.

Uczyniwszy zadość żądaniu reprezentanta władzy, udałem się co prędzéj do hotelu „Bosna" i tam znużone kości do smacznego snu ułożyłem.

Nazajutrz roztworzywszy szeroko oczy i nadstawiwszy uszy, wyszedłem na miasto, nowych i ciekawych wrażeń chciwy. Nie można powiedziéć, aby wszystkie miasta Bośni zupełnie do siebie były podobne i cech indywidualnych pozbawione; ale ogólny typ jest jeden i ten sam, opisanie więc jednego o innych już dość dokładne wyobrażenie daje. Banjaluka, któréj nazwa złożona jest z dwóch słów: banja Luka, znaczących po polsku: łaźnia Łukasza, ładne posiada położenie, rozciąga się bowiem na wielkiéj płaszczyźnie, lesistemi otoczonéj wzgórzami. Całe miasto można jednym rzutem oka objąć wszedłszy na maleńki wzgórek Łausz, skąd dają się wyraźnie rozróżnić dwie części: nowa z czasów pookupacyjnych i stara z czasów tureckich. O nowéj nic powiedziéć nie można; banalność króluje tu w całéj okazałości. Za to część stara iście oryginalny przedstawia widok. Jednopiętrowe, drewniane, niemal że z gątów zbite domki, o mocno wybielonych ścianach, na których liczne czernieją okienka, wznoszą się w kępach drzew, otaczających każde domostwo. Budowa bośniackich domów typowa jest i charakterystyczna. Podstawę stanowi niezamieszkałe podmurowanie, wokół którego wystaje przynajmniéj na pół metra piérwsze piętro, którego nadzwyczaj małe okienka u mahometan są zasłonięte kratami, podobnemi do krat naszych wiejskich konfesyonałów. Urządzenie to służy w tym celu, aby kobiety mogły wyzierać przez okno i nie być przez nikogo widziane bez zasłon, które wkładają wychodząc na ulicę. Wogóle przesiadują one głównie w swoich haremach, albo téż w małych domowych ogródkach, stąd niezmiernie mało kobiet spotyka się na ulicy. Jeżeli zaś któréj interes wyjść nakazuje, to zakryta od góry do dołu sunie w milczeniu, jak żywy posąg albo automat. O ile widziéć można, strój mahometanki składa się z żółtych safianowych butów z długiemi cholewami o bardzo ostrych, mocno w górę zadartych nosach; ponad butami widać nieco szerokie, tureckie szarawary; zresztą cała figura pokryta jest płaszczem z grubego sukna koloru czarnego albo zielonego, tak zwaną feredżą, która na plecach posiada dodatek zupełnie do ornatów kościelnych podobny. Głowa z twarzą razem pokryta jest białą zasłoną, spadającą zazwyczaj jeszcze na plecy. Włosów, uszów, szyi ani téż twarzy bezwarunkowo nie widać a nawet oczu, gdyż od dołu sięga zasłona do połowy nosa, z góry zaś dochodzi do samych oczu, przedłużając się w kształcie daszka tak, że kobieta jedynie odrobinę gruntu pod nogami widziéć może. Chcąc zobaczyć kogoś przed sobą, musi zadzierać głowę do

góry tak, jak to czynią ludzie chorzy na oczy i zielone daszki noszący. Pomimo to wszystko, zdarza się często, że mahometanka mężczyznę spotykając, przystaje i odwraca się do niego plecami, czekając aż ją minie, poczém dopiéro idzie daléj. Nie wolno kobiecie nawet rąk pokazywać, więc zamożniejsze noszą rękawiczki, a uboższe chowają je ustawicznie pod feredżę przez dwa długie otwory z przodu znajdujące się. Wskutek tego wyglądają jak nasze gospodynie, kiedy ręce pod fartuch wsuną. Co najzabawniejsze, to fakt, że nie mają pono co tak chować, bo niewiele, jak mówią, jest przystojnych, a i te szpecą się rozmaitemi obrzydliwemi kosmetykami, barwieniem włosów oraz paznogci u rąk i nóg na czerwono. Farbowanie włosów poczyna się od dziecka, a że dziewczyna do piętnastego roku zasłony wcale nie nosi, przeto spotyka się małe i większe podlotki o mocno czerwonych włosach. Mimo woli nasuwa się porównanie ich pojęć z naszemi; wyobrażam sobie zdziwienie a zarazem święte oburzenie mahometanki, któraby się na naszym balu publicznym znalazła. Co kraj, to obyczaj.

O ile kobiety, nawet nie mahometanki, głównie ognisk domowych pilnują, o tyle mężczyźni ustawicznie są w ruchu, włócząc się po wązkich, krętych uliczkach miasta. Twarze przedstawiają typ mieszany; obok wybitnie słowiańskich widzi się wyraźnie wschodnie, tureckie, jako téż pewną ilość takich, które w sobie cechy obudwu łączą. O typie twarzy rozstrzyga wiek, zarost i nakrycie głowy. Młodzi golą zazwyczaj brody, zostawiając tylko wąsy nie podstrzygane i noszą fezy; to twarze słowiańskie. Starsi zapuszczają brody specyalnie na modę turecką strzyżone, podstrzygują téż wąsy, odkrywając górną wargę i do fezów dodają turbany; to twarze tureckie. Choć masa ludności jest czysto słowiańska, znajdują się téż wyjątki krwi mieszanéj, albo potomkowie rzetelnych Turków do Bośni przybyłych. Obok głowy, która jest najcharakterystyczniejsza, na uwagę zasługuje wzrost zwykle dobry i postać smukła, kształtna. Spodnie ubranie od kostki do kolana jest obcisłe, kształty uwidoczniające; od kolana zaś począwszy jest ubranie bardzo szerokie i wolne; prócz tego posiada z tyłu znaczne rozszerzenie do połowy łydki opadające i wysoce nieestetyczne. Forma ta posiada znaczenie praktyczne; gdyby suknie były zupełnie obcisłe, pękałyby przy podwijaniu pod siebie nóg, utrudniając nietylko ten osobliwy sposób siedzenia, ale i modlitwę, o któréj parę słów niżéj.

Około bioder opasany szal przytrzymuje obcisły, do ciała przylegający kaftan z rękawami; na kaftan wkładają rodzaj kamizelki bez rękawów, nie dochodzącéj do pasa i niezapinającéj się z przodu. Nieliczni noszą chałaty do kostek sięgające i czasami futrem podbite;

jestto zewnętrzną oznaką zamożności, noszoną nietylko w zimie, ale i w lecie.

Ponieważ mieszczanie są głównie wyznania mahometańskiego, więc w miastach przeważnie takie ubiory się widzi; odmienne spotykamy po wsiach.

Chcąc jeszcze inne osobliwości poznać, kazałem się zaprowadzić do najpierwszéj restauracyi mahometańskiéj. Nawiasowo nadmienić trzeba, że restauratorami są przeważnie przemyślni Albańczycy. Taka tedy restauracya jest obrzydliwą dziurą, posiadającą kilka stołów i ławek, pokrytych matami. W téj saméj izbie znajduje się kamienna kuchnia, na któréj wszystkie potrawy stoją w blaszanych czy cynowych rondlach. Gość podchodzi do téj zastawy i każe sobie dać, co mu właśnie do gustu przypada. Ja w niemałym znalazłem się kłopocie, gdy mi wybrać kazano; wszystko nad wyraz podejrzanie wyglądało. Upatrzywszy sobie coś, co zwykły gulasz przypomiało, zjadłem porcyę z pszennym, wcale niezłym chlebem. Potém skonsumowałem jeszcze jakąś bardzo słodką leguminę i zapłaciwszy trzydzieści centów walutą austryacką, udałem się do poblizkiéj kawiarni na czarną kawę (innéj tam zresztą nie znają). Kawiarnia mieści się w małéj izbie, któréj jedynym sprzętem są prycze matami pokryte. Zdjąwszy pantofle siadają mahometanie na matach i piją kawę dla każdego z osobna w oczach przyrządzaną. O ile wszelkie jadło w całéj Bośni jest dla Europejczyka nieznośne, o tyle kawa jest wyśmienita i bajecznie tania. Naszéj kawy nawet żebracy bośniaccy chybaby nie pili. Ponieważ turecki sposób przyrządzania jest prosty i łatwo go naśladować, przeto pozwolę sobie pokrótce go opisać. Przedewszystkiém nie pali się kawy na czarno, gdyż wszystkie olejki lotne uchodzą i unoszą ze sobą całą wartość kawy; mahometanie palą kawę na kolor jasno-brunatny, poczém nie mielą jéj w młynkach, ale tłuką ją, albo w najgorszym razie mielą każdorazowo tyle, ile do natychmiastowego użytku potrzeba. Rozumié się, że nie dodają ani cykoryi ani żadnych surogatów. Na wrzącą wodę zasypuje się tyle dobrych łyżeczek, ile ma być filiżaneczek, następnie miesza się i zagrzewa na ogniu tak, aby się kawa dwa razy z rzędu podniosła nie zakipiawszy. Dodanych kilka kropel wody sprawia, że na dnie powstaje gęsty osad i wyborny trunek jest gotów do picia. Dwie filiżaneczki kosztują cztery centy. Kawa taka jest napojem wonnym, aromatycznym, smacznym, mocnym i silnie denerwującym. Obok kawy posiada Bośnia i Hercegowina drugi jeszcze wyborny a rodzimy trunek, to jest wino. Czy białe czy czerwone albo czarne, jak go krajowcy nazywają, czyste jest, zdrowe i smaczne a tanie bardzo. Z tych powodów pije się tam wino, jak u nas wodę, która

w Bośni specyalnie ma dziwne własności, bo działa jak środki rozwalniające. Krajowcom nie szkodzi, ale przybysze, nawet stale mieszkający, przywyknąć do niéj nie mogą, a już nieszczęśliwy jest nieświadomy rzeczy turysta, który niechcący nabawia się przykrego kłopotu. Kawa i wino reprezentują napoje narodowe; potrawą ulubioną jest młoda jagnięcina!

Nowością, rzucającą się w oczy nieznającemu Wschodu przybyszowi, są liczne dżamje z minaretami. Wśród wielkiéj ilości, kilka tylko odznacza się typowym kształtem w stylu tureckim. Dżamje są to budynki nizkie, przysadziste, o kopulastych dachach, przy których dziwnie smukłe minarety odbijają. Wnętrze, do którego wchodzi się przez otwarty z trzech stron przedsionek o dachu wspartym na słupach, jest bardzo skromnie i poważnie urządzone. Bliższa drzwi wchodowych część podłogi, jest goła — tu zostawiają mahometanie pantofle, poczém dopiero wchodzą na drugą, nieco wzniesioną i matami pokrytą część podłogi. Modlitwa odbywa się cicho, a polega obok odpowiednich słów na ustawiczném biciu pokłonów, czyli na kiwaniu się. Modlący się pada co chwila na kolana, dotyka czołem ziemi, wstaje, potém znowu klęka i tak aż do końca. W piątki, jako w dzień świąteczny, odbywa się rodzaj kazania, polegającego na komentowaniu różnych ustępów i przepisów koranu. Przed każdą dżamją znajduje się basen z wodą, gdyż mahometanie przed wejściem do świątyni obmywają sobie głowę, ręce i nogi. Przed większemi dżamjami znajdują się wodociągi z czasów tureckich. Ilość tych domów modlitwy jest dosyć znaczna, gdyż mahometanie modlą się obowiązkowo pięć razy dziennie i gorliwie ten przepis koranu spełniają; gdyby więc jakie kilkanaście domów nie miało swojéj dżamji, musieliby wierni bardzo dużo czasu tracić na drogę tam i z powrotem.

O porze modlitwy daje znać muezzin, zwołując przeciągłym głosem z minaretu, na którym znajduje się pod samym wierzchem galeryjka. Otóż muezzin wychodzi na nią, nadstawia przy pomocy rąk uszy ku niebu, oczekując od Allaha natchnienia, poczém śpiewa na cztery strony świata. O ile tekst owego nawoływania jest stały, o tyle melodya od fantazyi muezzina zależy. Znajdują się pomiędzy nimi ludzie pięknym głosem i poczuciem muzykalném obdarzeni; takich można słuchać z przyjemnością. Nawoływanie zawsze jest jednak smętne, jękliwe i przeciągłe.

Charakterystyczny widok przedstawiają też znajdujące się przy każdéj prawie dżamji cmentarze mahometańskie. Miejsce grobów oznaczają słupy kamienne. Gładki słup oznacza grób kobiety; opatrzony u góry turbanem, grób mężczyzny. Cmentarze takie napotyka

się wszędzie w środku miasta, częstokroć bezpośrednio obok mieszkań ludzkich rozrzucone. Obecnie rządy okupacyjne przestrzegają pewnych przepisów sanitarnych.

Obejrzawszy Banjalukę, do dalszéj gotowałem się drogi, ale na samym wstępie pogoda niecnego wypłatała mi figla, bo po kilku dniach suszy zaczął padać deszcz i nic rychłego końca nie zapowiadało. Zamiast więc iść piechotą, jak to było moim pierwotnym zamiarem, postanowiłem jechać dyliżansem pocztowym. Nawiasem nadmienię, że poczty są doskonale w Bośni i Hercegowinie urządzone, dyliżanse wygodne, konie wyborne, ciągle szparkiego idą kłusa. Dziwne wrażenie robi opieka każdemu dyliżansowi dodawana, a z trzech od góry do dołu uzbrojonych żołnierzy złożona. Turysta jedzie prawdziwie jak skazaniec pilnie strzeżony w kraju, gdzie nikomu żadne nie grozi niebezpieczeństwo. W pierwszych latach po okupacyi zdarzały się napaści i rabunki poczt, ale dziś nie ma już o tém mowy; lecz urządzenie trzyma się siłą bezwładności, a to tém łatwiéj, że całą wogóle służbę pocztową w Bośni i Hercegowinie pełnią wojskowi w czynnéj służbie zostający.

Wczesnym tedy rankiem opuściliśmy Banjalukę, aby się dostać do miasta Jajce, gdzie wygodny czekał nocleg. Jedziemy doliną Vrbasu, zboczem głębokiego jaru; droga wije się ustawicznie, silne tworząc wężownice. Okolica piękny przedstawiała widok. Banjaluka okryła się delikatnym woalem z oparów rannych, właśnie jak mahometanka ściany haremu opuszczająca. Ukośne promienie wschodzącego słońca przedzierały się przez mglistą zasłonę. Szosa biegnie grymaśnie podnosząc się to w górę, to znów mocno w dół opadając. Jedziemy przez kraj pusty, mało uprawny; naokół zalega mnóstwo zieleniejących już ugorów, na których tu i owdzie pasą się stada owiec, to jedyne bogactwo Bośniaka. Wrażenie pustki podnosi to, że w Bośni nie ma wsi w naszém znaczeniu, t. j. utworzonych przez nagromadzenie większéj ilości chalup. W kilometrowych od siebie i od szosy odległościach leży po kilka chałup, ukrytych w kępach drzew owocowych tak, że je z trudnością dostrzedz można. Drzewa pokryły się właśnie białym kwieciem, tworząc jaśniejące wyspy wśród zielonych już pól. Takie rozmieszczenie siedzib ludzkich jest przyczyną, że ludność dróg i szos wcale nie potrzebuje i używać ich nie może. Teren bowiem zgola nie jest równy, a więc wozem z domu wyjechać, ani téż do domu wrócić niepodobna. Stąd pochodzi używanie w całéj Bośni i Hercegowinie jucznych koni, a wozów nie spotyka się prawie wcale, chyba w sąsiedztwie miast i miasteczek. Pomimo to istnieje szarwark, czyli obowiązkowa praca przy drogach publicznych, trwająca sześć dni do

roku. Jestto jeden z największych ciężarów, nałożonych na ludność przez rządy okupacyjne, które nie tyle z potrzebami ludu, ile z potrzebami własnemi głównie się liczą. Powszechne używanie koni jucznych, jest jedną z oryginalnych cech kraju. Co jakiś czas spotyka się drobne karawany, prowadzone przez krajowców, transportujących na swych koniach wszelkie ciężary, jak drzewo, kamienie, beczki, siano, wreszcie towary dla kramików przeznaczone. Koniki są nadzwyczajnie małe i chude, a przytém zadziwiająco silne i wytrwałe. Na mizerne bydlątko nakładają tak duże wiązki siana, że pokrywają one całą długość i wysokość zwierzęcia; skoro zaś prowadzący Bośniak zasłoni sobą przód i głowę konia, widać już tylko poruszający się stóg siana.

Skąpemi zajęty obserwacyami, opuściłem okolicę zadeszczoną a zbliżałem się do kraju pogodniejszego i jaśniejszego. O 10-téj rano zatrzymała się poczta we wsi Kadina Woda na dwugodzinny popas. To umożliwiło mi najprzód zjeść jajecznicę na owczém maśle, potém zaś przyjrzéć się bliżéj ludowi do karczmy przychodzącemu, obejrzéć starodawny, jedynie z drzewa złożony pług, ciągniony z trudem przez cztery do sześciu wołów, i drewnianą kulbaką, wielce pierwotnéj konstrukcyi.

Z Kadinéj Wody jechaliśmy daléj okolicą jeszcze pustszą, sprawiającą wrażenie kraju wyludnionego, nieuprawianego, zupełnie zaniedbanego; dopiéro od miasteczka Sitnicy widzi się już pola urodzajniejsze, spotyka się częściéj ludzi i ślady jakiéj takiéj cywilizacyi, któréj najwyższym wyrazem w téj okolicy jest miasto Varcar-Vakuf, dokąd przybyliśmy o 4-téj po południu. Z przerażeniem dowiedziałem się, że mam tutaj nocować, chociaż w braku najmizerniejszego bodaj hotelu było to wprost niemożliwe. Mimowoli zacząłem podlegać różnym refleksyom. Dotychczas byłem pewny, że gorsze dziury od prowincyonalnych miast galicyjskich nie istnieją w Europie; tymczasem przekonałem się, że są one stolicami w porównaniu z tak zwanemi miastami Bośni i Hercegowiny. Postanowiłem tedy opuścić pocztę i poszukawszy jakiejś okazyi jechać daléj. Łatwiéj było postanowić to, niż wykonać, ale że mi szczęście sprzyjało, więc udało mi się wyszukać jakiegoś krajowca, jadącego własnemi końmi. Przez tłómacza zapytałem go, czy nie byłby tak dobry i nie podwiózł mnie kawałek, gdy drogi nasze w jednym szły kierunku. Przypadkiem trafiłem na jednego z najuprzejmiejszych obywateli; był to Ibrahim beg Aganović, który po załatwieniu interesów w Varcar-Vakufie, wracał do pobliskiego miasteczka Jezera. Z ochotą ofiarował mi miejsce w swym powozie, europejskim wprawdzie, ale za to mocno obdartym. Z trudem tylko mogliśmy się porozumiéć, bo mój beg nie umiał po niemiecku,

jechaliśmy więc w milczeniu. Wkrótce dotarliśmy do Jezera, gdzie uprzejmego bega pożegnałem, podziękowawszy mu jak umiałem najpiękniéj, a stąd poszedłem piechotą do Jajca. Wprawdzie mrok już zapadał, ale mimo to w obcéj okolicy zbłądzić nie obawiałem się, bo w Bośni i Hercegowinie sieć dróg publicznych jest bardzo mało rozgałęziona, szosa biegnie od jednego miasta do drugiego, tak, że dostawszy się raz na drogę, do miejsca przeznaczenia dojść się musi. Mimo to, nie ufając w zupełności informacyi krajowców, że zostawało mi do zrobienia tylko dziesięć kilometrów, gnałem przed siebie z pośpiechem i stanąłem na miejscu w półtoréj godziny, t. j. robiąc kilometr w minut dziewięć. Wskutek zmroku i pośpiechu nie mogłem widzieć okolicy słynnéj ze swéj piękności, postanowiłem więc wrócić tam jeszcze na drugi dzień, a tymczasem udałem się na spoczynek do pysznego względnie hotelu rządowego. Trzeba bowiem wiedzieć, że rząd austryacko-węgierski brak prawdziwéj cywilizacyi chcąc pokryć jéj pozorami, buduje wyborne drogi, koleje żelazne i hotele, aby liczni turyści mogli podziwiać tu wszystko, co się przez czternaście lat okupacyi zrobiło. Oczywiście koszta budowy tych hoteli ponoszą krajowcy, nie mający z nich żadnego pożytku, bo restauratorami są kochani Niemcy.

Jajce z okolicą jest jedną z najbardziéj podziwianych miejscowości Bośni; istotnie, będąc już raz w tym kraju, pominąć Jajca nie wypada. A przedewszystkiém uwagi godne jest jezioro blizko dziesięć kilometrów długie. Jezioro to, specyalnego miana nie noszące, rozpoczyna się przy mieście Jezerze zaroślami, w których gnieździ się liczne ptastwo wodne. Uroczystą ciszę przerwie czasami wzlot pary dzikich kaczek, albo odezwanie się bekasa. Niebawem zarośla się kończą a zaczyna czyste, gładkie, spokojne i przejrzyste zwierciadło wodne, w którém przegląda się młoda, zalotna wiosna bośniacka. Kształt jeziora podłużny, od formy wąwozu górskiego zależny. Jeden z boków, pionowo prawie ku wodzie zbiegający, a przez wysokie pagórki utworzony, porosły i zieleniejący, stąd i woda wesoły przedstawia widok, nie tak jak wody naszych ponurych, żałobnych jezior tatrzańskich, odbijających smutne kolosy granitowe. Szeroka wstęga jeziora wije się ustawicznie liczne tworząc skręty, a ściany wąwozu coraz nowe i zajmujące przedstawiają widoki. Nagle pod samém prawie Jajcem wąwóz mocno się ścieśnia, a jezioro zdaje się kończyć. Ale mamy przed sobą tylko zielony wał, rzucony przez kaprys przyrody w poprzek wody, która pieniąc się i szumiąc, przedziera się wśród drzew i krzewów, spływając po łożysku w dół opadającém. Tu niepostrzeżenie łączą się wody jeziora z wodami rzeki Plivy, i wspólnie płyną

dalej, tworząc miejscami głębokie i spokojne bajory, albo téż liczne katarakty wskutek tarasowo opadającego łożyska. Tu i owdzie rozlewa się woda szerzéj i staje się tak płytka, że obecność jéj nie przeszkadza rosnąć krzewom i drzewom, których korzenie stale zanurzone są w wodzie. Natura tu jeszcze pierwotna; obok szosy, którą się idzie, żadnych innych śladów człowieka. Samotność usposabiała do zadumy.

— *Dobar dan, gospodine* — przerwał mi ktoś rozmyślanie. Obejrzałem się po za siebie. Przedemną stał Bośniak, który zapytawszy skąd i dokąd idę, rozesłał mi swą gunię na ziemi i zaprosił do spoczynku; usiadłem. Spojrzawszy mi w oczy wziął za rękę, spojrzał w dłoń, zrobił mądrą minę i zabrał się do—wróżenia. Poddałem się chętnie téj operacyi, gdyż przypuszczałem, że mimo trudności w rozumieniu języka, czegoś nowego się dowiem; wszak zwyczaje ludowe bywają różne. Zupełnego atoli doznałem zawodu. Wróżenie odbywało się przy pomocy garści fasoli, którą on wyjął ze swojéj kieszeni, i pieniędzy, które ja wyjąłem ze swojéj. Dotykał moich nóg, rąk, czoła i głowy; on chuchał w moje ręce z pieniędzmi, ja chuchałem w jego ręce z fasolą, mruczał coś z wiele obiecującém kiwaniem głową, powtarzał często: *vidisz gospodine*, poczém obdarował mnie zwyczajnemi, banalnemi przepowiedniami, a w końcu wyłudził parę szóstek, co było jedynym celem wszystkich zabiegów. Gdym mu nie chciał dać tyle, ile żądał, twierdził, że umie wróżyć nawet za pięć reńskich, taki jest mądry.

Po tém niebardzo zajmującém *intermezzo* z bośniackim wróżbitą, poszedłem daléj, zbliżając się coraz bardziéj do opuszczonego wczesnym rankiem Jajca. Do miasta wchodzi się przez starożytną bramę, stanowiącą część okalających je murów. Jajce pod względem historycznym i archeologicznym jedno z najbardziéj zajmujących miast Bośni i Hercegowiny, dawna rezydencya królewska, leży przy ujściu Plivy do Vrbasu. Kilka ważniejszych wiadomości historycznych nie będzie chyba zbytecznych.

Miejscowa tradycya przypisuje założenie miasta potężnemu dynaście Hrvoji Vukčićovi, który miał polecić jakiemuś włoskiemu budowniczemu wzniesienie zamku na wzór neapolitańskiego Castello dell' Uovo, znanego dobrze Hrvoji stąd, że ze słynną królową Joanną neapolitańską i jéj mężem Ludwikiem tarenckim w ścisłych zostawał stosunkach. Według innych, nazwa miasta pochodzi od jajowatego kształtu góry, za podstawę zamkowi służącéj. Po śmierci Hrvoji przeszło miasto w posiadanie królów bośniackich, którzy tu często rezydowali, gdy dawna rezydencya Bobovac z powodu ciągłych napadów tureckich, nie wiele przedstawiała bezpieczeństwa. W 1463 r. wpadło

Jajce w ręce Mohammeda II, a jeszcze w tym samym roku zostało znowu odzyskane przez Macieja Korwina, króla węgierskiego. W następnym roku obległ sułtan Mohammed II Jajce z 30,000 żołnierzy, lecz węgierski dowódca twierdzy Emerich Zápolya tak skuteczny stawiał opór, że sułtan nic nie wskórawszy, od oblężenia odstąpić musiał. Przez 64 lata zostawało miasto w posiadaniu węgierskiém, aż r. 1528, w trzy lata po bitwie pod Mohaczem, węgierski komendant miasto bośniackiemu paszy, Usrev Begovi, ustąpić musiał.

Jajce nie posiada wprawdzie wielu pamiątek historycznych, ale istniejące, na bliższą zasługują uwagę. Wśród nizkich drewnianych domków uderza turystę dobrze zachowana wieża rozpadającego się zwaliska; kiedyś był to kościół katolicki, potém przez czas dłuższy meczet mahometański, dziś ruinę ząb czasu nadgryza i niszczy. Wieża według wszelkiego prawdopodobieństwa z XIV w. pochodząca, znana jest szeroko i daleko pod nazwą wieży Łukasza, a to dlatego, że według podania ludowego, kościół miał być zbudowany w miejscu, gdzie święty ewangielista Łukasz ostatnie dni swego żywota spędził, umarł i pogrzebany został. Ciało świętego, miała królowa Mara, żona ostatniego króla bośniackiego, Stefana Tomaševica, sprzedać Wenecyanom, gdy cennéj relikwii ani Spalato, ani Raguza, nabyć nie chciały. Według innych cała ta historya o handlu relikwią św. Łukasza została jedynie w tym celu wymyślona, aby Wenecyanie mogli wspierać pieniężnie królów bośniackich, bez kompromitowania się przed Turkami, gdyż historya kościoła opowiada, że św. Łukasz ew. zmarł w Tebach w Beocyi, ciało zaś jego na rozkaz cesarza Konstantyna, do Konstantynopola przeniesione zostało.

Obok wieży Łukasza posiada Jajce słynne katakumby. Kilka stopni kamiennych prowadzi do małego przedsionka; po obudwu stronach drzwi wchodowych odkryto niedawno wielkie malowane herby dwóch rodzin: Hrvoja (Vukčić) i Krestić, coby o właściwém przeznaczeniu tych katakumb dostatecznie świadczyło. Tradycya przypisuje założenie miasta potężnemu Hrvoji, którego państwo w najwyższym rozkwicie jego potęgi (koniec XIV w.) od Adryatyku i Neretwy po Unnę i Vrbanie sięgało. Żona Hrvoji pochodziła z domu Kresticów. Wspomniane wyżéj drzwi prowadzą do górnéj piwnicy. Wskutek panującego zmroku z trudnością spostrzedz można, że to wyższe piętro posiada kształt sklepionego równoległoboku, którego boki krótsze zajmują drzwi i ołtarz, a boki dłuższe—nisze od głównéj nawy cienkiemi ścianami pooddzielane. W górném polu tych kamiennych ścian znajdują się wykute krzyże z półksiężycem i gwiazdą. Boczne otwory są w głębi między sobą połączone; całość w skale wykuta i bez kawałka

sztucznego muru zbudowana. Małym otworem schodzi się na niższe, powiedzmy drugie piętro, zupełnie według tego samego planu co wyższe zbudowane. Podług wiary ludowéj służyły te katakumby w swoim czasie, także za więzienia o czém pewne zagadkowe zresztą wykucia górnego piętra świadczyć mają. W braku niezbitych dowodów niczego pewnego o katakumbach wiedzieć i twierdzić nie można. Przedstawiają one jeszcze pole do badań archeologicznych. Wysoko nad miastem wznosi się twierdza, któréj mury wcale jeszcze nie źle zachowane. W czasie walk okupacyjnych padło pod murami Jajca wielu żołnierzy austryackich. Mahometanie (Bośniacy) ścięli głowy dwom żołnierzom i zatknęli na tykach w ziemię. Pochowano je w obrębie murów twierdzy, ułożono na grobie stos kul armatnich a na murze umieszczono krzyż i odpowiedni napis. Z góry zamkowéj bardzo piękny na wsze strony roztacza się widok; można przejrzeć doskonale miasto i najbliższą okolicę, o ile na to otaczające wzgórza pozwalają.

Największą i najpiękniejszą osobliwością Jajca jest wodospad Plivy przy samém jéj ujściu do Verbasa. Cała dość szeroka rzeka spada zupełnie pionowo z wysokości 30 metrów. Huk, szum i łoskot pieniącéj się masy wodnéj słychać już zdaleka; z łożyska Vrbasu pod samym wodospadem wznosi się olbrzymi blok kamienny, o który woda z wściekłością rozbija się i rozpryskuje. W powietrzu unosi się ciągle chmura pyłu wodnego, który ustawicznie przeciwległy brzeg rzeki oblewa i zwilża. Rano, kiedy słońce wodospad obfitém światłem obrzuci, doznaje się dziwnego uczucia na jedyny w swoim rodzaju widok, który unosząca się nad wodospadem przepyszna tęcza upiększa i podnosi. Liczne udogodnienia pozwalają bez wielkiego trudu i wysiłku rozkoszować się tém ślicznem zjawiskiem pięknéj przyrody bośniackiéj.

II.

Pogoda, która mi pobyt w Banjaluce zepsuła, poprawiła się i pozwoliła mi z Jajca iść piechotą. Wybrałem się wczesnym rankiem do najbliższego miasta Trawnika, czekał mnie spory kawał drogi, bo czterdzieści dziewięć kilometrów i to nie po równinie, gdyż musiałem przejść Karaulę 1191 m. wysoką. W czasie całéj wycieczki wogóle zrobiłem piechotą przeszło dwieście kilometrów, nie wliczając w to chodzenia po miastach przy ich zwiedzaniu. Pomijając gorąco, bo zarówno Bośnia jak Hercegowina mają w końcu kwietnia i na początku maja takie upały, jakiemi nas obdarzają sierpień i wrzesień; nic nie mówiąc o tornistrze z sześć do siedmiu kilogramów ważącym, który

pieszo idąc na własnych dźwigałem barkach; dokuczliwą rzeczą jest brak karczem po drodze, gdzieby się człowiek mógł posilić, odświeżyć i wypocząć. W Hercegowinie można przynajmniéj dostać w każdéj karczmie taniéj a doskonałéj czarnéj kawy i wybornego, czystego wina czerwonego, którego litr kosztuje trzydzieści dwa centy; wino to, zmieszane na pół z wodą, jest znakomitym chłodzącym i orzeźwiającym napojem. Całą drogę jest człowiek zajęty napełnianiem i wypróżnianiem manierki, która to czynność przecież celowi swemu nie odpowiada, bo go nie osiąga. Głód jest bagatelą wobec nieustannego pragnienia, którego doprawdy niczém ugasić nie można. Ale zawsze częste odwilżanie ust czarną kawą i winem ulgę przynosi, — w Bośni i tego nie ma. Po trzygodzinnym marszu wstąpiłem u stóp Karauli do jakiegoś hanu (to znaczy karczmy), gdzie dano mi słodkiego mleka i chleba kukurydzanego. Trzeba miéć mocne postanowienie spróbowania w drodze wszystkiego, żeby odważyć się zjeść to danie. Nasze karczmy to salony w porównaniu z bośniackiemi hanami, izba mała i brudna; do siedzenia służy niski stołeczek tak, że broda na kolanach spoczywa; stołem nazywa się okrągła tarcza drewniana, stojąca na nóżkach wysokości czterech do pięciu centimetrów; blaszany rondel i cynowa łyżka są mocno podejrzanéj czystości a chléb kukurydzany— nie mówmy o nim lepiéj. Z przymusem da się zjeść skórka nieco przypieczona więc twardsza, bo środek tak jest gliniasty i klejowaty (o smaku nie wspominam), że jednym kęsem mógłbym sobie wejście do przewodu pokarmowego raz na zawsze zalepić. Używszy tedy sielanki i przyrzekłszy sobie uroczyście żadnego hanu bośniackiego już nie nawiédzać, bodajby mi nawet głód w drodze miał dokuczać, poszedłem daléj przez okolicę nie zbyt ciekawą. Na szczycie Karauli spocząłem a usychając z pragnienia, połykałem wzrokiem widniejące w dali szczyty obfitym śniegiem pokryte. Przed samym dopiero Trawnikiem trafiłem na jakąś kantynę, powstałą z powodu budującéj się kolei żelaznéj. Zdarzyło się, że gospodarz po świeże do miasta jechał zapasy. Zabrał mnie tedy swoim wozem a po drodze zaprowadził do jakiegoś Marka, który właśnie imieniny obchodził. Marko siedział z sąsiadem w altanie, popijali słabą śliwowicę, którą nazywają swojém białém winem, i zagryzali białą rzodkwią — taki jest zwyczaj. Musiałem tedy i ja wypić kawy, skosztować tego białego wina, smaku iście obrzydliwego i zagryść rzodkwią. Podjeżdżając pod Trawnik, spotkałem piętnastu studentów ze Sarajewa, którzy zdążali w kierunku Jajca.

W Trawniku zajechałem do poleconego mi hotelu i tam znalazłem służącego polaka z Krakowa; oczywiście radość była obopólna, bo ja mogłem się z łatwością porozumiéć a on zobaczył swojego.

Trawnik liczy zaledwie 5,600 mieszkańców, przeważnie wyznania mahometańskiego, ale mimo to jest jedném z najważniejszych miast Bośni i Hercegowiny i to nie tylko na podstawie tradycyi, lecz i dzisiejszego znaczenia, które zawdzięcza różnym urzędom i sieci kolei żelaznych. Spacer wzdłuż główném drogi dosyć przedstawia interesu. Obok mniéj zajmujących budynków nowożytnych, widzimy dużą dżamję i stare „turby" (to znaczy mahometańskie nagrobki), odznaczające się tak wielkością jak i pięknością. Są to po większéj części pomniki wezyrów Bośni z czasów, gdy rezydowali w Trawniku. Kopulaste dachy, pokrywające nagrobki a wsparte na słupach zostały w ostatnich czasach polichromią ozdobione.

Zamek podobno przez króla Tvrtka II zbudowany wznosi się do dziś dnia na wzgórzu, panującém nad miastem. Różne przewodniki zaliczają do osobliwości Trawnika turecką kawiarnię—*Cafe Dervent*—na sposób europejski przerobioną i rzekomo z wybornego trunku słynną. Dzieje się to dla tego, że pił w niéj kawę zmarły arcyks. Rudolf podczas swéj po Bośni podróży. Tymczasem miałem sposobność przekonać się osobiście, że kawa na modę wiedeńską podana droższa jest i bez porównania gorsza od każdéj innéj sprzedawanéj w prostéj kawiarni.

Miasto Trawnik powstało względnie bardzo niedawno, bo pierwsze wzmianki o nim znajdujemy w źródłach historycznych dopiéro 1503 r.; przedtém rozciągały się tam ogrody i łąki, skąd się téż nazwa miasta wzięła. W XV w. przeciągały częstokroć przez Trawnik wojska tureckie dążące ku północy podczas wojen z Węgrami. Namiestnicy Bośni rezydowali w Trawniku do czasu, gdy Omer pasza po stłumieniu powstania bośniackiego w początku 1850 r. stolicę do Sarajewa przeniósł.

Z Trawnika udałem się koleją żelazną do Sarajewa, aby osobliwości stolicy obejrzéć. Kolej żelazna przebiega wzdłuż rzeki Bosny okolicą dosyć ładną i zajmującą. Zdaleka widać wysokie góry obfitym śniegiem pokryte. Posiadają one już ogólny charakter Krasu, jaki się wszędzie spotyka i widzi. Cała Bośnia i Hercegowina mają powierzchnię mocno pofalowaną; im daléj posuwamy się na południe, tém kraj staje się nierówniejszy, góry wyższe. Nie widać jednakże nigdzie odosobnionych, ostro wybiegających szczytów jak w Tatrach lub téż Alpach. Wszystkie wyniosłości górskie, zaokrąglone i kopiaste, łączą się ze sobą bezpośrednio wyższémi lub téż niższémi przejściami. Stąd nic do drapania się na te szczyty nawet zapalonego taternika nie nęci. Przytém pamiętać należy, że cały Kras jest wapienny; o ile granit jest zawsze szorstki w deszcz czy w pogodę, wapień zawsze jest

gładki, śliski, spłókany i dobrze trzeba uważać, żeby się nie pośliznąć i nie potłuc lub nogi nie złamać. Ogołocenie z lasów, brak zieloności i wody, to także okoliczności nie bardzo nęcące turystę w te góry. Można iść godzinami wypalonym przez południowe słońce terenem, nie spotkawszy po drodze ani odrobiny cienia, ani kropli wody. Nagie, kredowo-szare skały, skąpą, karłowatą roślinnością pokryte, nie rozweselają oka i nie pociągają miłośnika przyrody. Mija się je i pozostawia za sobą bez żalu. Wśród takich i tym podobnych rozmyślań przybywam do Sarajewa. Zapominam o Krasie i wszystkich uwagach, jakie mi się z jego powodu nasunęły a wsiadam do omnibusu hotelu „Europe" i jadę.

Ogólne wrażenie Sarajewa jest wcale korzystne. Miasto nie wielkie, bo zaledwie około 30,000 m. liczące, ale dosyć czyste, porządne, schludne i ruchliwe. O ile w innych miastach nieliczna ludność napływowa ginie w masie tubylców, o tyle Sarajewo posiada ludność wybitnie mieszaną. Charakter miasta całego też jest dwoisty; i nic dziwnego, boć oczywista nowa epoka na stolicy najsilniejsze wyciska piętno. Turysta zrobi najlepiéj udając się odrazu na wzgórze zamkowe dla objęcia całego widoku jednym rzutem oka. Sarajewo leży po obydwóch brzegach rzeki Miljački w kotlinie otoczonéj wieńcem wzgórz, przerwanym ku zachodowi w kierunku t. zw. Sarajewskiego pola. Nie tylko dno kotliny ale i jéj zbocza gęsto są zabudowane. To wszystko, co o Banjaluce powiedziałem, odnosi się też do Sarajewa, które charakter miast bośniackich w najwyższym posiada stopniu. Opisane wyżéj domostwa drewniane toną w masie żywéj zieloności. Liczne dżamje z białemi minaretami dodają obrazowi malowniczości. Ze wzgórza zamkowego widać doskonale rzucone poprzez Miljačkę mosty, z których jeden latińskim zwany, zapewne z rzymskich pochodzi czasów.

Przy zwiédzaniu miasta należy dać pierwszeństwo staréj części z czasów tureckich, która istotnie ciekawy przedstawia widok. Całą prawie starą część miasta zajmuje tak zwana czarszja, o któréj przy opisie Banjaluki nie wspomniałem, aby teraz szerzéj módz się rozpisać. Czarszja jest dzielnicą handlowo-fabryczną, z małych drewnianych domków złożoną, wąskie, ciasne uliczki przy dużym ruchu ledwie cel swój spełniają. Kramy i warsztaty rzemieślnicze, grupują się w mniejsze całości na podstawie wspólności fachu; tu szewcy wyrabiają noszone powszechnie opanki jakoteż inne wyroby skórzane — obok ciszy uderza silna woń skóry; tam kotlarze sporządzają wszelkie naczynia kuchenne z blachy miedzianéj a ozdobniejsze nawet ze srebrnéj — klepanie i różne dźwięki rozbrzmiewają od rana do wieczora; owdzie zno-

wu stolarze uprawiają swoje pożyteczne rzemiosło, albo handlarze tkanin rozkładają ładny towar przed wzrokiem przechodniów. Stragany z owocami i jarzyną dopełniają całości obrazu. Rzemieślnicy ustawicznie swą pracą zajęci ledwie czas na modlitwę znajdą; gdy przeciwnie kupcy, nie wielkim cieszący się odbytem, używają miłego *dolce far niente*, pędząc żywot leniwy. Z podwiniętemi pod siebie nogami siedzą cały dzień, palą i piją „kafu". Sarajewska czarszja posiada jeszcze jedną osobliwość; jest nią bezistan, to jest coś w rodzaju krytéj hali, bazaru, ciągnącego się od jednéj ulicy do drugiéj tak, że za przejście służyć może. Zapadły od starości w ziemię, daje bezistan schronienie kupcom, handlującym kosztowniejszymi towarami, wymagającymi większego bezpieczeństwa nad to, jakie może zapewnić drewniana, zawsze pożarem zagrożona czarszja. Po uliczkach roi się ustawicznie mnóstwo ludzi, którzy widocznie dużo mają czasu, bo ruchy ich powolne i leniwe. Między tłumem przesuwają się Albańczycy, zalecający krzykiem wschodnie słodycze albo téż chłodzące napoje.

Wśród małych mieszkań ludzkich wznosi się duży, piękny budynek; jestto Begova (czyli szlachecka) dżamja, najładniejsza na półwyspie bałkańskim po carogrodzkich. Przed dżamją wznosi się pod cieniem olbrzymiéj lipy wspaniała studnia monumentalna, do rytualnych obmywań służąca. Wnętrze obszernego i widnego budynku, niedawno właśnie w stylu oryentalnym odnowione, podniosłe na widzu czyni wrażenie. W Begovej dżamii znajduje się pamiątkowy dywan, który kiedyś miał grób Mahometa pokrywać; w 1877 r. przysłano go do Bośni i Hercegowiny, aby wiernych do gorliwszéj walki w obronie islamu pobudzić.

Obok dżamii wznosi się mała kamieniczka, w któréj znajduje się *kurszum medresse* czyli szkoła hodżów (rodzaj mahometańskich kapłanów).

W staréj części znajduje się jeszcze bardzo ciekawa, serbska cerkiew prawosławna i synagoga, wzniesiona przez żydów, przybyłych 1576 r. z Hiszpanii. Żydzi należą do osobliwości Bośni i Hercegowiny. Przywędrowawszy bowiem z Hiszpanii, przyjęli strój miejscowy tak, że zewnętrznie tylko typem twarzy od reszty ludności się różnią. Pomiędzy sobą porozumiewają się zepsutym językiem hiszpańskim, który ich żargon stanowi, z ludnością mówią po chorwacku; języka niemieckiego wcale nie znają, żydami z Austryi przybyłymi gardzą i o swéj wyższości nad nimi mocno są przekonani. Lud nazywa swoich żydów „szpaniolami". Narzekań na tę klasę ludzi jeszcze nie słychać. Z nowych budynków zasługują na uwagę gmach rządu krajowego (styl odrodzenia), nowy magistrat i szkoła szeryatska (obadwa

budynki w stylu maurytańskim), cerkiew prawosławna i kościół katolicki. Największą osobliwością nowego Sarajewa jest bezwątpienia świeżo założone muzeum. Tak dział archeologiczny jak przyrodniczy bardzo są pouczające; ale profana zwiedzającego Bośnię i Hercegowinę najwięcéj zajmuje bezwątpienia bogaty i przepyszny dział etnograficzny, rzeczywiście na podziw zasługujący. Obfity i kompletny zbiór ubrań wszelkich narodowości i stanów kraje okupowane zamieszkujących, daje możność spokojnego i dokładnego poznania potrzeb, wymagań i gustu ludności. Ubrania te nie wiszą w szafach albo na kołkach ale pokrywają manekiny naturalnéj wielkości o kształtach doskonałych i twarzach fotograficznie wiernych. Przytém cały dział etnograficzny znajduje się w kilku pokojach, posiadających oryginalne bośniacko-hercegowińskie podłogi, ściany, sufity i wszystkie wogóle sprzęty. Kostyumy ludowe na tle prawdziwego wnętrza chat i domów mieszkalnych występują daleko plastyczniéj i zyskują niezmiernie na wartości. Słowem, dział etnograficzny muzeum w Sarajewie zasługuje na pilne i sumienne obejrzenie przez turystę, pragnącego charakter zwiédzanych krajów możliwie trafnie pochwycić.

Sarajewo (po turecku Bosna-Saraj) jest świeżego względnie pochodzenia. Osady ludzkie na tém samém miejscu albo w niedalekiém sąsiedztwie u źródeł rzeki Bosny znajdowały się już za czasów rzymskich i w wiekach średnich, kiedy w miejscu Sarajewa wznosił się tylko zamek obronny. Dopiéro zabor turecki świetność miastu spowodował. Nad rozszerzeniem i upiększeniem Sarajewa pracował wiele szesnasty z rzędu pasza Bośni Ghazi-Usrev-Beg (1501 do 1525 i od 1528 do 1539); on to wybudował wspomnianą wyżéj dżamję i medressę, on kazał wznieść bezistan.

Aż do połowy naszego stulecia nie było Sarajewo właściwą stolicą kraju, lecz wolném, oligarchicznie rządzącém się miastem; pasza rezydował, jak już wspomniałem, w Trawniku a przybywszy do Sarajewa nie mógł się w nim zatrzymać dłużéj niż dwakroć po dwadzieścia cztery godziny. Dopiéro w 1872 r. udało się wezyrowi Dżelaleddinowi niezawisłość Sarajewa ukrócić i tam dłuższy czas spędzić. Po powstaniu 1831—32 osiadł w mieście wezyr Kara Mahmud, w 1880 r. zgniótł Omer pasza powstanie i zaprowadził porządek. On to zamienił Sarajewo na stolicę kraju, wskutek czego Trawnik dawne swoje znaczenie stracił i upadać zaczął.

Przy opisie stolicy nasuwają się mimo woli różne uwagi o stanie i ogólném położeniu kraju. Stosunki Bośni i Hercegowiny tak są oryginalne i ciekawe, że niektóre z nich na bliższe poznanie zasługują.

Przyjrzyjmy się naprzykład stosunkom agrarnym i pojęciu własności wogóle.

Własność podzielona jest na pięć kategoryi a mianowicie:

1) cała ziemia uprawna i lasy są własnością państwa a raczéj rządu, który obywatelom udziela tylko prawa używalności powierzchni to znaczy, że posiadaczowi tego prawa wolno powierzchnię swego kawałka ziemi uprawiać, siać i zbierać ale nie wolno mu na własną rękę i swój rachunek eksploatować odkrytych kopalni soli, węgla, nafty, szlachetnych kruszców lub innych kopalni, bo te w całości jedynie i wyłącznie do rządu należą;

2) prywatną własnością jest ziemia pod zabudowaniami znajdująca się, jakoteż należące do nich podwórce, w miejscach ściśle określonych i zamkniętych jak wsi i miasta;

3) drogi i place są własnością publiczną, wszystkim wspólną;

4) fundacye religijne czyli vakufskie należą do funduszu kościelnego;

nareszcie 5) cała ziemia nieuprawna nie jest niczyją własnością, to znaczy, że każdy może przywłaszczyć sobie dowolną ilość takiéj ziemi, uczynić ją uprawną i ciągnąć z niéj zyski. Wtedy atoli przechodzi ona do pierwszéj kategoryi czyli staje się własnością rządu, który prawa używalności udziela.

Dziwaczne te stosunki powstały wskutek tego, że Turcy Bośnię i Hercegowinę zawojowawszy, całą ziemię skonfiskowali i dowolnie nią rozrządzali, ludność zaś w niewolników zmienili. Wówczas to cała szlachta, chcąc majątki i stanowisko społeczne uratować, przyjęła islam; są to właśnie dzisiejsi begowie i agowie. W nagrodę za to dostali od rządu nie tylko ziemię i tytuły, ale prawo pobierania od ludu wiejskiego trzecizny. Należy bowiem wiedziéć, że nie wielka tylko liczba włościan przeszła na mahometanizm; ci zostali wolnymi, uprawiającymi ziemię obywatelami. Ogół, który wiary chrześciańskiéj porzucić nie chciał, mianowicie prawosławni Serbowie i katoliccy Chorwaci, zostali zamienieni w kmetów, wolnych osobiście ale pozbawionych własności. Agowie i begowie osadzili tych kmetów na swojéj roli i kazali im za to trzeciznę płacić a trzecizna to znaczy trzecia część całego zbioru zboża, połowa siana i dziesiąta ogrodowizn. Rządy okupacyjne, nie chcąc szlachty rujnować, uciążliwe te stosunki zatrzymały. Położenie kmeta pogorszyło się jednak znacznie, bo dawniéj istniał stosunek patryarchalny. Pan czyli spahia pomagał kmetom w uprawie roli, pożyczał wołów do orki, dawał zboże na zasiew, nie wybierał ściśle trzeciéj części w razie nieurodzaju; dzisiaj są spahiowie bezwzględni i swego ściśle domagają się a władza do egzekwowa-

nia pomocy udziela. Kmet osobiście nie jest własnością swego pana, poddaństwo nie istnieje, ale co ta swoboda warta przy zależności materyalnéj, każdy, cokolwiek życie znający, sam osądzi. Kmetowie posiadają prawo wieczystéj, dziedzicznéj dzierżawy, samowolnie beg ziemią kmetów rozrządzać nie może, ma on tylko prawo upomniéć leniwego, nie uprawiającego ziemi kmeta a upornego zupełnie wyrzucić i przez innego zastąpić. Kmet może się téż za zgodą spahii wykupić; obecnie rząd przychodzi kmetom w pomoc, pożyczając gotówkę do połowy wartości. Jeżeli beg chce majątek sprzedać, obowiązany jest zaproponować kupno najprzód swoim kmetom a dopiero jeżeli ci przed władzą zeznają, że ofiarowanéj im ziemi kupić nie mogą lub nie chcą, może ją sprzedać komu innemu. Przeciwko bezprawnemu postępowniu bega przysługuje kmetom prawo zażalenia w terminie sześciomiesięcznym. Obok trzecizny nałożono na biedny lud Bośni i Hercegowiny inny jeszcze ogromny ciężar; jest nim dziesięcina, któréj słów parę poświęcić należy. Kiedy zboże dojrzeje, wychodzi na pola odpowiednia komisya i oznacza ilość zboża na łanie na oko. Rozumié się, że przy téj sposobności mogą się dziać i dzieją różne nadużycia tak na szkodę kmetów jak skarbu. Dodać trzeba, że rolnikowi nie wolno zebrać zboża przed oszacowaniem przez komisyę choćby dojrzałe ziarno wysypać się lub zboże skutkiem deszczów zgnić miało; ale oznaczona dziesięcina w każdym wypadku zapłacona być musi. Po oszacowaniu dziesiąte oko zapisuje się na rzecz skarbu. Za czasów tureckich składali włościanie zboże do spichrzów w naturze; obecnie dziesięcina zamienia się na brzęczącą monetę według średnich cen targowych. Ponieważ atoli dziesięcinę trzeba zapłacić w terminie między 1 listopada a 31 grudnia to jest wtedy, kiedy ceny targowe są od średnich zwykle niższe, przeto włościanin musi częstokroć sprzedać nie dziesiątą lecz ósmą albo szóstą część, aby przepisany podatek zapłacić. Można sobie wyobrazić jaki to szalony ciężar dla ludu, ktory jednakże tak oddawna do płacenia dziesięciny przywykł, że Bośnia i Hercegowina zaległości podatkowych nie znają. Nic dziwnego, że przy takim systemie, ludność krajów okupowanych nie tylko nie podnosi się ekonomicznie ale nawet upada. Dziesięcina wytworzyła nawet osobną kategoryę występków, zajmującą w statystyce kryminalnéj trzecie miejsce.

Na pierwszém miejscu znajduje się krzywoprzysięstwo i to nie dla tego, żeby lud był tak niemoralny ale po prostu dla tego, że skłamać przed Szwabą, to wcale nie grzech (Szwabą lud nazywa każdego przybysza inaczéj niż oni ubranego). Drugie miejsce zajmują kradzieże przeważnie przez cyganów popełniane.

Trzecie usiłowane albo dokonane przekupstwo taksatorów podatkowych.

Czwarte w końcu — ciężkie obrażenia ciała, które umożliwia noszenie krótkich ale ostrych noży. Wogóle całość stosunków sądowych ciekawy przedstawia obraz. W adwokaturze istnieje *numerus clausus*, w procesach procedura ustna. Kodeks kryminalny, handlowy, wekslowy i t. d. są już uporządkowane, ale kodeks cywilny istnieje tylko w języku tureckim i dopiéro przekłada się w rządzie krajowym na język chorwacki oraz niemiecki. Ponieważ zaś sprawy cywilne są najliczniejsze a przy nich sądy domyślnością kierować muszą się, przeto wymiar sprawiedliwości wiele pozostawia do życzenia. W dodatku jeszcze obok zwyczajnych sądów w pojęciu europejskiém, istnieją sądy czysto mahometańskie tak zwane szeriatskie, złożone z kadjów, do kompetencyi których należą wszystkie sprawy bliższy związek z koranem mające a więc sprawy familijne, małżeńskie, rozwodowe i spadkowe do wręczenia spadku włącznie. Instytucya ta, będąca koncesyą na rzecz ludności mahometańskiéj, zniewala adwokatów do uczenia się obcych im zresztą przepisów koranu.

Aby nie nużyć, wiele szczegółów pominąłem, opracowawszy zresztą ten temat obszerniéj osobno, ale główny charakter położenia Bośni i Hercegowiny z przytoczonych stosunków poznać i ocenić można. Smutno przyznać, że ludność ekonomicznie nic nie zyskała na zmianie zwierzchnika a czy w innych kierunkach zyskała wiele, niech powszechna bieda, ciemnota i nienawiść do nowych rządów odpowiedzą. Bliższe wejrzenie w położenie krajów okupowanych pobudza umysł do smutnych refleksyi na temat korzyści, jakie daje opieka rządów chrześciańskich, które wielki odłam Słowiańszczyzny z pod zaboru tureckiego uwolniły.

III.

W piękną pogodę wybrałem się pod wieczór piechotą ze Sarajewa do Ilidża, odległego zaledwie o trzynaście kilometrów drogi. Jestto zakład kąpielowy, posiadający obfite i mocne źródła siarczane. Dla informacyi tych, którzy zdrowie swoje poratować potrzebują i mogą, pomieszczam parę słów o Ilidżu: zwierciadło ciepłego źródła leży według najnowszych pomiarów 499 m. nad morzem Adryatyckiém pod 43° 49½′ półn. szerokości i 35° 58½′ na wschód od Ferro. Teren ciepłych źródeł zajmuje blizko 20 hektarów i odznacza się białym, krystalicznym osadem, który z wody się wydzielił. Osad składa się ze szpatu wapiennego i aragonitu a dochodzi gdzie niegdzie grubości siedmiu metrów. Gdziekolwiek osad zostanie przebity występuje ciepła

woda, która niewątpliwie różnemi czasy w różnych miejscach terenu pokazywać się musiała. Kiedy osad zatkał jeden lub drugi otwór woda robiła sobie gdzie indziéj nowe. Obecnie wydobywa się woda do celów leczniczych potrzebna z szybu przy pomocy pompy.

Historya Ilidża, dawne dzieje tych term nie wiele są znane. Wypadkowe odkrycie, które się przed kilku laty wydarzyło, świadczy, że Rzymianie już nie tylko źródła siarczane znali ale ich nawet w celach leczniczych używali. Przy zdejmowaniu osadu wodnego znaleziono zupełnie dobrze zachowaną monetę; byłto rzymski *ass* z czasów cesarza Antonina Piusa (138 do 161 po Chr.) Wiadomo, że Rzymianie po skończonéj kuracyi wodnéj zwykli byli wrzucać w źródło monety, a zwyczaj ten zachowali bośniaccy mahometanie po dzień dzisiejszy.

Pierwsze rozbiory chemiczne i badania naukowe wogóle rozpoczęto w 1886 r. i znaleziono pomiędzy innemi, że woda o temperaturze 51° C. posiada silny zapach siarkowodoru. W 1893 r. wywiercono świeży otwór, z którego potężne wybuchnęło źródło; w ciągu dwudziestu czterech godzin dostarczało 13,800 hektolitrów wody o temperaturze 58° C. i tym samym, co reszta, składzie chemicznym. — Poprzednio było źródło i zabudowania kąpielowe wysoce zaniedbane; dzisiaj założono wkoło źródeł park zajmujący powierzchnię 15½ hektara. Troskliwość o rozwój zakładu widać na każdym kroku. Hotele, restauracye, łazienki jakotéż inne zabudowania zakładowe przedstawiają się bardzo ładnie i zachęcająco. Park starannie utrzymywany może do łagodnych i nie nużących służyć spacerów. Zakład znajduje się na płaszczyźnie zdala od otaczających wzgórz i lasów. Dalsze spacery uprzystępniono bawiącym tu kuracyuszom; bezpośrednio z parku prowadzi 3½ kilom. długa droga do malowniczo położonych źródeł Bosny u stóp lesistego Igmanu; inna, cztery kilometry licząca droga prowadzi do mahometańskiéj wsi Hrasnicy.

Kąpiele Ilidża okazały się, według dzisiejszych doświadczeń, skuteczne w następujących chorobach: reumatyzm, artretyzm i jego następstwa, newralgia, rachitis, syphilis, choroby kości i choroby kobiece. Według poświęconéj opisowi miejscowości broszury, klimat Ilidża przedstawia się tak:

„Ilidże, wzniesione 500 m. nad poziom morza Adryatyckiego, posiada wybitnie zdrowy klimat, umiarkowany. Położenie zakładu w pobliżu gór sprawia, że letnie upały łagodzi nieco ożywcze powiewietrze górskie. Zwykle temperatura jest łagodna, a więc dia chorych wszelkich kategoryi odpowiednia. Burze i szkodliwe zmiany pogody występują bardzo rzadko. Wiatry powstrzymują poblizkie łańcuchy górskie. Powietrze zawsze wolne od kurzu. Po deszczu wy-

sychają drogi i miejsca spacerowe bardzo szybko. Lasy sąsiedniego Igmanu wpływają dodatnio na temperaturę i wilgotność powietrza".

„Według powyższych danych jest Ilidże w całém tego słowa znaczeniu dobrodziejstwem dla chorych nerwowych, neurastenicznych i reumatycznych".

Umyślnie zatrzymałem się nieco dłużéj nad opisem całkiem nieznanéj u nas miejscowości kąpielowéj w nadziei, że nasi kuracyusze zamiast jeździć do niemieckich badów i tam piéniądze zostawiać, zechcą zwrócić uwagę na słowiańskie termy, które ich równie dobrze wyleczyć mogą. Po wygodnym noclegu na stacyi kolejowéj u gościnnego jéj naczelnika-polaka, pojechałem na drugi dzień koleją żelazną do stacyi Tarčin, gdzie wysiadłem a daléj poszedłem piechotą, gdyż zachciało mi się koniecznie przejść przez górę Ivan 1010 m. wysoką. Okazało się atoli, że zrobiłem źle, bo mogłem śmiało jechać jeszcze do stacyi Kastelicy i tam dopiéro wysiąść, gdyż właściwie pod Kastelicą poczyna się droga od toru kolejowego oddalać i piąć w górę. Dzień był pogodny i ciepły, wzniesienie Ivana dosyć nagłe, zmęczyłem się więc porządnie na to, aby do silnego przyjść przekonania, że droga stanowczo trudu nie warta. Każdemu, ktoby tę samą drogę zrobić zechciał, radzę serdecznie jechać z Ilidża prosto do Bradiny, tam wysiąść i puścić się już w dół piechotą aż do miasta Konjicy. Szosa wyborna i równa prowadzi ustawicznie w dół głębokim jarem, na którego dnie płynie spory strumień już to przeciskając się przez wąskie szczeliny skalne, już téż tworząc wodospady i kaskady, albo miejscami zupełnie płynąc spokojnie. Po jednéj stronie jaru biegnie szosa, po drugiéj przemyka szybko i zwinnie koléj żelazna, która wijąc się i kręcąc przewierca liczne dłuższe lub krótsze tunele. Kilka godzin pięknéj, prawdziwie malowniczéj drogi doprowadza wędrowca do prześlicznie położonego miasta Konjicy, któréj otoczenie jest najponętniejsze i najbardziéj romantyczne ze wszystkich, jakie w drodze poznać miałem sposobność. Na piérwszy rzut oka widzi się, że opuściliśmy Bośnię a weszli na ziemię hercegowińską. Dziwne to doprawdy, że te dwa kraje tak małe, tak sobie geograficznie bliskie, przez jeden i ten sam lud zamieszkałe, tak bardzo pod każdym względem się różnią. Uderzające, charakterystyczne rysy występują w kilka godzin po przejściu z jednego kraju do drugiego. Przedewszystkiém ogólne wejrzenie krajobrazu jest odmienne; kiedy góry Bośni na ogół biorąc są niższe, lasem lub polami pokryte, Hercegowina posiada wysokie, nagie, bezleśne szczyty. Kiedy Bośnia jest drewniana (to znaczy wsi i miasta), Hercegowina cała z kamienia wzniesiona. Przyczyną tego faktu jest nie tyle brak drzewa a obfitość kamienia, ile raczéj nieubłagane a do-

kuczliwe warunki klimatyczne. Hercegowina posiada jeden wiatr ciepły, duszący t. z. *sirocco* a drugi zimny, mrożący, *borę*, któréj gwałtowność tak jest wielka, że żaden drewniany budynek przed nią się nie ostoi. Z téj przyczyny wszystkie wsi i miasta hercegowińskie wzniesione są z kamienia, wskutek czego dziwny przedstawiają widok. Ponieważ powierzchnia kraju prawie zupełnie jest naga, przeto ogólne wrażenie, jakie wapienny Karst sprawia, da się określić przez kolor brudno szary. Na tém nie wesołém tle wznoszą się domy téż z wapienia pobudowane a więc równie szare i smutne. Cały tedy obraz jednostajny jest i nic oka nie rozwesela. Przytém domy o dachach prawie płaskich posiadają w miastach okna niemal zawsze na podwórza zwrócone, wskutek czego ulice jedyny w swoim rodzaju przedstawiają widok. Idzie się jakby w pośrodku dwóch murów gdzie niegdzie małemi drzwiczkami przerwanych.

Obok wejrzenia kraju i siedzib ludzkich, sami ludzie téż zupełnie inny typ w obydwóch krajach przedstawiają. Bośniacy są przeważnie wzrostu mniejszego niż średni; duże głowy powiększają wielkie zawoje z czerwonéj materyi, miedziane prawie twarze o rysach ściągłych ale łagodnych, czysto słowiański mają wyraz. Nosy wydatne orle opuszczają się na wąskie usta i wargi, ocienione dużymi szumiastymi wąsami, a broda stale jest zgolona; siwe z poczciwym wyrazem oko osadzone jest głęboko w czaszce; włosy blond dopełniają obrazu. Rozwarta na piersiach koszula odkrywa ciało od słońca i wiatru na czerwony kolor zabarwione.

Lud w Hercegowinie jest wysoki, smukły, o czarnych włosach i oczach małych, w głąb czaszki nie zapadłych; głowę pokrywa mała czapeczka, ledwie na wierzcholku trzymająca się, tasiemką pod brodę przywiązana. Na twarzach o rysach nie zbyt ostrych maluje się junakierya i wolne życie górala.

Wszystkie te różnice między dwoma tak bardzo pokrewnemi sobie krajami widzi się na samym wstępie do miasta Konjicy, dokąd przyszedłem wieczorem. Miasto małe, ale czyste, leży nad wartko płynącą Neretwą, przez którą kilka przechodzi mostów. Jeden z nich, łukowy, został według chrześcian wybudowany przez króla Hvalimira (koniec VII w.), według Turków zaś (i to słuszniéj) przez wielkiego wezyra pochodzenia bośniackiego, Achmeda Sokolovića (1715 po Chr.) Obok tego ciekawego mostu posiada jeszcze Konjica wspaniałe położenie. Wokoło widnieją wysokie, śniegiem pokryte szczyty.

Ongi w średnich wiekach posiadała Konjica pewne znaczenie jako ważne miasto graniczne między Bośnią a hrabstwem Chlum, późniejszą Hercegowiną. Nawet układy między obudwoma krajami tutaj

zawierano a według tradycyi miejscowéj odbywały się tu także posiedzenia sejmu bośniackiego. Pamięć tego wiąże się zapewne z sejmem roku 1446, ważnym z powodu swych uchwał przeciwko Bogmilom. Czterdzieści tysięcy wyznawców téj potężnéj i mocno prześladowanéj sekty wyemigrowało do Hercegowiny, gdzie byli przez wojewodów tolerowani. Dziwnie długo istniała ta sekta bośniackich Albigensów, bo jakoby dopiéro przed kilku laty miała wygasnąć.

Przenocowawszy poszedłem piechotą ku Jablanicy; zapowiadano mi ładną drogę a że pogoda sprzyjała, więc nie czekając na kolej pomknąłem *per pedes*. Szosa biegnie ustawicznie doliną Neretwy, która co prawda aż do stacyi kolejowéj Ramy nic tak nadzwyczaj osobliwego nie przedstawia, Można więc z Konjicy podjechać do Ramy i stamtąd dopiéro piechotą się wybrać. Po trzech godzinach drogi zaczął niestety padać dészcz, psując mi przyjemny zapewne w innych warunkach spacer. Mimo wszystko odniosłem jednak pewną korzyść, którąbym jadąc koleją oczywista utracił. Byłto pierwszy dzień świąt Wielkanocnych według wschodniego kalendarza. Spotykałem więc po drodze mnóstwo odświętnie przystrojonego ludu, który z domów do cerkwi śpieszył. To dało mi sposobność przyjrzéć się ludziom i strojom. Świąteczny ubiór mężczyzn nie wiele się od codziennego różni. Za to kobiéty, zwłaszcza dziewczęta, w całéj wystąpiły okazałości, polegającéj nie tyle, zdaje się, na jakości materyału, z którego suknie były zrobione, ile raczéj na wielkiéj ilości srebrnych ozdób gęsto nawieszanych. Obejmujący kibić pas spina srebrna, ładnie ryta klamra; na białéj koszuli zwisa piękny, bogaty naszyjnik, złożony z kilku sznurów srebrnych monet. Kosztowne dyademy, podpięte pod brodę, zdobią ładne, jasne głowy a wszystkie palce u obydwóch rąk pokryte pierścieniami. Strój to nie tylko bogaty ale gustowny i malowniczy.

Obok tego inna jeszcze uderzyła mnie osobliwość, któréj kilka słów poświęcić należy. Osobliwością tą jest tatuowanie się, o którém dr. Glück, obwodowy lekarz w Sarajewie, ciekawe zebrał dane.

„Wmieszawszy się, powiada autor, w niedzielę lub inny dzień świąteczny po mszy przed wejściem do kościoła katolickiego między przybyłych z okolicy pobożnych włościan, można zrobić uderzające spostrzeżenie, że prawie każda dorosła dziewczyna i każda włościanka jest na piersiach, ramieniu, przedramieniu, na rękach zazwyczaj aż do palców a w rzadkich wypadkach także na czole t a t u o w a n a".

Zasadniczy typ tego tatuowania stanowi krzyż, objęty różnéj wielkości girlandami, gałązkami oraz innemi ozdobami.

Zjawisko to jest tém bardziéj uderzające, że o wiele rzadziéj spotyka się je u kobiet innych wyznań tego samego kraju. Mahometanki

nie tatuują się wcale a u prawosławnych kobiety tatuują się znacznie rzadziéj niż u katolików i to po największéj części w okolicach, gdzie jedni z drugimi są pomieszani; ich tatuowania nie są tak rozległe i nie przedstawiają tak wielkiéj rozmaitości jak u katoliczek.

Mężczyzni tatuują się daleko rzadziéj niż kobiéty i to przeważnie katolicy.

U nich także ramie i przedramie są miejscami najchętniéj na te operacye przeznaczane. U mężczyzn krzyż jest również najważniejszym znakiem, przy tatuowaniu używanym; tylko że nie jest on tak bogato innemi ozdobami przystrajany.

Między prawosławnymi spotyka się tatuowanie tylko u młodszych mężczyzn, którzy w bośniackiéj żandarmeryi albo téż w wojsku służyli. U nich jednakże nie krzyż odgrywa główną rolę; częściéj spotyka się serce i koronę, kotwicę, początkowe litery imienia i nazwiska tatuowanego, nareszcie liczbę oznaczającą rok, w którym operacya się odbyła. U Mahometan spotyka się tatuowanie bez porównania rzadziéj i to jedynie u tych, którzy w państwie otomańskiém albo wogóle poza granicami swego kraju pełnili regularną służbę wojskową. U takich widzimy na przedramieniu krzywą szablę turecką albo gwiazdę z półksiężycem. Są to jednak bardzo rzadkie wyjątki.

O pochodzeniu i celu tatuowania wśród mieszkańców Bośni i Hercegowiny można różne stawiać hypotezy; jedna z nich, bardzo prawdopodobna, tak się mniéj więcéj przedstawia:

Tatuowanie nie było zwyczajem u dawnych Słowian, chociaż kobiety nie gardziły zapewne środkami upiększania się a przypuszczenie, że jestto zmieniona w swój formie pozostałość z czasów przedchrześciańskich, nie znajduje poparcia w zapiskach historycznych; zwyczaju tego nie spotyka się zresztą u innych narodów słowiańskich poza Bośnią i Hercegowiną nawet u ludności wiejskiéj. Trzeba więc odnieść powstanie tego zwyczaju do epoki zaboru tureckiego. Za tém przemawia już ta okoliczność, że tatuowanie znajdujemy tylko u jednéj części tak podobnéj, mimo różnic wyznaniowych, w obyczajach i zwyczajach ludności. Gdyby tatuowanie było dawnym zwyczajem krajowym, posiadałoby niezawodnie swoją nazwę; tymczasem lud nazywa czynność tatuowania „Kriż nabocati", co o poźniejszém powstaniu zwyczaju dowodnie świadczy.

Jeżeli więc tatuowanie nie jest zwyczajem ogólno-słowiańskim ani też powszechnie w Bośni i Hercegowinie używanym, zachodzi pytanie, kiedy i w jakim celu powstało, dlaczego jedynie u katolików się rozpowszechniło.

W ostatnich latach królestwa bośniackiego była wprawdzie sekta patarenów pozornie przez katolicyzm zwyciężona, lecz tenże nie zdołał jeszcze wejść w krew ludności. Sekta owa trwała w Bośni za długo, stanowiła zbyt długo wyznanie wiary możnych i maluczkich, aby mogła z pamięci i serca ludności tak szybko ustąpić. Wielu przyjęło katolicyzm tylko powierzchownie i niechętnie, pozostając w sercu wiernymi staréj „bośniackiéj” wierze.

Kiedy Osmanie półwysep bałkański zaleli, w żadnym kraju ludność tak chętnie i masowo islamu nie przyjmowała, jak właśnie w Bośni i Hercegowinie.

Rozumié się więc samo przez się, że duchowieństwo katolickie wszelkich możliwych używało środków, aby tylko dalszemu odstępstwu tamę położyć.

Ponieważ islam krzyża jako symbolu chrześciaństwa nie toleruje, musiało wpaść na myśl księżom, aby utrudnić przyjmowanie wiary mahometańskiéj przez pomieszczenie tego symbolu na jakiémś widocznem miejscu ciała.

Skoro więc tatuowany katolik chciał wiarę zmienić, musiał przedewszystkiém usunąć krzyż ze swéj skóry, co przedstawiało jednak mocno bolesnę procedurę, gdyż trzeba było zniszczyć skórę aż do głębszych warstw sięgając. Ponieważ atoli znoszenie takich cierpień nie każdemu do gustu przypada, przeto musiał niejeden z obawy cofnąć się przed stanowczym krokiem. Jeżeli zaś mimo wszystko zdecydował się ktoś religię zmienić, to wyraźna i rozległa blizna, pozostała po zniszczeniu tatuowania, piętnowała go jako odstępcę.

Do pewnego stopnia popiera tę całą hipotezę zwyczaj tatuowania się w niedziele i święta po mszy i w pobliżu kościołów.

Ponieważ powszechnie używana metoda tatuowania jakotéż stosowane przy niém barwniki różnią się od spotykanych gdzie indziéj w Europie, przeto dla pełności obrazu nieco o sposobie przyrządzania farb, jakotéż o metodzie wykonywania nakłuwań wspomnieć należy.

W pośród marynarzy, żołnierzy, robotników i t. d. nawet najbardziéj cywilizowanych narodów panuje jak wiadomo szpetny zwyczaj tatuowania. „Atramenty” sporządza się z roztworów karminu, cynobru, indiga, proszku węglowego albo téż prochu strzelniczego. Skórę mającego się wytatuować miejsca napina się, pożądany rysunek wykłuwa cienką szpilką przez gęste obok siebie uszeregowane ukłucia, poczém wciera się barwik w otwory i zakłada w końcu opaskę. W pewnych okolicach proceder jest krótszy, gdyż wykłuwa się rysunek zanurzoną w barwniku szpilką.

W Bośni sporządza się atramenty odmiennie, a mianowicie albo ze sadzy z drzewa sosnowego, albo téż ze zwyczajnéj sadzy, albo wreszcie w rzadkich wypadkach z prochu strzelniczego.

Zapala się trzaskę drzewa smolnego i zbiera do „findżanu" (nazwa małéj filiżaneczki do kawy) ściekającą żywicę, do któréj dodaje się równocześnie zbieraną podczas palenia się trzaski na blaszanéj płytce sadzę. Czarną tą pastą robi się na skórze, poprzednio w odpowiedniém miejscu napiętą, ostro zakończonym patyczkiem drewnianym dowolny rysunek, który następnie wykłuwa się aż do końca prawie w nitkę obwiniętą szpilką. Nakłucia robi się oczywista gęsto, jedno obok drugiego. Potém obwiązuje się wytatuowane miejsce, a po trzech dniach obmywa.

„Atrament" sadzowy robi się w taki sposób: nad płomieniem świécy, albo też kopcącym płomieniem naftowym, trzyma się płytkę blaszaną, na któréj zbiera się sadza, a tę z odrobiną wody się miesza i podobnie jak poprzednią zastosowuje. Prochu strzelniczego używa się niewiele.

Ponieważ w Bośni przyrządza się jedynie czarne atramenty do tatuowania, przeto są one jednobarwne, a mianowicie sino-niebieskie.

Przyczyny, które tatuowanie spowodowały, nie istnieją już wprawdzie, ale właściwy człowiekowi popęd naśladowczy i konserwatyzm, sprawiają, że oszpecanie ciała przez tatuowanie, długo jeszcze u katolickiéj ludności Bośni i Hercegowiny utrzymywać się będzie.

W miarę oddalania się od wsi, coraz mniéj spotykałem ludzi i w coraz pustszą wchodziłem okolicę. Dészcz nietylko nie zmniejszał się, lecz owszem jeszcze powiększał, a szkoda, bo od stacyi Ramy począwszy, dolina Neretwy nagle zwęża się w wąwóz, Pieniny przypominający, tylko dzikszy i o brzegach po obudwu stronach stromo wzniesionych. Co chwila odkrywają się przed okiem turysty nowe załomy i zakręty, o które bystra woda rozbija się z szumem. Przy wzmożonéj pracy płuc chciwie wdychałem rozkoszne zapachy wiosny, nieokreślone a ożywcze wonie świeżéj zieloności i ostre ale rzeźwiące powiewy górskie, co wszystko przypominało ulubione Tatry. Stąd mimo zmoczenia, zmęczenia i błota, dobry miałem humor, bo wskutek skojarzenia pojęć, wiele miłych obudziło się wspomnień. Szybkim krokiem doszedłem do Jablanicy, skąd już daléj pojechałem koleją żelazną, choć w planie było dojście piechotą aż do Mostaru. Zmiany postanowienia nie żałowałem wcale, gdyż chcąc iść piechotą, musiałbym nocować i dopiéro następnego dnia wyruszyć, koleją zaś mogłem jechać zaraz, a właśnie to pół dnia było pogodne, gdy nazajutrz prześladował mnie w Mostarze znowu dészcz. A przytém droga tak jest

oryginalna i ciekawa, że odbyłem ją koleją z prawdziwém zadowoleniem. Proszę sobie bowiem wyobrazić potężny wąwóz o niebotycznych skalistych ścianach wapiennych, nagich, szarych, ponurych, najfantastyczniejsze przedstawiających kształty. Tu pionowa ściana dla żadnéj żywéj istoty niedostępna, tam wyskakująca śmiało baszta, owdzie jakaś wieża nad straszną przepaścią zwieszona. Fantazya unosi turystę w czasy, kiedy te przez przyrodę wzniesione zamki, służyły za fortece obronne wojowniczym, bohaterskim Hercegowińcom. Tor kolejowy biegnie jedném zboczem wąwozu, a szosa drugiém. Ponieważ spadek jest znaczny, bo sześćdziesiąt metrów na tysiąc, więc pociąg mknie z szybkością kuryera, przelatując przez krótsze lub dłuższe tunele, korytarze skalne i mosty, kręcąc się i wijąc jak wąż oślizły a zwinny, jak gad o stu parach nóg. Pociąg robi tak nagłe i silne skręty, że znajdując się w środku, nie zawsze widzi się początek i koniec pociągu. A już drogi nie widać stanowczo, jest się bowiem z przodu i z tyłu zamkniętym. Oko stara się odgadnąć, kędy droga prowadzi, ale jestto niemożliwe, bo koléj za szybko się posuwa. Przy każdym skręcie, ku wodzie zwróconym, doznaje się wrażenia, jak gdyby wagon siłą odśrodkową pędzony, do rzeki miał się stoczyć. Stojący w oknie wychyla się i mimowoli cofa się w głąb. A teren jest niezmiernie wązki tak, że najmniejsze wykolejenie straszną katastrofę sprowadzićby musiało. Turysta spojrzawszy poza siebie, doznaje pewnéj ulgi i pociechy; droga robi takie wrażenie, jakby nią ostatni raz przejechać miano, a potém postanowiono nie narażać się więcéj na śmierć niechybną. Wrażenie to podnosi szybki pęd pociągu, jakby od nieszczęścia uciekającego. Są to bez kwestyi wrażenia silne i turystę zadowalniające, ale nerwowi podobno przez okno wcale wyzierać nie mogą. Ciszę dzikiego wąwozu przerywa kiedy niekiedy świst zadyszanéj lokomotywy, któ́ry setne powtarzają echa. Droga przebiega kilka niezmiernie pięknych okolic, z których najwięcéj uwagi godném jest źródło Komadiny; z pod łuków przerzuconego mostu wypływają z ziemi dwa odrazu potężne strumienie, które w śmiałéj, spienionéj kaskadzie wpadają do Neretwy. W inném znowu miejscu przykuwa do siebie wzrok podróżnika mały, ale silnie niebieską barwą uderzający dopływ. Nareszcie syci wstrząsających wrażeń i osobliwych widoków, opuszczamy przepyszny wąwóz Neretwy, a jadąc ciągle nad jéj brzegami, zbliżamy się do Mostaru. Południe Europy wysyła już tu swe zwiastuny. Widać już drzewa figowe, migdałowe, brzoskwinie, granaty, plantacye tytoniu i uprawę winnéj latorośli. Mostar, posiadający w zupełności opisany charakter miast hercegowińskich, cieszy się obok tego jeszcze temperaturą Kairu, moskitami, *sirocc'em*, *borą* i tym podobnemi przyjemnościami.

Wysiadłszy z pociągu, pozwoliłem się zawieźć do rządowego hotelu „Narenta", gdzie wygodny i tani dostałem nocleg.

Jedyną ale za to wielką osobliwością miasta jest stary most, od którego też według podania nazwa miejscowości Mostar pochodzi. Stary most w mieście Mostarze uchodzi słusznie za najcenniejszą budowlę Hercegowiny i dlatego często zajmuje sobą wyobraźnię ludu. Kto „edeński ogród" (tak słynny poeta Derwisz-Pasza nazywa Mostar, swe rodzinne miasto) odwiedzi i most po raz pierwszy zobaczy, zachwyci się śmiałém sklepieniem łuku; kto po raz pierwszy swój wzrok z mostu spuści, tego strach przejmie na widok płynącéj głęboko pod nim Neretwy.

Powstanie mostu różnie przez lud bywa objaśniane. Niektórzy opowiadają, że za czasów panowania rzymskiego w miejscu dzisiejszego kamiennego, drewniany most egzystował, dla obrony którego obustronnie wieże mostowe zbudowano; mają to być te same wieże, które — aczkolwiek uszkodzone — do dziś dnia istnieją. Inni twierdzą, że most został zbudowany po zwyciężeniu dumnéj Hercegowiny przez sułtana Sulejmana II (1496—1566) w 974 r. Hedżry. Dowodem tego ma być arabski napis, na środku łuku znajdujący się, który opiewa: *kudret kemeri*, co znaczy „łuk wszechmocy boskiéj."

Według zwyczaju arabskiego, ma ten napis po zliczeniu wartości liczbowéj pojedynczych liter, utworzyć rok zbudowania mostu; w tym wypadku otrzymamy 974 (1566) jako rok szukany.

Bardzo rozpowszechniona wersya powiada, że most razem z wieżami, pochodzi z czasów Isa-Pejgambera (Jesusa, proroka), i że jest dziełem starych Rzymian. Wspomniany wyżéj Derwisz-Pasza w poemacie, opisującym Mostar, miasto i most, tak opiewa: „Bezprzykładnéj piękności Mostaru nie można piórem opisać! O serce! nie dziw się, jeżeli cię Mostar oczarował. Nie znajduję nigdzie na całym świecie — oprócz raju — tak balsamicznego powietrza, które serce rozpiera, i takiéj wody, która życie przedłuża. Kto Mostar odwiédza, ten budzi się co chwila do nowego życia! Każdy kątek Mostaru napełnia serce nową radością, swemi wodami i drzewami owocowemi może się równać z Palestyną. Każdy ogródek Mostaru jest edenem. Most ze swemi staremi wieżami równa się sklepieniu nieba, po którém gwiazdki odbywają swoje drogi. Ale nawet sklepienie niebieskie nie może się z nim równać, gdyż nawet jego wielkość jest niczém wobec wspaniałości łuku mostowego. I choćbyś cały świat przeszukał, nie znalazłbyś nigdzie takiego świata, jak w Mostarze, tym warsztacie wszystkich sztuk i umiejętności. Z Mostaru wychodzą potężni bohaterowie miecza i pióra, tak przedtém jak i teraz. Wobec mnie muszą zamilknąć indyjskie papugi, bo jestem słowikiem, opiewającym Mostar."

Tak sławił Derwisz-Pasza miasto i jego stary most; lecz ani w tém miejscu, ani gdzieindziéj o budowniczym nic nie wspomina.

Derwisz-Pasza był w 1004 roku Hedżry wezyrem Bośni. Ponieważ zaś data, wynikająca z napisu, wskazuje rok 974, przeto most byłby wzniesiony zaledwie na 30 lat przed rządami Derwisza-Paszy.

Nie można jednakże przypuścić, aby Derwisz-Pasza nie wiedział, kto był twórcą mostu; data napisu zdaje się więc nie być datą wzniesienia mostu, którego osobliwość na tém polega, że jeden jedyny łuk o rozpiętości 27.34 m. łączy ze sobą brzegi 38.5 m. szerokiéj rzeki. Łuk mostu tak jest ostry, że wierzchołek jego wznosi się 19 m. nad poziom wody. Dzisiejsi inżynierowie nie mogą rozwiązać zagadki wybudowania tego osobliwego mostu, jakoteż jego trwania w dobrym względnie stanie przez kilka wieków do dziś dnia. Że i u ludu budowa ta za szczególną uchodzi, dowodzi następujące podanie: „Pod wsią Podporim, na staréj drodze Mostar-Konjica, znajduje się kamienne koryto zdala od jakiejkolwiek płynącéj wody albo studni. Otóż według wiary ludowéj, budowniczy mostu poręczył swoją głową za powodzenie wielkiego przedsięwzięcia. Kiedy łuk został już ukończony, a podpór jeszcze nie usunięto, uciekł budowniczy do wsi Podporim i tu oczekiwał wiadomości, czy sklepienie po usunięciu rusztowania utrzymało się, czy też zapadło. W podnieceniu i niepokoju obrabiał młotem tak długo kawał kamienia, aż wykuł z niego koryto. Zbierającą się w niém wodę deszczową uważa lud po dziś dzień za środek uzdrawiający.

Ciemno jeszcze było, kiedy opuściłem łoże, w celu udania się na dworzec kolei żelaznéj, którąby mnie do Metković dowiozła. Razem ze mną wsiadło do pociągu trzech Franciszkanów, którzy oryginalny przedstawiali widok. Trzeba bowiem wiedzieć, że Turcy nie tolerowali wcale świeckich księży katolickich, a ze wszystkich zakonów dopuścili jedynie Franciszkanów, którzy też sprawowali i do dziś dnia pełnią wszystkie funkcye nieistniejącego kleru świeckiego. Ponieważ przed okupacyą niejednokrotnie zdarzała się konieczność ukrycia swéj duchownéj godności, przeto Franciszkanie w Bośni i Hercegowinie golą brody, ale zapuszczają potężne wąsy i noszą do dziś dnia tureckie fezy, dziwnie przy habitach odbijające. Są to ludzie małego wykształcenia, tak, że wpływ ich na lud był i jest ujemny.

Pociąg wiózł nas wzdłuż brzegów Neretwy, krajem skalistym, pustym, smutnym; w całéj drodze jedną tylko ale dobrą spotyka się osobliwość. Jest nią małe miasteczko Počitelj, które jedyny w swoim rodzaju przedstawia widok. W płytkiém zagłębieniu skalistego stoku umieszczone, z trzech stron murem kamiennym otoczone, z czwartéj

do saméj dochodzi Neretwy. Domostwa z kamienia zbudowane, szare są i z gruntem w jedną zlewają się barwę. Na samym środku wznosi się mahometańska dżamja, przez wyniosły cyprys strzeżona. Całość wygląda zdaleka jak zabawka dziecinna, tymczasem pamiątka to dawnych czasów, gniazdo rozbójników i korsarzy. Koryto Neretwy rozszerza się coraz bardziéj i pogłębia, tak, że od Metkovič już parowce kursować mogą. Prosto z pociągu przesiadłem na mały, lichy i niewygodny parowiec, na którym niestety cały dzień spędzić musiałem. Początkowo płynie się przez uregulowany *Canale di Narenta*, a potém kanałem pomiędzy brzegami Dalmacyi i szeregiem drobnych, skalistych wysp. Monotonny krajobraz nie zmienia się, aż do Raguzy, a potém nie opuszcza turysty przez cały ciąg podróży z Raguzy do Tryestu; stoki Dalmacyi są na swéj całéj długości jednostajne. Brzegi wyniosłe, skaliste, wapienne, słońcem południowém spalone, pokrywają niekończące się gaje oliwkowe, które smutny przedstawiają widok, oliwka bowiem jest drzewem karłowatém o liściach barwy szaro-zielonéj. Przytém oliwki nie rosną tak blizko siebie, aby wrażenie jednolite czyniły; przeciwnie, rzadko rozmieszczone, pozwalają dojrzéć porosły przez się grunt. Można więc sobie wyobrazić, że szaro-zielone oliwki na brudno-białém tle wapiennego Karstu, wcale malowniczego obrazu tworzyć nie mogą. Wogóle cała roślinność południowa, występująca w Raguzie w pełnéj sile, nic nie przedstawia osobliwego. Czarny prawie cyprys, ten symbol spokoju i śmierci, ciemny oleander, woskowy laur, mirty, rozmaryny, pinje, tuje, pomarańcze, cytryny, figi, migdały, maraski, martwe aloesy, wszystko to, oprócz wyniosłéj pinji, dosyć nizkie, przysadziste rośliny, pozbawione żywéj, cieszącéj oko zieloności.

Gdy w dodatku parowiec ustawicznie w różnych małych miejscowościach zatrzymywał się, znudzony i znużony, szybkiego zawinięcia do portu pragnąłem. O 7-méj wieczorem zarzuciliśmy kotwicę w Gravosie, o trzy kilometry od Raguzy oddalonym porcie. Ponieważ musiałem całe trzy dni czekać na parowiec do Tryestu, przeto miałem dosyć czasu na obejrzenie Raguzy (po chorwacku Dubrovnik), miasta pod każdym względem wysoce ciekawego. Gdy jednak nie leży ono ani w Bośni, ani w Hercegowinie, przeto opisywać go bliżéj nie będę. Drugiego dnia wybrałem się z Raguzy do Trebinje w Hercegowinie; droga w tamtą stronę nie jest wcale zajmująca, powrót zaś pod sam koniec o tyle jest ciekawy, że odrazu prawie odkrywa się rozległy widok na Adryatyk, którym rozkoszowałem się do syta. Jak daleko okiem zasięgnąć można, zalega modre, ultramarynowe pole wodne o prześlicznym połysku i zadziwiającéj przejrzystości. Trzeciego dnia

kazałem się przewieźć na wyspę Lacromę, która niegdyś należała do Maksymiliana cesarza meksykańskiego, potém do arcyksięcia Rudolfa, obecnie zaś jest własnością księży Dominikanów. Prześlicznie urządzony park, rozkoszne posiada spacery. Tak na Lacromie, jak w ogrodach miejskich Raguzy rosną już cykady, draceny, palmy kokosowe i daktylowe. Czwartego dnia rano podnieśliśmy kotwicę, aby cztery doby spędzić na Adryatyku. Doskonały parowiec austryackiego Lloyda posuwa się wzdłuż brzegów Dalmacyi i zatrzymuje w główniejszych miejscowościach, dając możność turyście zwiedzenia takiego Spalato, gdzie miasto wmurowane jest w dawny pałac cesarza Dyoklecyana, co daje miarę jego wielkości i wspaniałości; dalėj zatrzymuje się w Zarze, Szybeniku, Poli, Rovigno, które posiadają liczne, ciekawe zabytki z czasów rzymskich lub weneckich. W Tryeście pożegnałem rozkoszny Adryatyk, aby na Lublanę, Graz i Wiedeń wrócić do kraju.

(*d. n.*) *W. Szukiewicz.*



Jerzy Gordon Byron.

Prometeusz.

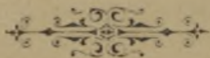
Pytanie! dla którego hardéj
Źrenicy nie był ból ludzkości
W posępnéj swéj rzeczywistości
Czémś, jak dla bogów godném wzgardy —
Jakąś za litość miał podziękę?
Niemą, a więc zdwojoną mękę...
Opokę, sępa i łańcuchy...
Wszystko, co pyszne nęka duchy...
Straszne poczucie nędzy swojéj...
Agonią któréj jęk nie koi,
Gdyż w samotności łka jedynie,
Strzegąc się szpiega z nieb sklepienia
I nie wydaje wprzód westchnienia,
Nim odgłos gromu nie zaginie.

Pytanie! twojém przeznaczeniem
Był ten wolności bój z cierpieniem,
Co znęka, jeśli nie zdruzgoce...
Nieubłagane Nieba moce,
Tyrania przeznaczenia głucha
I władza nienawiści ducha,
Dla swéj uciechy stwarzająca
Jestestwa, które w nicość strąca

Nawet ci śmierć odjęły, którą
Wieczność zmieniła swą torturą...
I ty dźwigałeś ją wytrwale —
Tylko ci gromowładca z duszy
Groźbę wydobył, co weń w szale
Miotała ogrom twych katuszy;
Nie chcąc mu ulgą być w cierpieniu
Tyś skrył, coś czytał w przeznaczeniu;
Jego był wyrok w twém milczeniu...
I nadaremnie czuł on żale,
A z licho tajonego lęku
Drżały mu błyskawice w ręku.

Nam dobrodziejstwem był twój śmiały,
Boskim podobny czyn... tyś całéj
Ludzkości wskazał, jak z niedolą
Ma walczyć krzepiąc siły wolą;
Choć niebios moce cię skruszyły,
Lecz twa odwaga i wytrwanie,
Hart twego ducha niedosiężny,
Którego zgiąć nie były w stanie
Nieba i ziemi wspólne siły,
Przykład podały nam potężny...
Dla ludzi symbol tyś pamiętny
Losu z przemocy hasłem wrogiem...
Jak ty i człowiek jest półbogiem
— Z krynicy czystéj — potok mętny —
A człowiek może przez mgły cienie
Przewidzieć w części przeznaczenie
I własny opór i los smętny
I beznadziejne swe istnienie,
Którym się oprze jego wolne
„Ja“ wszystkim nędzom sprostać zdolne,
Hart woli i niezłomne męstwo,
Które go nawet śród cierpienia
Wewnętrznym blaskiem opromienia
I każdy upór w tryumf zmienia,
A nawet samą śmierć — w zwycięstwo.

Władysław Nawrocki.



Najnowsze dzieło o Prymasie Uchańskim.

„Uchańsciana" Tom V. Jakób Uchański, arcybiskup gnieźnieński (1502—1581), monografia historyczna, przez Teodora Wierzbowskiego. Warszawa, 1895. (Wydanie z zapomogi Kasy Pomocy im. D-ra Mianowskiego). Str. 854, 8-vo.

W słowie wstępném, zwróconém do czytelnika z pozdrowieniem, aby „się dobrze miał", zaznacza p. Wierzbowski, że dzieło jego o Uchańskim, jest „owocem usilnéj i kilkunastoletniéj pracy", że „wszelkich dokładał starań, aby wyczerpać materyał i opracować go w sposób naukowy *sine ira et studio*." A nie łatwo było zebrać i wyczerpać bogaty materyał, „rozproszony w kilkudziesięciu archiwach i bibliotekach od Petersburga do Neapolu, od Moskwy do Londynu." Autor dokonał tego z uznania godną gorliwością, a zanim przystąpił do napisania swéj wielkiéj, już dawno zapowiedzianéj monografii, wydał cztery tomy dokumentów, odnoszących się do wszechstronnéj i różnorodnéj działalności Uchańskiego. Te cztery tomy t. zw. „Uchańscianów", obejmujące oryginalną korespondencyę prymasa z współczesnymi dygnitarzami, z wielkiemi historycznemi postaciami, jak Commendone i Hozyusz, a prócz tego różne akta, pierwszorzędnego nieraz znaczenia, są do historyi naszéj XVI wieku jedném z najważniejszych źródeł. Trzeba oddać tę sprawiedliwość p. Wierzbowskiemu, że z benedyktyńską cierpliwością i wytrwałością szukał materyałów w licznych [1]) archiwach i bibliotekach. Praca była też wdzięczna i bogatym

[1]) Autor naliczył ich aż 43.

uwieńczona płonem. Mało którą monografię historyczną poprzedzały tak rozległe i sumienne studya źródłowe, kierowane widocznie prawdziwém zamiłowaniem przedmiotu badań. Rzecz sama napisana również z wielkim nakładem pracy; jest rozprowadzona szeroko, a w szczegółach wykończona. W dwunastu rozdziałach przedstawia autor bardzo wyczerpująco życie i działanie Uchańskiego, opierając się wszędzie na samodzielnych poszukiwaniach źródłowych. Nie pominął w długiém a nader ruchliwém i czynném życiu prymasa ani jednego wypadku. Sumiennie i dokładnie badał i objął wszystko, co się składało na pasmo jego żywota od pierwszéj do ostatniéj chwili, a był to żywot męża, który w epoce wstrząśnień gwałtownych i powszechnego przełomu, w epoce religijnéj walki czy rewolucyi, zajmował jedno z najpierwszych miejsc w społeczeństwie i stanął u szczytu, na najwyższym szczeblu hierarchii duchownéj. Rozumiemy, że potrzeba było szerokiego tła, aby wyraźnie i jasno taka postać historyczna wystąpiła. Potrzeba było w istocie uniwersalnego tła i uwzględnienia prądów, przenikających cały zachód europejski, aby poznać działalność i indywidualność Uchańskiego, aby poznać te zawiłe i trudne sprawy, które rozwiązać usiłował, które głównie jego życie zajmowały i wypełniały. Poczytać należy to autorowi za dobre, że baczną zwrócił uwagę na prądy i wypadki w całéj zachodniéj Europie, że wszędzie nawiązywał nasze dzieje do powszechnych; ale autor nie zachował tu miary i popadł w przesadę. Opisując życie jednéj postaci historycznéj, należy to tylko uwzględnić i wciągnąć, co istotnie na nią rzuca światło, co zostaje w ścisłym związku z jéj działaniem i znaczeniem, co objaśnia i tłómaczy jéj dążenie i charakter, wogóle całą indywidualność. Potrzeba pewnego taktu i pewnéj miary, aby nie oddalać się zbyt od przedmiotu i nie sięgać zadaleko. Tego poczucia miary autor nie posiada, a przynajmniéj tego nie dowiódł. Wstępne jego rozumowania i uwagi są tak ogólne, że mogłyby posłużyć nie do historyi Uchańskiego, ale co najmniéj do historyi reformacyi w Polsce, a nawet czasem do historyi rewolucyi religijnéj na całym zachodzie. Oprócz ogólnego wstępu, zaczyna się każdy prawie rozdział znowu wstępem. Uczuć się tedy daje pod tym względem pewne przeładowanie, tém dotkliwsze, że ogólne poglądy i rozumowania autora nie są wcale oryginalne ani nowe, a nie brak téż sądów niesłusznych, niedokładnych i wprost fałszywych.

Autor zaczyna od „systemu wieków średnich, dzielącego władzę nad światem między papieża i cesarza” i twierdzi daléj, że „papieska tyara i cesarska korona przyćmiewały wszystko swym blaskiem i one wypełniały karty ówczesnéj historyi rozszerzaniem swego wpływu

i rywalizacyą o pierwszeństwo." Zdanie to lub podobne znajduje się wprawdzie często w podręcznikach, ale z naukowego stanowiska trudno przecież przyznać, żeby papieska tyara i cesarska korona, pomimo swego znaczenia, „wypełniały karty" historyi średnich wieków. Inne mamy zdanie o rozwoju i życiu społeczeństwa w średnich wiekach. Autor chce je w zbyt ciasne ująć ramy. A fałszywie téż rozumie „uniwersalność", stanowiącą „najogólniejszą cechę i istotę wieków średnich", twierdząc, że „wszędzie w środkowéj i zachodniéj Europie stosunki i porządki były jedne i te same." Przeciwnie, widzimy tam różnorodność stosunków w różnych krajach, a nawet w jednym i tym samym kraju, różnorodność nietylko społecznego ustroju, ale i kościelno-politycznego porządku. Tak zw. „system" wieków średnich nie wytworzył całkiem jednolitego życia, nie przetopił narodów zachodniéj Europy w jedną całość, nie zatarł ich indywidualności odrębnéj, niewykształconéj, ale faktycznie istniejącéj, pomimo że nie było „narodowych aspiracyi." Na sądy autora o kościele i polityce papiestwa w XVI w. niepodobna się także zgodzić. Chętnie pierwsi uznajemy, że „kościół rzymski narodom, które katolicyzm przyjęły, dawał bardzo wiele", ale przesadą jest, aby kościół dopiéro narodom dawał „życie historyczne." On życiu temu nadał nowy kierunek, umoralnił je i uszlachetnił, ale przecież narody, które do kościoła katolickiego przystępowały, były już przeważnie znane na widowni dziejowéj. Natomiast za ostro znów i niesprawiedliwie wyraża się autor o papieżach w. XVI i o stanowisku ich wobec zwołania soboru Trydenckiego. W działaniu ich był niezawodnie pewien świadomy kierunek, była konsekwencya, zgodna z tradycyą i nauką kościoła, a nie rozstrzygały spraw „samowola i widzimi się" papieży. Zwołanie soboru napotykało na istotne i nieprzezwyciężone przeszkody, a katolicki charakter soboru, który zrażał i odstraszał protestantów, był wynikiem katolickiéj nauki, nie zaś samowoli ani ambicyi papieży, którzy pomimo wielkiéj nieraz różnicy usposobień i poglądów, trwali niewzruszenie w tych samych zasadach w sprawie soboru. Z zastrzeżeniem należy tedy przyjąć zdanie, że „sobór minął się ze swojém zadaniem." Za nietrafne uważamy także uwagi o „sojuszu" papiestwa z odrodzeniem i humanizmem. „Wskutek tego sojuszu, czytamy, papieże przekształcili się w monarchów świeckich i oddali się politycznym intrygom, szczególniéj wówczas, gdy pod tymże wpływem ulegli nepotyzmowi i jako najważniejsze zadanie pontyfikatu, uważali fundowanie księztw niezależnych dla swéj rodziny." Wskutek tego „zaczęło się eksploatowanie krajów ultramontańskich: w Rzymie patrzano na nie jako na źródła dochodów, a o ich religijne, kościelne i polityczne interesa i potrzeby nie dbano

wcale, lub, co gorsza, przeciwdziałano im często.” Nie wchodzę już w szczegółowy rozbiór tego ostrego a niesprawiedliwego sądu, a pragnę tylko podnieść, że terytoryalną politykę papieży, jako władców państwa kościelnego, niesłusznie autor wywodzi ze „sojuszu” papiestwa z odrodzeniem. Polityka ta była w związku z położeniem i rozerwaniem Włoch, w związku z dążeniem, uwydatniającém się na całym zachodzie europejskim, aby państwa terytoryalnie rozszerzyć, zaokrąglić i skonsolidować. Był to proces, niezależny od „sojuszu” z humanizmem, proces, któremu państwo kościelne także uległo, tém więcéj, że walka i rywalizacya licznych, mniejszych i większych państw i rodów włoskich, terytoryalną politykę wprost wywoływała.

Oddaliliśmy się zbyt od Uchańskiego, ale to dlatego, że autor sam od przedmiotu swego często odbiega, a raczéj porusza powszechne europejskie sprawy i wypadki, pomimo, że związku z Uchańskim nie mają. Zdawaćby się mogło, że pragnął zużytkować już całą swoją wiedzę historyczną i cały zasób wiadomości o XVI wieku. Ale nawet rozdział o rodzinie Uchańskich grzeszy brakiem miary. O prymasie powiedział Rej, że „poszlachcił nieźle gniazda.” O tém „gnieździe” należało coś powiedziéć, aby wytłómaczyć, jakim mógł być ten, który stąd wyszedł, ale szczegółowa historya Radwanów i Uchańskich od XV wieku zacząwszy, aż do końca XVIII w., obejmująca 70 stron, szczegółowe opowiadanie życia bratanków, a zwłaszcza pamiętnego poselstwa Pawła Uchańskiego do Rzymu, nie odpowiadało już celowi. Zbyt szeroko i ciężko napisana ta historya nietylko przodków, ale i następców w najdalsze pokolenia. Zaraz tedy w pierwszym rozdziale uderza i razi brak miary, o którym z góry wspomnieliśmy.

Układ książki, podzielonéj na dwanaście rozdziałów, zawiera pewne niedogodności. Autor nie mógł tego uniknąć, żeby się nie powtarzać. Odnosi się to mianowicie do rozdziałów: stosunek Polski do soboru Trydenckiego (VI), „idea synodu i kościoła narodowego w Polsce” (VII) i „Prymas ostatniego Jagiellona” (VIII). Pierwszy z tych trzech rozdziałów obejmuje czas od r. 1542 do 1577, drugi od r. 1548 do 1574, a trzeci od r. 1562 do 1572. Już te daty świadczą, że tę samą chwilę dziejową omawia się w trzech osobnych rozdziałach, wprawdzie z innego punktu widzenia, ale dla objaśnienia rzeczy trzeba wracać do tych samych wypadków, albo jeżeli się nie wraca, to znowu związek spraw, które równolegle się traktowały, nie jest dostatecznie uwydatniony. Rozerwaną jest tedy działalność Uchańskiego, a najwięcéj daje się to uczuć, gdy mowa o soborze Trydenckim i narodowym. Sprawy te w najściślejszym pozostawały ze sobą związku. Prawdopodobnie byłoby lepiéj przedstawić je razem, tém więcéj, że wła-

ściwie nie było powodu do osobnego i to obszernego rozdziału (208—267) o stosunku Polski do soboru Trydenckiego, bo bezpośredni udział Uchańskiego w soborze Trydenckim, albo nawet w przygotowywaniach do tegoż był bardzo nieznaczny, a sprawa przyjęcia dekretów Trydenckich łączyła się bardzo z myślą soboru narodowego. Przyznać téż trzeba, że układ pracy tak obszernéj i bogatéj w rzeczy, które nie należały nawet ściśle do monografii o Uchańskim, przedstawiał niemałe trudności.

Założenie pracy nasuwa także pewne wątpliwości. „Zadaniem jéj (podług słów samegoż autora) wyjaśnić dzieje i losy jednéj osobistości, która jest najwyraźniejszym może typem i najlepszym wykładnikiem (!) wielostronnego ścierania się i walki obcych wpływów na polskim gruncie.” Na obce wpływy położony jest głównie nacisk. „Zagranica, czytamy, na progu nowych czasów dała nam bardzo wiele pierwiastków dalszego cywilizacyjnego postępu. Dały je nam Włochy i Niemcy. Wpływ pierwszych zaczął się już w połowie XV wieku i wzmagał ciągle do połowy następnego stulecia. Po roku 1540 silniéj owładnął Polską wpływ niemiecki. Oba te wpływy na gruncie miejscowych stosunków, wytworzonych przez wieki średnie, stanęły do walki nietylko o pierwszeństwo, ale o stanowcze zwycięztwo, o podbój nowego państwa. Rozmaite fazy i przebieg téj walki najlepiéj nam wyjaśniają całą wewnętrzną historyę Polski XVI w.” „Badanie dziejów polskich ze wskazanego punktu widzenia” uważa p. Wierzbowski za „wdzięczną niwę” i w celu uprawy téj niwy „podjął swą pracę.”

Narzuca się przedewszystkiém zasadnicze pytanie, czy obcym pierwiastkom nie przyznaje autor zbyt wiele wpływu, czy nie przecenia ich znaczenia. Trudno się wdawać w długie wywody, ale sądzę, że poglądy, dopiéro co przytoczone, bardzo poważne nasuwają wątpliwości. Zdaniem naszém, patrzy szanowny autor z fałszywego punktu widzenia na historyę Polski w XVI w., zwracając głównie uwagę na obce pierwiastki, walczące z sobą na gruncie miejscowych stosunków. Możnaby stąd wnosić, że „punkt ciężkości spoczywa w zewnętrznych wpływach i stosunkach, a nie miejscowych”, że o b c e pierwiastki ważniejszym były czynnikiem rozwoju, niż r o d z i m e, skoro „rozmaite fazy i przebieg walki” obcych pierwiastków ma nam n a j l e p i é j wyjaśnić c a ł ą wewnętrzną historyę Polski XVI w. Punkt wyjścia stanowią rodzime i miejscowe stosunki, a zarazem klucz główny do zrozumienia i wytłómaczenia wewnętrznéj historyi. Nie myślę obniżać znaczenia obcych wpływów, ale nie należy ich téż przeceniać. Wbrew zapatrywaniu autora, że bohater jego jest „najwyraźniejszym typem walki obcych wpływów na polskim gruncie”, mniemamy przeciwnie,

że Uchański właśnie najlepszym jest dowodem, że obce wpływy nie były bynajmniéj najwięcéj znaczącym czynnikiem, że w téj walce, która wrzała w XVI w., w Polsce inny bardzo ważny był jeszcze pierwiastek, ważniejszy może nawet w nieokreślonych nieraz dążeniach Uchańskiego od wpływów romańskich i germańskich. Uchański nie był ani humanistą ani protestantem, lubo do „ludzi nowego pokroju” się skłaniał, nie był bynajmniéj w Polsce typowym przedstawicielem i propagatorem obcych, cywilizacyjnych czy rewolucyjnych prądów, a może więcéj wyrazem cywilizacyjnego i religijnego dualizmu, znamionującego Polskę.

Autor sam ten pierwiastek późniéj podniósł w rozdziale „o początkach karyery Uchańskiego.” Tu dopiéro, a nie w pierwszym rozdziale „o rodzinie Uchańskich” znajdujemy uwagę, że „była to rodzina rdzennie polska tak ze strony ojca, jak ze strony matki, ale ponieważ na Ruś się przeniosła”, za tamtejszą „uważaną być mogła, tém bardziéj, że musiała ulegać wpływowi pierwiastków i kultury ruskiéj.” „U rodziców Jakóba służba, ekonomowie, wójci, rządcy folwarków, byli Rusinami, w ich domu bywali też często księża ruscy.” „W téj sferze i w tém otoczeniu Jakób spędził wiek dziecinny; od lat chłopięcych władać musiał zarówno dobrze polskim jak i ruskim językiem; do tego wczesnego okresu jego życia odnieść należy początek sympatyi i stosunków, które wiązały go z cywilizacyą Rusi, i które nie pozostały nań bez wpływu nawet wówczas, gdy zajął wybitne stanowisko w hierarchii kościoła polskiego; przeciwnie, może ten dualizm cywilizacyjny, który w nim był wynikiem pochodzenia z okolicy, gdzie stykały się i oddziaływały na siebie dwie różne kultury, wybornie się nadawał do tych dążności, do jakich Uchański się przyznawał, on był także podnietą do téj roli, jaką chciał odegrać.” A zatém uznaje autor, chociaż nie całkiem stanowczo, nową „podnietę” prócz dwóch wpływów i prądów zachodnich, o które na wstępie wyłącznie mówił.

Ale jaką to rolę Uchański chciał odegrać i jaką odegrał? Na to główne a bardzo ciekawe pytanie szukamy odpowiedzi w dziele p. Wierzbowskiego i znajdujemy ją istotnie. Autor wydobył skrzętnie ze źródeł wszystko, co czyny i zamysły Uchańskiego objaśnia i tłómaczy. A nie było to łatwe zadanie, bo nieraz słowa czynom zadawały kłam. Uchański nie miał, możemy to z góry powiedzieć, wielkiego programu, któryby urzeczywistnić usiłował z całą stanowczością i jawnością, nie miał przed oczyma celu, do któregoby dążył jasną i prostą drogą; przeciwnie rola, którą odgrywał, była pełna skrytych zabiegów i częstych wybiegów. Najważniejszą chwilą do rozwinięcia i przeprowadzenia programu była ta, kiedy jako arcybiskup gnieźnieński

stanął na czele kościoła w Polsce. Wtedy oczywiście największy miał wpływ. Władzy swéj mógł użyć i wywrzéć silny nacisk, aby sprawami kierować według swéj myśli. Ważyły się tedy właśnie po raz ostatni losy jedności Kościoła na trzeciéj sesyi soboru Trydenckiego. Sobór jedności nie przywrócił, owszem rozbicie całego zachodu i rozbicie zosobna wielu narodów wyraźnie uwidocznił i wobec świata stwierdził. Zapadły dekrety soboru, ujmujące naukę katolicką w jasną i stałą formę, która wykluczała dowolne interpretacye i rozumowania. Kiedy księgę uchwał nuncyusz Commendone królowi i narodowi przedstawiał i do jéj przyjęcia wzywał, snuł prymas skryte plany, zmierzające do tego, aby mimo doświadczeń, uczynionych w Trydencie, pojednać dysydentów z kościołem katolickim. „Prymas chciał to p o j e d n a n i e, jak autor kilkakrotnie wyraźnie zaznaczył, przeprowadzić pod egidą kościoła katolickiego, z wiedzą i w obecności skrajnych nawet przewódzców katolickiego stronnictwa, jakim był Commendone i Hozyusz.” Uchański „podjął się w czyn wprowadzić zasadniczą ideę” swego dozgonnego przyjaciela, Modrzewskiego, wypowiedzianą w traktacie: „*De necessitate conventus habendi ad sedandas religionis controversias*”, ale pomimo, że „pod wpływem Modrzewskiego” działał, „pragnął jednocześnie także ocalić swój honor i swe stanowisko katolickiego metropolity; pragnął téż i dla duchowieństwa pozyskać wiele, musiał więc ową zgodę przeprowadzać pod egidą katolickiego kościoła, a więc na zjeździe, który choć do pewnego stopnia, jeżeli nie zupełnie, nazwaćby można synodem prowincyonalnym.” Z Modrzewskim pozostał Uchański w zażyłości i blizkich stosunkach, pomimo swéj godności prymasowskiéj, pomimo uwag i przestróg kapituły gnieźnieńskiéj, która gorszyła się „przestawaniem z dysydentami.” Uchański nie wypierał się tego wcale i nie mógł się téż wyprzéć, ale mówił, że czyni to w celu powstrzymania Modrzewskiego, o którego głównie chodziło, od nieprzyjaznych kroków przeciw kościołowi katolickiemu. „I nie kłamał pod tym względem, pisze autor, gdyż obiecując Modrzewskiemu przyczynić się do urzeczywistnienia jednéj z p o d s t a w o w y c h i d e i programu jego, tém samém już powstrzymywał go od skrajnych tendencyi i bezpośredniego mieszania się w polemikę religijną z dysydentami, którą Modrzewski lubił i która dałaby mu zapewne wieksza popularność i większe uznanie.” Aby urzeczywistnić ową „ideę podstawową”, trzeba było zgromadzić w jedném miejscu głowy katolickiéj partyi, teologów dysydenckich i świeckich przywódzców tego stronnictwa” i doprowadzić do skutku jaki zjazd. Wobec tego „konieczném było d y s y m u l o w a ć lub ukrywać prawdziwy cel zjazdu i tak d y p l o m a t y c z n i e z a j ś ć w s z y s t k i c h, żeby się

pomimo przeciwnych dążności i życzeń zjechali razem i równocześnie, jakby niespodziewanie i mimo woli." Od katolików i to takich, jak Hozyusz i Commendone „trudno było wymagać, aby świadomie jechali na wspólne zgromadzenie z dysydentami, bo jedynie na synodzie być mogli; na synod zaś znowu mogli nie przyjechać dysydenci, mógł też nie dopisać król i senatorowie." „Więc rzecz oczywista, konkluduje autor, że synod musiałby się odbywać podczas sejmu lub też przed jego otwarciem, albo bezpośrednio po zamknięciu. Tym tylko sposobem można było mieć zgromadzonych razem wszystkich tych, których udział w pojednaniu był niezbędny."

Do tego też sposobu uciec się trzeba było i Uchańskiemu. Postanowił tedy zwołać synod do Piotrkowa bezpośrednio przed sejmem na 17 grudnia 1564, „powołując się na postanowienie soboru Trydenckiego, które nakazywało zwołanie synodu prowincyonalnego w każdym kraju i przyjęcie na nim dekretów soboru". Przyjęcia dekretów w Parczowie nie uznawał bowiem Uchański. Drugą sprawą była „obrona przywilejów, zabezpieczenia się od ucisku i ciężarów, nakładanych przez sejmy na duchowieństwo, utrzymanie dziesięcin". A wreszcie miała na synodzie być podjęta reforma obyczajów w myśl przepisów soboru Trydenckiego. Prócz tych urzędowych i jawnie zapowiedzianych spraw miało wejść na porządek dzienny pojednanie religijne „niby n i e s p o d z i e w a n i e, samo przez się, siłą wypadków, zbiegiem okoliczności przez zjawienie się na synodzie przedstawicieli dysydenckiéj partyi z projektem wzajemnego porozumienia". Miało nastąpić *colloquium*, od dawna pożądane przez dysydentów. W okólniku, zwołującym synod, Uchański zapowiadał, że „zadaniem synodu będzie załagodzenie sporów, co jedynie do porozumienia z dysydentami mogło się odnosić". Równocześnie przesłał królowi projekt, „w jaki sposób tę rzecz możnaby przyprowadzić do skutku". Król miał „w uniwersałach swoich do starostów i na sejmiki wysyłanych ogłosić, że stosownie do życzenia papieża chce wprowadzić w wykonanie dekrety soboru i w tym celu duchowieństwo zgromadzi się na synod", prócz tego żąda, aby wszyscy „interesowani" zjechali się do Piotrkowa. Skoro by to nastąpiło miał król zaproponować, „ażeby wszyscy, którzy odstąpili od kościoła katolickiego, pojednali się między sobą" a ponieważ, jak Uchański króla przekonywał, pewną jest rzeczą, że się nie pogodzą, król będzie miał sposobność tak pokierować sprawą, żeby dekrety soboru Trydenckiego ogłosić za obowiązujące do przyszłego *colloquium* albo sejmu, „jaki miałby być zwołanym po nastąpionej między dysydentami zgodzie". Taki projekt byłby „niczém innėm, jak tylko uznaniem dekretów Trydeckich, tudzież zakrawał na komedyą

z dysydentami, zdolną tylko rozdrażnić ich więcéj". Sądzi téż p. Wierzbowski, że nie był to istotny wyraz opinii i dążności Uchańskiego, ale raczéj środek „podziałania na katolickie uczucia króla i próba namówienia go argumentem prawowiernym (egzekucyą dekretów soboru) do zwołania dysydentów".

Na króla inny jeszcze był sposób. Zygmunt August gorąco pragnął unieważnienia ślubów, zawartych z Katarzyną. Otóż Uchański „robił królowi obietnicę w tym względzie". Autorowi „zdaje się jednak, że nie zupełnie szczerze, gdyż późniéj wystąpił jako obrońca królewskiego małżeństwa; wyrachowanie zaś Uchańskiego było takie, że Commendone'owi i Hozyuszowi uda się pokonać wstręt króla do żony, a w takim razie odstąpienie Uchańskiego od popierania unieważnienia małżeństwa byłoby niejako wynagrodzeniem dla Commendone'a i Hozyusza za poparcie główném idei synodu i tych ustępstw, którychby na synodzie zażądano od Rzymu".

Ustępstwa, które prymas dysydentom zamierzał ofiarować, polegały na udzielaniu komunii pod dwiema postaciami, małżeństwie księży i języka polskiego w liturgii. Za takie ustępstwa „mieli dysydenci przyjąć dekrety soboru Trydenckiego i zobowiązać się zachować przywileje duchowieństwa i płacić dziesięciny, co dla duchowieństwa musiałoby być wielkim zyskiem". „Pokój religijny, zaprzestanie wzajemnych insultacyi, polemiki i sporów miało być korzyścią dla obu stron i dla publicznego dobra, bo po ustaniu niezgody religijnéj łatwiéj i prędzéj wziętoby się do załatwienia innych naglących spraw koronnych", tak przedstawia autor program Uchańskiego. Cóż o tym programie trzymać i o środkach, których używał i w których jak wnosić możemy, nie przebierał? W każdym razie była to rola, nie licująca z godnością i powagą głowy kościoła w kraju. Autor twierdzi, że koniecznem było „dysymulować", ukrywać prawdziwe zamiary, aby dyplomatycznie zajść wszystkich. Ale gdyby te „sztuczne pokrywki" były misternéj roboty, gdyby intryga i obłuda była zręczna, gdyby dyplomatyczne wybiegi ukryły istotny zamiar, to przynajmniéj bez względu na etykę, często pomiataną przez polityków, możnaby mieć przynajmniéj uznanie dla głowy politycznéj Uchańskiego, ale ci, których usiłował podejść, od pierwszéj chwili przenikali jego zamiary. Prymas zwołuje synod prowincyonalny i „oburza się", gdy go posądzano, że do synodu narodowego dąży i przeciwko posądzeniom protestował; ale ci, których do przybycia na synod wzywał i gorąco zachęcał, wiedzieli, że na ten synód mieli przybyć dysydenci, że synod prowincyonalny byłby się zamienił w narodowy. Miało to nastąpić „niespodzianie i mimo woli" kie-

dy bystrzy i mądrzy katolicy, jak Commendone i Hozyusz, wszelkie niespodzianki, przygotowywane grubą ręką, doskonale przenikali i prymasowi to uczuć dawali, tak że musiał się „rumienić”. Uchański chciał wszystkich podejść i katolików i dysydentów i króla i nuncyusza, a tracił tylko zaufanie i powagę. Ale i program sam bez względu na kręte drogi był wprost fikcyjny. Założył sobie pojednać żywioły nieprzejednane; trzymał się uporczywie swojéj czy Modrzewskiego myśli, aby jedność przywrócić drogą pokojową wbrew doświadczeniu, jakie właśnie Pius IV zrobił ze zwołaniem soboru Trydenckiego w roku 1560. Autor twierdzi wprawdzie, że „sobór kwestyę pojednania zupełnie abnegował”, otóż musimy się temu sprzeciwić. Zwołując sobór udawał się Pius IV nie tylko do państw i narodów katolickich, ale i protestanckich, do Szwecyi, Anglii, przedewszystkiém do książąt niemieckich, ale ci przybyć nie chcieli, nie uznając Rzymu. Kwestya pojednania była tedy żywo dyskutowana i stanowiła przedmiot długich narad i pertraktacyi w ciągu r. 1560 i 1561. Pojednanie okazało się niepodobném. Próba nie powiodła się nigdzie. Że próby takie robiono, było wynikiem potrzeb kraju, szarpanego religijną walką, ale robiono je przeważnie przed skończeniem soboru powszechnego. Po zapadłych dekretach pojednanie było trudniejsze, a wszelkie „rozmowy” czy na synodach prowincyonalnych, czy narodowych nie rokowały żadnego skutku, Wątpić należy, czy dysydenci za ofiarowane ustępstwa uznaliby dekrety soboru Trydenckiego i zobowiązali się zachować przywileje duchowieństwa, czy uznaliby prymat papieża. Program Uchańskiego nie zadawalniał ani jednéj ani drugiéj strony i nie mógł doprowadzić do pojednania. Autor program ten uważa za wykonalny i sądzi, że „taki narodowy synod, do jakiego Uchański dążył, w stosunku do dysydentów tém miał być, czém był odbyty w trzydzieści lat późniéj synod Brzeski dla wyznawców kościoła wschodniego”. „Pojednanie z dysydentami i utworzenie przez to narodowego kościoła nie miało przekraczać tych granic i tego programu, na podstawie których już przy następcy Uchańskiego przyszła do skutku unia kościoła zachodniego ze wschodnim. Za duchowego ojca téj reformy nikt inny, jak tylko Uchański uważany być powinien”. O tém ojcostwie dużo możnaby mówić, ale na jedno trzeba tu zwrócić uwagę: między protestancką nauką a katolicką były przecież głębsze i bardziéj zasadnicze różnice dogmatyczne, niż między Rzymem a kościołem wschodnim. Ale autor chce koniecznie program swego bohatera przedstawić w jak najlepszém świetle, chociaż sam popada w sprzeczność. I tak twierdzi raz (str. 252), że Uchański „jako głowa kościoła więcéj miał sposobności i łatwiejszą drogę do wykonania wspomnianego zamiaru” a zatém

w r. 1564 i 1565, późniéj przeciwnie uważa dokonanie czy przeprowadzenie religijnego pojednania w szczególności dla prymasa może za trudniejsze w 1564 i 1565, aniżeli w 1555 lub 1559; najprzód dla tego, że nieprzychylnym temu prejudykatem był pomyślnie zakończony sobór Trydencki; powtóre zaś, że żądania dysydentów mogły być większe niż wówczas, a roznamiętnienie religijne było silniejsze. Nie wiemy tedy, jakiego właściwie zdania jest p. Wierzbowski, nie wiemy téż, za co uważał synod, który Uchański zwoływał. Raz bowiem mówi: „taki narodowy synod, do jakiego Uchański dążył...” (str. 317), innym razem: „można mu (t. j. Uchańskiemu) przyznać racyą nawet w tém, że przeciwnym był synodowi narodowemu, bo używania takiego terminu unikał”. Ale przecież chodziło o rzecz a nie o termin. To właśnie było wielkie złudzenie Uchańskiego, że „terminem”, nazwą chciał innych, od siebie bystrzejszych, w błąd wprowadzić i podejść. A to się nie powiodło. Popadał sam z sobą w sprzeczności, a widzimy, że biograf jego także sprzeczności się nie uchronił.

W ogóle całą sprawę soboru narodowego, złączoną ściśle z programem Uchańskiego, przedstawia autor błędnie. Rozdział: „idea synodu i kościoła narodowego”, jest oparty na zasadniczym błędzie. Zresztą w samym tym rozdziale między założeniem a główną tegoż treścią jest wyraźna sprzeczność. Autor zwyczajem swoim, chcąc przedstawić program Uchańskiego, sięga bardzo daleko, cofa się do wojen krzyżowych, do Grzegorza VII, Inocentego III, Bonifacego VIII, do Avignonu, a wreszcie przechodząc do Polski, rozwodzi się nad różnemi obowiązkami wobec Rzymu, nad świętopietrzem, annatami, nad „opłatami z krucyat, jubileuszów i odpustów”, w ogóle nad wszystkiemi „powodami obrazy”. Rosła tedy opozycya przeciw Rzymowi. „Składanie papieżowi obedyencyi, jak zaznacza autor, duchowi czasu również nie odpowiadało ani nowym porządkom”. „Wszystkie owe grawamina uchodzić mogły, zdaniem jego, i naturalnemi się wydawać w wiekach średnich, ale nie wtedy, kiedy naród doszedł do świadomości i rozwinął w sobie poczucie niezależności”. Po takim wstępie mogłoby się zdawać, że Uchański stał się wyrazem téj świadomości i niezależności, wyrazem opozycyi przeciw Rzymowi i tego nowego ducha czasu, który obedyencyi nie znosił. Mogłoby się zdawać, że prymas chciał być samodzielną i całkiem niezależną głową kościoła w Polsce. Tymczasem widzieliśmy, że Uchański stał przy papieżu wiernie, że przywilejów duchowieństwa, które stanowiły przedmiot pocisków przedstawicieli nowych prądów, wcale się nie zrzekał, że stał na gruncie katolickim i ustępstwami, ostatecznie nie zasadniczemi, dysydentów dla kościoła zjednać usiłował. Autor mylnie pojął cha-

rakter soboru narodowego w XVI, wychodząc z punktu widzenia dawnéj, powszechnéj, wzmagającéj się wciąż nieprzejednanéj opozycyi przeciw kościołowi katolickiemu. Celem zapowiedzianych soborów narodowych było nie oderwanie, ale pojednanie. Wiemy téż, a autor to także zaznacza, że katolicy nie byli niejednokrotnie przeciwni zwołaniu soboru narodowego, wiemy to mianowicie o r. 1555, a przecież nie dążyli do narodowego kościoła [1]). Podobną dążność—p o j e d n a w c z ą miały sobory narodowe w Niemczech i we Francyi.

Stosunek Polski do soboru Trydenckiego od początku do końca omówiony szczegółowo tak, że mógłby osobną stanowić rozprawę. O Uchańskim tu mało i nie mogło być więcéj, bo ani jako biskup ani jako arcybiskup w soborze Trydenckim żywszego udziału nie miał. W ogóle cały episkopat polski zachował się biernie wobec Trydentu, a nie tyle dla tego, jak to autor przypuszcza, że „nie aprobował kierunku, przyjętego przez sobór", ile, że pogrążony więcéj w partykularnych sprawach i niesnaskach, niż w publicznych i powszechnych, nie kwapił się z wysłaniem i wyposażeniem posłów. Nieprawdą téż jest, że „tylko w Polsce nie zamarła idea soboru od chwili rozejścia się jego w r. 1552". Tego biskupom polskim nie możemy przyznać, aby jedynie okazywali interes wobec soboru powszechnego. Idea ta nigdzie nie zamarła, a zwłaszcza w Niemczech zajmowano się wciąż tą sprawą.

Bierności episkopatu polskiego, pewnego lenistwa i skąpstwa dowiódł pobyt Herburta w Trydencie w r. 1562 i 1563. Autor Herburtowi różne czyni zarzuty i „z d a j e się (jemu) że bezczynność Herburta i przewaga na soborze tego kierunku, który nie zapowiadał dla Polski prędkiéj korzyści i natychmiastowego uspokojenia religijnéj rozterki, był przyczyną obojętności biskupów i nienaturalnego a raczéj niezwykłego ich skąpstwa". Było ono nienaturalne, ale niestety zwykłe. „Drugim powodem bezczynności Herburta, była zdaniem p. Wierzbowskiego, nieokreślność (!) instrukcyi i brak ducha inicyatywy w nim samym; może zresztą samodzielne porywy jego w samym zarodku paraliżowane były przez Hozyusza". Jest to przypuszczenie, niczém nie poparte; nic nie wiemy o samodzielnych porywach, któreby Hozyusz dopiéro paraliżował, natomiast możemy dojść, że Herburt nie był wcale bezczynny. Świadczą o tém same akta soboru Trydenckiego, których autor widocznie nie uwzględnił. Zarzut, uczyniony biskupowi

---

[1]) W kilku swych pracach zwróciłem uwagę na ten charakter soboru narodowego: „*Beschickung des Tridentiums durch Polen und die Frage vom Nationalconcil*", „Sprawa soboru narodowego w Polsce", „Rzym i Europa".

przemyskiemu, jest niesłuszny. Zastrzegamy sobie przedstawienie pobytu Herburta w Trydencie w osobnéj rozprawie. Tu jeszcze nadmienić wypadnie, iż i ten zarzut upadnie, jakoby Herburt o swych czynnościach i postępie prac nie zdawał żadnych relacyi. Natrafiliśmy właśnie na ślad jego korespondencyi z krajem. Poniżając Herburta, chciał autor mimowolnie podnieść i usprawiedliwić prymasa, na którego przecież spada część odpowiedzialności za słaby udział Polski w Trydencie. „Uchański, pisze, sam nic zrobić nie mógł, ani téż z własnéj kieszeni forszusować (!), gdyż wysupłał się na wojnę moskiewską i wydatki z powodu spraw publicznych, od innych zaś biskupów odmowną dostał odpowiedź".

W ocenie swéj zwróciliśmy główną uwagę na zasadnicze sprawy i najważniejsze momenta. Podnieść jednak należy, że przedstawienie całéj działalności Uchańskiego od „początków karyery" aż do „ostatnich lat życia", w publiczném i prywatném życiu jest dokładne i gruntowne, lubo nieraz rozwlekłe. O ile ogólne sądy i zapatrywania p. Wierzbowskiego niedomagają i nie wytrzymują krytyki a nawet rażą sprzecznościami i brakiem pogłębienia, o tyle uznania godne jest sumienne zestawienie faktów i opowiadanie, lubo styl sam jest ciężki, pozbawiony życia i werwy.

Zajmującém jest „zakończenie", w którém autor zestawia, jak zawsze bardzo pilnie, sądy o Uchańskim od XVI w. aż do ostatnich prac. Widzimy ztąd, że w XVI w. zdanie o Uchańskim było przychylne i pochlebne, że nie brak było uznania. Wprawdzie ostrą była krytyka kapituły krakowskiéj w pamiętnéj instrukcyi, udzielonéj na synod w r. 155[illegible], ale autor, uważając ją za stronniczą, niewielką przywiązuje do niéj wagę. Natomiast przytacza cały szereg pierwszorzędnych pisarzy, którzy nie szczędzą prymasowi pochwał. Zaznaczyć trzeba jednak, że w szeregu tych byli i zdeklarowani protestanci, jak Przyłuski i Rej. Ale i katolicy nie potępiali prymasa.

Na początku XVII w. widać już „w sądzie wahanie", a wreszcie przechylał szalę stanowczo na niekorzyść Uchańskiego sekretarz Commendonego, Graziani w drugiéj połowie XVII w. Autor zbija wywody tych, którzy o katolickich uczuciach Uchańskiego krytycznie się wyrażali, zbija Zakrzewskiego, uważając za „niezgodne z prawdą zdanie tego historyka, że Uchański całe życie nie troszczył się wiele o religią i wiarę, i że napaści dysydentów na prymasowską godność zraziły go do protestantów i do wszelkiéj reformy". Korytkowskiemu zarzuca uprzedzenie, większe jeszcze, niż w biografiach innych arcybiskupów, i z góry powzięty zamiar potępienia Uchańskiego. Rozpra-

wiwszy się z przeciwnikami, wypowiada p. Wierzbowski w końcu swoje zdanie i zwraca się przeciw niby „panującym w dzisiejszym stanie polskiéj nauki historycznéj pojęciom". „Każdy zapewne z jéj adeptów a może i mistrzów, pisze autor, na zapytanie, kto największym był obrońcą katolicyzmu w Polsce w epoce reformacyi i kto dla kościoła katolickiego w walce z reformacyą największe położył zasługi, bez wahania odpowié, że papiescy nuncyusze a z biskupów polskich Hozyusz i Karnkowski". Autor twierdzi, że Uchański „w czasie najniebezpieczniejszym na swych barkach zwycięstwo na korzyść katolicyzmu przeważył, a rzuciwszy podstawy katolickiéj reakcyi, przyczynił się znacznie do późniejszego tryumfu". „Téj zasługi przedewszystkiém powszechność katolicka słusznie odmówić mu nie może i względem nazwiska i pamięci jego nie powinna, jak dotąd, żywić nieuzasadnionych uprzedzeń, lecz wspominać je ze czcią i wdzięcznością", to jest konkluzya i ostatnie słowo dzieła. Nie podzielając bynajmniéj istotnie częstokroć nieuzasadnionych uprzedzeń, musimy jednak pokrótce pewne uczynić zastrzeżenia i krytyczne uwagi. Nie przeceniam znaczenia nuncyuszów i nie sądzę, że rozstrzygnęli zwycięstwo katolickiego kościoła w Polsce; ale trudno się na to zgodzić, „że brakło im śmiałości i samodzielności do stworzenia jakiegoś programu dodatniego", że zbytnia ich zależność od dążności, panujących w Rzymie, utrudniała ich działanie, bo dążności te „wówczas z każdym pontyfikatem się zmieniały i obliczyć ani przewidzieć było można, czy przy nowéj zmianie pontyfikatu nie będzie porzucony ten kierunek, który za dobry uznawano w danym czasie". Pomimo różnicy charakterów papieży, kierunek główny w niczém się nie zmienił. Nuncyusze działali też zawsze konsekwentnie i w tym samym duchu, lubo taktyka była różna. Przypuszczenie, że rzekoma chwiejność w Rzymie paraliżowała akcyą nuncyuszów jest niesłuszne i błędne.

Hozyuszowi uczyniony zarzut z powodu stałego przeniesienia się do Rzymu, że „sługą kościoła był o tyle, o ile przez to mógł się stać najwyższym panem" jest także niesprawiedliwy. Był to mąż głębokiego przekonania, gorącéj wiary i prawdziwego powołania, ale i on katolicyzmu w Polsce nie zbawił, lubo wielkie około kościoła położył zasługi.

Na przewagę, zwycięztwo i tryumf katolicyzmu, złożyły się różne czynniki, które wszystkie należy uwzględnić. Przedewszystkiém w społeczeństwie samém rewolucya religijna wrosła więcéj w szerz, niż w głąb, nie ogarnęła i nie przeniknęła natury polskiéj. Ruch religijny łączył się z ruchem, obejmującym wszystkie strony życia społecznego; reforma religijna stanowiła część ogólnego programu reformy. Z chwi-

lą gdy uciszył się ruch „egzekucyjny", ukazuje się widocznie rozłam w obozie tych, którzy zgodnie występowali przeciw kościołowi. W kole poselskiém na sejmie w Piotrkowie po raz pierwszy od całego szeregu lat odzywa się głos katolicki, w chwili, w któréj Uchański nosił się z myślą synodu narodowego. Fale rewolucyjne, wzburzone wielce, cofają się i łamią. Do tego niepowodzenia protestantyzmu przyczynił się téż niemało król, Zygmunt August, o którym p. Wierzbowski jakoś nie wié, co trzymać! Raz mówi, że „król tradycyjnie żywił ortodoksalne (!) uczucia", a potém znów wspomina o „zmianie królewskiego poglądu" i nie wié tylko, co na nią wpłynęło. Wobec Trydentu stał, zdaniem jego, Zygmunt August nietylko na katolickiém, ale nawet na „kuryalném" stanowisku. Nie chcę już o króla z autorem się sprzeczać, ale należało go więcéj wysunąć. W każdym razie, król do zwycięstwa kościoła katolickiego bardzo się przyczynił, i może trafniéj dałoby się o Zygmuncie Auguście powiedziéć, że przeważył na swych barkach zwycięstwo, niż o Uchańskim.

Zasługę i znaczenie Uchańskiego zanadto wynosi p. Wierzbowski. Przedstawia go nam prawie jako jednę z wielkich postaci XVI w. na szerokiém tle prądów i wypadków europejskich, jako męża, który w chwili wielkiéj walki dwóch światów przeważył zwycięstwo, otóż bohater, nad miarę wyniesiony, ginie na tém powszechném tle dziejowém, i maleje, gdy dobrze przypatrzymy się jego programowi, w którym nie było ani jednéj oryginalnéj myśli. A nie widzimy téż w wykonywaniu zapożyczonych idei, samodzielności i tęgości charakteru, owszem chwiejność i dwulicowość, która raziła współczesnych, nie bez słuszności wywołała naganę i krytykę potomnych, nieraz zbyt ostrą i niesprawiedliwą. To jasno występuje w dziele pracowitém p. Wierzbowskiego, że Uchański stał i chciał zostać na gruncie katolickim, że z Rzymem zrywać nie myślał, ani przejść do obozu protestantów, a raczéj ich pragnął ustępstwami zjednać. Uchański miał tedy także zasługi, wraz z wielu innymi, około utrzymania i panowania kościoła katolickiego, a sam przez się był objawem i wyrazem dokonywającéj się reakcyi katolickiéj w Polsce.

Bronisław Dembiński.



NA AZYATYCKIM WSCHODZIE.



Henry Norman: *Peoples and Politics of the Far East.* London, Fischer Unwin 1895, in 8-vo, 608 str. — Hon. George N. Curzon: *Problems of the Far East.* London, Longmans, 1894 in 8-vo, 441 str.

Z postępem czasu zmienia się terminologia codzienna. Gdy była mowa, przed paru dziesiątkami lat jeszcze, o Wschodzie, o kwestyi wschodniéj, rozumiano przez to Turcyę i półwysep bałkański. Uregulowanie téj oddawna zapowiadanéj sukcesyi wśród potężnego współzawodnictwa i różnorodnych pretensyi, tak zaprzątało umysły powołanych i niepowołanych mężów stanu, że spuszczono nieledwie z uwagi daleki Wschód azyatycki. Ów świat odrębny leżał wprawdzie w bezpośredniém sąsiedztwie posiadłości dwóch najpotężniejszych europejskich mocarstw, Rosyi i Wielkiéj Brytanii, i one, jak przypuszczać nietrudno, świadome były oddawna komplikacyi, które tam powstać mogły, ale ogół cywilizowanego świata tak dalece był się zrosł z myślą o nieruchomości azyatyckiego Wschodu, o odrębności jego organizmu, pozbawionego stycznych punktów z naszym, że nie zdawał się on troszczyć i nie śledził tak blizko, jakby było wypadało, zachodzących tam wypadków. A wszakże, pomiędzy innemi, zaszły tam w ostatniéj ćwierci wieku dwa tak wyjątkowéj, tak nadzwyczajnéj doniosłości, iż powinny były otworzyć oczy i najospalszym. Mamy na myśli naprzód ów bezprzykładny dotąd w historyi fakt mocarstwa, które jak to uczyniła Japonia, wyzuło się dobrowolnie z całéj swéj tradycyjnéj przeszłości i przy-

swoiło cywilizacyę obcego sobie, europejskiego zachodu. Z chwilą, gdy nowy ten pierwiastek przeszedł w jéj soki, trzeba się było spodziewać spotęgowanéj z jéj strony działalności o rezultatach wszechświatowych. Drugim faktem potężnego także znaczenia, było zawładnięcie całych Indo-Chin przez Francyę i utworzenie tam kolonialnego państwa o niezawodnie wielkiéj przyszłości. Obok dwóch europejskich mocarstw, które uprzednio mogły rozstrzygać o losach Azyi, stanęło teraz trzecie, z którém rachować się będzie trzeba.

Było tedy wiele powodów, które nakazywały chyba europejskiemu światu ześrodkować uwagę na wschód azyatycki. Nie potrzeba zapewne wykazywać, że tego obowiązku nie spełniono. Gdy przed kilku miesiącami wybuchła wojna pomiędzy Chinami a Japonią, zastała ona opinię europejską nieprzygotowaną, obałamuconą, niezdającą sobie sprawy ani z istotnych sił zapaśników, ani z ich planów i zamiarów. Zmiażdżenie chińskiego Goliata przez japońskiego Dawida, wywołało rodzaj popłochu wśród dyplomacyi zachodniéj i nastąpiło owo rozdwojenie w akcyi europejskiéj, które jeszcze swego ostatniego nie wypowiedziało słowa. W błyskawiczném świetle téj wielkiéj kolizyi dwóch mocarstw azyatyckich, o jedném przynajmniéj przeświadczył się nasz świat europejski, o tém mianowicie, że kwestya wschodnia prawdziwa nie u nas ale w Azyi się rozegra. Lekcya była zbyt znaczącą, aby o niéj kiedykolwiek zapomniéć było wolno. Można zaręczać, że więcéj się na przyszłość troszczyć będziemy o to, co się dzieje u kosookich Azyatów. Łączność ich interesów z naszemi nie może już ulegać wątpliwości najmniejszéj.

W takim stanie rzeczy informacye z pierwszéj ręki o azyatyckim Wschodzie, są dla nas wielce pożądane i nie ma prawa uważać się za wykształconego ten, co je lekceważy. Nigdy nie były one bardziéj potrzebne. Ucichł już wprawdzie huk armat i nastąpił pokój pomiędzy dwoma mocarstwami azyatyckiego Wschodu, ale nie wynika stąd bynajmniéj, aby pokój ten był trwałym. Nawet gdyby Chiny porażone na głowę, chwilowo o odwecie nie marzyły, to Japonia, rozdrażniona połowiczném tylko osiągnięciem celu i wydarciem sobie łupu, do którego uczuwała się uprawnioną, może lada chwilę, posługując się łatwemi do znalezienia pretekstami, nową wojnę rozpocząć. Daléj, jest możliwą napaść Japonii na Rosyę: do tego awanturniczego przedsięwzięcia podszczuwają ją otwarcie, a prawdopodobnie więcéj jeszcze pokryjomu, Anglicy. Ale choćby nawet, jak sobie tego życzyć należy, bez nowego krwi przelewu się obyło, to pozostaje zoryentować się na téj oddalonéj

a mało znanéj szachownicy wpośród nowych całkiem warunków. Wszystkie dotychczasowe zostały zburzone przez uragan ostatni. Niewiadomo ani co pozostało z dawniejszych składowych czynników, ani do jakiego poziomu ułożą się teraz i w grę wejdą.

Nic naturalniejszego, że wobec tych nagromadzonych ruin, jeszcze nienakreślonych przekształceń, wobec współzawodnictwa mocarstw europjskich, starających się wyciągnąć każde dla siebie jaknajwięcéj korzyści, głosy się krzyżują i że wśród sprzecznych ocen jednocześnie i raz po raz słyszymy zdania dziwaczne, sądy niespodziewane. Zdaje się nam właściwém przedstawić czytelnikom opinie, jakie o istotnym stanie azyatyckiego Wschodu wypowiedzieli Anglicy. Rola, jaką oni tam odgrywają, nakazuje przywiązywać wagę szczególną do takowych. Nie myślimy streszczać ani zdań dziennikarstwa, ani rozbierać całéj masy okolicznościowych utworów, które ostatnie wypadki wywołały. Byłby to przegląd nader interesujący, nie przeczymy, ale herkulesowe przedsięwzięcie takie, staje się zbyteczném wobec dzieł źródłowych, gruntownych, opartych na osobistych studyach, dających rękojmie powagi w wyrobioném piśmienniczém, albo w wysokiém urzędowém stanowisku ich autorów. Dzieła takie istnieją i dwa najcelniejsze z nich postawiliśmy na czele téj pracy. Sprawozdanie z nich wystarczy do dania pojęcia o sposobie zapatrywania się angielskiego świata na kwestye Wschodu azyatyckiego. Oba dzieła są świeżéj daty. P. Curzon wydał swoje „Zagadnienia dalekiego Wschodu” w sierpniu roku zeszłego, to jest w chwili, gdy wojna chińsko-japońska już była wybuchła. „Narody i polityka na dalekim Wschodzie” p. Henryka Normana, wyszły z druku przed trzema miesiącami, a zatem w chwili, gdy losy téj wojny rozstrzygnięte już były. Trudno tedy o informacye świeższéj daty. Do wartości ich przyczynia się to przedewszystkiém, że pisane były nie przez zaimprowizowanych okolicznościowych reporterów, ale przez umysły poważne, dobrze przygotowane i wyjątkowéj spostrzegawczéj bystrości.

P. Henryk Norman, współpracownik p. T. W. Steada, podczas gdy ten był naczelnym redaktorem dziennika *Pall Mall*, wysłany był przezeń jako korespondent specyalny do Japonii. Owocem jego tam pobytu była książka, *The Real Japan*, wydana w 1891 roku, i będąca, zdaniem piszącego, jedną z najciekawszych, najbardziéj pouczających książek, jakie o niéj napisane były. Czteroletni późniéj pobyt w Japonii, Korei, Chinach, Indo-Chinach, jedném słowem we wszystkich krajach leżących pomiędzy angielskiemi Indyami a oceanem Spokojnym, pozwolił mu wniknąć w wewnętrzne stosunki

państwowe azyatyckiego Wschodu. Gdy staje tedy z obszerną i przepełnioną osobistemi spostrzeżeniami książką, nie można podawać w najmniejszą wątpliwość, iż zdania jego, zapatrywania i nawet prognostyki przyszłości, posiadają rzadką powagę. Obecnie jest p. H. Norman jednym z dwóch naczelnych redaktorów wielkiego dziennika londyńskiego *Daily Chronicle*, szeroko czytanego organu demokracyi radykalnéj angielskiéj. Jego opinie i sądy o kwestyach wschodnio-azyatyckich, otrzymują sankcyę milionowych czytelników tego pisma. Choćby z tego już względu jedynie, książka jego zasługiwałaby na specyalne uwzględnienie. Pisana z łatwością, cechującą zawodowego pisarza, nie tająca nigdy żywego patryotyzmu angielskiego, jest w wysokim stopniu interesująca, nawet gdy się z jego zasadami ani widokami nie jest w zgodzie. Zaopatrzona w mapy, fotografie, obfitująca w dane statystyczne, pozwala uczynić sobie o ile można dokładne wyobrażenie o warunkach etnograficznych, wśród których zagadnienia polityczne tam się obracają. Niepodobna także, dzięki szczerości autora, mylić się co do widoków i dalszych zamiarów Anglii w tych strefach. Z książką p. Normana, jako przewodnikiem, można już sobie z tego zdać sprawę.

Niemniéj ciekawą jest książka p. Jerzego Nathaniela Curzona. Do wartości literackiéj dodać tu należy, że tak powiemy, urzędową. P. Curzon, liczy dopiero 36 rok życia i jest nadzieją młodego toryzmu. Syn i dziedzic barona Scarsdale, skończy swój zawód w izbie lordów, ale tymczasem jest wydatną figurą izby gmin. Zaczął od sekretarstwa przy lordzie Salisbury a ten tak dobrze ocenił jego umysłowe zdolności, iż w swém ministeryum 1886 r. zrobił go sekretarzem stanu dla Indyi. W dzisiejszém właśnie, tylko co uformowaném ministeryum, lord Salisbury dał nowy awans p. Curzonowi, robiąc go swoim własnym *adlatus:* jako sekretarz stanu przy ministeryum spraw zagranicznych, będzie on w izbie gmin reprezentował swego zwierzchnika i traktował wszystkie kwestye polityki zewnętrznéj. W dawniéjszych jego książkach można szukać wskazówek co do istotnych jego opinii i zapatrywań. A jest to naprzód gruby tom o „Rosyi w środkowéj Azyi” w 1889 roku. Autor odbywszy podróż po otwartéj właśnie wówczas drodze żelaznéj zakaspijskiéj, roztrząsa zadania, jakie ma Rosya przed sobą w Turkestanie. Przewidując dalekonośne następstwa, jakie otwarcie téj wielkiéj drogi komunikacyjnéj da jéj w środkowéj Azyi, autor, baczny o interesa swéj własnéj ojczyzny, udał się do Persyi, aby zbadać czy wpływ angielski będzie tam w stanie zagrodzić postęp ruskiemu. Owocem téj podróży były dwa sążniste tomy wydane

w r. 1892 p. t. „*Persia and the Persians.*" Obrawszy sobie kwestye azyatyckie za specyalność, p. Curzon w ostatniém swém dziele opisuje Japonię, Koreę i Chiny. Wiemy, iż było jego zamiarem dopełnić swe studya przez opis Syberyi i jéj rozpoczętéj drogi żelaznéj. Ministeryalne stanowisko jego obecne spowoduje odłożenie tego projektu do chwili swobodnéj, ale już dzisiaj jest on wielką powagą we wszystkich kwestyach wschodnich i tém większą, że znajduje się w tém wyjątkowo szczęśliwém położeniu, które mu pozwoli przyłożyć rękę do nakierowania wypadków podług z góry powziętego planu.

Stawiając poglądy i wnioski p. Normana obok tych, które wypowiada p. Curzon, można utworzyć sobie zdanie o przeciętnéj opinii Anglików co do zagadnień azyatyckiego Wschodu. Skoro zaś nie wolno zapominać o przeważnéj roli, jaką Anglia tam odgrywała i jakiéj wyrzec się nie ma zamiaru, to przyjrzenie się im przez londyńskie okulary nie jest pozbawione praktycznéj użyteczności. Z góry powiedziéć należy, że p. Curzon, urzędowego swego stanowiska świadomy, jest oględniejszy w sądach, aniżeli p. Norman, będący osobistością niezależną. Trzeba z pomiędzy argumentów obustronnych, jakich p. Curzon nie omieszkuje nigdy stawiać i przytaczać i wśród atmosfery sztucznéj bezstronności, którą oddychać usiłuje, prawdziwe jego opinie odgadywać nieraz; u p. Normana za to wypowiadają się one otwarcie i bez żadnego frasunku. Obaj autorowie nie opisują nam Wschodu, owéj krainy cudów oślepiających wyobraźnię: część obrazowa nie jest wprawdzie przez nich całkowicie pominięta, ale schodzi na podrzędne stanowisko. Idzie im głównie i rzec można jedynie o gruntowne zbadanie szachownicy, na któréj rozgrywać się będą musiały w przyszłości utarczki pomiędzy mocarstwy europejskiemi, ubiegającemi się o wszechświatową hegemonię. P. Curzon ogranicza się do opisu azyatyckiego świata samego w sobie, Chin i Japonii, oraz jabłka niezgody pomiędzy niemi, Korei; p. Norman opisuje naprzód brytański świat w téj części globu, a potém z kolei przebiega francuski, ruski, hiszpański i portugalski. Dopiéro po wykazaniu ich stanowiska, ocenieniu ich sił i interesów przechodzi do charakterystyki Chin, Japonii, Korei, Siamu, archipelagu Malajskiego, etc. Jeden pisarz jak drugi, przekonany o wyższości cywilizacyi europejskiéj nad azyatycką, uważa tę ostatnią jedynie za podścielisko dla naszéj. Z wysoce utylitarnym sceptycyzmem spoglądają na ów świat, a ciągle pytać się zdają, w jakim sosie najlepiéj będzie ugotować tę nastręczającą się zwierzynę. Niedawno jeszcze prof. Pearson, w pamiętnem dziele,

o którém tu w swoim czasie pisać mieliśmy sposobność [1]), groził rasie białéj zalewem rasy żółtéj i wyrażał obawy co do ewentualnych następstw tego nieuniknionego starcia. Rozwiały się te czarne przewidywania i wobec Azyatów wytępiających się i kruszących własnemi rękami swą potęgę, Europa nietylko się uspokoiła, ale nabrała przekonania, że tam otwiera się dla niéj pole korzystnych zdobyczy. Anglicy, którzy dobrze wiedzą, jak się kolonialne osady tworzą, bądź przez wytępiające wojny, bądź przez handlowe faktorye, bądź przez finansowe operacye, rozważają chwilowo, jaki z tych środków jest tutaj do użycia. Obaj pisarze podają im w tym względzie cenne wskazówki.

Najlepszą metodą streszczenia tych dwóch dzieł odmiennych porządkiem w traktowaniu jednych i tych samych kwestyi, wydaje się nam przyjęcie trzeciego, jeszcze odmiennego. Największy interes dla nas, Europejczyków, przedstawia w téj chwili zagadnienie, jakie czynniki życiowe posiadają Chiny i Japonia i jak się wobec tych dwóch państw postawiły wielkie mocarstwa nasze. Wyłuszczając takowe, szukać będziemy argumentów i dowodów u obu uwzględnionych tutaj pisarzy.

Na setki liczą się opisy współczesnéj Japonii, a mimo tego świat europejski zdał sobie sprawę z istotnego jéj usposobienia i stanu dopiéro w świetle obecnéj wojny. Owo najmłodsze dziecko naszéj cywilizacyi, którą przyswoiło sobie łakomie, zdawało się nam ciągle jeszcze dzieckiem. Ponieważ od nas pożyczali, nas naśladowali, do nas przybywali po naukę i informacye, traktowaliśmy ich z ironiczną pobłażliwością i wydawali się nam jak owe dziwaczne potwory, stworzone przez ich artystyczną wyobraźnię na ich parawanach i porcelanie. Nietylko nie zdawaliśmy sobie sprawy o ekonomicznych warunkach ich bytu, ale drażniliśmy bez ustanku ich miłość własną i poczucie osobistéj godności. Nie było najmniejszéj logiki w tém postępowaniu. Wysławiać postępy i cywilizacyjne zdobycze Japończyków, a jednocześnie traktować ich jak barbarzyńców, stawiać przesadzone wymagania przy zawieraniu traktatów handlowych, jak np. zachowanie juryzdykcyi nad Europejczykami osiadłymi wpośród nich, musiało doprowadzić do gorączkowego z ich strony żądania zadośćuczynienia moralnego. Japonia pragnęła stanąć przed światem jako wielkie mocarstwo, dojrzałe, samodzielne, swego państwowego zadania świadome. Potrafiła w swém wnętrzu dokonać nieprawdopodobnych nieledwie przeisto-

---

[1]) Patrz „Ateneum“, lipiec 1893 r.

czeń, postawiła na gruzach wielowiekowego feudalizmu monarchię parlamentarną, stworzyła przemysł rywalizujący z europejskim i wyciskający go z dawniejszych jego stanowisk, dokonywa roboty publiczne, które w podziw wprawiają inżynierów najwytrawniejszych, posiada armię lądową i morską, które uznano za nieposzlakowane, a mimo tego wszystkiego mocarstwa europejskie nie brały jéj interesów w rachunek, poniewierały takowemi. W miarę jak się mnożą i ścieśniają komunikacye pomiędzy nowym a starym światem, ocean Spokojny ze swemi lądami i wybrzeżami nabiera coraz większego znaczenia, i Japonia zaczynała podejrzéwać, że Europa zechce uregulować wiążące się z nim kwestye bez jéj współudziału. Uznała tedy za konieczne powiedziéć przy pierwszéj sposobności swoje *quos ego* i oznajmić wszechświatu, iż pominiętą być nie chce i nie może. Ci, co utrzymywali, że rząd japoński rzucił się do wojny, ażeby wyjść z trudności parlamentarnych i skruszyć opozycyę, tak samo jak ci, co widzieli w wojnie pragnienie wojskowego stronnictwa ujawnienia swojéj siły, kładą nacisk na drugorzędne względy, istniejące wprawdzie ale nie rozstrzygające, zamiast zrozuméć, że naród młody, silny, energiczny, czuł moralną potrzebę zamanifestowania swego wyjścia z małoletności.

Nie można miéć najmniejszéj wątpliwości, że Japonia swój egzamin dojrzałości złożyła, i świetnie. Jéj armia wynosząca z dwoma rezerwami 270,179 żołnierza, okazała się nietylko waleczną na polach bitew, wytrzymałą, zahartowaną, ale karną, wybornie wyćwiczoną. Żadna, najlepsza europejska nie może jéj lekceważyć na przyszłość. Jéj arsenały w Koishikawa, jéj sztab generalny, jéj intendentura, ciało lekarskie etc., wszystkie składowe części, cała organizacya wojska okazała się przedziwną. Wszystkie przewidywania specyalistów militarnych zostały przewyższone. Nie potrzeba już mówić dzisiaj o Chińczykach, których pobili na głowę, bo wszelkie iluzye pod tym względem się rozwiały, ale myśléć należy o europejskich armiach, ruskiéj albo francuskiéj, z którémi Japończycy spotkać by się mogli. Nie ma dzisiaj w generalnych sztabach tych dwóch armii żadnego zapewne wytrawnego wodza, któryby nie pojmował, że będzie miał w Japończykach tém groźniejszego przeciwnika, iż posiadając taktyczną doskonałość europejską, będą mogli dodać do niéj zapamiętałość azyatyckiéj dziczy, rozbudzoną gdy się dwóm wrogim rasom z sobą zetrzéć przyjdzie.

To samo można powiedziéć o marynarce japońskiéj. Wyspiarze, od dziecińśtwa przywykli do morza, oddawna w posiadaniu dobréj floty handlowéj będący, Japończycy dopiéro od epoki swego

odrodzenia wzięli się do organizowania wojennéj. Nie można jéj wprawdzie zaimprowizować, ale ponieważ od razu obrali sobie za wzór angielską, ponieważ wszystkie warstwy narodowe rywalizowały w entuzyazmie ku stworzeniu silnéj marynarki narodowéj, ponieważ budżet i ofiary prywatne sypały miliony, już w przededniu wojny posiadali ją tedy nieliczną, ale stojącą na wysokości najwyższych wymagań. W świeżéj mamy pamięci co za wielkich czynów dokazała ona w ostatniéj wojnie, jak złamała morską potęgę Chin i całą jéj flotę zdobyła. Obecnie wszystkie chińskie kolosy morskie są przerabiane na japońskie i gdy pod jéj kolorami wypłyną na wody łącznie z dawniejszą, co już chrzest wojenny otrzymała, flotą krajową, to odrazu marynarka ich zostaje potęgą. Gdyby nawet zwycięstwo nad Chinami nie było przyniosło im innéj korzyści, to już ta jedna opłaciłaby sowicie wysiłki patryotyczne. Na wodach oceanu Spokojnego flota Japonii nie ma już azyatyckiego rywala, i można śmiało powiedziéć, że miéć go nie będzie. Jest uprawnioną do wszelkich nadziei, a ci co sobie przypominają, że była mowa czas jakiś, po interwencyi rusko-francusko-niemieckiéj, co położyła kres wygórowanym pretensyom Japończyków, o napaści tych ostatnich na posiadłości ruskie w Azyi, zrozumieją, że nadzieje te nie grzeszą przesadą.

Jeżeli potęga wojenna Japonii mierzyć się może dzisiaj z jakąbądź europejską, to pod względem przemysłowo-handlowym dokonała ona takiéj saméj rewolucyi i poszczycić się może takiemi samemi sukcesami. Świeżo p. Józef Kenig, streszczając dla czytelników „Ateneum” broszurę długoletniego posła niemieckiego w Chinach, W. von Brandta, *Die Zukunft Ostasiens*, przedstawił cały szereg cyfr i faktów, które usuną wszelką wątpliwość co do pełnego rozkwitu japońskiego przemysłu i handlu. Nie potrzebujemy powtarzać, ani specyalnie podnosić tych danych. Są one potwierdzane w sprawozdaniach konsulów angielskich, z których wyciągi znajdują się u obu naszych autorów. Nawet w braku wszelkich innych warunków, taniość robotnika, z którą Europa nigdy rywalizować nie będzie mogła, sprowadzi uprzywilejowane stanowisko dla wyrobów japońskich, skoro je obecnie fabrykować umieją tak dobrze, jak na zachodzie Europy. Wyzyskują oni robotników, jak to miało miejsce u nas w pierwszéj połowie ubiegającego stulecia po zaprowadzeniu machin. Ale jeżeli robotnik europejski potrzebował pół wieku, ażeby się z tego niewolnictwa wyzwolić, to oczywista, że na wschodzie dłuższego czasu wymagać będzie owa emancypacya robotnicza i idące za nią podrożenie wytworów rękodzielniczych. Stoi tedy

jako matematyczny pewnik, że Japonia stanie się potężnym, z każdym rokiem potężniejszym rywalem przemysłu Europy. Już dzisiaj coraz mniéj potrzebuje ona naszych towarów. P. Troup, konsul angielski w Jokohamie, wykazał, że w epoce pomiędzy 1873 a 1892 r., to jest w ciągu ostatnich lat dwudziestu, dowóz towarów do Japonii wzrosł tylko z 26 do 74 milionów dolarów, kiedy jednocześnie jéj wywóz wzrosł od 20 do 91 milionów. Nietylko więc Europa utraci wkrótce rynek handlowy japoński, ale znajdzie Japończyków na wszystkich azyatyckich, a potém i na swoich własnych. Jakiekolwiek przeszkody położy Europa zawojowaniu przez nich rynku chińskiego, Japończycy dzięki sąsiedztwu, powinowactwu rasowemu i wspólności cywilizacyi pierwotnéj, będą tam posiadać wyższość nad nami.

W takim stanie rzeczy nabiera dla Europy nadzwyczajnéj wagi zawarcie traktatów handlowych z Japonią. Traktaty 1866 roku spętały jéj swobodę i chociaż służyło jéj prawo wypowiedzenia tychże nie uczyniła tego w przeświadczeniu, że nie byłaby otrzymała tego równouprawnienia które stało się jéj głównym celem i w nadziei, że niedaleką jest chwila, w któréj potrafi je urzeczywistnić. Aż do roku zeszłego Europa traktowała wyemancypowaną, rozwiniętą, rozbudzoną we wszystkich kierunkach Japonię jakby była jeszcze pogrążona w feudalnéj nieruchomości, a półtrzecia tysiąca osiadłych tam europejczyków, posiadałoprawa i przywileje, którym ani uchybić ani ukrócić ich nie mogła z jakimkolwiek przychodziłoby to jéj uszczerbkiem. W r. 1882 hrabia Inouye zaproponował szesnastu mocarstwom swobodę handlową i w zamian żądał jedynie zniesienia juryzdykcyi konsularnéj, ale one, a głównie W. Brytania, odrzuciły tę propozycyę. W kilka lat późniéj nowe, bardzo umiarkowane propozycye hrabiego Okuma rozbiły się o tę samą złą wolę, chociaż Stany Zjednoczone, Niemcy, Francya i Rosya okazały się już powolniejszemi. Ale właśnie Anglia, najzawziętsza przez tak długi czas, była najszybszą w odwrocie gdy się przekonała że Japonia dłużéj nie pozwoli się wyzyskiwać. Ona pierwsza zawarła traktat handlowy z Japonią. Został on zaratyfikowany jednocześnie z rozpoczęciem wojny japońsko-chińskiéj. Ta jedna okoliczność wystarcza już do zrozumienia, że Anglia powstrzymała się od wywierania nacisku moralnego na Japonię w chwili, gdy uczyniły to gabinety berliński, paryski i petersburski. Mocą tego traktatu handlowego, Japonia wejdzie po pięciu latach w posiadanie całkowitej samodzielności sądowniczéj, tak samo jak możności zmieniania swéj taryfy celnéj. Gdy inne wielkie mocarstwa ukończą z Japonią roko-

wania handlowe, które toczą się obecnie i które naturalnie wzorują się na traktacie angielsko-japońskim, nowy porządek rzeczy w dziedzinie ekonomicznéj tam nastąpi, i wtedy dopiéro będzie można powiedziéć, że Japonia weszła do grona pierwszorzędnych cywilizowanych mocarstw.

W przeświadczeniu, że musi otrzymać to zadośćuczynienie moralne, a nie tracąc z oka ani na chwilę warunków do zapewnienia swéj przyszłości niezbędnych, Japonia powzięła była zamiar rozszerzenia i ugruntowania swojéj potęgi państwowéj. Jéj starcie z Koreą i Chinami było oddawna przewidywane i stawało się nieuniknionem. Wystarczy przypomniéć sobie, że Japonia jest małym kraikiem o 40 milionach mieszkańców w porównaniu z kolosem chińskim, który ma ich 350 z okładem. Wprawdzie barbarzyństwo i zastój Chin zmniejszało znacznie ową liczebną przewagę, ale gdyby się Chiny były zbudziły ze swego letargu i weszły na tę drogę reform, która spotęgowała siły organiczne Japonii, to ta natychmiast znalazłaby się jeżeli nie pochłoniętą, to przynajmniéj znacznie osłabioną. Marzenie o hegemonii w Azyi stałoby się wtedy raz na zawsze niemożliwém do urzeczywistnienia. Japonia zdawała sobie sprawę, że nie ma czasu do stracenia i że wypada jéj stoczyć walkę z Chinami pierwéj aniżeli one staną się niepokonalnemi. P. Norman podnosi w tym antognizmie japońsko-chińskim jeden jeszcze czynnik, który nigdy dotąd nie był należycie uwzględniany. Chcąc wyswobodzić Azyę z pod wpływu europejskiego i zapewnić jéj całkowitą niezależność, Japończycy ze wzgardą i wstrętem spoglądali na Chiny jako główną przeszkodę do osiągnięcia tego wielkiego celu. Nieruchome, leniwe Chiny wyzyskiwane były przez europejskie mocarstwa handlowo i finansowo, były niewolnikiem Europy, zdrajcą idei azyatyckiéj rasy, samodzielnéj u siebie. Wyswobodzić je z tego jarzma, z tego lennictwa, zawrzeć z niemi w przyszłości rodzaj federacyjnego związku przeciwko obcym rasom i narodom: oto idea, która jest dla wielu światłych Japończyków przewodnią. Jeżeli tedy Japończycy potrzebowali skruszyć potęgę Chin naprzód dla zrównoważenia swych sił, jeżeli należało im osiągnąć przez wojnę jaknajwiększe zdobycze terytoryalne i takie warunki handlowe i finansowe ażeby zawsze módz w nich interweniować, to następnie wypadało im zawiązać z niemi sojusz i przygotować, wspólnemi siłami, ów pakt odporny przeciwko Europie, którego konieczności najbardziéj nawet ucywilizowani Japończycy nie tracą z uwagi.

Ale, jak się samo przez się rozumié, to ma być dziełem przyszłości bliższéj lub dalszéj, kiedy zadaniem dnia bieżącego było

osłabienie potęgi chińskiéj i uczynienie na niéj jaknajwiększych zdobyczy terytoryalnych. Przyłączenie do Japonii archipelagu Liu-Kiu, który jest niejako jéj przedłużeniem i węzłem z wielką wyspą Formozą, która także do niéj wcieloną być musi, a następnie zawładnięcie Koreą bądź bezpośrednie, bądź w formie protektoratu: oto co każdy Japończyk uważał za konieczny, za nieunikniony owoc wojny. Byli tacy, co marzyli o opanowaniu całych Chin, o poddaniu ich swemu zwierzchnictwu, ale nie potrzeba takiéj patryotycznéj gorączki kłaść na karb rządu japońskiego. Łatwość zresztą, z jaką on cofnął swe pretensye do stałego lądu chińskiego, świadczy że miał dlań tylko dodatkowe znaczenie.

Biorąc Europę za zbiorowe ciało i pomijając na chwilę odrębne interesa, jakie może posiadać to lub owo jéj mocarstwo, przypuszczając daléj że jest jéj zamiarem ustalić i rozszerzyć swój wpływ i przewagę w Azyi, nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że przeciwnikiem jéj nie są Chiny, ale Japonia. Wiedzieli o tém przed ostatnią wojną niektórzy, obecnie wiedzą już wszyscy. Terytoryalne rozmiary Chin i ich ludność przestały nas oślepiać. Gdy przed paru laty, Juliusz Ferry, jedyny genialny mąż stanu, jakiego spłodziła trzecia Rzeczpospolita francuska, powiedział owe niezapomniane słowo: *la Chine est une quantité negligeable*, drwili z niego jego nieprzejednani przeciwnicy polityczni. Głęboka prawda tego poglądu bije w oczy słoneczną jasnością. Z Chinami da sobie radę Europa. Ale czy da sobie radę z Japonią? Nie można przypuszczać, żeby cywilizacya jéj runęła pod reakcyą staro-azyatyckiéj rutyny i fanatyzmu. Nie ma widoku, ażeby bój udyscyplinowanéj oligarchii z ambitną ale jeszcze nie ujętą w karby demokracyą sparaliżował jéj siły państwowe. Przez swój organizm wojskowy tak samo jak przez rowijający się szybko przemysł i handel, Japonia stała się już pierwszorzędną potęgą i wzrastać będzie przez nowe zdobycze, nowe kraje które posiadła, nowe kapitały które otrzymała. Japonia w dodatku czuje się naturalną przewodniczką Azyi, jéj mistrzynią. Zakreśliła sobie cel wciągnąć w sferę swéj działalności Chiny i cały świat wschodnio-azyatycki i zapanować na wszech wodach oceanu Spokojnego. Nieliczny będzie prawdopodobnie zastęp optymistów, obiektywnych spostrzegaczy albo zwolenników paradoksów którzy takiéj roli Japonii przyklaskiwać będą. Ogół zrozumiał już i nie zatraci swego przekonania, że w niéj mamy na azyatyckim wschodzie jedynego groźnego współzawodnika.

Będzie miała czas Europa zakréślić linię wytyczną swéj polityki względem Japonii, a sam ogrom wchodzących tutaj w grę inte-

resów wyklucza wszelką porywczość albo choćby tylko doraźność. Lecz leżało w naturze rzeczy, że pierwsza kwestya, którą sobie postawiono, było: czy jako środek obronny przeciwko hegemonii japońskiéj nie należy obrać Chin, czy państwo to nie może w ten lub ów sposób dać kompensaty Europie, wypieranéj ze swych szańców azyatyckich.

Nie odpowiedziano jasno na to pytanie i tak samo dzisiaj gdy gliniane nogi, na których stał kolos chiński, runęły, jak przedtem gdy wydawały się silnemi, Europa zdaje się być w kłopocie. To zaślepienie, w jakiém zostawała tak długo co do istotnéj potęgi Chin, nie minęło jeszcze zupełnie. Stwierdzając ogrom przestrzeni przez nie zajmowanéj, licząc setki milionów ich mieszkańców, pomnąc na tysiące lat, które ich cywilizacya przetrwała, Europa nie może zżyć się z myślą, że jest to olbrzym pozbawiony duszy, że to organizm w rozkładzie. Jedna tylko prawda nie ulega już dzisiaj żadnéj wątpliwości, mianowicie, że nadal nie może pozostać takim jakim był dotąd, istnieją natomiast różnice w zapatrywaniach co do sposobu, w jakim do dzieła jego odrodzenia wziąć się należy, czy przez rozbiór czy przez reorganizacyę.

Nie można żadnemu z dwóch angielskich pisarzy naszych czynić zarzutu, ażeby żywił illuzye co do potęgi Chin. Zasługa p. Curzona tém większa jest pod tym względem, że wydział spraw zagranicznych angielskich, do którego on należał, upiérał się systematycznie przy swoich optymistycznych poglądach. Nie można także powiedzieć, ażeby opóźnił się ze swémi wróżbami, i odmalował słabość i dezorganizacyę Chin dopiéro po ich zmiażdżeniu przez Japonię, bo uczynił to przedtém. Nikt nie napiętnował wyraziściéj od p. Curzona haniebności administracyi chińskiéj, tego mandarynatu nieruchomego, spełniającego mechanicznie zewnętrzną, formalistyczną część swych obowiązków ale pozbawionego uczciwości, przedajnego, tłumiącego wszelką inicyatywę, pełnego arogancyi, przesądów, zaślepienia. Kraj oddany na pastwę takiéj administracyi skazany jest na zgniliznę. Niema tam najmniejszego popędu do reform, żadnéj chęci odrodzenia się przez przyswojenie sobie dodatnich pierwiastków innych cywilizacyi. Na straży stoi smok zarozumiałości i pogardy dla wszystkiego co obce. Straciły Chiny w ciągu ostatniego pół wieku Siam, Birmanię, Anam, Tonkin, część Mandżuryi, widziały swe stolice w ręku cudzoziemców a pomimo to nie zdobywają się na żaden postęp, na żadną reformę, któraby ocalić je mogła. Pogrążają się w głęboki zastój i pozwalają marnować się, gnić ekonomicznym bogactwom, w które obfitują. Machina rządowa i cha-

rakter narodowy zdają się zarówno wykluczać wszelkie podobieństwo przeistoczenia.

Ta niedostępność Chin dla metod europejskich po sto razy się udowodniła w pracach publicznych, w budowie dróg żelaznych, w wyzyskiwaniu kopalni, w przemyśle i handlu. Ale nigdzie nie ujawniła się dobitniéj jak w systemacie wojennym, w armii i marynarce. Po wojnie francuskiéj 1884/5 roku, pod wpływem Li-Hung Czanga, najświatlejszego, jedynego światłego rzec można męża stanu jakiego posiadają, utworzono w Chinach liczne arsenały, zbudowano forty, zaopatrzono kraj w najznakomitszą artyleryę, broń i amunicyę. Wielu cudzoziemskich oficerów, po większéj części niemieckich, zajęło się organizacyą ich armii. Liczebnie miała ona w przededniu ostatniéj wojny wynosić 651,000 żołnierza i 7,157 oficerów. W istocie nie jest to regularna armia w naszém słowa tego pojęciu, ale rodzaj milicyi. Nawet gdyby była doskonałą, armia taka nie byłaby w stanie obronić granic chińskich przed europejskiemi armiami, przedzierającemi się do niéj z północy i południa. Mając w świeżej pamięci haniebny sposób, w jaki żołnierze chińscy rzucali broń, opuszczali niezdobyte fortece, oddawali bez oporu armaty, amunicyę kosztujące miliony, niema najmniejszéj potrzeby rozwodzić się nad niedostatkami ich armii. Żadne przechwałki, żadne wymówki nie są w stanie zmienić sądu, jaki o ujemnej wartości jéj wydał świat europejski. To co powiedział o armii chińskiéj generał Przewalski albo Gordon, chociaż obaj z odmiennego się na nią zapatrywali stanowiska, okazało się najzupełniéj prawdziwém: nie istnieje ona jako taka.

To samo da się powiedziéć o ich marynarce, portach i morskich arsenałach. Wiedziano powszechnie, że posiadały siedm znakomitych, pierwszorzędnych arsenałów i portów, a dwa z nich Wei-Hai-Wei i Lu-Szun-Kon czyli Port-Arthur uważane były, przez specyalistów za ostatnie słowo postępu w téj gałęzi. Oprócz tego mieli Chińczycy wspaniałą flotę wojenną, podzieloną na cztery eskadry, wynoszącą 65 okrętów wojennych a w ich liczbie cztery przepotężne pancerniki. Uzbrojenie tych okrętów, dokonane przez sir K. Armstronga i Kruppa, nie zostawiało nic do życzenia. Zaniedbując obronę ze strony lądowéj, gdzie się im wydawało że żadne niebezpieczeństwo nie grozi, Chińczycy pamiętni porażek poniesionych od Anglii i od Francyi, z wielką energią i olbrzymiemi nakładami stworzyli w ciągu ostatniego lat dziesiątka ową siłę morską, która liczebnie przynajmniéj i na papiérze nie miała rywala. Wiemy co się z nią stało, wiemy jak owe silne arsenały zostały nikczemnie oddane

w ręce najezdnika, jak niedołężną była obrona, jak flota stała się łatwym łupem Japończyków. Cała ta historya dnia wczorajszego wydaje się nieprawdopodobną. Ażeby ją zrozumieć trzeba czytać w dziele p. Normana cały szereg opisów gospodarki chińskiéj w arsenałach, portach i na pokładach okrętów. Takich rysów, takich anegdot wymyślić nie podobna. Muszą one wyrobić w umyśle każdego uważniejszego czytelnika przeświadczenie, że na nic się nie zda dostarczanie takiemu narodowi doskonałych środków obronnych, gdyż nie umié i nie chce ich zużytkować.

Na raka toczącego wnętrze tego organizmu nie ma ratunku. Nie może być mowy o odrodzeniu Chin, o wprowadzeniu do ich ustroju społecznego i państwowego pierwiastków europejskich. Nawet straszna nauka, otrzymana w obecnéj wojnie z Japonią, nie pobudzi ich do kroków w tym kierunku. Zbyt ciężki to organizm, zbyt nieruchoma to bryła ażeby taka radykalna reforma była tam możliwa. Nawet gdyby inicyatywa śmiała wyszła od piastuna najwyższéj władzy, od cesarza Kuang Hsu, to sparaliżowana by została przez mandarynat. Jeżeli w Japonii rewolucya wewnętrzna dała się przeprowadzić, rzec można, bez oporu, to stało się to dzięki współdziałaniu narodu z rządem. Wszystkich warunków brakuje do tego w Chinach.

Europa, uspokojona z jednéj strony co do siły podbójczej i napastniczéj Chin, z drugiéj przeświadczona że nie ma podobieństwa odrodzić ich i wciągnąć w system produkcyjnej, cywilizacyjnej działalności zachodniéj, nie może zapatrywać się inaczéj na nie jak tylko na surowy materyał, który przerobić i zużytkować należy jaknajkorzystniéj dla swych własnych interesów. Nie ma nic nowego w téj polityce, gdyż oddawna już mocarstwa europejskie, jedne natarczywie i energicznie, drugie powolnie i systematycznie, do tego zmierzały celu. Ale obecnie po ostatniéj wojnie, po udowodnieniu siły Japonii, po stwierdzeniu jéj dalekonośnych ambicyi, stał się ten obowiązek bardziéj naglącym. Ani Anglia, która stanęła pozornie przy końcu wojny po stronie Japonii, ani Niemcy, Francya i Rosya które ujęły się za Chinami, nie mają, nie mogą żywić sympatyi dla tych ostatnich. Skoro niepodobna już użyć ich jako puklerza przeciwko Japonii, bo nie wytrzymałby najsłabszéj nowéj napaści, to trzeba zająć tak silne stanowisko na terytoryum chińskiém, w jego finansowéj, handlowéj przemysłowéj etc. działalności, ażeby Japonia znalazła tam przeciwko sobie skojarzone czynniki, którym przy całéj swéj przedsiębiorczości, pokrewieństwie rasowém i bezpośredniém sąsiedztwie podołać by nie mogła.

Polityka angielska w Chinach była zawsze jasną, systematyczną i nie przebierała w środkach ażeby celu swego dopiąć. Celem tym było przedewszystkiém otworzyć rynek chiński dla wyrobów przemysłu angielskiego i zabezpieczyć sobie odsetki i zwrot wypożyczonych kapitałów przez ścisłą kontrolę nad dochodami skarbowemi Chin. Sam w sobie cel to był godziwy i każde z mocarstw europejskich pragnęło dla siebie takich samych korzyści. Ale dzięki energii z jaką Anglicy ten ekonomiczny swój programat spełniali, przekraczał on właściwy sobie zakres i takiéj nabierał elastyczności, że gdy zaczęli mówić o swym protektoracie przyszłym w państwie Niebieskiém, reszta Europy spostrzegła, iż uczynili już oni nie małe kroki gwoli uczeczywistnieniu tego zamiaru.

Anglia uorganizowała sobie w Chinach *imperium in imperio*, wziąwszy w swe ręce zarząd komor celnych. Wielki ten rezultat osiągnięty został stopniowo, i rozwinął się z niedojrzanych prawie początków, dzięki niestrudzonéj działalności, wytrwałości i energii człowieka, który jest bez najmniejszego wątpienia jednym z najznakomitszych obywateli jakich kiedykolwiek posiadała Wielka Brytania. Mówimy o *sir* Robercie Hart, generalnym inspektorze komór chińskich. Od trzydziestu pięciu lat na miejscu, z początku jako konsul przy utworzoném w 1859 r. biurze komór celnych, jest on od 1863 naczelnym ich inspektorem. Można powiedziéć, że po wice królu Li-Hung-Czang jest on najpierwszą osobistością w Chinach, jedynym europejczykiem, do którego rząd chiński ma nieograniczone zaufanie. Posiada on wszystkie honory i dostojeństwa, jakie tylko mąż stanu może otrzymać. Odrzucił, jak wiadomo, stanowisko ambasadora w Pekinie urzędownie mu powierzone, ażeby pozostać na tém, które mu pozwala trzymać puls całych Chin w swych rękach. Nie można się dziwić, że Chińczycy udzielili mu samowładzy dyktatorskiéj, gdyż usługi jakie im oddał nie dadzą się ani wyliczyć ani ocenić. Jeden szczegół da o nich wyobrażenie. Po wojnie francusko-chińskiéj, *sir* Robert Hart został upoważniony do tajemnego negocyowania z Francyą o warunki pokoju bez wiedzy urzędowych ciał Francyi i Chin, a gdy po dziesięciomiesięcznych rokowaniach przedłożył rządowi cesarskiemu traktat ów, otrzymał on bezwzględną i natychmiastową ratyfikacyę.

Ma *sir* Robert Hart w swych ręku zarząd całego morskiego handlu Chin w dwudziestu czterech portach otwartych dla Europejczyków. Jest on zwierzchnikiem 3,500 celników i urzędników, którzy tylko od niego zależą, którym udziela i podnosi pensye, płaci emerytury bez najmniejszéj interwencyi władz miejscowych. Dozo-

ruje on przywóz i wywóz towarów przenoszący sumę 44,000,000 funtów szt. rocznie i obejmujący 30,000,000 ton, podnosi cło od 3 do 5,000,000 funtów szt. Rząd chiński, który był przedtem okradany przez swoich krajowych urzędników i mandarynów, posiada w dochodach celnych zawiadywanych przezeń, jedyne nigdy go nie zawodzące źródło i do niego téż udaje się we wszystkich naglących trudnościach pieniężnych. Każda pożyczka zagraniczna jest dlań łatwa, gdy jéj rękojmią stają się dochody celne. Uorganizowawszy całą flotylę nadbrzeżną dla dozoru wywozu i ścigania przemytników, wziąwszy na siebie budowę i utrzymanie latarni morskich na 1,800 milach wybrzeży, postawił on handel Chin na świetnym stopniu rozwoju. Jak naturalna, przedewszystkiém ciągną zeń korzyści Anglicy. W r. 1893 z sumy 44,665,855 f. szt. którą wynosił handel morski, przypadało na Wielką Brytanię i jéj kolonie indyjskie, australskie, afrykańskie i amerykańskie nie mniéj jak 32,618,373 f. sz., czyli 73% całego zewnętrznego handlu chińskiego. Z 10,000 cudzoziemców osiedlonych w 1892 r., w 24 portach chińskich, samych Anglików było 4,000, Amerykanów 1,200, Francuzów zaś tylko 900, Niemców 750, i t. d.

Nie można się dziwić, że Anglicy zżyli się z myślą, iż i w przyszłości handel chiński zostanie pod ich zawiadywaniem. Kwestya ewentualnego następstwa po *sir* Robercie Hart zaprząta ich oddawna. Nie zdawało się im ażeby jakikolwiek inny Europejczyk mógł o nie pretendować. Nie ma wątpienia, że woleliby widzieć je, w ostatecznym razie, w ręku władz chińskich, nawet wice króla Li, aniżeli jakiegokolwiek współzawodnika europejskiego: powody tego pierwszeństwa są jasne. W ten lub ów sposób zawsze z Chińczykami dadzą sobie radę. Łatwo tedy wyobrazić sobie pognębiające wrażenie, jakie wywołała w Anglii wiadomość o pożyczce 16,000,000 f. szt. którą rząd ruski świeżo udzielił Chińskiemu jako pierwszą ratę characzu wojennego dla Japonii. Ten niezaprzeczony sukces dyplomacyi rosyjskiéj obudził w umysłach angielskich zmorę dzielenia z Rosyą nadzoru i kontroli nad handlem morskim Chin. Jeżeli na owych małych statkach żeglujących pod żółtą flagą i uwijających się wzdłuż wybrzeży chińskich obok angielskich celników mają się w przyszłości rozsiadać ruscy, to pierzcha nadzieja monopolizowania nadal cesarstwa niebieskiego. Jakikolwiek będzie los przyszłych pożyczek i jakiekolwiek ich materyalne rękojmie, Anglicy zrozumieli, iż silny grunt, który dotąd mieli pod sobą, z pod nóg im się usuwa.

A nie jedyny to cios, który ich dotknął. Traktat, jaki Francya zawarła świéżo z Chinami, oddał w ręce Francuzów trzy potężne prowincye południowe, przyległe do Tonkinu. Nie tylko że będą oni mieli tam wolny wstęp dla swych towarów, korzystać będą ze zmniejszonych ceł, ale otrzymują przywileje budowania dróg żelaznych i przedsiębrania robót publicznych. Napróżno starała się dyplomacya angielska stworzyć pomiędzy Indo-Chinami francuskiemi a Chinami sztuczny pas graniczny, któryby faktycznie stosunki handlowe niezmiernie utrudnił: zabiegi te spełzły na niczém. Straciła Yunnan. Strata to nieodżałowana. Pozostaje jéj wprawdzie, korzystając z sąsiedztwa Kuang-Su-Shan-Tungu i Hunanu z Birmanią, nad którą świeżo swój protektorat rozciągnęła, otrzymać w tych prowincyach takie same korzyści i przywileje, jakie Francya otrzymała w Yunnanie. Nie potrzeba być prorokiem, ażeby przewidziéć, że dyplomacya angielska w tym kierunku działać będzie. Ale jak łatwo zrozumieć, nie jest chwilowo rząd angielski *in odore sanctitatis* u Chińczyków i trudniéj mu teraz przyjdzie otrzymać mniejsze aniżeli uprzednio wielkie nawet ustępstwa. Dyplomacya chińska umié, jak żadna inna, majaczyć i nużyć zwłokami bez końca. Wyzyskiwanie jasno już zarysowanéj rywalizacyi mocarstw europejskich podniesione zostanie przez nią do wysokości zasady kierowniczéj.

Można tedy powiedziéć, że dla Anglików wynik wojny japońsko-hińskiéj stał się epoką niezmiernie ważnego zwrotu w polityce azyatyckiéj. Nie mieli oni zamiaru zawojować Chin, ale widokiem ich było opanować wszystkie źródła bytu materyalnego, ściągnąć do swych kanałów ekonomiczno-finansowe czynniki istniejące w olbrzymich zakresach niebieskiego cesarstwa. Po wielekroć i oddawna wypowiadany ten plan został ponownie sformułowany przez p. Curzona. Wypadałoby tu zacytować cały 9-ty rozdział jego: *China and the Powers*, oraz dwa ostatnie o przeznaczeniu Wschodu azyatyckiego i o stanowisku Wielkiéj Brytanii wśród niego. Dość jednak będzie powiedziéć, że zasadniczym punktem, osią polityki angielskiéj na wschodzie azyatyckim ma być wpojenie w narody i w rządy Japonii i Chin, że ich naturalnym sojusznikiem i przyjacielem jest Wielka Brytania a ich jedynym niebezpiecznym wrogiem—Rosya. Japonii ma Rosya grozić na stałym lądzie przeszkadzając jéj zawładnąć Koreą a na morzu przez zawładnięcie żeglugą na oceanie Spokojnym, gdy po przekopaniu kanału międzymorza Amerykańskiego i po otworzeniu drogi żelaznej syberyjskiejześrodkuje się tam handlowy obrót wszechświata. Nie trudno dojrzéć że argumenta angielskiego męża stanu są naciągane a co naj-

mniéj przesadzone. Łatwiéj mu naturalnie wykazać sprzeczność pomiędzy interesami Chin a Rosyi. Przypomina, że ta ostatnia grozi ich granicom przez Pamir, że zdąża do owładnięcia Tybetem, Mandżuryą, Koreą, że dzięki drodze żelaznéj syberyjskiéj jest w stanie na jakimkolwiek punkcie linii na 3,500 mil długiej zalać terytoryum chińskie swemi armiami. Ponieważ jednocześnie dyplomacya angielska zamierza pokazać na wszystkich tych zagrożonych kresach solidarność interesów Wielkiej Brytanii i Chin, zatém wydaje się politykom angielskim — należy raczéj powiedzieć: wydawało się — nader prawdopodobném tak osłabić stosunki pomiędzy Rosyą a Chinami, tak je drażliwemi uczynić; ażeby się w téj atmosferze zatrutéj samorodnie potém wytwarzały przywileje i korzyści dla Wielkiej Brytanii. Na jednym już punkcie wszelako obrachowania polityki angielskiéj całkowite poniosły porażkę. Ażeby ów antagonizm przeciwko Rosyi rozwijał się na azyatyckim wschodzie potrzeba było porozumienia, jednolitości i poufałych stosunków pomiędzy Japonią a Chinami. Do nich téż p. Curzon, w przededniu jeszcze wojny, namawiał i gorąco zachęcał. Wiemy, że wypadki wzięły wręcz przeciwny kierunek i o ile dozwoloném jest stawiać w tego rodzaju sprawach horoskop dla przyszłości, można powiedziéć, że o takiém porozumieniu pomiędzy wczorajszymi wrogami długo, długo jeszcze nie będzie mogło być mowy. Co do drugiego punktu, do stałego rozniecania nieufności i podejrzeń w chińskich sferach urzędowych przeciwko Rosyi, wiemy także, iż Anglicy się przerachowali. Rosya skorzystała szybko i umiejętnie z kłopotów Chin, oddała im cenną usługę a jakikolwiek może być rozmiar ustępstw otrzymanych w zamian, pozycya jéj stała się już i stawać się będzie zbyt potężną, ażeby tak łatwo przyszło dyplomacyi angielskiej ją podkopać. Plany téj ostatniéj w każdym razie o tyle muszą uledz zmianie, że tam gdzie spodziewała się miéć otwarte pole i nie napotkać rywala europejskiego, będzie miała do czynienia w mniejszych rozmiarach z Francyą, w większych z Rosyą. Mimochodem należy także potrącić o Niemcy. Nie ma powodu przypuszczać, ażeby za udzieloną Cbinom pomoc dyplomatyczną one jedne okazały się bezinteresownemi. Nie leży to w ich charakterze i obyczajach i nie byłoby to nawet na miejscu. Zbyt wiele chodzi Niemcom o rozszerzenie swego rynku handlowego, ażeby, pomimo braku nawet podstawy kolonialnéj w tych strefach, nie miały wytargować dla siebie korzystnych warunków ekonomicznych.

W swéj trosce o ugruntowanie przewagi na azyatyckim

wschodzie, p. Curzon poruszył wiele punktów na pozór drugorzędnéj a istotnie decydującéj wagi. Wzmiankować choćby należy rozciągnięcie nadzoru i usystematyzowanie działalności sekt misyonarskich które przy obecnym trybie swego postępowania sprawiają rządowi angielskiemu nie mało kłopotu, bez żadnego widocznego dla siebie samych pożytku i reorganizacyą konsulatów, które nie oddają handlowi angielskiemu usług, jakich się on od nich ma prawo spodziéwać. Coraz gwałtowniejsza okaże się tu potrzeba obecnie, gdy rynek chiński stanie się polem współubiegania dla dowozu europejskiego. Nie przestaje on przypominać, że rynek chiński jest jedynêm polem produkcyjnêm dla przemysłu angielskiego i że każdy port, każde miasto, każda wioska przechodząca w ręce Francyi lub Rosyi jest namacalną stratą dla Manchesteru, Bradfordu albo Bombayu. Skoro z 3,340 okrętów, które w 1893 r. przeszły przez kanał Suezki, nie mniéj jak 2,400 było angielskich a tylko 270 niemieckich, 190 francuzkich i 180 holenderskich, Anglia ma takie pierwszeństwo handlowe, iż może, iż powinna i nadal dla siebie je zabezpieczyć. Ma zresztą i inny przywiléj, natury idealnéj. Jako władczyni Indyi, kraju, z którym żaden inny w oczach Azyatów równać się nie może, Anglia otoczona jest aureolą wielkości i potęgi nieograniczonéj. Jest jéj moralnym obowiązkiem utrzymać się na wysokości tych warunków ekonomicznych i tego pierwszeństwa cywilizacyjnego.

Panuje najzupełniejsza zgoda pomiędzy prawém a lewém skrzydłem opinii angielskiéj, tak dobrze uosobionéj w ankiecie dokonanéj przez p. Curzona i p. Normana, co do przewagi interesów angielskich na wschodzie azyatyckim, nad interesami reszty Europy i Ameryki. Inne narody stawiają szumne pretensye, ale nie popierają ich czynami. Anglia działa bez przerwy i każdy rok, każdy miesiąc potęgę jéj zwiększa. Shanghai i Hongkong, dwa emporya angielskie są już i stają się coraz bardziéj środkowemi punktami wszechświatowego obrotu handlowego. Skoro tedy Chiny posiadają dla Anglii tak olbrzymie znaczenie ekonomiczne, skoro, jak utrzymuje bez najmniejszych zastrzeżeń p. Norman, nie dadzą się one ucywilizować, pozostaną barbarzyńskiemi, skoro nie uczynią nigdy najmniejszych ustępstw Europie, chyba pod grozą armat i bagnetów, zatém nie należy zwlekać, lecz skorzystać z chwili bezradnego osłabienia i dezorganizacyi Chin, ażeby wytargować od nich dla siebie jaknajkorzystniejsze warunki. Europa powinna, zdaniem tych pisarzy, przyklaskiwać sukcesom Anglii, gdyż jako hołdowniczka zasady wolnego handlu, uzdalnia ona cały świat cywilizowany

do współubiegania się z nią na nowo otwierających się gościńcach. Przedewszystkiém należy wymódz na Chinach otwarcie wszystkich portów dla handlu europejskiego, a nie kłaść wielkiego nacisku na handel wewnętrzny, gdyż rząd zagwarantować tam powodzenia nie może, a uprzedzenia krajowców stopniowo tylko usunąć się dadzą. Daléj niezbędném będzie otrzymać od rządu chińskiego radykalną zmianę w traktowaniu ambasadorów europejskich: lekceważeni i uważani za lenników, powinni oni otrzymać stanowisko, do którego są uprawnieni. Ta napozór drugorzędna kwestya, ma w Chinach, przesiąkłych formalizmem, znaczenie nadzwyczajne i uregulowanie jéj w myśl interesów europejskich odrazu zapewni im równouprawnienie, o które dotąd bezskutecznie się dobijali. Następnie p. Norman uważa za niezbędne wzmocnienie Hongkongu przez zdobycie, zakup, wymianę etc., innego morskiego emporyum położonego o wiele daléj na północ i uważa, że Chusan zupełnie tym wymaganiom by odpowiedział. Ponieważ mówi o potrzebie ufortyfikowania go, zatém nie ma wątpienia, iż chce w tym wybornym porcie znaléźć podstawę do podboju handlowego Chin środkowych. Pomijając już inne drugorzędne roszczenia, nabrać można przekonania, że plan angielski co do owładnięcia Chinami, jest nakreślony w najdrobniejszych już szczegółach.

Nie ma potrzeby rozszerzać się nad rozmaitemi ewentualnościami przyszłości wschodu azyatyckiego, które stawia rzutna wyobraźnia p. Normana. Jedna z ulubionych kombinacyi, która mu się raz po raz nastręcza, jest sojusz pomiędzy Japonią i Chinami z jednéj strony, a Rosyą i Wielką Brytanią z drugiéj. Jest coś fantastycznego na pierwszy rzut oka w takim poczwórnym aliansie, ale łatwo spostrzedz, że sprowadza się on do potrójnego, bo Chiny mają służyć tylko za łup, albo za zakładnika, który w ręku trzech sojuszników ma dostarczać materyalnego podkładu. Ma więcéj prawa dziwić dopuszczenie Rosyi do współudziału w uregulowaniu kwestyi wschodnio-azyatyckich. Ale Anglicy zbyt jasno i trzeźwo na świat zapatrywać się umieją, aby nie spostrzegli, iż Rosya jest jedyném państwem, z którém w Azyi rachować się powinni. Być może, że zbytecznie lekceważą Francyę, nie wierząc ażeby wytrwała w swéj polityce kolonialnéj i przewidując w niéj bliższą albo dalszą, ale niechybną zmianę frontu. Ale żadnego kaprysu, żadnego nieuzasadnionego wybryku nie mogą przewidywać ze strony Rosyi. Powoli ale stale i otwarcie zmierza ona do uczynienia sobie podwładnym azyatyckiego świata. Nakreślenie drogi żelaznéj syberyjskiéj, zapowiedziało nową, czynniejszą fazę téj polityki. Urzeczywistnienie jéj

musi nieodzownie doprowadzić Rosyę do utworzenia dla siebie portu morskiego, odpowiedniego temu olbrzymiemu dziełu. Władywostok celowi temu nie odpowiada i leży w naturze rzeczy, że Rosya zastąpi go przez inny, który Korea albo Chiny ustąpić jéj będą musiały. Czy Mandżurya ze swymi 10 milionami mieszkańców przyłączona zostanie do Rosyi azyatyckiéj, przyszłość pokaże, ale o wiele pierwéj nastąpić musi uregulowanie południowo-wschodnich granic Syberyi i odstąpienie jéj bądź portu Lazarew w Korei, bądź jakiego innego równoznacznego. O téj konieczności przeświadczona jest publiczność angielska, tak samo jak jéj dyplomacya. Jedyna kwestya, jaką sobie stawiają Anglicy z okiem w przyszłość wytężoném, jest, czy to rzecz nieunikniona, że za tym portem pójść musi i całe terytoryum Korei. Nie udało się Japonii, mimo świetnych swych zwycięstw, zachować jéj dla siebie. Pytanie: czy uda się Chinom zatrzymać ją dla siebie, wydaje się dzisiaj okrutną ironią. Anglia nie pójdzie aż do wypowiedzenia wojny Rosyi, jeżeli ta uzna za właściwe rozciągnąć nad tym dzikim a bezsilnym krajem swój protektorat. Jest tedy zupełnie logiczném następstwem ostatniéj wojny, że Rosya wejdzie w posiadanie Korei. Coraz jaśniéj zdają sobie sprawę Anglicy, że największe zwycięstwo w całym uraganie, co zatrząsł wschodem azyatyckim, dostało się w udziale Rosyi.

N. T.



Zosia w Sorbonie.

Stara zapomniana piosenka uwiadamia potomność że:

„Chciało się Zosi jagódek,
„Kupić ich za co nie miała...“

Ale pustki w kasie nie kłopotały bohatarki piosenki. „Jasio miał pełen ogródek...” Wprawdzie „prosić go o nie nie śmiała”, mówią jedni; „nie chciała”, powiadają drudzy, ale czyż prośba jest jedynym sposobem otrzymania tego, czego się zachciéwa?... Na co sady, jeśli nie dla dobra ogółu?... Na co płoty, jeśli przez nie do zagrody wkroczyć nie można?... Odkąd świat światem a przynajmniéj odkąd płot płotem, takie było jego przeznaczenie. — Praktyka — poprzedzająca, jak wiadomo, teoryę — dowiodła, wprzód nim filozofowie wpadli na myśl że „własność jest kradzieżą”, a różni w różny sposób prostowali krzywdzące nadużycie.

Bohaterka staréj zapomnianéj piosenki (podobna do niejednego z męzkich reformatorów społecznych z tego, że chwytają tém skwapliwiéj hasła im mniéj rozumieją wszechstronną ich doniosłość) stanęła rezolutnie w szeregach armii czynnéj, i kto wié czy nie dla tego czuła się waleczną, że płot z chrustu nie przedstawiał niebotycznych wyżyn, że w sadzie czerwieniły się wiśnie dorodne i soczyste aż (wedle przysłowia) „ślinka szła do ust” na ich widok, że sąsiadem nie jakiś Sinobrody okrutny, ale dziarski parobczak; „do tańca i do różańca, do wypitki i wybitki”.

Rozpoczęła więc Zosia propagandę—faktem.

Jakie były skutki téj propagandy nie tu miejsce opowiadać. Ciekawych odsyła się do wiadomości z pierwszéj ręki, to jest do epopei opiewającéj bohaterskie czyny dziewoi z onych dobrych czasów, w których, nie tak jak dziś, wszystko haniebnie się psuło, bliski koniec świata zwiastując. Pewien niemiecki uczony zapowiada go na rok 1904.

Szkoda! Nie zaznamy chwil równie błogich jak ongi! Dawniéj zachciało się Zosi tylko j a g ó d e k, dziś się jéj zachciewa o w o c ó w wiedzy. Dawniéj wskakiwała do ogrodu — dziś, do uniwersytetu; nie między grzędy lecz do auli, między studentów; nie wiśnie i maliny lecz „grekę" i łacinę gryzą jéj białe ząbki... Przyszło nam żyć w fatalnéj epoce ewolucyi dziejowéj.

Anno Domini 1889, wybrała się nasza Zosia do Sorbony, na studya uniwersyteckie, przy końcu maja, to jest w chwili gdy wykłady zbliżają się ku końcowi, a profesorowie i uczniowie wzdychają do błogiego wakacyjnego wczasu. Wprawdzie, jako kompensatę, wystawa powszechna roztaczała przed jéj olśnionym wzrokiem kwintesencyę kultury i podawała jéj w obrazach, gotową, niby pieczone gołąbki, historyę stopniowego rozwoju ludzkości. Mogła porównywać różnicę między mieszkaniem troglodytów a Europejczyków, między strojem Lapońskim a wyrobami Luwru i „Bon marché", będącemi na zawołanie każdego, byle sakiewka brzęczała złotem.

Zosia chodziła wszędzie, zwiédzała wszystko co się widziéć dawało i trzeba było podziwiać wytrwałość téj małéj osóbki, szastającéj się całemi dniami po wystawach, po muzeach, bibliotekach, galeryach obrazów, krótko mówiąc: po wszystkich kątach Paryża. Na każdéj zaś uroczystości szkolnéj, egzaminach, popisach, „inauguracyach", można było ręczyć z góry, że prezydujący i Zosia stawią się do apelu.

W Sorbonie, obecność młodziutkiéj panienki na niedostępnych jeszcze wówczas dla kobiet wykładach kilku tuzów uniwersyteckich, lub na takich przedmiotach jak sanskryt, zwróciła uwagę. Nikt, się nie domyślił, by Zosia dla tego się znalazła na sanskrycie, że „deszcz lał jak z wiadra", a ona go chciała przeczekać w pierwszéj lepszéj sali; za to wszyscy spostrzegli, że miała drobne ujmujące rysy, przedziwnéj delikatności cerę, jasne, krótko ucięte, rozwichrzone włosy pod wyzywająco odwiniętém skrzydłem rembrandtowskiego kapelusza i najszykowniejszą figurkę pod słońcem, w obcisłym, jasnym kaftaniku. Okrągłą twarzyczkę sparła na dłoni i tak uważnie patrzała profesorowi w oczy, chłonąc dźwięki świętéj mowy brahmańskiéj, jakby ona jéj rodowitą była.

Ten i ów spoglądał bacznie na dziewczynę, baczniéj niż wypada-

ło ze względu na sanskryt i zacnego p. Abla Bergaigne; spotkaną na ulicy możeby nawet zaczepił, tylko kto wié zali na dobre wyszłaby don-żuanowi taka próba. Dziecinnéj twarzyczce Zosi o wysokiém czole i orlim nosku nie brakowało energii, wargi zaś zaginały się w łuk dziwnie stanowczy i dumny. Nie było jednak nic dumnego lub wzgardliwego w usposobieniu dziewczątka; kapryśna natura takiemi je obdarzyła ustami w przewidywaniu zapewne, że będzie musiała nieraz rzec słówko we własnéj obronie i zaakcentować je wyrazem twarzy. Złożyło się bowiem tak jakoś wszystko, że w téj obronie własnéj bardzo często stawać jéj przyszło.

Pani Orlańska odumarła córkę dzieckiem, pan Orlański ożenił się powtórnie, a macocha, tradycyjnym zwyczajem, nie okazała się czułą dla sieroty. Przybywające rodzeństwo usunęło ją, pierworodną, zrazu na drugi plan, następnie na dalszy i biedna Zosia zaznała najboleśniejszéj dla dziecka doli — doli kopciuszka w domu rodzicielskim.

Matka — czy przeczuciem czy znajomością natury ludzkiéj, zwłaszcza mężowskiéj—wiedziona — w testamencie drobiazgowo obmyślanym podczas długiéj, paroletniéj choroby, zawarowała swéj jedynaczce tyle ile mogła swobody i korzyści materyalnych. Od lat szesnastu miała Zosia prawo rozporządzać 5% odsetkami przypadającéj na nią macierzystéj schedy, 20,000 rs. wynoszącéj i obrać zawód wedle swych zdolności lub upodobania.

Tym sposobem, wskutek nadmiernéj troskliwości matki a słabości ojca, który żadnéj ze swych dwóch żon nie umiał stawić oporu, znalazła się bohaterka nasza przed skończeniem pensyi w posiadaniu tysiąca rubli dochodu. Oddać jéj trzeba wszakże tę sprawiedliwość, że większą część zostawiała ojcu do dowolnego rozporządzenia; ale przebywszy rok w domu, zapowiedziała nagle pewnego pięknego dnia przy stole, jedząc naleśniki bzowemi konfiturami przekładane, że się nie czuje na siłach grać roli panny na wydaniu i że chce wyjechać do Paryża, do uniwersytetu.

Kto zna kochany światek nasz, — ten łatwo pojmie wrażenie wywołane podobném *ultimatum*, ale nie łatwo sobie przedstawi sceny jakie się tam potém rozpoczęły. Miał tam być płacz i zgrzytanie zębów... Jednak Zosia-koziołek postawiła na swojém i d. 28 maja, roku pańskiego 1889, jak się rzekło wyżéj, wysiadła przed południem na bruk paryski. Z nietęgą francuzczyzną, przypominającą akcentem: „*vênez, ah vênez chez nous à Kourzele*” a wyrażeniem „*ou est Hryhorko, que fait Hawryło?*”, sama jedna, bez opieki, bez żywéj duszy znajoméj, nie stropiła się wcale. Zebrała była zawczasu potrzebne infor-

macye. Wiedziała, że przy ulicy Flatters, pod Nr. 3, znajduje się tani hotel, którego specyalnością jest lokować cudzoziemską studenteryę, a przy ulicy la Glacière tania kuchnia polska, gdzie można dostać barszczu, zrazów z kaszą i poznajomić się z rodakami.

Jakoż, nim się po wakacyach wykłady rozpoczęły, już Zosia znała całą uczącą się kolonię polską, mówiła do wszystkich studenckim obyczajem: wy, szanowny kolego, szanowna koleżanko, i zdawać się mogło, że zjadła z nimi beczkę soli, tak się wcieliła w ich kółko. Dziewczę miało ufną, potrzebującą kochania naturę i lgnęło do ludzi. Nie znalazłszy serca w rodzinie, szukało go u obcych... Żałośna dola!

Wydział historyczno-literacki obrany przez naszą bohaterkę, nie nęci wogóle polskiéj młodzi, i kto wié czy Zosia nie była w 1889 r. jedyną Polką-studentką w słynnéj na obu świata półkulach wszechnicy. Toż pierwszego dnia wykładów, gdy dziedziniec, sale, biblioteka, zaroiły się ludźmi obcéj mowy i typu, zrobiło się jéj nagle bardzo smutno. Gorącym wzrokiem powiodła wokoło, szukając znajoméj twarzy i nie znalazła ani jednéj. Łzy się zakręciły w oczach, więc zacięła wargi i potrząsła głową, jakby tym ruchem zrzucić chciała z siebie troskę. Ale troska nie odpadła, tylko płowe kędziory rozwichrzyły się więcéj.

— *Sacrebleu!* jaka ponętna koleżaneczka! — rzekł z przyciskiem obok stojący brunecik.

Ale koleżaneczka nic nie słyszała.

Całą jéj uwagę pochłonęło zadanie: jak znaléźć salę, w któréj profesor Thamar ma rozpocząć swe odczyty. Nie było to rzeczą łatwą.

Dawna Sorbona, składająca się z kilku luźnych budynków, nie wystarczała dla wzrastającéj corocznie liczby słuchaczów, nadto budynki owe, istne rudery o ciemnych izbach, schodach podobnych raczéj do drabin niż do schodów, stanowiły rażącą anomalię w mieście, które chce być pierwszém w świecie. Postanowiono zatém wznieść gmach nowy, nie niszcząc odrazu starego, lecz waląc go w miarę postępujących robót. Z téj kombinacyi wytworzył się rodzaj labiryntu szczególniejszéj fizyognomii.

Ku południowéj stronie, na wązką ulicę, zwracał się dawny fronton uniwersytetu o szarych murach, z dwiema ciężkiemi bramami i kościołem fundacyi Richelieu'go, w którym się dziś nikt nie modli. Ku zachodowi imponuje stumetrowa „fasada" nowa, zdobna w posągi, ze wspaniałemi podwojami o zwierciadlanych szybach, z olbrzymim przedsionkiem o monumentalnych schodach; prawdziwy pałac! Dwie zaś pozostałe strony czworoboku składały się ze zgrzybiałych domostw

o wązkich, mrocznych korytarzach, z cuchnących podwórek, czarnych sionek, z jakichś komórek zabitych deskami, z różnych przedwiecznych pozostałości, smutnych, brudnych, brzydkich.

By się dostać z jednego do drugiego skrzydła, z lekcyi historyi na lekcyę literatury, musiała Zosia rozprawić się z tym chaosem schodów, dziedzińców, zaułków, sionek, korytarzy, co, raz pierwszy, powtarzam, nie było nader łatwém, i mogło opóźnić przybycie na lekcyę, a tego pilna uczennica strzegła się jak ognia.

Po kwadransie krętaniny, w prawo, w lewo, w górę, na dół, dotarła do miejsca, i znalazła się w wygodnym, jasnym korytarzu, przepełnionym jak kościół w dzień odpustowy. Jednocześnie bowiem przypadały dwie lekcye literatury, bardzo uczęszczane na $2^1/_4$ z południa, a kończyły się dwie inne, ustępując tamtym miejsca. Gdy się sale otwarły i jedna fala tłumu parła się na zewnątrz, druga zaś do wnętrza, w korytarzu powstał tłok nie do opisania. Zosią, nie umiejącą — pomimo energii — torować sobie drogi łokciami, te dwie w przeciwne strony dążące fale, miotały jak piórkiem. Ktoś wychodzący wytrącił parasolkę, ktoś wchodzący teczkę z pod pachy, ktoś inny przydeptał suknię; bedel żądał „karty wstępu", regulamin kazał podpisać się w przygotowanym na ten cel zeszycie. Zosia odurzona, nie umiała sobie w pierwszéj chwili dać rady. Wtém jakiś grzeczny brunecik odezwał się przyjaźnie podnosząc parasolkę i teczkę upuszczoną po raz trzeci:

— Niech mi pani pozwoli potrzymać oba te przedmioty, a tymczasem podpisze się i pokaże bedelowi kartę wstępu.

Spłoniona Zosia, podziękowała znaną już nam francuzczyzną.

W odpowiedzi otrzymała ujmujący uśmiech ze słowami:

— Teraz proszę za mną.

Zaczął torować przejście i po chwili znaleźli się w sali, mogącéj zmieścić paruset słuchaczy. Usiedli przy jednym stole, przedzieleni — przez ceremonię—jedném krzesełkiem.

— Z tego miejsca będzie pani wszystko słyszéć wybornie.

— I widziéć. Zdaje mi się, że rozumiem lepiéj, gdy patrzę mówiącemu w oczy.

A łącząc czyn ze słowami, choć myślała o profesorze, spojrzała na studenta.

On także patrzał na nią ślicznemi czarnemi oczyma, takiemi o jakich się poeta odzywa, że były „słodkie i palące" i że „dusza z nich patrzy przez iskier tysiące." Czy rzeczywiście dusza patrzała z tych oczu przysłonionych długą rzęsą, z wyniosłego czoła otoczonego kruczemi włosami o fioletowym połysku, z twarzy smagłéj i bladéj, z rysów rzymskiego typu wydelikaconego do wyrafinowania?... Boha-

terka nasza nie wiedziała, ale już przyznała sobie, że nie spotkała dotąd równie pięknéj i wykwintnéj postaci młodzieńczéj.

Student zauważył sprawione wrażenie i spuścił skromnie głowę, ale uśmieszek prześliznął się po malinowych jego wargach i znikł niedostrzeżony pod jedwabistym wąsikiem. Zosia, odzyskując przytomność, zaczęła się szykować do zapisywania wykładu.

Z safianowéj teczki na klucz zamykanéj, dostała gruby zeszyt ładnie oprawny, pióro w srebrnéj obsadce i elegancki bronzowy kałamarz. Student wyjął z lewéj kieszeni surduta kilka luźnych kartek i niklową obsadkę z wkręconym ołówkiem i piórem. Ona, chcąc się odwdzięczyć za doznaną uprzejmość, podsunęła mu kałamarz, on przyjął grzeczność z ukłonem, umoczył pióro i napisał na pierwszéj kartce... datę i nazwisko profesora.

Chwilę milczeli. On, z pochyloną głową przeglądał niby to notatki swoje, ona z dziecinną ciekawością przypatrywała się swemu otoczeniu.

Wtém zegar na frontonie kościoła wydzwonił kwadrans. Jeszcze dźwięk jego nie przebrzmiał, a już drzwi się otwarły i profesor Thamar wstąpił na katedrę. Uwaga Zosi wnet się na nim skupiła. Przedmiot był stary, lecz dla Zosi nowy — Tacyt i jego dzieła — zbadany gruntownie, przedstawiony jasno, zaprawiony to dowcipem, to dowcipkowaniem, i byłoby wszystko dobrze, gdyby nie cytaty łacińskie, od czasu do czasu, gdyby panna studentka lepiéj rozumiała po francusku i posiadał większą wprawę w spisywaniu żywego słowa — tak zaś gubiła się, męczyła i tracąc wątek podnosiła błagalne oczy na profesora, zaklinając go wymownym wzrokiem, by mówił wolniéj. Ale profesor, jak Allah „nie słyszał, albo nie wysłuchał.” Za to wysłuchał piękny brunecik: podszeptywał opuszczone frazesy francuskie, a tłómaczył łacińskie. Zosia dziękowała uśmiechem, pisała coraz szybciéj, coraz drobniéj, coraz niewyraźniéj, wreszcie wypuściła pióro z omdlałéj ręki. Szczęściem, zegar na frontonie kościoła wydzwonił kwadrans na czwartą i profesor powstał, zwijając notatki swoje. Uczniowie uderzyli *bravo*, lekcya była skończona.

Znów z pośpiechem zaczęto wychodzić, znów się zrobił ścisk w korytarzu, ale tym razem Zosia nie mając już lekcyi przed sobą, nie śpieszyła się. Kolega ją naśladował. Wreszcie przerzedziły się szeregi. Zosia podniosła się, student powstał także, jakby pragnął jéj towarzyszyć, ale ona skinęła mu główką na pożegnanie, mówiąc:

— Bardzo panu dziękuję za koleżeńską pomoc.

— Zawsze jestem na usługi pani, odparł z ukłonem i przyzostał nieco, zrozumiawszy jéj intencyę. Gdy znikła mu z oczu, szepnął z przyciskiem:

— Cukierek nie dziewczyna.

Następnego wtorku spotkali się znowu i powitali ukłonem. Trzeciego wtorku już nie było krzesełka między nimi, a czwartego rozmawiali z sobą, oczekując na profesora, jak dobrzy znajomi. Zosia dowiedziała się, że piękny brunet był synem bogatego bojara rumuńskiego, że przybył do Paryża dla uzupełnienia wykształcenia i że się poświęci karyerze dyplomatycznéj. Nawzajem téż powiedziała mu, że chce być pionierką postępu w swym kraju, że się przygotowuje do „*baccalaureat*'u” i gdyby nie greczyzna z łaciną, przystąpiłaby do egzaminu przy końcu roku.

— Jeśli pani nie wzgardzi moją pomocą, to służę jéj memi wiadomościami w obu tych językach.

— Bardzo panu dziękuję. Od czterech miesięcy pobieram lekcye u mego rodaka.

Jakiś cień przemknął po pięknéj twarzy Rumuna, lecz spytał wesoło:

— Duże pani zrobiła postępy?

— Haniebnie małe, jak pan widzi przy cytatach profesora Thamar'a.

Uśmiechnęli się oboje i zamilkli, bo wilk, o którym była mowa, zabierał miejsce na „estradzie.”

Znajomość dwojga tych młodych przerodziła się szybko w zażyłość, spotykali się bowiem często na wykładach i w księgozbiorach, a dziewczyna z całą naiwnością wieśniaczki, szukała rady i pomocy naukowéj u kolegi. I doszło do tego któregoś dnia podczas półgodzinnéj pauzy między dwiema lekcyami, że zamiast pójść do biblioteki, zostali w auli dysputując zawzięcie. Rumun wygłaszał teorye o miłości *à la* Zola, tylko w przyzwoitszy Bourget'owski sposób, niewinna Zosia, nie domyślając się aluzyi, obruszała się na zasadę i broniła podniosłości uczucia, któremu w głębi gorącego serduszka zbudowała oddawna ołtarz, choć jesze nie wiedziała, jakiemu „bogu nieznanemu” zapali się na nim płomień ofiarny.

On walczył przeciw jéj świętościom subtelną ironią starego *roué*, wyrafinowanym sceptycyzmem zgniłego przedwcześnie sybaryty, miał na swe zawołanie znajomość materyalistycznych teoryi i tysiąc sofizmatów, ona tylko entuzyastyczną wiarę, cudowną niewinność duszy i naturę przesiąkłą do szpiku kości uczciwą trądycyą rodzinną. Z tym napozór słabym arsenałem broniła dzielnie twierdzy ogniska domowego.

Ukazanie się *appariteur'a* z karafką wody, szklanką i cukrem, zwiastujące profesora, sprowadziło rozejm.

— Musimy skończyć dziś naszą rozmowę koniecznie, szepnął Rumun, dostając notatki.

Zosia odparła otwierając teczkę:

— Uprzedzam, że mię pan nie przekona.

— Taka pani...

— Proszę dokończyć!

— Zacofana.

— Taki pan zepsuty!

Z uśmiechem wyzywającym rzucił jéj palące spojrzenie... i spudłował. Zośka już pisała zaaferowana jak nigdy, bo profesor Seignobos rozpoczynał lekcyę, a mówił prędko i niewyraźnie.

— Czy nie będę niedyskretnym,—spytał wychodząc z nią razem z sali, po skończonym odczycie,—jeśli się spytam, co pani zamierza robić teraz?

— Powracam do siebie, przyrządzam herbatę, od 5 do 6 kuję łacinę z moim nauczycielem, potém gawędzimy trochę, i rozchodzimy się. On powraca do siebie przygotowywać swą tezę doktorską, a ja zostaję, czytam, piszę, uczę się...

— Cóż będzie z naszą dyskusyą?

— Skończymy ją innym razem.

— Chciałbym panią przekonać co rychléj...

— Wolałabym nawrócić pana co prędzéj.

— Proszę spróbować.

Zamieniali te słowa zatrzymawszy się na ostatnim stopniu schodów dla rozpięcia parasoli, bo ciepły dészcz wiosenny mżył obficie i pogoda niepewna zapowiadała się od rana. Po jasnym błękicie niebios chmurki białawe i siwe goniły się bezustannie jak psotne dzieciaki, co chwila przecinając gorące słońca promienie i zlewając głowy przechodniów deszczem rzęsistym.

Zosi nie na rękę był towarzysz, lecz zabrakło jéj odwagi cywilnéj dać mu to do poznania, a on korzystał z nieśmiałości dziewczęcia i towarzyszył mu jak z prawa, rozwijając coraz śmieléj lowelasowskie teorye...

Ale z Zosią nie wszystko szło jak po maśle.

Dziewczęta nasze mają jakąś butę wrodzoną, jakiś animusz dziedziczny, który nie znosi pewnego sposobu obejścia; tam gdzie Francuska się uśmiéchnie, Polka zmarszczy gniewna.

Z początku Zosia rozmawiała uprzejmie, nie dając poznać, że chce zostać samą; potém widząc, że Rumun nie myśli o odwrocie, zmarszczyła brwi i przybrała poważną minkę. W końcu zamilkła.

Deszcz ciągle padał; chmury się gromadziły na ulewę.

— Cóż pani na to?—spytał Rumun, nie odbierając przez czas dłuższy odpowiedzi od towarzyszki.

— Nic wcale.

— Składa pani broń.

— Bynajmniéj!

— Kto milczy, ten się zgadza.

— Czasem to jedyny sposób protestu.

— Trzymam zakład, że do roku zmieni pani zdanie.

— Z kim?

— Z panią.

— Nie zakładam się wcale.

— Boi się pani przegranéj.

Dziewczyna wydęła wzgardliwie dumne usta i milczała. Naraz strzelił jéj figiel do głowy, i tak się uradowała swym pomysłem, że zły humor przepadł bez śladu.

— Czy wié pan, gdzie go prowadzę?

— Wszak idę nie pytając o nic.

— Lecz ja nie lubię by ślepo za mną dążono i powiem otwarcie, że prowadzę pana na przechadzkę do Botanicznego ogrodu.

— Pani żartuje! wykrzyknął.

Zosia, ubawiona przestrachem kolegi, postanowiła bądź co bądź spłatać psotę. Zaułkami, bocznemi uliczkami, udając że idzie do domu, doprowadziła podbałkańskiego serc zdobywcę tam gdzie chciała.

— Spocznijmy trochę,—rzekła siadając na ławce pod klonem, którego gałęzie zaledwo okryte młodziutkiemi liśćmi, nie chroniły ich wcale przed deszczem.

Rumun usłuchał, nadrabiając miną.

Wtedy ona zwróciła się ku niemu surowa i dumna...

Co tam mówili z sobą, to tylko słyszał klon ogrodowy i jego listki młode, zielone, wesoło czegoś chwiejące się w powietrzu, jakby się śmiały z kogoś serdecznie.

Po kwadransie rozstali się bohaterowie nasi. On się ukłonił ceremonialnie, ona skinęła główką wyniośle; on poszedł w stronę rzeki, ku bulwarowi St. Germain, ona w stronę przeciwną, ku Gobelinom. On biegł szybko, zbladły, żując gniewne słowa, których nie śmiał wypowiedziéć, i uchwyciwszy pierwszą dorożkę jaka się nawinęła kazał się wieść do domu, ona szła również szybko, tylko jéj oburzenie złagodziło się odwetem.

— Z kądże to bogi prowadzą? zabrzmiał tuż za nią głos przyjacielski.

— Ach, to wy kolego! zawołała uradowana, chwytając życzliwie ku sobie wyciągniętą rękę.

— Ja sam, we własnéj osobie. A wy cóżeście tak zgorączkowani?

— Wyobraźcie sobie, miałam przejście.

— Mieliście przejście!... Z kim? Jakie?—pytał niespokojnie pochylając się ku niéj.

Zosia zawahała się. Uniesiona żywością nie zastanowiła się, że człowiek, któremu się zwierzyć chciała, był jéj—podobnie jak Rumun—znanym zaledwo od kilku miesięcy—że na zaufaniu w nim zawieść się może podobnie jak na tamtym. Ochłodła więc nagle i odparła obojętnie.

— Et, głupstwo. Mówić nie warto.

— Jeśli nie macie do mnie zaufania, to nie mówcie, odpowiedział łagodnie i tak smutno, że Zosia podniosła oczy badawczo na twarz zrezygnowanego.

Była to twarz poważna, wyrazista i spokojna. Potężna jakaś siła skoncentrowana cechowała tę postać nie salonową, przeglądała z szarych oczu, leżała na szerokiém czole, zamykała wązkie wargi.

Nowy zwrót zrobił się w myślach wrażliwéj dziewczyny i zaprotestowała skwapliwie:

— Nie to żebym nie miała do was zaufania, ale... jestem taką jeszcze wieśniaczką, że z byle czego robię wielkie rzeczy.

— To nie wieśniactwo ale młodość wasza.

Człowiek, który to mówił, nie wyglądał młodo choć zaledwo trzydziestkę liczył. Jakieś bóle, jakieś wysiłki, może biéda i codzienne troski, zorały mu przedwcześnie czoło, wyssały świeżość z twarzy, zgasiły ogień w źrenicy. Małomówny, powolny w ruchach, wyglądał pochmurnie i nie przyciągał w pierwszéj chwili; dopiéro poznany bliżéj zjednywał sobie wiernych przyjaciół.

Zosia go spotkała, jak wielu innych, w „taniéj kuchni", dowiedziawszy się, że był niepowszednio zdolnym i że dawał lekcye, poprosiła go o nie. Po półrocznéj znajomości byli z sobą na przyjacielskiéj stopie, w trochę dziwny sposób. On grał rolę... tatusia, ona — córeczki. On doradzał, kierował, chwalił, ganił,—ona słuchała, spierała się, gniewała, ale się nigdy nie poróżnili na seryo. I teraz na jego słowa łagodnie i smutno wyrzeczone stopniało jéj serduszko; więc zaczęła innym tonem.

— Powiem już wszystko, powiem, tylko nie łajcie...

— Patrzcie, jak się mnie boi!..,

— Ot, palnęłam głupstwo... Wiecie, ten Rumun o którym wam

wspominałam, taki miły, taki dobry... no, okazał się skończonym łotrem...

— Co wy wiecie o skończoném łotrostwie, mruknął.

— Wszystko już wiem, doskonale wiem!... Wyobraźcie sobie że... no, wyobraźcie sobie...

— Wyobrażam sobie. Cóż daléj?

Na wspomnienie sceny, wszystka krew dziewczęcia zakipiała znowu. Wykrzyknęła oburzona:

— Smarkacz!... Licencyatu nie zdał a puszcza się w zaloty!

— Tak?!—zauważył przeciągłym tonem student medycyny.

— Wyobraźcie sobie, zaczął mi prawić Bóg wié nie co... Ja zrazu, myśląc że go nawrócę, przemawiałam doń serdecznie jak do brata, ale panicz, zamiast ocenić moje dobre chęci, zaczął podżartowywać... Jeśli tak, to poczekaj-że!... Chciał przyjść do mnie, i towarzyszył mi nieproszony. Ja go zaprowadziłam do botanicznego ogrodu i urządziłam mu prysznic pod drzewem, bo deszcz lał aż miło. Przytrzymałam go by zmokł do nitki i nakiwałam mu jak rodzona mama...

— Brawo! panno Zofio! Brawo!... Ucałować wasze rączki za to.

I poważna twarz jego rozjaśniła się takim wesołym uśmiechem, z jakichś głębin serdecznych spływającym na usta, że nagle odmłodniała i wypiękniała.

— Ktoby się tego spodziewał!... rzekła Zosia.

— Wszak ostrzegałem zawsze: miejcie się na baczności z Francuzami i Rumunami. To nie to co nasi. Myśmy przechowali dotąd w gruncie poczciwy nasz obyczaj; dla nas koleżanka święta jak siostra; nam idzie o to, by te co poszły nową drogą, zdobyły sobie powszechny szacunek taki, jaki zdobyła już sobie od wieków u nas matka rodziny. Francuz zaś czy Rumun będzie dbać o to?... Jeszcze Francuz oględniejszy, bo dba o renomę swéj wszechnicy, ale Rumun oszlifowany po wierzchu, zbydlęcony w duszy od wieków, niedorosły do nas cywilizacyą, możeż mieć jakie etyczne wzniosłe ideały?...

Zosia uciszona słuchała go w skupieniu, a on mówił zniżonym głosem dopóty aż stanęli u bramy dużéj sześciopiętrowéj kamienicy.

— Wejdźcie, napijemy się razem herbaty.

— Wejdźcie no wprzód i przebierzcie się, boście téż przemokli, a o przeziębienie się łatwo; ja tymczasem pójdę na pocztę wyekspedyować ten pakiet.

— Cóż to takiego, czy wolno wiedzieć?...

— Próba lepszéj przyszłości. Akademia medyczna Liońska ogłosiła przed rokiem konkurs w zakresie, który jest moją specyalnością i...

— Toście dla tego tak ślęczeli po całych dniach i nocach!... Daj wam Boże powodzenie!

Uścisnęła mu rękę serdecznie.

Student podążył na pocztę ze sporym zeszytem, nie czując deszczu, nie widząc błota. Skarb nie dziewczyna, myślał. Gdybym otrzymał nagrodę, czyli zadatek na powodzenie... zdobył praktykę, byt uczciwy... a pracowałbym szczerze, sumiennie, to... to...

Aż mu się gorąco zrobiło na samą myśl takiego szczęścia. On, syn biednego ogrodnika, dziecię ludu, który z takim mozołem i trudem walczył codziennie dotąd o kęs chleba i szmat dachu, zdobyłby wreszcie imie, byt, uznanie; miałby prawo założyć dom, rodzinę!...

Zośka tymczasem przebierała się co żywo w swém ładném mieszkanku, złożoném z dwóch pokoików, przedpokoju i kuchenki, przyrządzała herbatę, zimne przekąski i malinowe konfitury, które pan Mieczysław lubił, a zdobiąc na ostatku bukietem hyacyntów skromną zastawę stołu, szepnęła:

— Ach, gdybyż mu się powiodło na konkursie!

Litawor.



Z WIEJSKICH KĄTÓW.

Biblioteka „Wisły", wychodząca pod redakcyą i nakładem Jana Karłowicza, tomów dwanaście: (t. I i II-gi „Lud okolic Żarek, Siewierza i Pilicy", jego zwyczaje, sposób życia etc., zebrał i napisał Michał Federowski; t. III i VI-ty „Powieści i opowiadania ludowe z okolic Przasnysza", zebrał Stanisław Chełchowski; t. IV-ty „Jagodne", zarys etnograficzny, skreślił Zygmunt Wasilewski; t. V-ty „Z powieści i pieśni górali beskidowych", do druku przygotował Roman Zawiliński; t. VII-my „Medycyna i przesądy lecznicze ludu polskiego", przyczynek do etnografii polskiéj, opracował dr. Maryan Udziela; t. IX-ty „Wieś Rudawa, lud, jego obyczaje, etc.", zebrał i opracował Stanisław Polaczek, nauczyciel w Rudawie; t. X-ty „Podania łotewskie" spisane i przełożone przez Władysława Weryhę; t. XI-ty „Bojarzy międzyrzeccy", studyum etnograficzne, przez Adolfa Pleszczyńskiego; t. XII i XIII-ty „Podania żmujdzkie", zebrał i dosłownie spolszczył Mieczysław Dowojna Sylwestrowicz). Warszawa, skład główny w księgarni M. Arcta, 1888—1894.

Wincenty Bakutis, ze wsi Serbenty w parafii Rosieńskiéj, opowiadał w d. 26 maja 1887 r., p. Mieczysławowi Dowojnie Sylwestrowiczowi, zbieraczowi „Podań żmujdzkich", że przed r. 1859, w pobliżu Niemna, o jakie wiorst pięć od niego, istniało otoczone lasem sosnowym jezioro Pasaulis, które właściciel miejscowości, niejaki Dąbrowicz czy też Dąbrowski, postanowił spuścić do Niemna; ale dokonał tego dopiéro z pomocą sprowadzonych znachorów i czarownic, gdyż żadne sztuki i nauki inżynierskie nie skutkowały. Miejsce po tém jeziorze pozostało podziśdzień — zapewniał opowiadający. „Gdzie był środek jeziora, tam grunt pozostał niezarośnięty, gdzie zaś były brzegi, tam mieszkają obecnie ludzie i są pola" (XIII, 418—419).

Że na dnie osuszonego jeziora Pasaulis spoczęła i aż do chwili obecnéj spoczywa cała jego historya, wraz z dobrą częścią historyi okolic przyległych, o tém zasadniczo i teoretycznie wątpić nie można. Ruczaje i potoki deszczowe spławiły do jego łożyska pokłady gleby, którą niegdyś deptały zapewne plemiona gockie. Błędny towarzysz wyprawy Palemona, złożył na pobrzeżu swe kości. Hanzeatycki kupiec, przedzierający się od Baltyku przez Wilkiję i Wyszogród, do Drohiczyna na targowisko jadźwińskie, uronił tu parę kawałków bursztynu i parę ziaren korali. W jednéj kotlinie jeziora zastrządz mógł oszczep łowiecki Ryngolta, w drugiéj utknął szczątek kuszy z czasów Mendoga, gdzieindziéj na dno poszedł odłam tarczy z napisem, w którym przywołany znachor (ten sam, o którym mówił Bakutis), gotów odczytać imiona Ruryka, Syneusa i Truwora, — i potwierdzić w ten sposób zarzuconą hypotezę o żmujdzkiém pochodzeniu założycieli Rusi waręskiéj. Kawałek do kawałka, szczypta do szczypty — i oto w oczach naszych wznosi się gmach dziejów nieznanéj krainy, nieznanych epok, nieznanych bohatérów...

Baśń gminna, zabytek obyczajowy, pieśń, obrzęd, przysłowie — to dno takiego spuszczonego jeziora. Czasy, ludzie, zdarzenia, życie samo spłynęło niby woda; resztki, jakie po niém pozostały w tradycyi ustnéj,—późniéj spisanéj—to niby owe w mule łożyska zaryte, zardzewiałe, pokruszone, porozbijane, a do rozpoznania nadzwyczaj trudne urywki i ułamki rzeczy i narzędzi, o których rzadkie i pogmatwane wzmianki znajdujemy w kronikach Nestora, Galla lub Stryjkowskiego. Wprawdzie nie każdy wydobyty stąd krzemień sięga nocy przedhistorycznéj, nie każda bryłka srebra jest starym rublem nowogrodzkim, nie każdy topór stępił się na karkach rycerzy mieczowych. Złudzeń i omamień na tym gruncie może być bez liku, zwłaszcza, że słowo ludzkie miększém i przelewniejszém jest od bronzu i żelaza, warunki zaś moralnego i materyalnego istnienia ludu były aż do dni naszych tak jednostajne, bryłowato w sobie zamknięte i ociężałe, że legendy, co się urodziła przed stu laty, nie sposób nieraz odróżnić od téj, która powstać mogła na wiele wieków przed erą naszą, — na pięćdziesiąt nawet wieków przed Chrystusem, jeżeli np. mitologii litewskiéj przyznamy chronologię nieboszczyka Mikołaja Akielewicza, który wykazywał, że to, co Herodot w rozdziałach 93—96 księgi IV-téj mówi o Getach, stosuje się istotnie do Żmujdzinów („Rzut oka na starożytności litewskie", P-burg, 1885, str. 4)... A cóż! — może to być. Jedną z najprzedniejszych właściwości wyobraźni gminnéj jest rzeczywiście wiekuista jéj młodość: lud równie łatwo tworzy bóstwa i postaciuje pojęcia na schyłku swego żywota, jak i w zaraniu. Tenże Wincenty Baku-

tis opowiada nam np., że w r. 1883 we wsi Medyninkach (włość Szymkajcka, powiat Rosieński), ludzie nazywali każdą młodą parę obcujących z sobą zapoufale: *Elgis* i *Elgienie*, — w tém znaczeniu niemal dosłownem, jak gdybyśmy się po polsku wyrazili: „czciciele bożka Miłożarta... Słysząc po raz pierwszy o tym Elgisie i o téj Elgieni, dziś już zapewne rozpościerających swe panowanie na dobrą połowę Żmujdzi, i nie znając ich rodowodu, gotowibyśmy istotnie genezę mitu odnieść do czasów Herodota. Zdarzenie jednak o lat 2,284 jest młodszém. Około r. 1840 po Chrystusie—mówi Bakutis—służyli u jednego gospodarza w Medyninkach parobek i dziewczyna, oboje młodzi. Gdy się sami zeszli, swawolili ze sobą. Dziewczyna, śmiejąc się, powiadała mu nieraz: — Obchodź się ze mną, jak chcesz — „*Elgkies su manim keip nori*..." I oto zaledwie się rok skończył, doczekała się ta dziewczyna córki. Parobek, nie chcąc się ośmieszyć, wziął ją za żonę, a od téj pory nazywano ich, a późniéj i innych także: Elgis i Elgienie (XIII, 168).

Ta niestarzejąca się twórczość gminna powoduje w gadkach i opisach ludowych niezmierną obfitość i bujność, która z konieczności udziela się następnie, za pośrednictwem zbieraczów, literaturze. Gdyby analiza materyału iść mogła przed jego zgromadzeniem, wybór w tych bogactwach i ich uporządkowanie byłyby obowiązkowe — a nie trudne. Z wycieczek i wypraw na dna dawnych jezior, każdy przynosiłby zaledwie jakąś grudkę — ale już oczyszczonego metalu. Dziś, wciąż jeszcze, za przykładem ojca etnografii polskiéj, Kolberga, zwozić musimy tylko góry rudy wszelakiéj. Ileż tu powtórzeń nieskończonych, jakie nieuniknione marnotrawstwo pracy i czasu! Wprawdzie, próby rozbiorcze, ukazujące się od wydania przez dra Jana Karłowicza „Przewodnika dla zbierających rzeczy ludowe" (Warszawa, 1871), poparte przez tegoż autora szeregiem cennych wzorów zamieszczonych w „Ateneum" („Piękna Meluzyna i Królewna Wanda"), w „Bibl. Warszawskiéj" („Żyd wieczny Tułacz") i w założoném w r. 1887 specyalném czasopiśmie „Wisła", — stanowią już wstęp do naukowéj etnologii polskiéj wcale pokaźny; a przytém i sama „Wisła", wychodząca pod światłém i niezmordowaném kierownictwem Karłowicza, dużo zrobiła w tymże kierunku. Ale... „jak wszystkie nasze wydawnictwa naukowe, nie budzące namiętności, nie przemawiające do fantazyi, zainteresowała ona dotychczas szczupłą tylko stosunkowo garstkę ludzi i nie przedostała się do szerszéj dziedziny czytelników", według słusznie rozżalonych słów dra Piotra Chmielowskiego („Zarys najnowszéj literatury polskiéj", wydanie trzecie, 1895, str. 192).

W trzynastu dotąd ogłoszonych tomikach dodatkowéj biblioteki „Wisły”, surowy gruz mitologii ludowéj, owa ruda ciężka, nieobrobiona, zajmuje co najmniéj dwie trzecie całości. W t. I i II-gim poświęcono podaniom, klechdom, przysłowiom, zagadkom stronice od 307 do 383; w t. IV-ym—str. 141—233 (twórczość umysłowa, zagadki, etc. wsi Jagodne w powiecie Łukowskim, gminie Dąbie); w t. IX-tym—str. 219—255 (powiastki, bajki, zagadki wsi Rudawa o pół trzeciéj mili od Krakowa); w t. XI-ym str. 145—181 (literatura ustna i legendy jedenastu wsi bojarskich w powiecie Radzyńskim). Ten przedmiot zagarnął całą treść tomów: III-go, VI-go (powieści i opowiadania ludowe z okolic Przasnysza), V-go (opowieści i pieśni górali beskidowych), X-go (podania łotewskie), oraz tomów XII i XIII (podania żmujdzkie). Zestawienia i wyjaśnienia erudycyjne, dotyczące jednéj wyłącznie gałęzi ludoznawstwa, znajdujemy tylko w dwóch tomach. W VII-ym dr Maryan Udziela, z niezwykłą starannością i obfitym zasobem wiedzy, roztoczonéj w doskonałych przypisach i odsyłaczach przy końcu książki, opracował „Medycynę i przesądy lecznicze ludu polskiego”; w t. VIII p. Kazimira Skrzyńska wystąpiła z monografią p. t. „Kobieta w pieśni ludowéj”, co do któréj w swoim czasie „Ateneum” zamieściło szczegółową ocenę. Wskazówek oryentujących (lub zaciemniających—bo to zależy) w innych, przed chwilą wymienionych zbiorkach tradycyi i bajań gminnych (okrom dra Udzieli i p. Skrzyńskiéj), podano bardzo mało. W t. II-gim p. Michał Federowski, zbieracz klechd, opatrzył parę ustępów przedsłowiami i odsyłaczami téj np. osnowy, że staw w Mirowie „co lat siedm znika zupełnie, a potém ukazuje się w całéj okazałości” (str. 307), lub téż, że w legendzie „O ojcowskim Królu” prawdopodobnie jest mowa o Kazimierzu Wielkim, gdyż owczarz Czarniecki, z którego ust spisaną ona została, słyszał ją przed laty od starego owczarza z Ojcowa (334). Po komentarz do powieści z okolic Przasnysza (t. III i VI) p. Stanisław Chełchowski udawać się każe do II-go tomu „Wisły” (od str. 122), w którym się znajdować ma rozprawa p. t. „Materyały do etnografii ludu z okolic Przasnysza.” W t. V-ym, w powieści „O mysim królu”, wydawca p. Roman Zawiliński zaznaczył „pomieszanie podań dwu narodów, czeskiego o królu Przemyślu i polskiego o królu Popielu” (23), w baśni „O kręcipale z kręcipałką” powołał się na podobieństwo Kolberga („Lud” VIII, „Krakowskie”, t. 4 od str. 233), w gawędzie zaś „O feldfebrze” wytknął w paru słowach trzy składowe jéj pierwiastki: najdawniejszy (walka ze smokami o złote jabłko), późniejszy (zbójniki) i świeżonapływowy (wojskowość austryacka); nadto pod każdym kawałkiem jest wzmianka: opowiedział Franciszek Łaś z Odrowąża lub Karol Łaś z Odrowąża.

W t. X-m, p. Władysław Weryho w parowierszowym wstępie do „Podań łotewskich” oznajmił, że słyszał je w r. 1886 w trzech wsiach parafii Stygłowskiéj (powiat Lucyński), Kozokołny, Szaraki i Jakulińskie, od Rozalii Rausani (ur. 1859), Maryi Romanienko (ur. 1794 r.) i Honoraty córki Benedykta (ur. 1866). Wreszcie, w tomach XII i XIII, każde z trzystu kilku podań żmujdzkich, spisanych przez p. M. D. Sylwestrowicza, nosi u spodu wzmiankę, kto je wygłosił, gdzie i kiedy, np. „z Żeweliszek, z Rosieńskiéj parafii, od Jana Jakowicza, 7, 10, 89” (XII, 88), lub też „od Dominika Mażintasa, ze wsi Węgierska, parafia Girtakolska, powiat Rosieński, 9, 2, 87” (XIII, 344). Takich zaś Bychowców, Daniłowiczów i Narbuttów historyi ludowéj jest w tomach XII i XIII-m kilkudziesięciu, z których celniejsi: Bartłomiéj Demereckis z Bebirwaj, Antoni Knistowt z Kadaginie, Bartłomiéj, Wiktor i Wincenty Bakutisowie z Żajginiej, Serbentaj i Pakalnupej, Piotr Wajczelunas z Ruczan, Monika Grigajtisówna (mylnie jak się zdaje nazwana G e d r a j t i s ó w n ą na str. 68 tomu XII) z Rosień, Anna Bagdonasowa z Ruczan, Elżbieta Kiełpszówna (inaczéj Kelpiszke) z Kalnujej (inaczéj z Kołnuj) i t. d. Jakichkolwiek bliższych biograficznych szczegółów o tych Homerach litewskich—brak zupełny, z wyjątkiem trzech drobnych poszlak, że Jan Stungur z Rosień jest czy też był szlachcicem i starcem (XIII, 130, 234), a Tomasz Jocius z Pakałnupej—tylko starcem (XIII, 359).

Za mało i n f o r m a c y j n e g o tego światła. W tym punkcie biblioteka „Wisły” bynajmniéj sama sobie nie wystarcza. Pozbawieni elementarnego wykładu mitologicznéj przeszłości ludu, do któréj odtworzenia mamy tak ogromny budulec surowy, czujemy się na każdém z owych „osuszonych jezior”, jak Robinson Crusoe po rozbiciu na dzikiéj wyspie. Chcąc sobie np. zdać sprawę z waryantów żmujdzkiego Twardowskiego („Bardauskisa”) w skróconym opisie Stankusa z Palipiej (XIII, 242), lub wykreślić drogę, jaką przebiegł kijek-samobijek, żeby z wesołéj bijałki (X, 141), stać się ponurą zabijałką (III, 241), czy też naodwrót, badacz fachowy, poradzi sobie bez nadzwyczajnych być może wysileń. Ale co pocznie z tysiącem podobnych zagadnień pleban wiejski nastawiający ciekawie ucha na wieczornice zapadłego kąta parafii, ziemianin sprawdzający relacyę gumiennego o koniach zmachanych przez dyabła, student wybierający się w najlepszych intencyach i z ciężkim stosunkowo bagażem trzynastu tomików na wakacye w góry świętokrzyskie? Co z tém poczną? — Azaliż mają oni, na każdy odgłos baśni, co się im przedpotopową wyda, udawać się do Warszawy i wertować kilkadziesiąt zeszytów głównego kompendyum „Wisły?” a może posyłać po całkowity zbiór Kolberga? a może jeszcze

sprowadzać z Paryża trzecie wydanie Pictet'a „Początków aryjskich” wraz ze świeżém tłómaczeniem Zend-Avesty Darmestetera?... Rozstrącamy się ciągle o ostateczności: albo dyletantyzm i psota, albo też, jeśli się gdzie cudem trafi uczoność, to już sięgająca zaraz po palmę nieomylności nieśmiertelnéj. Źle się dzieje, gdy przypadkowo odkrytą w Rig-Wedzie nazwę pewnego gatunku trawy święconéj, „*koutsa*” w transkrypcyi francuskiéj, koniecznie ktoś nagiąć pragnie, z pomocą zbliżeń pojęciowych i obrzędowych, do wigilijnego obchodu „kuci” litewsko-ruskiéj, jak to przed laty kilkunastu ujawniło się w „Prawdzie”; gorzéj jest jeszcze, ilekroć do jubileuszowych, ilustrowanych „Klechd” Woycickiego naprędce dorabiać musimy wstępy z błyskotliwéj a wątłéj przędzy paralelizmów, ni stąd ni zowąd uszczkniętych i chaotycznie stłoczonych pod prasą drukarską. Nawzajem atoli, nie o wiele mędrszą i pożyteczniejszą jest skrupulatna ta oględność na ochronę dobréj i zasłużonéj sławy systematyków chłodnych i nieposzlakowanych, z jaką się popisała redakcya biblioteki „Wisły” w adnotacyach podań ludowych,—nie dając ich w bibliotece wcale. Zanim się kiedyś dla potomności zdobędziemy na pewniki twarde i jasne jak brylanty, zasypią nas tymczasem w teraźniejszości plewy i śmieci. W pieczarach życia, wśród głuchych i oszlamionych głazów, więcéj niekiedy wart ognik błędny, niż ostrożne przymknięcie powiek wśród nieprzeniknionych ciemności...

Lubo w danym wypadku nie poczuwamy się ani trochę na siłach do zastąpienia kogokolwiek z oswojonych z niewdzięczną i mordującą pogonią za iskierkami mroków dawno zapadłych, podołalibyśmy może i temu zadaniu, ale w jedynéj dostępnéj dla nas mierze: określenia wartości fantazyjnego i cudownego tego świata pod względem formalnym: to jest logicznym, estetycznym i etycznym. Dziedzina archeologiczna — pozostać musi, jak mniemamy, do skończenia świata zaklętym, niewyczerpanym skarbcem dochodzeń i sporów. Tyle tu łamigłówek, tyle dziwactw, — i prawdopodobieństw tyle! W każdym razie, czy w pomienionym zakresie analizy czysto formalnéj, przyjśćby do czego miało, czy nie, z naszéj strony, przystępu do niéj nie widzimy innego, tylko od strony rzeczywistości obecnéj, dzisiejszéj. Idealizm i realizm — wytwórczość umysłowa i działalność mechaniczna — dzień wczorajszy i dzień dzisiejszy — umarli i żywi, nie wyodrębniają się wśród ludu tak wyraźnie, jakby o tém analogicznie sądzić było wolno według miejskich norm naszego bytu, rozszczepiającego się na bieguny o wiele bardziéj od siebie odległe. A więc—jak na początek—wolimy w danym wypadku mieć do czynienia z realizmem gminu, z jego dniem dzisiejszym i z żywemi mechanizmami wiejskiemi. O upiorach i wilkoakach—późniéj.

Współczesny, aktualny dział ludoznawstwa naszego, jest względnie kreacyą u nas świeżą. Pokolenie dzisiejsze etnologów i etnografów têm się najwybitniéj różni od poprzedniego, że się już nie zadawalnia poetyckim i czułostkowym obrazem religijności, barwności, śpiewności, świeżości lub rzewności duszy polskiego chłopa. Chce ono zajrzéć nietylko do serca, ale i do chaty wieśniaka i nie dość, że pragnie się dowiedziéć, jak w téj chacie skaczą na weselu i płaczą na pogrzebie, ale też jeszcze usiłuje dojrzéć co w niéj jedzą na przednówku i na czém sypiają podczas mrozów sylwestrowych. Wiemy, że i ojcowie nasi nie odpychali od siebie tych pytań. Sterczy oto przed nami na półce tomik Zeisznera o Podhalanach, tomik Goszczyńskiego o Góralach tatrzańskich, dwa tomiki Marcinkowskiego o ludzie ukraińskim, dwa tomiki wiejskich wycieczek Pola... Lecz nie będzie to z ujmą zacnéj pamięci tych pracowników starych, gdy „młodszym" przypiszemy zasługę baczniejszego, przedewszystkiém zaś zasadniejszego poczucia się do obowiązku wejrzenia wgłąb' m a t e r y a l n é j doli naszego wieśniactwa; dobroczynny zaś wpływ teoretycznego na têm polu przodownictwa „Wisły", nie potrzebuje osobnych świadectw. Cztery monografie biblioteki tego wydawnictwa: Michała Federowskiego szkic o sposobie życia ludu okolic Żarek, Siewierza i Pilicy (I, 1—26), Stanisława Polaczka wizerunek charakteru, zatrudnień, gospodarstwa i t. d. mieszkańców wsi Rudawy pod Krakowem (IX, 5—60), Zygmunta Wasilewskiego zarys etnograficzny (z rysunkami), wsi Jagodne w Łukowskiém (IV, 7—102), Adolfa Pleszczyńskiego studyum etnograficzne p. t. „Bojarzy międzyrzeccy" (XI, 7—92), pokazują dokładnie, że mamy tu do czynienia z pracą ujednostajnioną, nie przypominającą w niczém dawnéj dowolności dorywczéj i mniéj więcéj fantazyjnéj. To już nie amatorstwo, to zapoczątkowana nauka. Dwie grupy wiejskie w Krakowskiém i dwie w Siedleckiém, postawione w warunkach geograficznych z wielu względów odmiennych, oddzielone jedna od drugiéj znaczną przestrzenią i pewnemi odrębnemi właściwościami szczepowemi, opisane zostały według szematu tak ułożonego, ażeby uwydatnione podobieństwa i różnice złożyć się mogły na całość jednorodną, typową i o ile możności wszechstronną. I całość to jest. Nie obejmuje ona, naturalnie, wszystkich wybitnych cech naszéj „społeczności chłopskiéj", lecz służyć może za częściowy jéj odwzór, stanowi jakby jedną z gałęzi, jeden z konarów wielkiego tego drzewa. Gałąź niekiedy cherleje i schnie, w innych znów miejscowościach krzepnie i rozrasta, ale się rodzajowo utożsamia wszędzie w rysach swych znamiennych.

Ogólny wygląd wsi polskiéj najwierniéj odbija w sobie przyrodzone uposażenie bezpośredniego otoczenia. Zależność tę od natury,

p. Zygmunt Wasilewski rozciąga nawet na człowieka, nietylko na jego dzieła, gdy powiada, że „Jagodzianie, zrośnięci z ziemią, podobnymi stali się do niéj, dostroili się do jednego z nią tonu” (IV, 17). Jeżeli w żyłach Krakowiaka „gra krew”, a w żyłach Podlasiaka lub Mazura— woda, nie koniecznie i nie wyłącznie wpłynęły na to gleba i powietrze. Niepodobna schodzić wciąż do „przyczyn pierwszych”; tak zwane przyczyny wtóre, drugorzędne, w wielu razach, zwłaszcza zaś na pewnym stopniu uprawy towarzyskiéj, przybierają rolę pierwszorzędnych. Nizki, chudy Jagodzianin, o ściągłéj twarzy, niebieskich oczach, nadzwyczaj słabym zaroście, o włosach ciemno-blond, wypłowiałych, „koloru piasku” i tuż niedaleko obok niego siedzący kmieć międzyrzecki „krępy, o twarzy zaciętéj z mazurska”, lub rosły o orlim nosie, jego sąsiad bojar („góralek” inaczéj zwany) z Krzymoszyc i Wygnanki (XI, 15), — czyliż wszyscy oni trzéj zapożyczyli swe fizyognomie od piasku, w który pot swój od wieków przelewali? Topograficznie, Rudawa niczém się prawie nie różni od niezbyt dalekich Żarek i Siewierza, a przecież, gdy mieszkańcy tych ostatnich są „dobrze zbudowani, wzrostu średniego, szatyni, zarostu nigdy nie noszą, mówiąc, że ino Niemcy z brodziskami chodzą” (I, 14), to Rudawianie „kolor włosów mają ciemny, oczy piwne lub bure, rzadko niebieskie, wzrostu są średniego, a tak wątłéj budowy ciała, że do służby wojskowéj bywa corocznie do 9 tylko zdatnych (z 90-ciu domów), starzy twarz golą, generacya młodsza nosi wąsy” (IX, 33). Natomiast spostrzeżenie p. Wasilewskiego jest najdokładniéj zgodne z oczywistością, gdziekolwiek idzie o dom, stodołę, pług, studnię, w części zaś o ubiór, zabawę, obyczaj, pożywienie. Grunt pod nogami i niebo nad głową widomie i gdzieniegdzie bardzo ciężko położyły tu swą rękę na ramieniu chłopa polskiego.

Droga zagłębiająca się i nierówna, często poprzerzynana kałużami, grzęzka w jesieni i na wiosnę, zalegająca kurzawą w wieczory letnie, okopana nierównemi i płytkiemi rowami, ze ścieżką z kamieni po stronie; w pobliżu gdziekolwiek głębsza struga z mostkiem chwiejnym, dziś już rzadko kiedy dziurawym; wzdłuż ulicy dwa rzędy (niekiedy jeden, IV, 29) czworościanów drewnianych (z „martwicy” lub cegieł u zamożniejszych, IX, 37), słomą krytych, podmurowanych lub tylko ustawionych podwalinami (zrębem) na kamieniach i obłożonych od dołu ziemią, darniną, gdzieniegdzie nawozem, a odległych jeden od drugiego o kroków sto kilkadziesiąt („o kilka prętów”, XI, 19); po nad rowami sznur lub dwa drzew wątłych, nizkich, „dzikich” (w Rudawie, bo w Jagodném „wysokie sokory, ocieniające ulicę, miłe robią wrażenie”); w Siedleckiém przeważają brzozy, wierzby, olchy, jarzębina,

(topole nikną), w Krakowskiém wiązy, lipy, modrzewie, kasztany (w Jagodnem nie ma wcale kasztanów); krzyże przy przecięciu się ścieżyn i traktów, żórawie przy studniach ocembrowanych drzewem lub kamieniem (w Rudawie nie ma studzien), gdzie zaś wodopój rzeczny daleko, zastępują go jeden lub dwa doły z wodą zaskórną dla bydła (IX, 42); kuźnia i karczma, o ile możności oddalone od reszty zabudowań, czy to w ich środku czy na krańcach; u wrót na pół rozwartych i w rowach nierogacizna i drób; kot na płocie, burek rozciągnięty na słońcu, kilka dzieciaków w przepasanych koszulkach, chłopięta gdzieniegdzie, do lat 6-ciu, zupełnie nago, z krajkami na biodrach i w czerwonych krakuskach (IX, 35); dokoła wydmy, płaszczyzny, na widnokręgu kawałek sinego lasu w Siedleckiém, a urocze wzgórza, wieżyce kościołów, ruiny zamków i kopce w Krakowskiém; wieczna cisza w powietrzu, przerywana świegotem ptastwa i niekiedy przeciągłém swistaniem pastuchów na ugorach (IV, 9),—taką na pierwszy rzut oka przejeżdżającego przybysza jawi się niemal każda wieś nasza. Podróżnik pieszy ujrzy znacznie więcéj. Chaty szczelnie otoczone płotami plecionemi z wikliny lub gałęzi wierzbowych, przymocowanych kołkami (IX, 41), lub z tyczek „przeplatanych na przemian między trzema listwami przybitemi do słupów" (IV, 38). Najpospoliciéj domy obrócone są szczytem do ulicy, frontem do podwórza; długość domów w Siedleckiém 8 sążni, w Krakowskiém 15 łokci, szerokość w S. 4 do 5 sążni, w K. 12 łokci. Okiennice i ganki nader rzadkie (IV, 30, XI, 20). Dla ciepła chaty opatrzone mchem, obmazane gliną; bielą je w Rudawie wewnątrz i zewnątrz od 5 do 6 razy na rok, przed świętami, gdzieindziej w Krak. znacznie rzadziéj i tylko na zewnątrz (I, 5); w Siedleckiém, wewnątrz, bielą od góry, myją od dołu. Pod ścianą szczytową, od ulicy (w Krak. i od podwórza), jest przyzba, czyli siedzenie z ziemi (IV, 33); w Krak. ławka na dwóch kamieniach oparta, na któréj w niedziele i święta letnie „zasiada gospodyni, robiąc porządek około główdziatwy" (I, 5). Przed oknami od ulicy bywają ogródki, a w nich ruta, malwy, nagietki (Siedl.); w Krakowskiém okrom powszechnego rumianku i mięty, „ulubionemi kwiatami ludu, szczególnie dorastających dziewcząt, są gieorginie, piwonie, róże, goździki, słoneczniki, lilije żółte, narcyzy" (IX, 28). Sady owocowe dokoła ogrodów nikłe, ale się jeszcze dochowują. W Jagodném „spotkać można wiśnie, a w bardzo niewielkiéj ilości śliwy, grusze, jabłonie" (IV, 13), w Rudawie chłopi „mają duże sady, ale zamiłowania do sadownictwa nie żywią, o drzewka wiele się nie troszczą, przytém z brzydkiego nałogu włóczą się nocami po cudzych sadach, obrywają owoce nawet „niedojrzałe, łamią gałęzie" (IX, 41). Z zieleni wieś nasza obnaża się co-

raz widoczniéj nawet w Siedleckiém; środek wsi, zapadnięte i połatane jego chałupy, wraz z karczmą i brudnym przed nią placykiem, stanowią często jedną szarą i smutną plamę...

Zabudowania gospodarskie więcéj są w Siedleckiém odsunięte od chaty niźli w Krakowskiém i zazwyczaj rozleglejsze; zamożnego gospodarza gumno w Jagodném otoczone bywa dwiema stodołami, oborą, chlewami, chlewikami, szpichlerzem, szopą na sprzęty gospodarskie, i t. d. Mała stodółka w Krakowskiém, równoległa do chaty, łączy się z nią prawie bezpośrednio; pod jéj strzechą zawieszane bywają na kołkach drabiny, sanie, drągi, brony. Na prawo przysiadły chlewy, przed niemi gnojownik, a na środku podwórza stoją wozy, radła, pługi. Daléj przytyka sad, niekiedy z pasieką, składającą się z kilkunastu grubych pni, nakrytych darnią lub deskami (I, 6). Brogi z ruchomemi dachami ze słomy znajdują się zarówno w Krakowskiém jak i w Siedleckiém, ale o przenośnych jest mowa tylko w Krakowskiém. Doły na ziemniaki mieszczą się w Kr. pod płotami około chaty, w Siedl.—głównie w polu, na podwórzu zaś spotykają się piwnice, „mające jakby dwa piętra: dół i strych z podłogą na poziomie powierzchni ziemi”, z wejściem zamykającém się drzwiami (IV, 40).

Wstąpmy teraz na chwilę do wnętrza gospodarskiego domu.

Chata podlasko-mazurska, przynajmniéj część jéj przeznaczona na mieszkanie, również wygląda przestronniéj od siewiersko-krakowskiéj. W sieni stosunkowo obszernéj, ze składzikiem drobniejszych sprzętów, z drabiną na górę, gdzie się mieszczą mniéj potrzebne zasoby domowe, nie chowają żadnego „inwentarza”, jak w Krakowskiém, oprócz niekiedy kur z pisklętami, które też i do izby wkraczają. Za to do chałupy przybudowany jest zazwyczaj chléwek, z wejściem od podwórza. Mieszkanie składa się z dwu izb: głównéj, zwanéj świetlicą i mniejszéj, za nią idącéj komory („alkierza”). W świetlicy, tuż przy drzwiach wchodowych, komin z kapturem, „na każde święto bielony” i połączony z nim piec chlebowy, z zapieckiem do suszenia zboża i do spania. W rogu, u drzwi do alkierza, „wyrko”, jedyne łoże gospodarskie, rozsuwane; inni domownicy sypiają na ławach lub na piecu. Pod ścianą główną, naprzeciw drzwi wchodowych, z szeregiem obrazów świętych u góry, stoi stół z ławami, na nim bochen chleba obwinięty w obrus, z nożem obok. W pobliżu komina, w kącie mieści się wiadro lub ceber z wodą, przy niém nieraz dzieża lub żarna (jeżeli te nie są w komorze lub w sieni), nieco opodal krosna lub szafka; tuż nad drzwiami, na półce błyszczą łyżki, misy, talerze. Przy łożu rodzicielskiém, ukazuje się niekiedy kolébka, „a raczéj kosz płaski, zawieszony na sznurach u pułapu”. Na belce poprzecznéj, szerszéj i niżéj od

zwyczajnych umieszczonéj, zwanéj tramem, siestrzanem lub stragarzem kładą się zioła święcone, palmy, świéce gromniczne, książki, cenniejsze przedmioty (XI, 22), lub téż, jak zapewnia monografia Jagodnego, —rozmaite rupiecia, buty, motowidła, chleby, ubrania i t. p. (IV, 35). Okna dwupołówkowe, osadzone na zawiasach, o sześciu szybach; podłoga drewniana lub tok ubity z gliny; drzwi z klamkami, otwierającemi się z zewnątrz za pociśnięciem żelazka,—wchodowe zaryglowują się na noc od środka drewnianą zasuwą. Komorą czyli alkierzem najwięcéj się wyróżnia włościanin zamożny od uboższego. Pierwszy składa tu odświętną odzież, bieliznę, zasoby rozmaite, odsyłając żywność i pośledniejsze rzeczy do lamusa czyli szpichlerka, wzniesionego oddzielnie pomiędzy domem a stodołą; gospodarz uboższy ma tu: szafę na wszelkie ubranie, szafarnię na mąkę i kaszę, beczki, nieraz stoją tu także żarna; poczesne miejsce zajmuje tu zawsze charakterystyczna skrzynia podlasko-mazurska, „na kółkach, malowana jaskrawo w kraty i fantazyjne kwiaty.” Wnętrze chaty siewiersko-krakowskiéj, nie inne w rozkładzie organicznym, wyodrębnia się tém najpierw, że w sionce widzimy za przegrodą owieczki albo téż „łysulę”, „krasulę”, „kalinę” —ulubioną krówkę gosposi; naprzeciw, na wysoko umieszczonych grzędach siedzi gdacząca „gadzina”; po kątach kosiska, grabie, siekiery i t. d. Drzwi do izby mają klamkę drewnianą; próg ich wysoki, „opatrzony symbolem szczęścia: podkową” (I, 7). Do belek u pułapu w izbie głównéj przybita deska, dźwiga na sobie: sierpy, kosy, gromple (do czesania wełny), trzepaczki od bielizny, miądlnice (do otłukiwania konopi), zapasowe wrzeciążki, wałki, sprychy, dzwona, przędziwo, wianki suszonych grzybów, — podczas zaś zimy schnie tu bielizna i odzież. Łóżek—dwa. Przy matczyném „na skręconéj wicinie, do stragarza przymocowanéj, wisi kołyska, wyciosana niekiedy z jednéj sztuki drzewa, na podobieństwo koryta”. Wśród obrazów, widziéć się daje krzyż duży na czarno malowany. W izbie, nie zaś w komorze jako na Podlasiu, stoi téż i „skrzynia pomalowana w jaskrawe kwiaty i na kłódkę zamykana”, w któréj przechowują się korale, wstążki, chustki, gromnice; w niéj się także mieści warkocz gospodyni ucięty przy ślubie, „jeżeli nie został po weselu spieniężony” (I, 9) i rózga weselna. W jednym z wewnętrznych boków téj skrzynki znajduje się t. zw. półskrzynek czyli skrytka, na grosiwo. Pomiędzy oknami spostrzegamy nieraz lusterko... Najgrubsza, środkiem idąca belka — siestrzan lub siestrzamb — służy do składania pęków święconego ziela, używanego od rozlicznych słabości bydełka i kładzionego nieboszczykowi pod głowę do trumny,—oprócz tego leżą tam jeszcze książki do nabożeństwa, rozmaite naczynia, nicielnica z czółenkiem... i niestety,

nałogowa już fajeczka. W przyległéj komorze krakowskiéj, o małém jednoszybowém okienku, „znajduje się pełno gratów, starego żelastwa, fasek z kaszami i zbożem, beczka zakwaszonéj w całych głowach kapusty”. W Rudawie pod Krakowem, izba wielka podzieliła się na dwie mniejsze: na t. zw. piekarnię dla służby i dzieci, a w zimie to i dla bydła, drobiu etc.—i na właściwą „izdebkę” z łożem gospodarskiém, stołem, ławami, skrzynią, szafą, „krzesełkami”, lusterkiem, „zegarem” etc. Komora przy owéj izdebce stała się gatunkiem spiżarni i spichlerzyka: „Zsypują tu zboże do sąsieków, na kołku wisi połeć słoniny, pośrodku kiełbas parę, kasza w fasce, mąka w worku, sér pod prasą, masło na misce. Z piekarnią bezpośrednio się łączy stajnia dla bydła; z komorą zaś przy „izdebce”—piwnica, „gdzie widzisz ziemniaki, buraki, karpiele, mléko” (IX, 39).

Wszystkie cztery opisy zbiegają się jednozgodnie w zapewnieniu, że w Jagodném czy w Rudawie, w Siedleckiém czy w Krakowskiém, „chaty utrzymywane są czysto” (IX, 40), „po wejściu uderza ład i wzorowa czystość” (I, 7), ochędóstwo, ład, „dobrobyt na każdym kroku mile uderzają oko” (XI, 25), „pomimo ciasnoty, mieszkania są schludne, powietrze w izbie dość czyste, znać wszędzie rękę pracowitych i dbających o porządek kobiet” (IV, 38). A nie łatwo zadaniu temu sprostać, nie łatwo! — jeżeli się zważy na ogrom dziennych zajęć gosposi i na pewne „uprzywilejowane” zachcianki lub tylko zwyczajne potrzeby gospodarza. O ile czyja łaska, wejrzyj z nami i w to jeszcze.

Chłop polski jé często i dużo, lecz przeważnie rzeczy nie dość pożywne. Strawa ludu z okolic Żarek, Siewierza i Pilicy jest tak lichą, — powiada p. Federowski—że doprawdy dziwić się należy, skąd bierze siły do znojnéj pracy. W ciągu licznych i długich postów chłop używa pokarmów całkowicie j a ł o w y c h, to jest niczém oprócz soli nieokraszonych, gdyż nawet olej konopny, którego wiele nie bije, woli zachować do smarowania, pospołu ze smołą, drewnianych swych osi u wozów. Powszedniemi daniami na jego stole są: chléb, żur, mléko kwaśne, ziemniaki, wszelakie rodzaje kaszy, kluski, groch, pasternak, marchew, kapusta. Smakowitsze i posilniejsze wytwory swéj pracy i swego dochówku, jaja, sér, masło, drób', jagody, owoce świeże i suszone, kobieta niesie na targ, aby z otrzymanych pieniędzy zaspokoić skromne ale liczne wymagania domowe, bądź stałe jak sól, bądź nadzwyczajne jak mięso na święta doroczne i na znacznie częstsze uczty i gościny familijne, na które gospodarz rad zawsze spraszać przyjaciół, znajomych i sąsiadów. Podatek, tytoń, lekarstwo, ofiara kościelna—również z niewieścich zaoszczędzeń czerpać najzwyklej muszą,

ilekroć gospodarz spłaca zbyt [suty haracz najstraszliwszej z klęsk chłopskich: gorzałce. Pijaństwo, czyli właściwiéj „zapój”, „zapijanie się”, nie jest powszechnie znaném; „po drogach człowieka zataczającego się rzadko gdzie ujrzéć” (I, 23). Ale pije się ciągle, zawsze, wszędzie, przy lada okazyi: przy kupnie i sprzedaży, przy stawaniu w sądzie i urzędzie, przy piątku dla pokrzepienia, przy świątku dla strawności. „Chrzci chłop dziecko, to przed i po akcie kościelnym siedzi po parę godzin w karczmie; żeni się—pije tydzień cały; grzebie kogo—schlać się musi na rozweselenie... Wójt pijak, radni pijacy, więc i prosty śmiertelnik, chociażby z początku wstręt czuł do wódki, rozpić się nie zaniedba” (IX, 55). A sprawy domowe i gospodarskie toczyć się tymczasem muszą—utartém łożyskiem. Czeladź trzeba dopilnować, ją i dziatwę oprać, napoić, nakarmić: dać śniadanie w zimie o 8-ej, w lecie o 6-ej, obiad o 12-ej, podwieczorek o 4-ej, wieczerzę o 8-ej i późniéj, krowy wydoić, chlewy i obory opatrzyć, stajnie pozamykać, sukmanki połatać, kiecki pozszywać... Z jadłem domowém, to jeszcze półbiedy. Kromka chleba z bryndzą na „juzynę” (podwieczorek), groch suchy z octem lub pęcak na obiad, ziemniaki z kwaśném mlekiem na wieczerzę—na to stać jeszcze. Stokroć gorzej z „kumem”, sołtysem, komornikiem. Gościa koniecznie przyjąć trzeba jajecznicą, szperką, kiełbasą, herbatą z arakiem, wódką z miodem, nieraz zaś to i winem czerwoném. Jedno trzeba mieć na pogotowiu, drugie nabyć—za co? za jakie piéniądze? Przemysł domowy—żaden, a przynajmniéj nie na sprzedaż. W Siewierskiém nad granicą ślązką, z powodu nader złego gatunku gruntu, zniewalającego do hodowli owiec na kępach porosłych jałowcem i wrzosami, zabrano się w ostatnich czasach do wyrabiania rozlicznych przedmiotów z brzeziny i rogu (króbek, tabakierek), z korzeni jałowcowych i sosnowych (kobiałki, koszyki, miarki), ze słomy i świeżego sitowia (kapelusze, materacyki); obok tego rozwinęło się tam wśród ludu do pewnego stopnia płóciennictwo, sukiennictwo, nawet hafciarstwo, a zdarza się, że rodziny chłopskie trudnią się już handlem, skupują np. po wsiach, w kilkomilowym obrębie jajka, które późniéj hurtownie żydom odstępują (I, 21). Atoli i te dodatkowe robocizny wymagają ręki i pieczołowitéj czujności niewieściego raczéj niż męzkiego oka. Kobiéta i deseń ułoży i dziecko nakarmi, i chléb zamiesi i wełnę pomaluje, i wieprzka osoli i sukienkę dziewczynie sfastryguje. Wszystko musi przewidziéć, wszystkiemu nastarczyć... Ale to już chyba taka jéj dola na całym świecie. Nie darmo stary Piotr Józef Proudhon, chłop z rodu i temperamentu, wyczerpał niegdyś w swém dziele „La Justice” całą litanię na cześć prawdzi-

wéj téj opiekunki, orędowniczki i pocieszycielki ubogiego domostwa wiejskiego: *o pia! o benigna! o regina!*

Nie łudźmy się wszakże. Lekceważona i poniewierana najzwyklej w zamężciu, zaczyna ta „pobożna", ta „błogosławiona", ta „królowa" zawczasu odgadywać swe przeznaczenia i zgóry płacić za nie monetą równowartą. Nie dzieje się to koniecznie w następstwie zetknięcia się z dobremi objawami cywilizacyjnego parcia zachodniego: z pracą, przedsiębiorczością, fachem. Przeciwnie: w Siewierszczyźnie nadzwyczajna dzielność kobiety doskonale się godzi i zlewa z najzwyczajniejszą jéj zacnością i skromnością. Natomiast, dość jest większego bezmyślnego zbiegowiska ludzkiego w pobliżu, dość niedalekiéj gromady miejskiéj, z jéj nieustającym hukiem, śmiechem, karnawałem, z jéj dziennikarstwem krzykliwém i bezdarném, z jéj szowinizmem garnizonowo-urzędniczym, z jéj szacherką kupiecko-żydowską, z jéj blichtrem pańskości zidyociałéj, z jéj małpiarstwem zabawkowych sportów zagranicznych... I to właśnie widzimy w Rudawie pod Krakowem. Ani rzemiosł, ani rękodzieł, ani żadnych wielkich lub drobnych przemysłów tu nie ma. Wody studziennéj do prania i moczenia lnu nie trzeba, bo blizko jest rzeczka; rybołówstwem się nikt nie zajmuje, bo w rzeczce od lnu i prania ryby wyzdychały; istniało i rozwijało się przed laty tkactwo, lecz zanikło, bo Niemcy tanie perkaliki przywieźli; Niemcom, nawzajem, nie sprzedano po dawnemu ani jarzyn, ani dyń, „bo nie warto", a miodu, bo go zaledwie starczyło na placki wielkanocne; pasieki się zmniejszyły, bo sady podupadły; sady podupadły, bo zamiłowanie do ogrodnictwa ustało,—i tak ciągle, w kółko. A posłuchajmy, co nam p. Stanisław Polaczek pisze o „cywilizacyi" tych stron, pojętéj na sposób blagierski, hultajski i zuchowaty. Człek to stateczny, poważny, nauczyciel w Rudawie, — o chęć drwin lub oszczerstwa posądzać go nie ma powodu. Lud do ojcowizny — są jego słowa — nie bardzo jest przywiązany... Ojciec, posiadający kilkoro dzieci, nigdy o przyszły ich los się nie troszczy... Po jego śmierci, brat, siostra, krewny najbliższy, wodzą się po sadach, dają się rozmaitym podejrzanym indywiduom wyzyskiwać i tracą majątki. Niepojętą znajdują w tém przyjemność, gdy widzą, że ktoś wydawszy swój majątek na stemple i procesy, w świat idzie z torbą żebraczą... Dziwnym jest także stosunek ojca do synów i córek. Póki małe, to jeszcze dla rodzica jaki taki mają szacunek, ale gdy tylko dorosną, pożenią się i za mąż powychodzą, to już ojcu ani matce nie pozwolą mówić do siebie inaczéj tylko przez „wy" i tak powoli stosunek się téż oziębia, że z czasem mało się i znają... Pomimo, że dziewczyna uwiedziona wiele późniéj docinków znosi, uwiedzenie tak często się przytrafia, że

już i za zbrodnię uważaném nie jest; dziewcząt prawdziwie uczciwych i cnotliwych nie znalazłoby się tu więcéj nad dwie we wsi całéj. Dziewczynę, która miała dziecko, zwane „bąkiem", nazywają „przeskoczką"; wkrótce potém wychodzi ona zwykle za mąż... Rozwodów wcale nie ma, pomimo że powody, na mocy których rozwód mógłby nastąpić, bywają (IX, 43, 44, 52).

O tak jaskrawych zdróżnościach, naturalnie, nie słychać wcale we wschodniéj, podlasko-mazurskiéj, połowie kraju. Życie domowe i gospodarskie, w ogólności znacznie tu prostsze, pierwotniejsze. Pług, który w Krakowskiém wszedł w użycie powszechne, w Siedleckiém dopiéro wypiéra sochę; piec angielski (blacha) tam już nie rzadki, tu— nie znany. Przemysł wiejski ogranicza się do wyrobu płótna lnianego, czyli „partu", oraz wszelkiego rodzaju samodziałków z grubego szarego sukna. Gospodyni i jéj córki tkają na krosnach przez całą zimę materyał ten domowy, w części idący téż na sprzedaż. Wyroby z ciesielki, kowalstwa, krawiectwa, szewstwa, bednarstwa i t. p. służą wyłącznie na miejscowe potrzeby. Rola, ojcowizna jest niemal ubóstwianą. Lubo „trójpolowka", — inaczéj „w trzech plecach", ciągle jeszcze góruje, to jednak „spostrzegać się daje coraz lepsza uprawa gruntu, coraz szersze użytkowanie nieużytków" (XI, 23). Bydło nie szczególne, bo go chłopi starają się trzymać za wiele, ale konie cieszą się nie w jedném miejscu sławą niepowszednią; kobiety dbają bardzo o chów owiec, szczególnie szarych. Pożywienie skromne, ale dostatnie. Przeważa barszcz, krupnik jęczmienny, żur, ziemniak, kapusta, groch. „Mieszany groch z kapustą, jak gdzieindziéj na Mazurach, nieznany jest wśród bojarów międzyrzeckich." Chléb dobrze wypieczony, jedzą go sporo. Kasza jaglana na gęsto należy do przysmaków, także kisiel i sołoducha (zupa z żyta i mąki gréczanéj). Mléko prawie wszystkie zużywają w domu; mięso wieprzowe i skopowe nie jest rzadkością, wołowina zjawia się tylko w uroczystości kościelne i rodzinne. „Większość bojarów trunków żadnych nie używa, lub poprzestaje na piwie i rodzynkowém winie" (XI, 25). Nie do rarogów zaliczają się téż i wsie, w których, jak w Jagodném np., wódka wyszła z użycia. „Do wódki nie mają Jagodzianie pociągu i boją się jéj, to téż nie piją jéj wcale. Lubią piwo bawarskie, lecz spotykają się z niém nader rzadko. Podczas świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, niektórzy gotują kawę lub herbatę i piją ją z mlékiem..." W powszednie, „ze względu że suche kartofle trudno dają się połykać, popijają je gorącą wodą soloną: woda ta zwie się popijką" (IV, 42, 44). Cóż począć, na coś wykwintniejszego żadną miarą nie stać. Stalszych zarobków postronnych nie ma. W czasie zbiorów tylko bezrolni najmują się

u sąsiadów i leśników; kobiéty i dzieci rzucają się niekiedy w lecie po jagody czarne i odstawiają je do Siedlec jakiemuś agentowi niemieckiemu na szampańskie; ale dochód to i zajęcie niepewne. Zarobek z furmanki pod drzewo do miasta także coraz nędzniejszy. To samo i z nabiałem. Przy uwłaszczeniu Jagodzianie wyrzekli się pastwiska i w zamian za nie dostali naddatek w ziemi ornéj; hodowla bydła od tego czasu zmniejszyła się w dwójnasób. Jest wprawdzie wypas dostatni w lesie rządowym, lecz za opłatą 1½ rubla od sztuki za lato. Procesów ztąd bez liku. Gospodarz nieraz na siedmiu morgach obchodzić się musi bez wołów. Masło z Jagodnego usuwa się powoli z targowisk w Stoczku, Łukowie, Siedlcach. Dziatwa zapomniała kiedy już po raz ostatni miała najulubieńszy swój specyał: piérożek z sérem i miętą... Nie za górami przytém nieszczęścia stokroć od tego większe. Koniokradztwo rozpostarło się dokoła jak zaraza: ażeby konia ustrzedz od złodzieja, trzeba go trzymać na stajni w chałupie (IV, 48—55.)

Widnokrąg życia, nigdy nazbyt nie rozpromieniony i nie rozległy, zasępiony w okresie ostatnich lat kilkunastu ogólnemi klęskami rolnictwa, które dotknęły nie tylko większą, ale i drobną własność, zarzucił w końcu swe cienie i za ubiór chłopa polskiego, słynący ongi z krasy i malowniczości. W wielu okolicach i wypadkach, tylko kobiéta skutecznie się opiéra wpływowi tandety kramikarskiéj, natarczywie nacierającéj na domowe wełniane kiecki i białe lub siwe kapoty; mężczyzna zaniedbuje strój tradycyjny nawet w wystąpieniach uroczystych, odświętnych. Dziewczę z pod Siewierza, lubo nie tak suto i bogato jak jéj koleżanki z pod Stobnicy, Miechowa, Proszowic, Skalbmierza, toć przecie prześlicznie jeszcze nosi się w chusteczce barwistéj, nad wysokiém czołem w misterny węzeł związanéj, z kwiatkami na niéj lubczyku i trójeści, w rzetelnych na białéj szyi koralikach, chowających się z tyłu pod bujny ciemno-blond warkocz, w lnianych koszulkach wyszytych czerwoną nicią na ramionach, w ząbkowatym modréj barwy gorseciku, na trzy rzędy guziczków spiętym... Pierścionka dotąd nie ma, a zausznic nie nosiła i nigdy nosić nie będzie, ale jakże przez to jasno i czysto świécą jéj oczęta, gdy w czasie mszy św. podniesie ku ołtarzowi oczęta z nad książki, którą w jednéj ręce trzyma i łezkę otrze haftowaną chusteczką, którą ma w ręce drugiéj (I, 14). Tymczasem, po lewéj stronie kościoła, wśród drągalów młodych, wzrok dobrze się wpierw namęczy nim ujrzy sławną na świat cały sukmankę krakowską. Parobek nosi już coś w rodzaju spodni czarnych na wyszmelcowanych butach i gatunek także niby czarnego surduta, zakupionego na mostku pomiędzy Stradomiem a Kazimierzem! „Zdaje mu się, że to taniéj i ładniéj!"—woła ze smutkiem p. Stanisław Polaczek

(IX, 37). Snadź jednak, że tu działa jakaś siła wyższa, skoro i na Podlasiu, pomiędzy bogatszymi bojarami międzyrzeckimi Adolf Pleszczyński nic milszego pod tym względem nie wykrył. Od lat dwudziestu—powiada—nastąpił niepowstrzymany popęd ku zmianie ubrania i chociaż po staremu cały przyodziewek, z małemi wyjątkami, robi się z materyałów w domu przygotowanych, to przecież formą i nazwami odstąpiono od dawnego obyczaju. Mężczyźni stroją się w surduty, paltoty i kurtki, kobiéty przyswoiły sobie kaftany i szubki, — zatrzymawszy tylko jeszcze dawne sorce (spodnice) i fartuchy, wyrabiane ze lnianych i wełnianych nici, aczkolwiek i tu, w rysunku, stare prążki i paski ustąpić musiały nowym kratkom. Wyparte téż zostały i dawne barwy, biała, czerwona, niebieska, zatarte kolorami pstrokatemi, któremi żydkowie przędziwo wiejskie aleniną szpecą (XI, 19). W Jagodném... ktoby to mógł przypuścić!—nawet w Jagodném tradycyjny ubiór włościański, do niedawna wyłącznie używany, ulega potrochu naleciałościom obcym, kosmopolitycznym, przybłędnym. P. Zygmunt Wasilewski, który we wsi téj w ciągu lat sześciu spędzał ferye szkolne (jeszcze jako uczeń gimnazyum, późniéj jako student uniwersytetu) i który z niezwykłą dokładnością, a w sposób nad wyraz sympatyczny skreślił stan jéj i losy godne współczucia, utrzymuje, że zmiana ta dokonywa się pod wpływem ubrania „z waszecia" sąsiedniéj szlachty zagonowéj. Pozwalamy sobie domysł ten osłabić nieco. Ze wszystkiego wnosić wypada, że na wynik pomieniony złożyły się w pierwszym rzędzie uroszczenia i zabiegi owych ichmościów i paniczyków mieszkających na końcu wsi, z którymi zatargi bywają tak częste i ostre,—ma się rozumiéć o las przedewszystkiém i o pastwiska (IV, 75, odsył.) Przypuszczenie to nastręcza się samo wobec okoliczności, zaznaczonéj w monografii, że występne w takim wypadku przeniewierstwo podaniom i obyczajowi, głębiéj dotyka — nie mężczyzn, jak w Krakowskiém, lecz kobiety, dziewczęta. Oddziaływanie postronne—świadczy p. Z. Wasilewski — widoczném jest w świąteczném ubraniu dziewcząt w Jagodném, które, wbrew tradycyi, uważają za ostatni wyraz mody i elegancyi. Sklepne fartuszki i kaftaniki, oraz odkryte głowy z kwiatkami w warkoczach i t. p. Między chłopcami daje się zauważyć ta sama dążność,—pod postacią naśladowania anglezowanych zewnętrznie szaraczków, — chociaż w daleko mniejszym stopniu (IV, 20).

Niezaprzeczenie, byłoby urojeniem przypisywać zjawisku zbyt wielką doniosłość, o ile-że kryje się w niém cząstka i owéj potrzeby ekonomicznéj, która chłopu kazała łuczywko i drzazgę, („szczypę" w Krakowskiém), zastąpić przy oświetleniu naftą (IV, 53, IX, 23) lub

ściérkę przy cedzeniu mléka—sitkiem (IX, 25). Jednakże wśród ciągłego tego splatania się i rozplatania zdarzeń, wyobrażeń i stosunków, które nazywamy postępem, rozwojem a najprościéj życiem, pośrednictwo praktyk téj saméj natury, co zakwestyonowana przed chwilą jagodzińska, jest zbyt częstém, wielorakiém i do nieskończoności różnorodném, aby się godziło pomijać je lekkiém sercem. Raz, muska ono tylko powierzchnię bytu, sprzęga i rozprzęga więzy tak znikome i podrzędne, jak chusteczka na głowie dziewczęcia lub sznureczek na piersi podrostka; drugi raz znowu do posad burzy i przewraca najświętsze ogniwa zespołecznienia i szczęścia ludzkiego. Mniemasz czasami, że ci tylko figla spłatano, odwracając twą szatę na nice, a to cię akurat ze skóry odarto, dostojeństwo twe stargano i podeptano. Bo i któż w zakresie stanów duszy i kształtów towarzyskich takich, jak rodzina, religia, tubylczość, wytknąć kiedykolwiek zdołał granicę pomiędzy dotknięciem, po którém pozostaje zaledwie lekkie draśnięcie, a draśnięciem, które sprawia ranę głęboką, nieuleczalną?

Szczególnym jest układ, dziwną krystalizacya społecznych pierwiastków naszego gminu. Spojrzysz z jednéj strony, — nicość; popatrzysz ze strony drugiéj, wstyd ci prawie wyznać, żeś spostrzegł jakby mglisty odblask czegoś doskonałego. Były, nie były — z pewnością nie ma już obecnie ani owych wielkich, ani owych małych gromad z obiegającą przed ich obradami od chaty do chaty i od wsi do wsi buławą, o których przed laty Wincenty Pol rozprawiał z takim zapałem („Obrazy”, serya I, 1869, str. 181). Ze szczątków, zabytków, okruszyn, rozrzuconych po zapadłych i głuchych kątach—po „dobrych starych kątach”, jak się autor „Obrazów” wyrażał, powstają raz po raz jakieś tylko widma, to przejrzyste, to ciemne, to gładkie, to koszlawe, — że niewiadomo nawet, co z tém począć, do jakiej całości to odnieść. W jednych gminach dochowały się, niby resztki pierwotnéj téj wspólnoty, jakieś np. strzępy arystokracyi pasterskiéj. „Pastuch g r o m a d z k i od bydła, dostaje za lato 13 rubli i po dwa garnce kartofli od każdéj sztuki, owczarz zaś 15 rubli i garniec kartofli od owcy; oprócz tego dostają oni kolejno od gospodarzów całkowite dzienne pożywienie” (IV, 55). Rys ten, niezaprzeczenie dodatni, znajduje gdzieindziéj odpowiednik najzupełniéj ujemny. „Lubo chłopek tutejszy — pisze p. Michał Federowski — z natury jest posłuszny, potulny i czołobitny, wszakoż uszanować c u d z é j w ł a s n o ś c i dotąd nie umié: drzewo, ściółka w lesie, kawałek żelaza, rybka w stawie, gruszka w ogrodzie, zwierzyna w parku, mają w nim n i e z n a j ą c e g o g r a n i c wroga” (I, 24). Żeby zaś potomność, podzieliwszy ziemię w przyszłości dalszéj na kwadraciki indywidualne nie większe od grobowców,

nie mniejsze od niecek i korytek, nie posądziła kiedyś chłopa polskiego o instynkta luźno-grabieżcze i doraźnie-złodziejskie, zdobył się on w tych sprawach na osobną regułę prawoznawczą. „Ukraść drzewa w lesie — pisze pesymistycznie zawsze nastrojony p. Stanisław Polaczek — to u włościan rudawskich grzechem nie jest; wszak las, twierdzą, stworzył Pan Bóg nietylko dla poszczególnych panów, ale dla wszystkich ludzi" (IX, 55—56). To samo utrzymuje p. Zygmunt Wasilewski o Jagodném, to samo ks. Adolf Pleszczyński o bojarach i gminie w siedleckiém: „Kradzież drzewa z lasu, zwłaszcza na opał, nie hańbi", (IV, 75), przyczém drugi z tych autorów zaznacza parę oryginalnych właściwości pospólnych, tłumnych: chłopi lękają się jak ognia wszelkich podpisów zbiorowych, powiadając zwykle: „dać damy, ale się nie podpiszemy", — w zatargach ze dworem lub rządem występują zawsze gromadnie, i t. p. (XI, 94, 96, 98). Dla dawnych przedstawicieli i dziedziców swych wspólnot wiejskich, pospólstwo nie wszędzie zachowało poszanowanie i względy jednakie. W Rudawie „ludek nasz panów nie lubi, niechęć kryje w sercu ku wszystkiemu co pańskie, do dworu ani do szkoły nie ma zaufania, nigdy im nie dowierza, zawsze się czegoś boi"; jawnie przecież uprzedzeń swych ku starym posiadaczom dominiów nie okazuje i o pańszczyźnie nie wspomina wcale (IX, 44). W Siewierskiém znowu, „o ile chłop przywiązał się i szanuje dawnych swoich dziedziców, o tyle odznacza się brakiem szacunku i wiary do nowonabywców niemieckiego i żydowskiego pochodzenia, przezywając ich niedowiarkami i cyganami" (I, 25). Nie podejmujemy się rozstrzygnąć, czy do téjże kategoryi wspólno-obradowych i obrzędowych zjawisk zaliczyć również wypada powszechnie znane szczegóły, że na wiosnę lud zawsze „gromadnie uczestniczy przy poświęceniach pola gromadzkiego", że „tłumnie zwiedza odpusty wszelkie, nawet w trzeciéj parafii", że „rok rocznie po skończonych żniwach, kompaniami odbywa pielgrzymki do Częstochowy, Kalwaryi Zebrzydowskiéj" i t. p. (I, 23, 24). Znacznie mniejszą natomiast wątpliwość mamy co do znaczenia faktów, zgodnie podawanych ze stron rozmaitych przez wszystkich czterech naszych zbieraczy, a zaświadczających: że „chłop nasz sam potrafi wystawić budynki mieszkalne i gospodarcze z pomocą sąsiadów", że ilekroć „dziewczę sierota", spraszając gości na swe wesele, obieży w koło panów braci i znajomych swego rodzica, zbierze się dla niéj i wiano i wyprawa sutsza „od niejednéj córy kmiecéj", że dla chłopa nie ma na świecie większéj cywilnéj powagi „nad wójta dobrowolnie wybranego", i że nie może być nikczemniejszego, krzywoprzysięzcę nawet prześcigającego zbrodniarza—nad donosiciela „na szkodę wsi" (I, 18, 40; IV, 77; XI, 97).

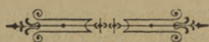
Oczywiście, wszystko to jest już tylko ułamkiem przeszłości — drobiazgiem staroświecczyzny, — i nie wchodzi się na razie w to, czy przedwiekowe te oczka uważać należy za rozbite i rozproszone końce, czy też za niemożliwe do rozwinięcia początki. Pytanie staje na gruncie bez porównania mocniejszym, a mianowicie: co na tych gruzach czy też na tych kiełkach wzniósł i zbudował wiek nasz nowy, głośny ze swych demokratycznych dążności wiek XIX?—Na Zachodzie, gdzie najazdy barbarzyńców, późniéj feudalizm, daléj wielorakie wojny domowe i religijne, wreszcie huczne wstrząśnienia rewolucyjne starły, zmiażdżyły i przemieszały wszelki pierwotny zasiéw, wszelką organizacyjną treść zbiorowéj osiadłości rolnéj, matackie to nasze stulecie, aczkolwiek z pomocą rozmaitych kombinacyi sztucznych, wysnuło przecież w końcu kilka wątków pozytywnych i praktycznych: w syndykatach wiejskich, w bankach ludowych, w stowarzyszeniach wytwórczych, w kasach współudzielczych i t. p. A nasze tu rezultaty? — Ani jedna z czterech monografii o nich nie wspomina. W etnograficznym zarysie p. Zygmunta Wasilewskiego, znajduje się co prawda kilka niewyraźnych wzmianek o „bractwach” w Jagodném, naprowadzających stroskaną myśl zwolennika zasady samopomocy na reminiscencye o parafiach angielskich i ich zebraniach, tak dziwnie rodaczo brzmiących w nazwie niemal słowiańskiéj: *vestry;* ale i te nikłe wzmianki autora zanurzone są w spostrzeżeniach i roztrząsaniach takich, że je trzeba albo dosłownie odczytać, albo dosłownie przepisać, od str. 63 do str. 102. Na to drugie zabrakłoby nam literalnie materyału kancelaryjnego. Poprzestajemy na streszczeniu kilku szczuplejszych okresów.

Każdy włościanin sam sobie zawsze radzi we wszystkich potrzebach, a te ostatnie, wskutek niejakiego wpływu kultury na sfery chłopskie, wzrosły i skomplikowały się. Faktem jest, że teraz nie ma gromady w dawném znaczeniu: jest aglomerat jednostek, z których każda, dążąc do swego celu wyłącznie, ignoruje losy innych. Prosta, zwyczajna zażyłość sąsiedzka nie zaginęła; zgoda dużo wygrywa na tém, że we wsi nie ma plotek. Rzuca się to w oczy, że chłop tutejszy nie mówi nic bezpodstawnego; nie słyszałem téż nigdy, żeby mówiono o kim co złego. Kobiety nie szermierzą językiem już choćby dlatego, że nie mają na to czasu. Życie jednak towarzyskie, zbiorowe, zanika zupełnie, — nawet w téj jego formie anodynowéj, jaką jest zabawa. Wmówiono w chłopów, że objawy wesołości, śpiew, tańce, są grzechem. Dawne „ochoty”, „kądzielnice”, „wieczornice”, należą dzisiaj do zjawisk dogasających. Biéda tak wsiadła na kark wiekuistéj swéj towarzyszce—pracy, że jeżeli np. o miłości może być mowa w zalotach to jagodzianin kocha się nie w pannie, lecz w jéj rękach „robotnych.”

Wskutek nadmiaru pracowitości, poszanowanie jéj owoców urosło do jakichś fantastycznych, niesłychanych rozmiarów. Ani kroniki sądowe, ani tradycya nie zapamiętały kradzieży, popełnionéj przez jagodzianina; mieszkańcy tutejsi, udając się w pole, zostawiają domy i zabudowania bez żadnéj opieki i zamknięcia. W ogólnym obrachunku żywot wielu osobników składa się tu wyłącznie z pracy bez wytchnienia prawie i z praktyk religijnych bez przerwy niemal po sobie następujących: odmawiania rożańców, poszczenia, spowiadania się etc. Jagodzianin należy do kilku kościelnych bractw jednocześnie... Ascetyzm stąd płynący, niewątpliwie, sprawił kilka najprawdziwszych, najrzetelniejszych cudów, a w ich rzędzie największy, niemożliwy zdawałoby się wśród chłopów polskich: wstręt i obrzydzenie do gorzałki; z tém wszystkiém — jeżeli godzi się tak wyrazić — zabił w tym oniemiałym z pobożności automacie wyrobnictwa wszelką ziemską żądzę, wszelki człowieczy popęd do inicyatywy i rzutkości, wszelkie poczucie się na siłach i samodzielności, jako dźwigni istotnie moralnego, istotnie pożytecznego istnienia na tym padole płaczu... Rachuby z téj strony stanowczo zawiodły.

Więc nic? znikąd? — Owszem. Nietylko p. Zygmunt Wasilewski, który radby nieraz z pod ziemi wygrzebać pocieszenie dla téj fundamentalnéj niemocy naszego gminu, przeto i naszéj, ale nawet p. Stanisław Polaczek, który ze swego stanowiska nie chce i nie może włościaninowi przebaczyć bodaj gwoździa zatajonego, — obaj oni wyznają, że jest niejaka nadzieja ocalenia, a może i świetnéj przyszłości dla polskiego chłopa: podziśdzień nie stracił zaufania do książki, podziśdzień ją kocha, niezłomnie wierząc w prawdę, zacność i podniosłość drukowanego słowa. Dzięki temu usposobieniu, w Jagodném, pomimo braku szkółki i systematycznego uczenia, około 30% ludności umié czytać, 10% zaś potrafi pisać, co dobrze charakteryzuje dążenie ludu do oświaty, jeżeli przytém się zważy, że większość umiejących czytać i pisać należy do młodego pokolenia" (IV, 67). „Lud, przy tém wszystkiém, ciekawy, z ochotą czyta wypożyczoną książkę lub gazetę. W miesiącach zimowych oblegany jestem o pożyczanie książek, a nieraz zdarzało mi się przez okienko w nocy widzieć, jak liczném gronem dziatek i domowników otoczony gospodarz, czytał na głos wszystkim książkę. Widok ten nieraz mię ucieszył i przyszedłem do przekonania..." (IX, 45).

J. T. Hodi.



Jakóba Flach'a.

Początki Średniowiecznéj Francyi.[1]

I.

Rozwój historyografii francuskiéj ostatnich lat dziesiątków stoi niewątpliwie w ścisłym związku przyczynowym z pogromem, jakiego tak niespodziewanie doznała Francya w r. 1870/1. Społeczeństwo francuskie zbudzone ze snu ułudy, wchodzi w siebie, uznaje własne błędy i pyta się o ich przyczyny. Widok licznych wad wewnętrznych, które również dopiéro po wojnie spostrzegać i badać poczęto, przyczynia się naturalnie w wysokim stopniu do rozwinięcia zmysłu krytycznego, bez czego poważne zrozumienie przeszłości jest niemożebne.

Głównym płodem tego usposobienia i zadość uczynieniem téj potrzebie ducha było znakomite dzieło Taine'a. Nie rozbierając tutaj charakteru samegoż dzieła, jego sceptycyzmu, może nieraz zanadto wygórowanego, powiédzmy tylko, że tu poraz piérwszy, zdaje się, zobaczyła Francya bezstronność tak wielką, jakiéj tam dotychczas nie znano, trzeźwość sądu bez ironii i złośliwości, poważny rozbiór myśli i czynów każdego stronnictwa, spokojne ocenienie jego wad i zalet.

---

[1]) J. Flach: Les origines de l'ancienne France, I. 1886, II. 1893.

A co najwięcéj uderzyć musiało już ze stanowiska techniki historycznéj, to odkrycie i przedstawienie wielostronności każdego zagadnienia, wykazanie jak wiele przyczyn składa się na każdy skutek, jak płodném w następstwa, nieraz nieoczekiwane i absolutnie przewidzieć się nie dające, może być każde działanie ludzkie, jak nawzajem nieraz najlepiéj przygotowana akcya z powodów zdaje się drugorzędnych, celu nie osiąga. Dla historyków francuskich, piszących najczęściéj pod wpływem pewnéj idei, dla pisarzy nieraz wprost stronniczych, takie przedstawienie historyi ostatniego wieku, a więc przedmiotu nadającego się w najwyższym stopniu do traktowania ze stanowiska przekonań politycznych i uczuć chwili obecnéj, było nadzwyczajnie ważném. Osiągnięcie zaś w rezultacie przekonania o wielostronności wszystkich ruchów i dążeń, a więc i wszystkich zagadnień historycznych i historyczno-prawnych, nakazywało tym, którzy pod wpływem Taine'a i jego szkoły przejrzéć i widziéć chcieli, zwrócić się do szczegółowych w każdym wypadku i mikroskopijnych badań, czego również dawniéjszym historykom i historykom prawa we Francyi, z nielicznemi wyjątkami, najczęściéj brakowało; przeważało badanie jednostronne, rozwijanie pewnéj myśli przewodniéj z pominięciem, lub przynajmniéj niedostatecznem uwzględnieniem całego szeregu okoliczności ubocznych, faktów na oko i z osobna drobnych, przy dokładném badaniu i odpowiedniém ugrupowaniu zaś nadzwyczaj cennych. Wszak jeszcze niedawno najpopularniejszy rzec można historyk i historyk prawa we Francyi, Fustel de Coulanges popadał nieustannie, pomimo nawoływań krytyki w te błędy; swéj myśli przewodniéj o rzymskiém pochodzeniu struktury społeczeństwa francuskiego i o jego niezawisłości od wszelkich wpływów germańskich poświęcał wszystko, skomplikowaną budowę państwa, prawa i społeczeństwa średniowiecznego prostemi liniami kréślił, nie widząc, czy nie chcąc widzieć tych ciągłych oscylacyi, nieustannego wahania się pod wpływem bardzo wielu czynników, jednêm słowem tego całego ruchu, poprzedzającego krystalizacyę na poszczególnych punktach życia prawnego i społecznego, jakim rozwój średniowieczny właśnie się odznacza. Między wielostronném badaniem wszystkich zagadnień przez Taine'a, a zanadto jednostronném przez innych historyków francuskich, zachodziła sprzeczność wielka i dotkliwa, którą usunąć mogło tylko zupełne zwycięstwo jednéj lub drugiéj metody.

Równocześnie odbywał się jednak zdala od właściwego pola działania Taine'a wielki rozwój metody historycznéj francuskiéj przez połączenie sposobu pracy, z jakiego w dziedzinie t. zw. nauk pomocniczych historycznych oddawna słynęli uczeni francuscy, skupiający się

około *Ecole des chartes*, z historyografią w ścisłém znaczeniu; połączenie to, które w Niemczech nastąpiło już w pierwszéj połowie XIX wieku i stanowiło jedną z głównych podstaw powodzenia t. zw. szkoły historycznéj, dziwnym trafem w ojczyźnie badań paleograficznych i dyplomatycznych uległo tak znacznemu opóźnieniu. Ale za to téż i postęp szybkim krokiem nastąpić musiał, a oddanie znakomicie rozwiniętych we Francyi nauk pomocniczych historycznych na usługi historyków i prawników, których talentowi i wiedzy tylko téj broni do zwycięstwa brakowało, postawiło historyę prawa i społeczeństwa we Francyi, dzięki zwłaszcza pracom Esmein'a, Flach'a i Viollet'a, odrazu na wysokości odpowiedniéj jéj zadaniu. Runęły budowle na śmiałych hipotezach pięknie i estetycznie wzniesione, które często nie były niczém inném, jak tylko stylistycznie doskonałém wykonaniem powziętych przez autora pomysłów, przyczém jego sympatye lub antypatye do Rzymian, Germanów, kościoła, szlachty i t. d. odgrywały główną rolę; badanie mikroskopijne, przy użyciu wszystkich dostępnych źródeł, przy równym współudziale historyków i prawników zajęło ich miejsce.

Niewątpliwie takie zestawienie metody Taine'a i usiłowań najnowszéj szkoły historyczno-prawnéj we Francyi jest cokolwiek śmiałém; i rzec można, że ani Taine swém dziełem nie zmierzał prawdopodobnie bezpośrednio do zmiany postępowania historyków i historyków prawa we Francyi, ani téż oni w najnowszéj fazie rozwoju nauk odnośnych nie powodowali się jego przykładem; ale obiektywnemu spostrzegaczowi czasowy przynajmniéj związek sam się narzuca i tuż obok siebie stoją fakta, mianowicie fakt, iż dawniéj historyografia francuska działała najczęściéj jednostronnie, a dzieło Taine'a po raz pierwszy w tak doskonały sposób zastosowało metodę wszechstronnego ogarniania każdego zdarzenia, — i fakt, iż obecnie na polu badań historyczno-prawnych i historyczno-społecznych ta właśnie metoda cieszy się zupełném uznaniem.

Głównym celem autora, z którego dziełem zamierzamy się tu zapoznać, jest przedstawienie początków tego „*ancien regime*", z którego upadkiem zaznajomił nas po mistrzowsku Taine. Chodzi więc o obraz X i XI w., t.j. epoki, która oddziela upadek monarchii karolińskiéj od stanowczego ukonstytuowania się monarchii francuskiéj. Jak wszystkie epoki przejściowe, tak i ona obejmuje liczne wypadki i ruchy zagadkowe, a niemal każdy z nich jest objawem upadku dawniejszych, a rozwoju nowszych idei i instytucyi. Zarówno umysł badacza, jak i serce patryotyczne szukać muszą w téj epoce odpowiedzi na pytanie, co z dawnego zasobu myśli i instytucyi gallo-rzymskich oraz fran-

końskich przeszło przez alembik rozkładu, jaki się dokonywa w tym czasie, oraz co i w jaki sposób mogło być użytém przy konstrukcyi państwa francuskiego, która w tym wypadku była zarazem rekonstrukcyą społeczeństwa. Charakterystyczną bowiem cechą dziejów francuskich X i XI w. jest rozkład czynników gallo-rzymskich i frankońskich, które w sposób tak nadzwyczajny łączyły się w monarchii merowińskiéj i karolińskiéj i to rozkład na najdrobniejsze atomy, oraz nowe, zupełnie inne połączenie tychże atomów w ustroju powstającéj monarchii francuskiéj. Rozkład ten jest wynikiem skrajnego indywidualizmu pewnych jednostek ważniejszych, które dążyły do zastąpienia ogólnie obowiązujących stosunków prawnych układami, obowiązującymi tylko osoby do układu przystępujące. Dążenia te osiągają skutek, ogólny porządek prawny upada, ale pomimo to na dnie tego społecznego i państwowego rozbicia nie brak sił żywych, socyalnéj naturze człowieka wrodzonych, które bezwiednie, a przedewszystkiém mimowoli grupują i układają rozproszone atomy i odnawiają w postaci jeszcze nieuchwytnéj i majaczącéj wspólne instytucye prawne, wspólne pojęcia i poczucia obowiązków i praw [1]).

Stawiając kwestyę w ten sposób, zgodnie z wynikami wszystkich badań z zakresu ewolucyi historycznéj, szuka autor bardzo słusznie klucza wielu zagadek późniejszych w tajemnicach téj właśnie tak mało znanéj epoki. Wyznać bowiem trzeba, że historycy francuscy w ogóle główną uwagę zwracali na stosunki już w pełnym rozkwicie widoczne, przejściom zaś, wśród których nic stanowczego w oko nie wpadało, zamało przypisywali znaczenia. I tak feudalizm, który bądź co bądź stanowił podstawę historyczną całego „*ancien regime*" we Francyi, z podstawą materyalną przeważnéj liczby instytucyi francuskich, datowano zazwyczaj od IX wieku, t. j. od czasu upadku monarchii Karola Wielkiego; przyczém naturalnie używano obfitego zasobu argumentów historyozoficznych, celem usprawiedliwienia tak bezpośredniéj zmiany w dziedzinie prawa frankońskiego [2]). Jest to znów objawem jednostronności badania, pracy przedsiębranéj pod wpływem pewnéj myśli przewodniéj, która każe badaczowi dążyć do systemu, tam gdzie w rzeczywistości istniały dopiero bezwiedne przyszłego systemu początki i zwiastuny. Wszechstronne studyum faktów prowadzi do innych zgoła wyników. Są one tak ciekawe, że zapoznanie się z niemi toruje już na podstawie wydanych 2 tomów dzieła naszego autora dro-

---

[1]) Flach I, st. 9.

[2]) Tamże str. 11.

gę do lepszego zrozumienia epoki przejściowéj, w któréj szukać należy początków monarchi średniowiecznéj.

II.

W epoce, o którą chodzi, historya prawa łączy się, jak może nigdy, z życiem społeczném, z którego wyłania się feudalizm, fałszywie zazwyczaj uzasadniany wyłącznie powodami natury prawno-politycznéj.

Studyując powstanie feudalizmu, należy zwracać uwagę na socyalną stronę zagadnienia. „Z pierwiastków administracyjnych upadającéj monarchii frankońskiéj, złączonych z szeregiem pierwiastków rzymskich i germańskich, przetopionych i uszlachetnionych w ogniu probierczym kościoła, powstał pod wpływem niesłychanie energicznego ducha narodowego system polityczny, którego ani barbarzyńskie jeszcze Niemcy, ani zromanizowane Włochy nie byłyby zdołały stworzyć, który jednak u Francuzów zapożyczyć uznały za stosowne i który Normanowie wnieśli następnie do Anglii" [1]).

Tworzone pod wpływem potrzeb społecznych prawo X i XI w. objawia się w całym szeregu wybitnych faktów i do nich się nagina, licząc się z potrzebami, jakie się w danych wypadkach okazały [2]).

Wychodząc z tego założenia, które samo przez się zmusza do pilnego zbierania wiadomości o faktach i ich związku z prawem, do badania o ile pewne fakty spowodowały zmianę prawa, o ile zaś same były tylko objawami zmienionych pojęć prawno-społecznych, grupuje autor umiejętnie drobne na pozór fakty i omawia w księdze I-széj znaczenie związków opiekuńczych, w II-giéj przyczyny rozkładu społeczeństwa w X i XI w., w III-éj elementa nowego układu społecznego, w IV-ej powstanie prawa narodowego przez połączenie prawa frankońskiego z rzymskiém przy udziale zwyczajów miejscowych i prawa kościelnego. Następne 3 księgi obejmują obraz społeczeństwa w. XI-go, a ks. VIII-ma i ostatnia wykaże o ile późniejszy ruch komunalny sięga początkami swymi już XI-go wieku.

Umiejętne i teoretyczne przedstawienie stosnnków opiekuńczych zasługuje na szczególną uwagę. Znaczenia tych stosunków nie zapoznawano nigdy, ale prawny ich charakter, oraz związek, w jakim się one znajdują z prawem dawniejszém i z prawem, które się równocześnie tworzy, oddziaływanie na rozwój stosunków społecznych, gospodar-

---

[1]) L. c. 13.

[2]) L. c. 17. Ler droit des X et XI s. apparait surtout à travers le fait.

czych i prawnych, tu po raz pierwszy tak ogólnie a zarazem tak ściśle w system ujęto.

Podstawą teoryi stosunków opiekuńczych jest spostrzeżenie, iż jednostka samodzielnie istnieć może tylko wtedy, jeśli organizacya państwowa zapewni jéj konieczne gwarancye prawne, jeśli czuwa nad jéj bezpieczeństwem, broni jéj praw, daje jéj sposobność upominania się o obronę przeciwko możliwym napaściom, a następnie energicznie przeprowadza wykonanie wyroków. Dopóki takiego ustroju nie ma, albo jeśli z jakichkolwiek powodów podupadł, samodzielny byt prawny jednostki jest niemożebny, bo wśród otaczających ją zewsząd niebezpieczeństw, bez obrony pozostawać nie może. Zarówno przed wydoskonaleniem się ustroju państwowego, jak i po jego upadku lub ubezwładnieniu, jednostka chcąc się utrzymać w posiadaniu swych praw i zapewnić sobie możliwy byt, musi należeć do pewnéj grupy, która wobec swych członków spełnia zadania ustroju państwowego. „Dla odosobnionego indywiduum nie ma miejsca w takiém społeczeństwie; a gdy rodzina się rozpada, pozostali jéj członkowie muszą się łączyć z inną rodziną; brak takiego przytułku równałby się zagładzie" [1]).

Rodzina z natury rzeczy jest pierwszą grupą, w któréj jednostka znajduje pomoc. Autor rozwija to pojęcie na doskonale wybranych przykładach. Wykazuje, jak drogo rodzina rzymska za ten przytułek płacić kazała; na jéj ołtarzu składa jednostka swą niezawisłość, a wszystkie prawa przechodzą na ojca rodziny, na naczelnika grupy rodzinnéj; wiadomo, że odnosi się to nie tylko do żony i dzieci, ale i do klientów, jednem słowem do wszystkich, którzy w rodzinie rzymskiéj szukali oparcia i opieki; i wobec tego zapytać się już godzi, czy istotnie przesadne zresztą, jak wiadomo, mniemania o średniowiecznym ucisku feudalnym nie bledną wobec rygoru, jaki panował w rodzinie rzymskiéj.

Inaczéj wyglądają te stosunki w Galii; tu już wcześnie tworzy się hierarchia opiekuńcza; możne rodziny, które przyjmowały do swego związku licznych klientów, same również szukały dla siebie i swych klientów pomocy i poddawały się w tym celu opiece jeszcze możniejszych rodzin; czyniły to także i całe gminy a nawet państewka, rozwijał się tu więc system zależności, podobny przynajmniéj zewnętrznie do owéj charakterystycznéj drabiny lennej, która garnąć miała w wiekach średnich całe kraje i społeczeństwa; podobieństwo tém większe, że jak w jednym, tak i w drugim wypadku system opiekuńczy nie tyl-

---

[1]) l. c. 48.

ko zastępczo spełniał wobec jednostki funkcye państwa, ale co więcéj; czynił rozwój ustroju państwowego prawie niemożebnym.

Dawna klientela i organizacya rodzinna rzymska, zmienione bardzo znacznie wśród własnego społeczeństwa, i klientela gallicka, na którą ustrój państwowy rzymski musiał zabójczo oddziałać, spotykają się w chwili, gdy Galia przechodzi pod władzę Rzymian. Lecz niedługo władze prowincyonalne spełniały swe zadanie w sposób, któryby istnienie, a względnie tworzenie się nowych związków opiekuńczych czynił zbytecznym, co więcéj władze te były tak słabe, że pomimo widocznéj chęci nie zdołały wystąpić stanowczo przeciwko tworzeniu się takich związków, które—wywołane osłabieniem władzy państwowéj—swém istnieuiem i swą działalnością władzę tę jeszcze więcéj osłabiać musiały.

Ten właśnie charakter związków opiekuńczych, jakie powstawały w prowincyach rzymskich, zasługuje na szczególną uwagę; jeżeli starorzymska rodzina i związek klientelarny, albo klientela gallicka zawdzięczały swe znaczenie i racyę bytu nawet przedewszystkiém okoliczności, iż współcześnie nie było należytego ustroju państwowego, to przeciwnie zadaniem związków opiekuńczych, które powstawały w epoce rozkładu imperium rzymskiego było chronić jednostki słabe od nadużyć, do jakich podupadający ustrój państwowy nie mało nastręczał sposobności. Od osłabionéj i niestosownie wykonywanéj władzy państwowéj apelują niższe zwłaszcza warstwy ludności prowincyonalnéj do możnowładców, którym wysokie stanowisko i potęga materyalna dają możność upomnienia się o prawo dla siebie i dla klienta. Ale i w tym stosunku, jak prawie zawsze, oparcie i pomoc drogo się płaci; patron żąda zupełnéj uległości, a żądaniu jego staje się zadość: tak wielką jest potrzeba pomocy, tak wielką żądza choćby względnego bezpieczeństwa. Rośnie tym sposobem znaczenie patrona i już nie tylko o prawo dla siebie i klientów upominać mu się pozwala; ufny w swą potęgę przestaje patron przestrzegać granic prawa i bezprawia, a władza państwowa, któréj rozstrój był główną podstawą patronatu prowincyonalnego, nie może go już zmusić do szanowania tych granic; związki opiekuńcze i oparta na nich władza możnowładztwa zadają cios śmiertelny istocie władzy cesarskiéj, pozostawiając jéj tylko cień i formy.

Nie tak się rzecz miala w Germanii. Najstarsze prawo niemieckie zna także podobne stosunki, ale dużo w nich rozmaitości, a co ważniejsza nie brak sposobu zrywania i zmiany stosunku. Od zupełnéj zależności, graniczącéj prawie z niewolą, aż do komitatu, t. j. stosunku towarzysza broni, bogata skala związków z bardzo różnorodną zale-

żnością; jednostka ma w czém wybierać i dla tego właśnie żaden związek opiekuńczy nie może zanadto wiele wymagać, w przeciwnym razie bowiem straciłby adherentów.

W państwie frankońskiém wszystkie te czynniki łączą się i krzyżują zarazem. I tak przedewszystkiém ważném jest, iż władza królewska u Franków salickich już wcześnie rozwija się kosztem władzy rodzinnéj i kosztem powagi innych związków, które wszystkie musiały wreszcie ugrupować się wokoło króla. Król stanowił tym sposobem ognisko pewnéj liczby kół współśrodkowych [1]), z których jedne więcéj, inne mniéj od niego zależały i w tym samym stosunku mniejszy lub większy miały udział w jego opiece.

Z natury rzeczy jednak wynika, iż opieka tak obszerna, obejmująca cały naród, nie mogła być skuteczną, nie mogła wobec wszystkich spełniać zastępczo funkcyi, których taż sama władza królewska jako państwowa spełniać jeszcze nie umiała. Opieka ta, wykonywana przez pełnomocników królewskich, którzy nie zawsze byli nieprzystępnymi wpływom postronnym, dla warstw niższych zwłaszcza musiała być niedostateczną, w pewnych wypadkach nawet mogła być szkodliwym pretekstem bezprawia urzędników królewskich; najlepsza wola króla walczyła bezskutecznie z faktyczném znaczeniem i przemocą możnych, oraz z brakiem energii lub złą wolą urzędników monarszych.

Wypadło więc nieraz szukać skuteczniejszéj opieki przeciwko uciskowi możnych, a najłatwiéj znaleść ją można było u nich samych. W jednym z tych stosunków, których życie germańskie znało tak wiele, można było w zamian za pewną uległość uzyskać bezpieczeństwo; stosunki te nie opierały się już wcale na podstawach prawno-familijnych, lecz przeciwnie były to stosunki, które zawierano *ad hoc*, jedynie w celu uzyskania opieki.

Różnym stopniom uległości odpowiadały różne stopnie opieki, a coraz częściéj stanowisko prawne jednostki zależało od rodzaju stosunku opiekuńczego, w którym żyła.

Ważnym krokiem naprzód w rozwoju związków opiekuńczych frankońskich było oddawanie w opiekę nietylko osób, ale i ziemi. Powód był ten sam; gdy jednostka nie czuła się bezpieczną, lękać się także musiała o swój majątek, nawet o majątek nieruchomy; skoro dla osiągnięcia bezpieczeństwa nie wahała się poświęcić niezależności osobistéj, nic dziwnego, że poświęcała także niezależność swych praw majątkowych. Węzły zależności zacieśniają się coraz więcéj, a w stosunkach opiekuńczych czynnik osobowy traci na znaczeniu, gdy równocześnie czynnik rzeczowy odgrywać zaczyna główną rolę.

---

[1]) l. c. 81.

Dopełnieniem tego rozwoju jest powszechne u Germanów mniemanie, iż osiadły na cudzym gruncie, chociażby zupełnie wolny, jest od właściciela gruntu zawisłym; osiedlenie się bez zawisłości, która równocześnie potęguje stanowisko właściciela gruntu, nie da się pomyśléć. Tak więc z jednéj strony cały szereg jednostek wolnych i osiadłych na własnych gruntach oddaje się w opiekę i ogranicza tym sposobem swą osobistą i majątkową niezależność, gdy z drugiéj strony liczna rzesza ludzi wolnych, ale nie posiadających własnych gruntów, osiada na obcych ziemiach i wpada tym sposobem również w zależność. Jeśli dodamy do tego naturalną w podobnych warunkach dążność do podniesienia uroku władzy pana opiekuńczego, któremu w własnym interesie i w interesie związku zależeć musi na osiągnięciu jaknajwiększéj samodzielności, natenczas przyjdziemy do przekonania, że przywilej *immunitatis*, wzbraniający organom słabéj władzy publicznéj wstępu na terytoryum możnowładcze, a zarazem odcinający zamieszkałą na tém terytoryum ludność od bezpośredniéj styczności z władzą państwową, był logicznym tylko wynikiem tych stosunków społeczno-prawnych i towarzyszących im faktów dziejowych — dostatecznie znanych.

Jeśli obdarzony podobnym przywilejem możnowładca—świecki lub duchowny — osiągniętym w taki sposób prawom nadać chciał charakter trwałości i zatrzéć ślady innego stanu prawnego, natenczas oddawał się wraz z całém swojem terytoryum w opiekę królewską i zmuszał poniekąd monarchę do prawnego, wyraźnego uznania wszystkiego co zaszło.

Tak więc pomimo najlepszéj woli królów frankońskich, ich opieka, która nie zdołała zapewnić bezpieczeństwa warstwom najbardziéj zagrożonym, posłużyła przeciwnie do wzmocnienia tych, przeciwko którym właściwie działać miała; chęć użycia zanadto słabéj władzy monarszéj wywołała skutek wprost przeciwny—jéj ostateczne osłabienie i rozbicie państwa.

Chcąc ratować ostatki uszczuplonéj władzy, musiał Karol Wielki sam wstępować w ślady możnych i starać się o skupienie jaknajwiększéj liczby ludzi pod swoją opieką; nie była to już dawna ogólna opieka, obejmująca cały lud; na tle starożytnéj opieki specyalnéj, dotyczącéj tych, którzy się temu stosunkowi poddali, rozwija się królewski stosunek beneficyalny, zobowiązujący każdego, kto otrzymał beneficyum królewskie do pewnych usług rycerskich. I w stosunku opiekuńczym królewskim zatém pierwiastek osobowy uległ rzeczowemu.

W rozpadającém się państwie frankońskiém resztkami władzy i funkcyi państwowych dzielą się związki opiekuńcze; ale im bardziéj

brak władzy publicznéj uczuć się daje, tém większe obowiązki ciążą na możnowładcach, około których skupiają się liczne drużyny klientów i tém trudniéj podołać tym obowiązkom. W tym stanie rzeczy pan związku opiekuńczego coraz więcéj musi liczyć na skuteczną działalność członków związku i coraz więcéj musi się starać o podniesienie ich przywiązania; do tego celu zmierza udzielanie beneficyów, a więc uzupełnienie stosunku dotychczas osobistego ważnym czynnikiem rzeczowym; niebawem ten czynnik staje się nierozłączną, a ekonomicznie nawet ważniejszą częścią całego stosunku i cechą właśnie późniejszego klasycznego feudalizmu jest związek przyczynowy między wiernością i pełnieniem usług rycerskich, a posiadaniem lenna, nadanego przez pana.

Tworzeniu się tego przyczynowego związku, czyli rozwojowi klasycznego feudalizmu, towarzyszy rozstrój wewnętrzny całego społeczeństwa, ważniejszy, a w każdym razie płodniejszy w skutki, niż upadek słabéj władzy publicznéj, który był racyą bytu stosunków opiekuńczych.

Po mistrzowsku kreśli Flach w księdze II-éj rozstrój i rozkład społeczeństwa, zwłaszcza co do wymiaru sprawiedliwości, który ustaje niemal zupełnie, a przynajmniéj traci wszelką skuteczność. Król działa już chyba tylko jako pan swego związku opiekuńczego, a więc nie jako monarcha i używa swego wymiaru sprawiedliwości dla obrony swych klientów,—a więc nie z bezstronnością, jakiéj się po monarsze spodziewać należy,—obniżając tym sposobem znaczenie państwowego wymiaru sprawiedliwości, równając go z działaniem innych możnych patronów; w tym samym stopniu traci ludność zaufanie i poczucie obowiązku względem króla i zbliża się chwila, w któréj z całego terytoryum zachodnio-frankońskiego Reims i Laon jedynie uznają jeszcze jurysdykcyę królewską [1]), gdy wszystkie inne obszary prawnie lub i bezprawnie, przez rozszerzenie *immunitatis*, (która właściwie wzbraniała tylko wstępu organom publicznym na terytoryum uprzywilejowane) zapewnić sobie zdołały samodzielną jurysdykcyę, od króla nawet niezależną.

Zdawaćby się mogło, iż ten upadek i zanik nawet władzy królewskiéj wyzyskać mogło uprzywilejowane możnowładztwo na własną korzyść, by swoim związkom opiekuńczym, którym jak wiemy nie brakło i terytoryalnéj podstawy, przy pomocy nabytéj jurysdykcyi nadać charakter ustrojów państwowych. I niewątpliwie możnowładztwo francuskie dążyło do tego i z pewnością nie na to z całym wysiłkiem pra-

---

[1]) l. c. I, str. 150.

cowało nad osiągnięciem niezawisłości od króla, aby późniéj część zdobytéj mozolnie władzy tracić na rzecz niższych czynników. Ale w dziejach powtarza się nieustannie fakt, iż ci, którzy najwięcéj przyczyniają się do stworzenia sił rozkładowych i do wywołania rozstroju, muszą następnie sami się z niemi liczyć i rozhukanym falom politycznéj anarchii doniosłe nawet czynić ustępstwa. Terytoryalne granice władzy uprzywilejowanego możnowładztwa były określone, ale pełnia i rozciągłość téj władzy była nader wątpliwa, a gdy rozstrój stał się dogmatem, a rozkład stanem prawidłowym, wtedy zależni od możnowładzców i mniéj potężni wasale zaczęli również destrukcyjnie występować przeciwko świeżo a mniéj lub więcéj bezprawnie zdobytéj pozycyi panów lennych, zaczęli odgrywać wobec swych naczelników podobną rolę, jaką dotychczas oni odgrywali wobec króla. Świeża władza uprzywilejowanych panów lennych ciosom tym nie zawsze opierać się mogła, a korzyść pośrednia, jakąby ludność odnieść mogła z silnéj władzy uprzywilejowanych możnowładzców, którzyby zastąpili w swoich terytoryach króla, nie została osiągniętą; rozkład nie wydał owoców dodatnich; w wielu wypadkach początki zwierzchności i jurysdykcyi terytoryalnéj uledz musiały naciskowi z dołu,—zasada osobowości prawnéj zwyciężała zasadę terytoryalną.

Nie cała zresztą Francya znalazła się pod opieką kilkunastu lub kilkudziesięciu możnych; i już ta okoliczność sama przez się utrudniała rozbicie królestwa na kilkanaście mniejszych, ale należycie zorganizowanych państewek. Obok tych panów, którzy otrzymali od królów znaczne lenna i na nich oparli swą destrukcyjną działalność, istniało jeszcze wielu wolnych właścicieli znaczniejszych nawet obszarów, którzy ani przez uzyskanie urzędu, ani przez lenno nie brali udziału w tym całym ruchu. Gdy się on jednak rozpoczął i gdy już rezultaty jego stawały się widoczne, wolni właściciele skorzystali również z zaniku władzy państwowéj, uzurpując sobie pewne jéj prawa i stając tém samém na stanowisku równie niezależném, jak i panowie lenni; faktem jest, że od IX-go do XI-go wieku nie brak niezawisłych właścicieli, którzy bez przywileju *immunitatis* faktycznie są panami terytoryów. I tu znów widzimy związek między prawno-prywatném posiadaniem ziemi, a funkcyami prawno-publicznemi; niezależność prawno-prywatna staje się podstawą niezależności prawno-publicznéj i podstawą rozwoju własnéj jurysdykcyi [1]. To błędne koło, z którego wieki średnie wyjść nie mogą; kto traci niezależność prawno-prywatną, traci część swych praw publicznych i na odwrót; wzrost i upa-

---

[1]) l. c. I, 212.

dek jednéj stoi w ścisłym związku z wzrostem i upadkiem drugich; a że oba pojęcia nie mogą być sprowadzone do wspólnego mianownika, że wzrost i upadek niezależności prawno-prywatnéj innym téż podlega fluktuacyom, stąd owa ciągła zmiana w stosunkach politycznych i ten brak punktu krystalizacyjnego.

Wyjątek stanowią i w téj epoce terytorya kościelne. Początek ich samodzielności tworzą również nadania królewskie, a daléj przywileje możnowładców, którzy niejednokrotnie zgadzali się na wyjęcie instytucyi kościelnéj, terytoryalnie im podległéj z pod władzy i zależności; terytorya te były rozproszone i często małéj rozległości, ale spełniały w nadanym lub zdobytym zakresie niezależności funkcye państwowe z daleko większą sumiennością i korzyścią niż terytorya świeckie. Nie przyczyniwszy się z swéj strony prawie niczém do rozstroju, umiały terytorya duchowne przestrzegać nietykalności swych praw i one jedne w téj epoce nie uległy destrukcyjnym dążeniom tych czynników, którym nawet ci możni panowie świeccy, którzy usunąć zdołali władzę królewską, czoła stawić nie umieli.

Występują więc — z wyjątkiem terytoryów duchownych — dwie siły wprost przeciwnie działające: usiłowania pana terytoryalnego, który skupionéj w jego ręku jurysdykcyi używał coraz częściéj w celach wyzysku, — i usiłowania osób, poddanych téj władzy, a dość silnych, aby się jéj częściowo oprzéć, dążące do wydobycia się z pod przemocy i dostarczenia niezawisłego wymiaru sprawiedliwości. Wynikiem tych dążeń oraz rozdrabniania jurysdykcyi jest zupełne zerwanie tak ważnego związku, jaki zachodził między władzą terytoryalną a władzą sądową, związku, który w wysokim stopniu mógł się przyczynić do nowego układu organizacyi społecznéj i państwowéj. Czynniki indywidualne biorą górę, jurysdykcya terytoryalna cofać się musi przed ponownem i stanowczém wystąpieniem starogermańskich zasad jurysdykcyi osobistéj i zasady *paritatis*, w myśl któréj tylko przez równych można było być sądzonym. Ale i ta zasada nie zdobywa ostatecznego zwycięstwa i ona z kolei uledz musi naciskowi z góry i niebawem widzimy sądy parów t. j. równych, poddane przeważnemu wpływowi możnowładztwa [1]). Z walki tak stoczonéj obie zasady, mianowicie zasada terytoryalizmu i zasada osobowości prawnéj wychodzą osłabione i częściowo tylko uznane.

Łatwiéj już było zwyciężyć podobne aspiracye warstw najniższych, t. j. téj ludności, która — po części nawet niewolnego pochodze-

---

[1]) l. c. I, 248.

nia — korzystała z przywileju *immunitatis* i z zastępstwa przez pana wobec sądów, równocześnie jednak popadała naturalnie w coraz większą zawisłość od pana; zupełne przynajmniéj *de facto* zerwanie związków między tą ludnością a władzą publiczną utrudniało opór, jaki ta ludność stawiać chciała; jurysdykcya dworska i czynszowa zwycięża; jest ona po części terytoryalną, bo obejmuje zazwyczaj z małemi wyjątkami wszystkie indywidua osiadłe w pewnych warunkach na pewném terytoryum, — ale zarazem występuje w niéj rozkładowo czynnik jurysdykcyi osobowéj, bo panowie przywłaszczają sobie sądownictwo odnośne nad swymi ludźmi nie tylko w granicach swego terytoryum, ale także nawet i wtedy, jeśli ci ludzie terytoryum to opuszczają; i tu więc widzimy krzyżowanie się obu zasad, a co za tém idzie, niemożebność stanowczego zwycięstwa jednéj lub drugiéj.

I znów tylko w kościele widzimy na tém polu konsekwencyę; mieliśmy sposobność zauważyć poprzednio, że terytorya kościelne uzyskawszy jurysdykcyę umiały oprzéć się skutecznie destrukcyjnym dążeniom z dołu i zyskały tym sposobem wyższość nad terytoryami świeckiemi. Zasada jurysdykcyi osobistéj, zastosowana do kleru w ten sposób, iż podlegał on swym zwierzchnikom podobnie jak wasale świeccy swym panom lennym [1]), posłużyła znów do rozszerzenia sądownictwa władz duchownych. Kler stawał więc również w szeregu tych czynników, które, żądając jurysdykcyi osobistéj, łamały ciągłość jurysdykcyi terytoryalnéj.

Dochodzi zatem w XI w. do tego, że w poszczególnych terytoryach, zwłaszcza świeckich, co kilka kroków napotyka się inną jurysdykcyę, w jednéj i téj saméj osadzie co kilka domów inną władzę sądową [2]), a po za tém jeszcze nawet w tak rozdrobnionych terytoryach sądowych pewne osoby, n. p. duchowieństwo, które chociaż w tém terytoryum zamieszkałe, podlegają jurysdykcyi osobnéj.

Nie koniec na tém. Zarówno zasada terytoryalna, jak i osobowości prawnéj w wielu wypadkach ustępować musi t. zw. jurysdykcyi specyalnéj, t. j. odnoszącéj się do pewnych spraw, bez względu na to, gdzie i przez kogo czynność odnośna została zawartą, lub przestępstwo popełnioném. Kościół już w czasach frankońskich żądał przyznania sobie prawa sądzenia pewnych wykroczeń, a w X i XI w. zdołał w znacznéj części osiągnąć uznanie swego żądania. Za przykładem kościoła poszły inne warstwy ludności; wyrobiła się specyalna jurysdykcya targowa i handlowa, — cały szereg wyjątków zarówno od za-

---

1) l. c. I, 287 — 298.
2) l. c. I, 300.

sady jurysdykcyi terytoryalnéj, jakoteż i od zasady jurysdykcyi osobistéj.

Te trzy czynniki dokonały zupełnego rozkładu władz sądowych; na gruzach dawnéj jurysdykcyi państwowéj i królewskiéj powstało tyle odrębnych jurysdykcyi, że jakakolwiek nowa organizacya zdawała się na zawsze wykluczoną.

Nie inaczéj miała się rzecz z innemi atrybucyami państwa.

Jednym z głównych obowiązków państwa jest obrona granic; ciążyła ona niegdyś na całych narodach, a gdy z powodu zubożenia licznych warstw ogólny ten obowiązek nie mógł już być spełnianym, obrona zaczęła przechodzić na coraz szczuplejsze koło zamożniejszych i możniejszych jednostek, które pociągały do współudziału także mniéj zamożne. Ten współudział, zrazu dokładnie określony, staje się z czasem powodem ucisku, obrona zewnętrzna połączona jest z całym szeregiem gwałtów wewnętrznych i służy raczéj do podniesienia władzy możnych, którzy znów marnują tę władzę w waśniach i walkach sąsiedzkich, zamiast użyć jéj do wzmocnienia organizacyi swych terytoryów.

Również i sprawowanie policyi i administracyi przez potomków dawnych urzędników państwowych, ma jedynie ich własny interes na oku; policyjnéj władzy używa się dla regulowania, a raczéj ograniczania ruchu handlowego, co ostatecznie prowadzi do wytworzenia się szeregu monopolów chwilowo korzystnych, w rezultacie jednak hamujących rozwój ekonomiczny w sposób, który wreszcie musiał się odbić na najmniejszych nawet terytoryach i unicestwić rzekome korzyści gwałtownego narzucania monopolów.

Wiadomo do jakich nadużyć służyło prawo nakładania podatków; wyzysk w formie rzekomo prawnéj, prowadzący do zubożenia ludności, a zarazem do zohydzenia samo przez się zdrowéj zasady płacenia podatków na rzecz władzy i ogółu, były jedynym wynikiem polityki panów terytoryalnych, którzy i tu nie umieli skorzystać ze sposobności w interesie zdrowego rozwoju swéj władzy.

Tak samo miała się rzecz z usługami, których żądała w interesie publicznym władza królewska, a któréj po upadku władzy królewskiéj panowie terytoryalni poczęli żądać dla siebie [1]). Takim bowiem jest początek przeważnéj liczby t. zw. praw feudalnych, które oderwane od prawno-państwowéj podstawy, na któréj w interesie publicznym były uzasadnione, nabrały charakteru nadużyć, czém też w znacznéj części

---

[1]) Często naturalnie nawet i tam, gdzie ich królowie nie żądali nigdy. Ciekawe przykłady I. rozdz. 22 i 23.

stotnie były i służyły ze swéj strony znów tylko do zohydzenia pierwiastku władzy w ogólności.

To wszystko dowodzi jasno, iż czynnik destrukcyjny, jakim był związek opiekuńczy, wypierający władzę królewską sam przez się, nie może nigdy działać twórczo i korzystnie; gdy związki opiekuńcze występują w społeczeństwie, które jeszcze nie dorosło do pełnego ustroju państwowego, zastępują więc państwo w pewnych funkcyach, natenczas działalność ich może być korzystna, a żadną miarą nie jest zbyteczna; gdy jednak związki opiekuńcze stają się koniecznemi dla tego, że pewnym jednostkom udało się osłabić władzę państwową i jéj kosztem pozyskać faktyczną przemoc, z którą słabsi liczyć się muszą, natenczas ich działalność jest destrukcyjna, nie leży w interesie publicznym i prowadzi do zamętu, do upadku wszelkiéj władzy, jedném słowem do stanu, z którego już nawet i sami uzurpatorowie skorzystać nie potrafią [1]).

Zrujnowanie materyalne warstw niższych, które za opiekę, w jaką się poddać muszą, płacą utratą wolności politycznéj i prawnéj, oraz niezależności materyalnéj, zohydzenie pierwiastku władzy, a korzenie się jedynie przed siłą i przemocą, nieufność do wszelkiéj organizacyi i brak zdolności do niéj [2]), oto rezultat działania sił rozkładowych w X i XI wieku we Francyi,—a w następstwie nie towarzyszy temu odpowiedni takim ofiarom wzrost potęgi możnowładczéj, która pomimo całego wyzysku nie wzniosła się do wyższych celów i zadań. W starciu walk i niesnasek codziennych, sąsiedzkich, marnowała się przeważna część sił społeczeństwa; z wielką niekorzyścią dla jednych, z małą korzyścią dla drugich, ginęło prawo i jego pojęcie.

Poprawa tych chorobliwych stosunków i początki nowéj organizacyi, która jakąkolwiek by była, musiała być poczytana za postęp wobec owego stanu anarchii, nastąpić mogła jedynie przy pomocy tych sił i czynników moralnych, które niezupełnie składały broń nawet w tak trudnych warunkach, które zwłaszcza w tych warunkach nie przestawały przemawiać za poszanowaniem prawa i za spełnianiem obowiązków moralnych, albo które przynajmniéj w swém życiu i dzia-

---

[1]) I, 471: La violence appelle la protection, mais la protection à son tour engendre la violence.

[2]) Brak zdolności do organizacyi jest wynikiem panowania przemocy. Przemoc nie jest czynnikiem organizacyjnym. Słusznie mówi Flach l. c. „Estce donc la force qui maintient l'harmonie dans nos sociétés modernes? Qui ne voit, qu'elle n'intervient qu'à titre exceptionel et pour prêter son appui à un autre element... le seul fecond...; j'entends le respect de la loi?“

łalności, choćby nieraz także bezprawnéj, zachowały lub wykształciły pojęcia do pewnego stopnia idealne; łatwo odgadnąć, że w pierwszym wypadku mamy na myśli Kościół, w drugim rycerstwo, obok którego staje rychło i mieszczaństwo, bo solidarność wcale nie egoistyczna, z jaką ono postępuje, zasługuje na miano pojęcia idealnego.

Przystępuje tedy autor do przedstawienia rekonstrukcyi społeczeństwa francuskiego, którego rozkład skreślił tak wymownie. Wychodząc z słusznego założenia, iż każda rekonstrukcya dąży do jaknajdokładniejszego spożytkowania resztek dawnego ustroju i wszystkiego, co przetrwało ciężkie chwile rozkładu i rozbicia, bada autor te resztki, ich siłę i objawy ich życia.

Wykazuje zatém, iż pewne pojęcia wspólności pochodzenia przetrwały na terytoryum francuskiém od czasów celtyckich aż do naszéj niemal doby. Zarówno Rzymianie, jak i Germanie liczyli się z egzystencyą pewnych związków, których geograficzne granice dziś jeszcze odnaléźć można; dawny *pagus* celtycki służył i Rzymianom i Germanom za podkład ich instytucyi administracyjnych i sądowych, a jakkolwiek rozbicie władz terytoryalnych, o którém była mowa, zadawało mu ciosy dotkliwe, to jednak do końca XVIII-go w. *pays* oznacza niemal to samo, co dawny *pagus*.

W miarę tego, jak większe terytorya rozdrabniają się i łączność ich słabnie, zacieśniają się równocześnie więzy, łączące mieszkańców pewnéj osady; każdéj sile odśrodkowéj towarzyszy siła dośrodkowa, rozproszenie na jedném polu wywołać musi silniejsze skupienie się na inném.

Z kolei przechodzi więc autor wszystkie pola działalności tych sił politycznych, którym nie było daném pracować nad ustrojem terytoryalnym w pełném i szczytném tego słowa znaczeniu.

Badając rolę wsi w społeczeństwie gallo-rzymskiém i germańskiém, wyświeca Flach jéj prawdziwe znaczenie, które na zewnątrz nawet nieuchwytne, zawsze prawie skromne, było jednak wielkiém, bo odpowiadało żywotnym potrzebom gospodarczym osiadłych obok siebie rolników.

Obok wsi jednak, zamieszkałych przez liczną rzeszę drobnych właścicieli, istnieją obszerne majątki prywatne, zewnętrznie już od wsi różne. Okoliczności sprzyjają ich wzrostowi, bo potężne stanowisko możnego właściciela przyciąga szukających opieki i pomocy, którzy nie wahają się wstępować w stosunki zależności osobistéj i majątkowéj. W VIII wieku nierzadko już dwór możnego pana pochłania drobne posiadłości, około dworu grupują się folwarki, powstają obszerne klucze dóbr prywatnych, których eksploatacya przybiera coraz więcéj

jednolity charakter. Wojny i zamieszki IX i X w. wywołują jednak przewrot zupełny w tych stosunkach; kwitnące *latifundia* padają ofiarą rabunków nieprzyjacielskich, dwory i folwarki niszczeją, eksploatacya i administracya stają się niemożebnemi [1]) i niebawem w wielu okolicach przychodzi do nowego podziału ziemi, rozpoczynają się próby nowéj eksploatacyi rolnej. Wykwintny pałac czy dwór pański zamienia się ze względów bezpieczeństwa w obronne zamczysko, a sam zarząd dóbr ma na celu zapewnienie bezpieczeństwa i obrony; rozdrabnianie skupionéj dawniéj i powiedziéć można zaokrąglonéj własności ziemskiéj, ma na celu zapewnienie właścicielowi potrzebnych usług i dochodów; minęła epoka usiłowań spokojnéj i świadoméj celu pracy rolnéj w wielkim stylu, pracy, któréj pan poświęcał całą swą uwagę i która stanowiła podstawę nadzwyczajnego, jak na owe czasy, rozkwitu gospodarstwa. Zajęty wojennèm rzemiosłem, nie dążył właściciel w X w. do udoskonalenia swego gospodarstwa, lecz chciał z swych posiadłości wyciągnąć jaknajwięcéj środków do prowadzenia waśni i sporów, lub do obrony przed podobnemi napadami, jakich się sam niejednokrotnie dopuszczał.

Rozdrobniwszy swe posiadłości, zatrzymuje dawny ich właściciel, jeśli jest odpowiednio uprzywilejowanym i zdołał w sposób skreślony w t. I-szym, zagarnąć część władzy publicznéj, jurysdykcyę nad całém terytoryum, które obecnie przeszło w ręce wielu drobnych posiadaczy, zobowiązanych do pewnych danin i którzy ze swéj strony, już choćby ze względu na swe stosunki sąsiedzkie i na cały szereg wspólnych interesów gospodarczych, łączą się coraz ściśléj, tworzą związki, które coraz bardziéj nabierają charakteru wsi; miejsce latifundiów zajmują w znacznéj części osady, których członkowie wchodzą w ścisły stosunek do siebie. Te osady wiejskie, mniéj lub więcéj zawisłe, stają obok wsi wolnych, jakie z czasów pierwszego osiedlenia frankońskiego przetrwały do X-go w., a obecnie starają się wzmocnić swą pozycyę bądź przez poddanie się w opiekę możnego pana [2]), bądź przez coraz ściślejsze łączenie się poszczególnych wolnych właścicieli [3]). Liczba wsi zwiększa się wreszcie przez zakładanie licznych osad na świeżo karczowanych przestrzeniach, przyczém prawa i obowiązki osadników, raz na zawsze jasno oznaczone, zapewniały panu stałą korzyść, osadnikom ochronę prawną.

---

[1]) l. c. II, 75.
[2]) II, 1:5.
[3]) II, 137.

Ważnym czynnikiem w zakładaniu nowych osad była *immunitas* i korzyści płynące z prawa azylu; w jednym i drugim wypadku, — a naturalnie tém więcéj w wypadku, gdzie *immunitas* łączy się z prawem azylu — przywiléj i bezpieczeństwo prawne nęcą osadników; a zważmy, że nie brak ludzi, którzy bądź to zupełnie pozbawieni środków do życia, bądź też żądni uwolnienia się z związku zbyt niekorzystnego, chętnie pośpieszyć gotowi na pierwsze wezwanie założyciela osady, boć w naturze ludzkiéj leży ciągłe szukanie i ciągła nadzieja, zwłaszcza w czasach, gdy uczucie osobistéj godności i wolności jeszcze nie zamarło, a warunki zaspokojenia tego uczucia coraz były trudniejsze. Nadzieje w wielu wypadkach były złudne; w zamian za obronę przeciwko zewnętrznym napaściom, lub uprawnionym nawet uroszczeniom, przeciwko którym zabezpiecza *salvitas loci* (t. zw. *sauveté*) poddać się muszą osadnicy władzy pana. Ale władza ta bądź co bądź mniéjsza, niż we wsiach na prawie dworskiém; nadchodzi bowiem chwila, w któréj panowie możni, chcąc zaludniać nieuprawne obszary i gromadzić około siebie ludność, muszą ofiarowywać coraz lepsze warunki. Osady oparte na prawie azylu lub *immunitatis „sauveté"*, złożone z ludzi wolnych i to najczęściéj z ludzi energicznych, zdobywają sobie zatém stanowisko, które autonomią swoją wobec pana przewyższa osady wiejskie i które pozwala członkom osady łączyć się coraz ściśléj i solidarniéj w dążeniu ku wspólnym celom.

Właściwém polem solidarnych dążeń i działania wspólnego są jednak miasta. Rozbierając krytycznie teorye o powstawaniu miast średniowiecznych, oświadcza się Flach stanowczo przeciwko genetycznemu związkowi między miastami gallo-rzymskiemi a średniowiecznemi francuskiemi i obala ostatecznie wszystkie hipotezy odnośne, które ostatniemi czasy *Fustel de Coulanges* chciał ożywić kombinacyami, pełnemi młodzieńczéj iście siły, bez należytego jednak uzasadnienia. Wykazując, jak małe znaczenie miały resztki miast gallo-rzymskich, których organizacya niszczeje, przedstawia autor sposoby powstawania miast w wiekach średnich, i na licznych, w umiejętne grupy łączonych przykładach wykazuje myśli przewodnie, jakie towarzyszyły zakładaniu miast. Myśl obrony nakazywała skupiać się wokoło zamków, których panowie nawzajem chętnie przyjmowali płynące stąd zwiększenie ich znaczenia; stosunki układały się na tle wzajemnego interesu, tak, że możliwém było wykluczenie przemocy, podczas gdy sam fakt skupienia władzy w ręku pana zamku, sam fakt więc powstania władzy bez przemocy, jako nader ważny i dodatni poczytać należy, jako tryumf idei ładu i prawa choćby na małém terytoryum.

Klasztory również za centrum krystalizacyi miejskiéj służyć mogły; nie brakło im warowni, a pod innymi względami lepiéj się na takie centrum nadawały, niż zamki świeckich panów; racyonalne gospodarstwo, z którego duchowieństwo słynęło, stanowiło podstawę handlu i przemysłu, pielgrzymki gromadziły tysiące wiernych, którzy przy téj sposobności zaopatrywali się w towary.

Obok tych i podobnych wypadków, zdarza się także, iż siłą faktów i wewnętrznego rozwoju wieś jakaś zamienia się na miasto, podczas gdy zakładanie miast jako takich, a więc osad, z góry już na to przeznaczonych, nie jest częstym objawem.

Samo powstanie lub założenie miasta nie pociąga bynajmniéj za sobą równouprawnienia wszystkich mieszkańców; przeciwnie widoczne są zrazu klasy odrębne, w miarę pochodzenia i stanowiska poszczególnych indywiduów, które bądź z własnéj woli, bądź z woli pana zamku lub klasztoru w mieście osiadły. Ale po za tym podziałem prawnym, rozpoczyna się już bardzo rychło grupowanie się mieszkańców miast według stanowiska, jakie w gospodarczém lub społecznem życiu miasta zajęli. Tworzy się cały szereg komórek społeczno-ekonomicznych, których łącznikiem wspólność interesu; rzecz prosta, że komórki te powstawać mogą także na tle dawnych podziałów prawnych, bo nierzadko pewna kasta miejska miewa także wspólne interesa; odnosi się to zwłaszcza do wyższéj sfery ludności miejskiéj, do t. zw. patrycyatu. Ważne znaczenie ma również organizacya kościelna, wspólność węzła parafialnego bowiem łączy mieszkańców pewnych dzielnic bardzo silnie, tak, że nawet najdawniejsze cechy i gildy, t. j. związki ludzi jednego zajęcia opierały się o kościół; cech i bractwo identyfikują się z początku [1]).

Komórki te i związki nie poprzestają naturalnie na działaniu wewnętrznem, przechodzą rychło do działania zaczepnego przeciwko wszystkim, co stoją po za związkiem; skutkiem walk stąd wynikłych tworzy się cała hierarchia stanów i związków miejskich, tworzy się pewna, chociaż niekoniecznie sprawiedliwa równowaga sił, która jest podstawą przyszłéj organizacyi.

Około najwybitniejszéj w każdém mieście warstwy skupiają się inne związki, poddają się jéj kierownictwu i tym sposobem łącznik korporacyjny, który obejmował zrazu tylko członków téj warstwy, obejmować zaczyna także najdalsze sfery; mieszczaństwo uznaje siłę i korzyść solidarności, a poszczególne jego części poświęcają niejedną z swych aspiracyi, o których spełnienie dawniéj walczono, aby tém

---

[1]) II, 379.

skuteczniéj wobec możnowładztwa wystąpić. Równocześnie, jak wiemy, siła możnowładztwa podupada, w niesnaskach sąsiedzkich marnieje dużo zdrowych pierwiastków i przepada materyalna potęga; zjednoczone korporacyjnie mieszczaństwo z łatwością może wymódz na swych panach i opiekunach jak najdaléj idące koncesye, z których korzysta ogół miejski, występujący coraz wyraźniéj jako silnym węzłem komunalnym złączona całość. Inicyatywa mieszczańska występuje bardzo silnie, zwłaszcza tam, gdzie pan miasta zdradzał chęć opanowania osady i zniweczenia zawiązków jéj autonomii.

Wykształcenie się typów organizacyi miejskiéj nastąpiło późniéj; w niém też nie szukać już tak czystych objawów solidarności, z jakiemi w X i XI w. spotkać się można; w gminie wiejskiéj już zorganizowanéj nie braknie czynników rozkładowych, egoizmu i przemocy jednych, ciasnoty pojęć i braku inicyatywy drugich; w epoce, z którą nas autor zaznajamia, pragnienie i potrzeba ładu i prawa, tłumi wszelkie inne uczucia, porywa jednostki i grupy do działania, któremu nie brak cech szlachetności, obok niezaprzeczonéj siły i świadomości celu.

Przechodząc następnie do omówienia feudalizmu, jako czynnika rekonstrukcyi państwa i społeczeństwa, zwraca autor uwagę na okoliczność, iż umowa feudalna dążyła przedewszystkiém do zapewnienia usług, że więc stosunek osobisty przeważał, a w każdym razie był zgoła niezawisły od stosunku rzeczowego, z którym tak powszechnie przywykliśmy identyfikować feudalizm.

Podstawę feudalizmu stanowi istotnie to, co autor nazywa *le compagnonnage*, który, o ile go poznajemy z tradycyi i historyi, a przedewszystkiém z klasycznych *chansons des gestes*, nie stoi w żadnym związku genetycznym z nadaniem ziemi i z stosunkiem lennym na nieruchomości.

Autor przypomina nam, a uwaga ta jest nader bystrą, iż po upełnoletnieniu, które u Germanów następuje przez wręczenie broni na zgromadzeniu ludowém, syn wychodzi wprawdzie z pod władzy ojca, równocześnie jednak wstępuje do związku, którego naczelnikiem jest ojciec, staje się więc członkiem drużyny, do któréj zresztą wstępować mogą i dalsi krewni, a nawet i niespokrewnieni. Drużyna ma niewątpliwie cechy związku rodzinnego, który rozszerza się i przyjmuje obcych, zatraca więc częściowo charakter familijny, ale bynajmniéj nie zupełnie.

Tak samo ma się rzecz za czasów monarchii frankońskiéj i tak samo w X i XI w. Badając skład grup feudalnych, przychodzi autor do przekonania, które opiera na licznych przykładach, iż w związkach

tych odróżnić można kilka warstw, które otaczają naczelnika; i tak przedewszystkiém członków rodziny [1]), dalej członków domu w szerszém znaczeniu t. zw. *maisnie*, t. j. tych, którym dom naczelnika służy za stały przytułek i którzy używają wspólnego znaku i wspólnego okrzyku [2]); wstępując do związku domestykalnego, składają przyrzeczenie wierności, a w zamian za to otrzymują pełne utrzymanie, czasem i żołd.

Około tych kadrów feudalnych grupuje się cały szereg innych osób, jak np. uczestników pewnéj wyprawy, którzy bynajmniéj nie mają zamiaru wiązania się na całe życie, pragną jednak pod wodzą dzielnego wojownika brać udział w jednéj lub kilku wojnach, albo towarzyszy, którzy zawarli związek braterski, gotowi nawet dzielić się swym majątkiem, ale nie zrzekają się samodzielności i nie zawsze wspólnie wyruszają w pole [3]).

Wszystkie te stosunki są najzupełniéj niezależne od jakichkolwiek nadań nieruchomości; hołd nie pociąga za sobą lenna, utrzymanie, którego naczelnik drużyny udziela, nie jest jednakiém we wszystkich wypadkach; w stosunku domowym udziela go pan związku *in natura*, czasami płaci żołd, czasami daje ziemię, a nie brak wypadków, w których nie odpłaca się wcale; mamy przykłady wyrzutów, jakie towarzysze broni robią z tego powodu naczelnikowi.

Jeżeli więc chodzi o wspólną charakterystykę stosunków feudalnych, to nie należy jéj szukać w prawie majątkowém, a tém mniéj w prawie na nieruchomościach, ale przeciwnie w stosunkach osobistych między naczelnikiem drużyny a jéj członkami. Rzec nawet można, że nadawanie ziemi, które bądź co bądź często się powtarzało, osłabiało bezpośredni stosunek, ci bowiem, którzy otrzymywali tym sposobem nieruchomość, oddalali się, zrywała się wspólność codziennego życia, a wzamian za to występowało ścisłe już i prawnicze obliczanie wzajemnych praw i obowiązków. Dla rozwoju feudalnego jednak i dla powstania tego, co autor nazywa klasycznym feudalizmem, nadawanie ziem i oznaczanie ścisłe wzajemnych praw i obowiązków, jest bardzo ważném; obdzieleni ziemią lennicy bowiem tworzą znów z swéj strony, zdala od dworu naczelnika drużyny, własne drużyny i tym sposobem powstaje cała hierarchia feudalna, obejmująca coraz liczniejsze sfery.

---

[1]) II, 446.

[2]) II, 459.

[3]) II, 471.

Równocześnie odbywa się w najniższych warstwach rozwój, który również wychodzi na korzyść organizacyi feudalnéj. Obok drużyny wojennéj naczelnik przyjmuje w opiekę i zawisłość indywidualną tych, których posługi są mu potrzebne materyalnie, przyczém nie tyle zważa na ich wierność i przywiązanie, ile raczéj na ścisłe pełnienie powinności. Z natury rzeczy zobowiązany do pełnienia posług, również mniéj zważa na korzyść moralną, płynącą z osobistego stosunku z naczelnikiem drużyny, niż na odpowiednią zapłatę materyalną, do czego najlepiéj nadaje się ziemia. Co do posług nierycerskich zatém, najwcześniéj występuje konieczność zapłaty i to przez nadanie nieruchomości, i słusznie rzec można, iż lenno klasyczne miało niższe początki, niż się zazwyczaj przypuszcza [1]).

A tak wyraźna była granica w tym względzie, iż w X i XI w. nadanie ziemi za usługi rycerskie nazywało się *honor*, nigdy *feudum* [2]); to ostatnie słowo bowiem wyraża czynnik zapłaty, czego w stosunkach rycerskiéj drużyny przypuścić, czy téż otwarcie wypowiedziéć nie uważano za stosowne.

Liczne przykłady dowodzą, iż przywiązanie osobiste i wierność wzajemna były głównym przedmiotem stosunków rycersko-feudalnych, a usługi wzajemne, które naczelnik i członkowie drużyny świadczyć sobie mieli, jako oparte na uczuciach, nie nadawały się do ściśle prawniczego unormowania.

O ile z jednéj strony stan taki był etycznie pięknym, o tyle z drugiéj strony łatwo dostrzedz jego wadliwości praktycznych. Uczucie i przywiązanie jest słabą dyrektywą, a raczéj nie dość ścisłą normą; może ono prowadzić zadaleko, a więc wprost do niesprawiedliwości względem jednostek, do których się to przywiązanie nie odnosi, albo téż może być niedostateczném; w pierwszym wypadku drużyna solidarna i silna może bezkarnie dopuszczać się gwałtów, w drugim drużyna osłabiona nie zdoła nawet praw swych bronić. Unormowanie prawne, przejście feudalizmu z stanu akcyi i uczucia w stan prawa i spokoju jest konieczném.

Przejście to ułatwia kościół, który zawsze jeszcze trzymał się systemu prekaryów rzymskich i w praktyce swojéj wyrobił pojęcie *beneficium*, obciążonego obowiązkami; stosunek prawny, jaki zawierano dla zapewnienia sobie posług nierycerskich, wszedł więc w użycie także co do posług rycerskich; przywiązanie zeszło na drugi plan, ocenienie usług i odpłata zajęły miejsce pierwszorzędne.

---

1) II, 515.
2) II, 517.

Na tle tak pojętego feudalizmu wyświeca autor znaczenie rycerstwa w najszlachetniejszém tego słowa pojęciu, jako kwiatu, który zakwitł na zdrowym krzewie feudalnego życia i feudalnych pojęć społecznych; w téj czystości i tym stanie niedługo było danem wytrwać rycerstwu, tak jak i czysta idea feudalna niebawem przy ujęciu w rozliczne kontrakty prawne podupaść miała.

Przeszedłszy te czynniki rekonstrukcyi społecznéj, dochodzi Flach do przekonania, że zespolenie jednostek w związek komunalny wytwarza prawo komunalne, którego siła objawia się w organizacyi wewnętrznéj i w działalności zaczepnéj i obronnéj na zewnątrz. Wzajemna znów wierność pana i wasala, odnawia wśród rozkładu społeczeństwa znajomość i poczucie lojalności i prawa, poszanowanie danego słowa, uznanie ugody zawartéj i jéj sankcyę sądową. Wierność ta, spotęgowana przez rycerstwo, podnosi pod wpływem życia w obozie i na dworze, honor i poczucie wzajemnych obowiązków do wysokości prawa i toruje drogę uspołecznieniu ludzkiemu.

I tak wśród warunków jaknajgorszych, które ludziom IX i X-go wieku zdały się zapowiadać koniec świata, świta jutrzenka nowéj organizacyi, która spożytkowuje gruzy ruin, powołując do życia i działania znaczną część czynników dotychczas rozkładowych.

III.

Oto w najogólniejszych zarysach zrąb dotychczas wydanych badań Flacha; na pierwszy rzut oka widzimy szereg nowych zupełnie rezultatów; nie zamierzamy tu jednak przeprowadzać krytycznéj z niemi rozprawy, którąby wymagała zanadto szczegółowego rozbioru poszczególnych tez w sposób przechodzący ramy niniejszego szkicu; zwrócimy się zaś témbardziéj do ocenienia metody autora, celu jaki sobie wytknął i sposobu, w jaki doń zmierza.

Celem badań Flacha jest poznanie całości życia téj epoki [1]), boć prawa i życia prawnego w oderwaniu od całéj kultury, od pojęć i potrzeb pomyśléć nawet nie można. Historyi prawa od historyi społeczeństwa odłączyć już dziś nie można; wiemy i czujemy to doskonale, chociaż nie potrafimy wyrazić tego w sposób tak przekonywająco jasny, jak Flach, iż stosunki prawne są wynikiem wszystkich innych stosunków, iż nadewszystko życie gospodarcze nieustannie na stosunki pra-

---

[1]) I, str. 10. C'est donc l'homme tout entier, ce sont ses besoins, ses intérêts, sa condition économique, sa *vie*, qu'il faut reconstituer.

wne wpływa, modyfikując je nieraz nieznacznie lecz stale i wywierając tym sposobem nacisk, któremu coraz trudniéj się oprzéć.

Uznając wpływ stosunków ekonomicznych, nie idzie jednak Flach w tym kierunku za daleko, stoi bowiem na słusznem ze wszech miar stanowisku, iż żadnéj stronie życia nie można przyznać bezwzględnéj wyższości nad innemi; nie należy jednem słowem systematyzować, lecz przedstawiać rzecz wszechstronnie, bez przesady, z jaknajwiększą obiektywnością: wszechstronnie a zarazem bezstronnie.

Wymaga tego wogóle badanie historyi prawa. Przedmiotem stosunków prawnych są wszelkie dobra ludzkie, materyalne i niematerialne; rozprawiając o jakimkolwiek stosunku prawnym, z którym mamy do czynienia, możemy sobie z łatwością wyobrazić naturę dóbr, o które w danym wypadku chodzi; do wyjątków należą wypadki, w którychby praktyk lub teoretyk nie był w stanie zdać sobie sprawy z natury przedmiotu, o który chodzi i w którychby z tego powodu fałszywie osądził sam stosunek prawny. Znając przedmiot, o który chodzi, można po zapoznaniu się z przepisami prawnemi, jakie w danym razie należy zastosować, na podstawie właściwego rozumowania wydać sąd o pewnym stosunku prawnym.

Inaczéj w historyi prawa. Tu bowiem mamy do walczenia z licznemi trudnościami, zanim wogóle przystąpić możemy do tego, co stanowi właściwą sferę działania prawnika, do rozumowania i sądu o pewnym stosunku prawnym. Nie znamy bowiem dokładnie przedmiotu danych stosunków prawnych i również trudno o zaznajomienie się z przepisami prawnemi, któreby odnośnie do tych stosunków zastosować należało. Trudność poznania przedmiotu polega raz na tém, iż pojęcia o znaczeniu pewnych przedmiotów zmieniają się z biegiem czasu pod wpływem stosunków politycznych, religijnych i cywilizacyjnych bardzo znacznie, a powtóre na tém, że pewne przedmioty stosunków prawnych dziś niemi być przestały i na odwrót. Dotyczy to np. ważnéj w naszym wypadku wierności, która według pojęć rzymskich i naszych nie da się pomyśléć jako przedmiot stosunków prawnych, a która, jak widzieliśmy, odgrywała tak znaczną rolę w historyi feudalizmu; zauważyć można, że starogermański czynnik wierności bywał przedmiotem układów, w formę prawną ujętych; powiedzieć można, że wierność staje się pojęciem stałém, ściśle określoném, które w kontraktach feudalnych ze wszech miar nadaje się do obrotów prawnych [1]; naodwrót zaś np. prawo autorskie, które dziś jest przedmiotem prawa, w wiekach średnich nim nie było.

---

[1]) ob. Lamprecht: „Deutsche Geschichte" II, 179.

Nie koniec na tém; pewna rzecz mogła być tak w epoce, którą badamy, jak i w naszych czasach, przedmiotem stosunków prawnych, ale w innym zgoła stopniu, mogła ona bowiem służyć do innych celów niż dziś i w miarę tego prawo rozporządzania tą rzeczą było zupełnie inne; od tego zaś zależy naturalnie istota stosunków prawnych co do tego przedmiotu; możliwa tu jest nieskończona liczba odmian, a wszystkie one utrudniają nam dokładne zrozumienie natury przedmiotów obrotu prawnego i stosunków prawnych dawniejszych.

Nie mniejsze trudności przychodzi zwalczać, celem zapoznania się z przepisami prawnemi, jakie w danym razie zastosowywano. Przy użyciu wszystkich środków, jakiemi krytyka historyczno-prawna rozporządza, można co najwyżéj pozyskać jasne wyobrażenie o pisanych prawa pomnikach, a interpretując ułomkowe nieraz teksty, zdać sobie sprawę z tych stosunków, do których takie postanowienia się odnoszą. Ale przezwyciężenie tych wszystkich trudności daje nam poznać, i to niedostatecznie, tylko prawo pisane; ilościowo i jakościowo ważniejszém jednak było prawo zwyczajowe w czasach, kiedy aparat ustawodawczy funkcyonował jedynie wyjątkowo, tylko wtedy, gdy zachodziła konieczna potrzeba zmiany, stosunki zaś dostatecznie rozwinięte pozostawiał najczęściéj nietknięte. Dla poznania ducha narodu, dla poznania prawa rodzimego, tak jak ono wydzielało się z całokształtu pojęć prawnych i etycznych, i jak ono odpowiadało całokształtowi stosunków cywilizacyjnych danéj epoki, zwyczaje są ważniejsze niż pomniki prawa stanowionego. A przytém i to zważyć należy, że bardzo często prawo stanowione zwalczać musiało inne pojęcia prawne, oparte na zwyczaju i z walki téj nie zawsze wychodziło zwycięzko; mając więc nawet tekst pewnego pomnika prawnego, musimy dopiéro pytać się, czy przepisy w nim zawarte weszły w zastosowanie, czy téż przeciwnie musiały ustąpić pola zwyczajowi. Tak więc i w tym wypadku nie jesteśmy zwolnieni od dalszego badania, a wiadomo ile trudności nastręcza szukanie śladów prawa zwyczajowego; z wypadków historycznych, z nielicznych wzmianek wszędzie rozproszonych, z napisów, z poszczególnych dyplomatów, ba nieraz z podań i przysłowi zestawia się mozolnie wszystko, co przemawia za istnieniem pewnych pojęć prawnych, obserwuje się odmiany i przemiany, a zawsze z obawą i niepewnością, iż może jeszcze coś uszło naszéj uwagi, albo mylnie zostało pojętém.

Sama natura stosunków średniowiecznych utrudnia pracę; nie tu miejsce na ich charakterystykę, w krótkości prawie niemożebną; zwrócimy tylko uwagę na te czynniki i na tę stronę stosunków średniowiecznych, które w pracy Flacha przedewszystkiém występują.

A więc przedewszystkiém na najnieprzyjemniejszy dla badacza partykularyzm i wszechwładną przewagę stosunków miejscowych; co kilka osób i co kilka kroków inne prawo. W naszém życiu prawném, przy naszych stosunkach komunikacyjnych istnieje pewna uniwersalność, któréj wiekom średnim niedostawało; od czasu do czasu nadchodził pewien przypływ, bardzo nawet znaczny i pod jego wpływem następowała radykalna nieraz przemiana, ale nie było téj nieustannéj wymiany myśli, która coraz bardziéj niweluje samodzielność i każdą nową instytucyę prawną oddaje niemal bezzwłocznie na użytek powszechny. Rozwijały się skutkiem tego bez żadnego niemal ograniczenia i w całéj pełni czynniki swojskie, obcemi wpływami nie uzupełniane, ani nie psute, odbywał się ze wszech miar ciekawy, chociaż nie zawsze korzystny, niczém niehamowany rozwój wad i cnót.

Partykularyzm ten, polegający na dotkliwém nieraz odcięciu od reszty świata, nie kolliduje zresztą bynajmniéj z owém ściśle średniowieczném uczuciem, które każdéj myślącéj jednostce każe się uważać za członka ogólnéj Rzeszy Chrześciańskiéj; w partykularyzmu bowiem objawach powtarzają się nieustannie w coraz to nowych kombinacyach po większéj części te same czynniki twórcze natury religijnéj i socyalnéj.

Kierunek religijny i mistyczny stanowił silną opokę i kapitał moralny i samo nawet kształtowanie się układu socyalnego, na tle interesów przeważnie materyalnych, ulegało regulacyjnemu wpływowi myśli religijnéj.

W grę, któréj jesteśmy świadkami, wchodzi majątkowa i społeczna odporność jednostek, a z drugiéj strony majątkowa i społeczna siła innych jednostek, przejętych duchem zaborczym; ostateczne zwycięztwo nie jest wyłącznie wynikiem starcia się sił obu stron, lecz zależy w znacznéj części od ogólnéj sytuacyi politycznéj, od zachowania się władzy państwowéj i t. d. Samo zaś mierzenie się sił różny i zmienny przedstawia obraz, w miarę tego, co w danéj chwili jest siłą, co w danéj chwili jest pożądaném i może służyć za broń, a co przeciwnie jest wyrazem słabości walczącego.

Wyzyskanie zaś zwycięstwa przedstawia jeszcze różnobarwniejszy obraz; względy etyczne znajdują tu dopiero najwłaściwsze pole. Sposób wyzyskania zwycięstwa jest zawsze prawdziwą miarą moralnéj siły pewnéj epoki, a przekonanie o nierozłącznym związku między prawem a obowiązkiem uwydatnić się tu może praktycznie. Jednostki, którym udało się zyskać trwałą przewagę, nie wyzyskują jéj według ściśle dynamicznych zasad, lecz poczuwając się zarazem do pewnych obowiązków z przewagi nad niższymi wynikających, przyczyniają się

raczéj do stworzenia stosunków zgodnych z duchem epoki i współczesnéj cywilizacyi; harmonia warstw społecznych jest istotną podstawą téj niezwykłéj siły, jaką widzimy w świeżo powstałym feudalizmie i w młodém rycerstwie, zanim spaczone pojęcia opanować je zdołały.

Téj walki i tego zwycięstwa skutkiem bezpośrednim, a dla prawnika nader ważnym, jest zupełne pomięszanie pojęć prawno-publicznych i prawno-prywatnych, które my na podstawie prawa rzymskiego przywykliśmy ujmować w ścisłe kategorye, — a daléj ten oryginalny system prawno-prywatny, któremu, z pozoru sądząc, odmówićby można organicznéj łączności, tak słabą jego strona systematyczna, tak słaby wzgląd na układ logiczny, wśród przeważających w nim dążeń do jaknajściślejszego przystosowania się do potrzeb rzeczywistych.

Warstwy społeczne, stany i korporacye strzegą swych interesów, utrudniają systematyczne wykształcenie prawa, ale chronią zarazem to prawo przed zaskorupieniem się, przed dojściem do owéj teoretycznéj doskonałości, która oderwawszy się od potrzeb życia nikogo już praktycznie nie zadawalnia.

W takim to kalejdoskopie służy nam Flach za przewodnika; nie pomijając żadnego szczegółu, zatrzymując się przed każdym obrazkiem, chwytając każdą przelotną kombinacyę wspomnionych tu czynników, nie traci uczony autor nici przewodniéj, przedstawia nam rzeczy w ich rzeczywistym kształcie i ułatwia zoryentowanie się w zamęcie, który dotychczas odstraszał tak wielu badaczy.

IV.

Aby osiągnąć cel tak trudny i to w tak wysokim stopniu, wypadało postępować z niesłychaną gruntownością. Wszechstronne uwzględnienie wszystkich czynników i stosunku, jaki między niemi zachodzi, jest w pracach podobnych pierwszym warunkiem powodzenia; przesada, polegająca na zbytniem podniesieniu znaczenia jednego czynnika, na niekorzyść innych, mogłaby wprawdzie całemu obrazowi nadać cechę więcéj jednolitą i uczyniłaby tém samém zadość ogólnie ludzkiému dążeniu do jednolitości i prostoty zjawisk i ich przyczyn, ale zadaćby musiała gwałt prawdzie istotnéj. Bo natura nie jest prostolinijną i życie niém nie jest; źle czyniłby malarz, któryby powierzchownie tylko chwytał kształty, nie troszcząc się o najdrobniejsze zagięcia i załamania, których wielkość nieraz nie stoi w żadnym stosunku do znaczenia; tak jak w kształtach drobny szczegół decydować może niejednokrotnie o podobieństwie lub o różności i może nieraz uzasa-

dniać zupełną odrębność, któréj się na pierwszy rzut oka nie spostrzega, tak i w życiu i w dziejach; i historyk nie może przeto poprzestać na ogólnych liniach o zwodniczéj prostocie, lecz winien śledzić pilnie za najdrobniejszemi zakrętami i zwrotami, bo w nich właśnie najczęściéj dopatrzéć się może cech charakterystycznych, odróżniających stanowczo, pozornie podobne do siebie stosunki.

Badania dawniejsze, jednostronnie prowadzone, dochodziły téż do jednostronnych rezultatów; w historyi francuskiego społeczeństwa średniowiecznego i w urządzeniach średniowiecznych dopatrywano się raz po raz to całego szeregu nielogiczności i barbarzyństw, to na odwrót dowodów szlachetnego romantyzmu; jedni używali szkieł rzymskich i porównywali stan społeczeństwa i prawa średniowiecznego z wspaniałym gmachem państwa i prawa rzymskiego, drudzy odwracając się z przesadnem obrzydzeniem od sofizmatów nowoczesnych, nie znajdując w tém, co ich otaczało zaspokojenia swych marzeń o ideałach prawnych i społecznych, szukali ich w romantycznéj części życia średniowiecznego. Szkoła historyczna położyła kres tym przesadom; w okolicznościach faktycznych, towarzyszących powstawaniu i rozwojowi poszczególnych instytucyi prawnych, szukała i znajdowała ona dostateczną liczbę argumentów obronnych i krytycznych. Badanie jednostronne, któremu pewien typ idealny służył za podstawę i punkt wyjścia, straciło tym sposobem racyę bytu; nie o to bowiem chodzi, czy pewne pojęcia i urządzenia odpowiadają prawniczym i etycznym pojęciom pewnego uczonego, ale o to, czy zajmowały odpowiednie stanowisko w całokształtcie pojęć i urządzeń współczesnych. Prawnik i historyk prawa winien się zajmować wyłącznie tém, co istniało i sądzić to, co widzi, w stosunku do współczesnego otoczenia, nie wolno mu zaś szukać w przeszłości realizacyi swych pojęć i marzeń, nie wolno badać przeszłości na podstawie mniéj lub więcéj dowolnie przyjętego szematu filozoficznego i ideologicznego; wobec podobnego szematu bowiem, który w całéj swéj czystości przyświeca autorowi, rzeczywistość prawdziwa nader niekorzystnie przedstawić się musi; najlepsza nawet instytucya prawna, najdoskonalsze pojęcie traci w zastosowaniu praktycznėm część swego pierwotnego blasku i nie stoi nigdy na wysokości pojęcia idealnego, którém się świadomie czy bezwzględnie powoduje badacz. Ztąd nieraz ów przesadny pessymizm, ztąd owo zwątpienie ogólne, które widnieje z każdego rozdziału wspaniałych kreacyi Taine'a; nie możemy dostatecznie wyrazić zadowolenia, jakie nam sprawia brak tego pesymizmu u Flach'a, spokój naturalny i zdrowy, ta iście klasyczna wyrozumiałość, z jaką nasz

autor przedstawia wszystkie anomalie średniowieczne na tle współczesnych stosunków, usprawiedliwiających wszystko.

Metoda Flach'a polega głównie na obserwacyi nadzwyczajnie bacznéj; zbliża się on w tym względzie do Waitz'a, którego niespożytą zasługą jest przerobienie i ugrupowanie całego niemal materyału faktycznego, jaki się odnosi do historyi społeczeństwa niemieckiego w wiekach średnich. Obserwacya naukowa jednak nie może się zadowolnić samem notowaniem faktów; chodzi przedewszystkiém o ich oświetlenie, o postawienie ich w naturalném otoczeniu, bo w niém tylko można je sprawiedliwie ocenić; zasługą Flach'a jest, że umiał tę obserwacyę przeprowadzić wszechstronnie, a jednak z umiarkowaniem. Obok kierunku czysto-historycznego uwzględnia Flach kierunek ekonomiczny, któremu Rogers i Lamprecht umieli nadać tak wielkie znaczenie, ale chroni się od przesady, w którą tak często popadają na wzór Rogers'a zwolennicy historyi ekonomicznéj. Sądzimy, że nie pójdziemy za daleko, mówiąc, iż nie zdarzyło się nam spotkać tak ścisłego zespolenia kierunku historycznego z ekonomicznym, przeprowadzonego tak umiarkowanie i tak jednolicie.

Obok czynników politycznych i ekonomicznych należy jednak w historyi społeczeństw uwzględniać cały szereg imponderabiliów, t. j. czynników, których znaczenie w każdym niemal wypadku jest inném, najczęściéj nawet dokładnie oznaczyć się nie da; a jednak nie za paradoks uważalibyśmy twierdzenie, iż historyk winien dziś dążyć do stworzenia sobie miary i wagi do ocenienia tego, co się ani mierzyć, ani ważyć ściśle nie da. Taine imponderabiliów dostatecznie nie uwzględnia [1]). Flach dokłada wszelkich starań, aby imponderabiliom przyznać rolę, jaką w każdym wypadku istotnie odgrywały; w tym celu nadaje swym badaniom szerszą podstawę, wciągając w ich zakres niejedno, czego dotychczas w historyi prawa nie uwzględniano.

Przedewszystkiém pomniki poezyi rycerskiéj.

Zużytkowanie poezyi w interesie historyi prawa nie jest oryginalnym pomysłem Flacha; badanie prawno-porównawcze często posługiwało się zwłaszcza w braku innych informacyi podobnemi źródłami w sposób dość skuteczny, ale postawienie tych źródeł na równi z innemi, metodyczne ich wyzyskanie, jest stanowczo zasługą Flacha; w jego „Origines de l'ancienne France" przyznano epopei rycerskiéj po raz pierwszy charakter poważnego źródła, a z faktem tym i z metodą badania tego rodzaju źródeł nauka odtąd stanowczo liczyć się musi.

---

[1]) Ob. Reg. moderne II, 211, uw. 2.

Z rozszerzeniem zakresu źródeł i pola pracy idzie ręka w rękę intensywne ich wyzyskanie. Tu dość powiedzieć, iż krytyka dyplomatyczna i głębokie zrozumienie dziesiątek tysięcy dokumentów współczesnych, częścią niedrukowanych, zadowolnić może najwybredniejszego dyplomatyka szkoły francuskiéj, która począwszy od Mabillon'a, a skończywszy na pracach Rozière'a i Delisle'a przyzwyczaiła nas do najdaléj idących w tym względzie wymagań. To uwalnia nas od szczegółowego scharakteryzowania sposobu, w jaki Flach zużytkowuje dokumenty; nie dążąc do położenia na tém polu specyalnych zasług, posługuje się Flach zręcznie całym arsenałem środków, jakich dyplomatyka dostarcza historykowi prawa.

Intensywne opracowanie faktów i wiadomości, zaczerpniętych z tak szerokiego pola badania, musiało pracę Flacha posunąć bardzo daleko; nie zrywając z zasadą obserwacyi bezstronnéj, w któréj celuje na równi z Waitzem, osiągnął jednak nasz autor dzięki bystremu zmysłowi historyczno-prawnemu, ważne rezultaty natury konstrukcyjnéj; na podstawie elementów pojedyńczo w społeczeństwie francuskiém X i XI-go w. zbadanych, udało mu się stworzyć obraz życia i pragnień tego społeczeństwa, jego stanu prawnego i ekonomicznego, przedstawić nam je takiém, jakiém było w téj pełnéj zamętu epoce, w któréj pozostałości stanu dawnego krzyżowały się nieustannie z początkami nowego ustroju, tworząc kombinacye ciągle zmienne i prawie nieuchwytne.

W postawieniu tak niezwykle trudnego zadania śmiałość, w wykonaniu zamiaru, wytrwałość i nadzwyczajna siła krytyczna cechują dzieło, którego ukończenia niecierpliwie oczekujemy.

Dla historyi i historyi kultury główną jego zasługą bezstronne i pełne przedstawienie początków tego, co jako feudalizm i *ancien régime* przybrało tak wielkie znaczenie; bezstronne, bo pozbawione doktrynerstwa w tym lub owym duchu, czego historyografia francuska dopiero teraz pozbywać się zaczyna, pełne, bo oparte na szerszych niż to dotychczas czyniono studyach, z których niejedno, n. p. sposób wyzyskania pieśni rycerskich stanowi trwałą zasługę autora w dziedzinie metodologii historyczno-prawniczéj.

Pamięci epoki, którą opracowuje, oddał autor prawdziwą usługę; widzimy, że nie potrzeba się uciekać do romantyzmu i mistycyzmu, aby obronić feudalizm, któremu ze stanowiska nowoczesnego tak poważne można czynić zarzuty; *tout comprendre c'est tout pardonner* sprawdza się najzupełniéj i w tym wypadku; co więcéj, przebaczanie jest tu nawet zgoła zbytecznem; kto z Flachem nauczył się sądzić każde pojęcie i każdą instytucyę wyłącznie na tle epoki i okoliczności

współczesnych, ten nie dopatrzy się winy, któraby wymagała przebaczenia, lecz przeciwnie spostrzeże tylko naturalne skutki danych warunków, a wśród nich wiele objawów dodatnich, których nieraz napróżno szukalibyśmy w czasach naszych, pomimo tak znacznego postępu etyki i pomimo, że my dziś z całą świadomością dowodzimy związku koniecznego między prawem i obowiązkiem, teoretycznie go uzasadniamy, kiedy społeczeństwo średniowieczne odczuwało go tylko bezwiednie.

Stając na takiém stanowisku, uznamy z łatwością, o ile feudalizm zwłaszcza w swych początkach stał wyżéj ponad wielu instytucyami nowoczesnemi, a zarazem zrozumiemy dla czego nadawał się więcéj niż jakakolwiek instytucya nowoczesna do nadużyć, które całemu *ancien régime* zjednały tak smutną sławę.

Pragnęlibyśmy w interesie prawdy i postępu bezstronności naukowéj i politycznéj, aby przedział kilku wieków, jaki leży między przedmiotem badań Flach'a, a przedmiotem studyów Taine'a był wypełniony w sposób, odpowiadający znaczeniu obu uczonych, a nie potrzebujemy dodawać, że nie sama tylko francuska historya na témby zyskała; o europejskiém iście znaczeniu prac Taine'a jesteśmy dostatecznie przekonani; zadaniem szkicu niniejszego było zwrócić uwagę publiczności naszéj na dzieło, które dla poznania X-go i XI-go w. posiada równe bez mała znaczenie i również nie saméj tylko historyi francuskiéj korzyść przynosi.

Alfred Halban.



Z etnograficznéj wystawy czeskiéj w Pradze.

Jeszcze nie upłynęły całe cztery lata od zamknięcia jubileuszowéj wystawy czeskiéj w Pradze, a już w tém samém mieście, na tém samém miejscu otworzyli Czesi wystawę drugą, na zewnątrz może nie tak bogatą i nie tak obfitującą w rozmaitość, ale pod względem etnograficznym i narodowym mającą większe znaczenie od swéj poprzedniczki. Mówimy o tegoroczném wystawie etnograficznéj, wzniesionéj i urządzonéj wyłącznie własnemi siłami czeskiemi, bo nawet bez subwencyi rządowéj.

Myśl o wielkiéj wystawie etnograficznéj zrodziła się w dniach największego ruchu i życia wystawy jubileuszowéj, a początek do niéj dała czeska chałupa, budząca wówczas wielkie zainteresowanie i zajęcie zwiedzających. Pierwszy powziął myśl wystawy etnograficznéj F. A. Szubert, dyrektor teatru czeskiego. W dniu 7 lipca 1891 rozesłał on do wybitniejszych czeskich etnografów i do mężów, zażywających w narodzie miru i powagi, obszerne pismo w którém poruszył i w najogólniejszych zarysach opracował plan wystawy etnograficznéj, mającéj się odbyć w rozmiarach o ile można największych. W Czechach myśl dobra, mająca pożytek publiczny na celu, rzadko idzie na marne. Myśl Szuberta znalazła natychmiast odgłos i gorące uznanie. W tym samym miesiącu w ratuszu staromiejskim, odbył się zjazd, na którym ułożono plan wystawy i postanowiono ją otworzyć w r. 1893. Jednakże termin okazał się za wczesny, odsunięto go o rok, w końcu

zaś postanowiono, że wystawa ma się nieodwołalnie odbyć w roku 1895, chociaż nie brakowało głosów, które domagały się dalszego jeszcze posunięcia ze względów rzeczowych, finansowych i politycznych. Obawy ich jednak nie sprawdziły się. Zabrali się Czesi do pracy raźno i ochoczo, pracowali gorliwie i wytrwale, i oto jako owoc ich usiłowań stoi wspaniała „národopisná" wystawa.

Oryginalny a bardzo dobry i skuteczny był sposób, w jaki Czesi doprowadzili do skutku wystawę działu etnograficznego. W latach 1891 do 94 odbywały się po całych Czechach małe wystawy powiatowe, urządzane przez mężów zaufania, przez komitet wystawowy powołanych. Ci wyznaczali z tych wystaw przedmioty godniejsze uwagi, i te potém odsyłano do Pragi. Wystaw takich odbyło się więcéj niż 200. Prezesem wystawy mianowany został Czeniek Gregor, burmistrz miasta Pragi, w uznaniu zasług, jakie gmina praska położyła około wystawy. Gdy rząd centralny odmówił żądanéj subwencyi 60,000 złr. rada miejska sama z funduszów gminnych ofiarowała przeszło 30,000 Obok Gregora powołani zostali do komitetu, kierującego wystawą: Karol Adamek, poseł do rady państwa, Fr. Bartosz, radca szkolny w Bernie i jeden z pierwszych czeskich etnografów, Jan hr. Harrach i hr. A. Sylva-Taroucca. W ciągu czterech lat 1891—95 zaszły pewne zmiany. Stosunek stronnictwa czeskiego do rządu w parlamencie zaostrzył się, zaostrzył się też stosunek do Niemców. Rząd stanu oblężenia w Pradze nie zniósł i odmówił wystawie swojéj subwencyi. Czesi wobec tego z wystawy etnograficznéj własnemi siłami zrobili wystawę narodową, zrobili wystawę, która ma ilustrować i objaśniać, czém Czechy były i czém są; tém samem zaś uprawnia do wniosków, czém te Czechy mogą być i czém będą. Dział ściśle etnograficzny zajmuje miejsce bardzo pokaźne, ale obok niego jest znaczna liczba pawilonów i ogromna masa przedmiotów, które z etnografią nic nie mają wspólnego, a ilustrują życie narodu czeskiego we wszystkich jego kierunkach, na wszystkich polach i we wszystkich czasach. Jest tam i pawilon archeologiczny („prawiek ziem czeskich"), obejmujący Czechy przedhistoryczne; pawilon miasta Pragi, gród Kokorzyn i stara Praga dadzą wyobrażenie o średnich wiekach i początku nowych w Czechach, i t. d. Z Czech dzisiejszych, z naszych czasów, mamy i wystawę przemysłu i handlu i szkolnictwa i literatury (sztuki nie ma; to jest wielka luka w podobnéj wystawie). I tak wszędzie mamy okazy, mapy, plany, wykazy statystyczne, które dają o Czechach i ich pracy chlubne świadectwo. Tym sposobem wystawa z etnograficznéj zrobiła się narodową i najzupełniéj odpowiada swojéj czeskiéj nazwie „národopisná."

Wystawa ta stoi na miejscu dawnéj, jubileuszowéj, po któréj téż odziedziczyła czeską chałupę i wspaniały pałac przemysłowy, dziś zamieniony na etnograficzny. Chata czeska, nie uderzająca, nie bijąca w oczy, jest przecież godna uwagi, bo ona dała pochop do całéj wystawy. Dziś znajduje się w niéj bardzo zajmująca i ciekawa wystawa gospodarstwa. Podczas wystawy jubileuszowéj była ta chata i wewnątrz urządzona, zapełniona sprzętami, których lud czeski używa. Obecnie było to zbytecznéin, wobec tego, że jedną część wystawy, i to znaczną, zajął cały szereg domów i chat ze wszystkich stron Czech, Morawy, Śląska i Słowaczczyzny. Dział etnograficzny skupia się w dwóch miejscach: w pawilonie etnograficznym a zwłaszcza w jego lewém skrzydle i na t. zw. „nawsiu" (*naves*) t. j. w całym szeregu wspomnianych powyżéj domów i chat. Całe lewe skrzydło głównego „pałacu" jest jedném wielkiém muzeum etnograficzném. Niepodobna choćby najpobieżniéj wymienić wszystkich godniejszych uwagi przedmiotów, które się tam znajdują. Dość powiedziéć, że jest wszystko, czego wieśniak czeski w całém swém życiu potrzebuje i używa: modele domów i całych obejść gospodarskich (*hospodarsky statek*), innych budowli (kościołów, dzwonnic, młynów), narzędzia gospodarskie, sprzęty domowe, niezmiernie bogaty zbiór ubrań ludowych (*kroje*) ze wszystkich okolic, hafty i inne ręczne roboty kobiece, jedném słowem wszystko, co czeskiemu wieśniakowi w całém jego życiu od kolebki do grobu towarzyszy. Bardzo wielka liczba manekinów woskowych (przeważnie własność Muzeum etnograficznego) daje poznać typy z różnych stron krajów korony św. Wacława. Niezmiernie ciekawy jest oddział zwyczajów, zabaw i obrzędów, może jednak w porównaniu z innemi za słabo obesłany; godne uwagi są figury, przedstawiające t. zw. jazdę królów, zwyczaj ludowy słowacki, swaty z okolic Plizna (*namluvy*) i prządki z okolic Domażlic. Osobny dział ma ludowa pieśń i literatura ludowa. Każda okolica, każda grupa etnograficzna znalazła tu swe miejsce. I tak mamy oddziały: węgierskich Słowaków, Wałachów, Hanaków, Słowaków morawskich, okolic Berna, Czechów śląskich; same Czechy dzielą się na kilka grup: okolice Pilzna, Bolesławia, Jiczyna, Karkonosz, Czechy środkowe, północno-zachodnie, północno-wschodnie, Połabianie, — słowem, każda okolica, każde plemię, mające właściwe sobie cechy i odcienia etnograficzne, ma tu oddzielną wystawę. Ma téż swój kątek i język ludowy. Dyalektologia czeska stoi ze słowiańskich najwyżéj, narzecza i gwary czeskie najlepiéj są zbadane. Téj nauki wyniki przedstawione są na porównawczych tablicach, wykonanych pod kierunkiem znanego etnografa i znawcy języka ludowego Fr. Bartosza. Oprócz samych okazów znajduje się na

wystawie ogromna liczba fotografii, rycin, tablic statystycznych i porównawczych i map. Tych ostatnich (między któremi znajduje się wiele map plastycznych) jest tak wiele i tak są ciekawe, że gdyby je razem zebrać i wydać, to mieliby Czesi jeden z najwspanialszych atlasów. I to mapy te nie tylko odnoszą się do geografii, ale dotyczą każdego działu, każdéj grupy. Całe lewe skrzydło pawilonu etnograficznego jest żywym obrazem życia ludu czeskiego, jest wspaniałém muzeum, które zresztą jest jednym z celów wystawy, i którego Czechom zazdrościć trzeba. Jest téż ten dział wystawy doskonałém świadectwem, jak u Czechów wysoko stoi etnografia, skoro w tak krótkim czasie tyle tak ciekawych rzeczy zgromadzili i uporządkowali, że człowiek obcy wyniesie z tego przeglądu, stosunkowo wielką znajomość ludu czeskiego (oczywiście wykluczając tu tego ludu psychologią).

Drugim działem, gdzie skupia się etnografia, jest t. zw. nawsie. Zajmuje ono całą północno-zachodnią część wystawy. Jest to kilka chat i innych budowli (między niemi i kościołek), aż do najdrobniejszych szczegółów wiernie z rzeczywistości skopiowanych. Każdy budynek, każda chata, każda zagroda jest naśladowaniem budynku prawdziwego, w rzeczywistości istniejącego, a więc daje wyobrażenie prawdziwe i rzetelne, nie upiększa ani téż nie umniejsza w niczém typów rzeczywistych. I wnętrze jest również z największą ścisłością i wiernością skopiowane. W niektórych nawet chatach mieszkają rodziny, tak, że wszedłszy do środka ma się złudzenie, że się jest gdzieś na wsi, w prawdziwéj czeskiéj chacie. Sposób budowania tych chat mniéj więcéj jednakowy, w zasadzie do polskiego podobny, tylko bogatszy i więcéj rozmaity, chociaż nie zawsze ładniejszy. Uderza często powtarzający się w motywach ornamentacyjnych i w wycięciach kielich, widocznie pozostałość czasów husyckich. Ma ten styl słowiański, ludowy, swoją piękność, i gdyby do niego dodać trochę zachodniego artystycznego poczucia i wykształcenia, to z połączenia tego mogłyby powstać bardzo ładne rzeczy, jak o tém zresztą świadczą niektóre budynki wystawowe, w tym właśnie stylu wzniesione. Tę samą staranność, z jaką spotkaliśmy się w głównym pawilonie w rozmieszczeniu przedmiotów z najrozmaitszych stron, tak, aby wszystkie były równomiernie przedstawione, spotykamy i tutaj. Chaty te pochodzą ze wszystkich stron ziem czeskich, a wskutek tego nabiera się lepszego wyobrażenia o otoczeniu, w którém wieśniak czeski rodzi się, żyje i umiéra. Jest więc cała grupa budowli wałaskich, chata z okolic Brzecławia na Morawach, chata hanacka, horacka, ze śląskich widzimy chatę opawską i (mniéj właściwie) lacho-cieszyńską, daléj mamy ubogie chaty słowackie, obok nich kilka bogatych i ładnych chat z sa-

mych Czech. Godne uwagi zjawisko, że im daléj na wschód, tém chaty są więcéj ubogie i skromne, tém większa zaś samodzielność i oryginalność w motywach; im daléj na zachód, tém silniejsze jest działanie cywilizacyi zachodniéj, wyrównywającéj wszystko do jednego typu. Rzecz nie nowa i nie po raz pierwszy zaznaczona, godzi się jednak zauważyć, że właśnie na wystawie praskiéj odrazu daje się to spostrzedz. Obok chat jest tu jeszcze kilka innych budynków: kuchnia, zagroda rybacka, stary młyn czeski, stara wiejska szkółka ze wszystkiemi okazami pomocniczych środków pedagogicznych, używanych w starych, dobrych czasach, i najciekawszy ze wszystkich wiejski kościołek. Ten ostatni ciekawy o tyle, że nie jest on kopią, ale prawdziwym kościołem, przeniesionym na wystawę z okolicy miasta Pardubic, ze wsi Podulszany, a tylko drobne szczegóły są dodane. Ponad rzeczką prowadzi do kościoła kryty mostek, za którym wchodzi się najpierw pod wieżę, a stąd do wnętrza kościoła. Wnętrze to ubogie i niełądne, chociaż silące się na ozdoby, nie może być oczywiście typem dla wiejskich kościołów czeskich, tylko okazem jednego z nich. Zewnętrzny za to wygląd jest bardzo sympatyczny. A jak domy są do polskich w zasadzie podobne, tak samo i ten kościołek — w większym nawet stopniu, przypomina nasze wiejskie kościołki.

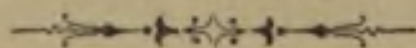
Powiedzieliśmy wyżéj, że obecna wystawa nie jest wyłącznie etnograficzną. Cały szereg pawilonów mieści w sobie przedmioty i okazy, nie wiążące się z etnografią, a mające wykazać stan umysłowy i materyalny Czechów. A jak w dziale etnograficznym podziwialiśmy porządek i doskonałe ułożenie, które odrazu daje nam przegląd całości, tak z tym samym objawem spotykamy się i tutaj. Nie pominięto żadnéj gałęzi, żadnego działu, wszystkie są tu przedstawione. Weźmy np. historyę Czech. Tę objaśnia nam znaczna część prawego skrzydła głównego pawilonu, gdzie znalazło pomieszczenie bardzo wiele pamiątek przeszłości, nadto stara Praga i Kokorzyn. Pamiętamy, że na muzycznéj wystawie wiedeńskiéj budził podziw kawałek starego Wiednia, wiernie naśladowanego. Na wzór tego wystawiono i w Pradze część tegoż miasta z wieku XVI. Ale to, co w Wiedniu było tylko ozdobą, dodatkiem do wystawy, tutaj jest jéj integralną częścią, dając wierny obraz miasta (t. j. jego części) w wieku XVI. Kokorzyn znowu jest naśladowaniem kawałka starego zamczyska średniowiecznego, a w jednéj jego części jest niezmiernie ciekawa wystawa wojenna (*sbírka valečnická*), obejmująca historyę sztuki wojennéj od czasów najdawniejszych (od mniemanéj epoki rękopisu Królodworskiego), aż do czasów ostatnich, do bitwy pod Sadową, oczywiście o ile dotyczy Czech i o ile się na ich ziemi działa. W przedsionku zaś stoi

oryginalny wóz husycki, ogromny i ciężki, z początków wieku XV. Wreszcie pawilon miasta Pragi uzmysławia historyę miasta czeskiego, jego zwyczajów, urządzeń i t. p.

Z obecnych czasów wszystkie ważniejsze gałęzie są na wystawie reprezentowane. Handel, przemysł, wychowanie, literatura i oświata, gospodarstwo, każde ma swój osobny oddział. Handel ma swe miejsce w pałacu „národopisnym"; przemysł ma swój oddzielny pawilon, bardzo ciekawy i zasługujący na uwagę. Wychowanie mieści się w dwóch pawilonach szkolnictwa, te dają pogląd na stan oświaty w Czechach, i w pawilonie sokolstwa, tak w Czechach rozpowszechnionego Towarzystwa gimnastycznego. Literaturę przedstawiają okazy celniejszych książek, zwłaszcza z nowszych czasów, i niezmiernie pouczające wykazy statystyczne, które cyframi dowodzą ciągłego postępu i rokują najpomyślniejsze nadzieje na przyszłość. Mniéj od innych gałęzi reprezentowaną jest sztuka. Najlepiéj jeszcze przedstawia się tu muzyka (*hudba*) i teatr (*divadlo*), oboje w głównym pawilonie; mniéj już architektura i rzeźba, ta ostatnia pokazała tylko okazy z drzewa, przeważnie stare, ciekawsze dla swéj starości aniżeli piękne; malarstwa brak i ten bardzo się daje uczuć. Nie zapomniano téż i o Czechach, przebywających po za rodzinnym krajem: jest tu farma amerykańskiego Czecha, jego rezydencya, w któréj znajdujemy daty co do wychodźtwa czeskiego do Ameryki, kościołek w amerykańskiéj osadzie. Duże miejsce zajmuje wystawa gospodarska, umieszczona w pobliżu czeskiéj chałupy i częściowo w niéj; tu znowu odrazu widać, na jak wysokim poziomie stoi w Czechach gospodarstwo. Naturalnie, że na wystawę nadsyła się, co się ma najlepszego i najładniejszego, ale z drugiéj strony są znowu daty, są cyfry, a te nie kłamią, te pozwalają nam wystawić sobie te stosunki w rzeczywistém świetle.

Tak przeszlibyśmy wszystko, co obecna wystawa czeska ma godniejszego uwagi. Nad niejedną rzeczą chciałoby się zatrzymać dłużéj i szerzéj opowiedziéć, ale ramy tego sprawozdania nie pozwalają na to. Dla dokładności tylko należy jeszcze wspomniéć o pawilonie spółek, między któremi są i okazy z niektórych wielkich posiadłości. Ale choćby bardzo dokładném było sprawozdanie, nie da jednak wiernego wyobrażenia wystawy. Trzeba ją samemu widziéć, trzeba ją oglądać na miejscu, na tle złotéj Pragi, która jéj tyle uroku dodaje. Zwiédzenie zaś, choćby bardzo pobieżne, wzbudzi podziw i pewien rodzaj uszanowania dla Czechów, dla ich pracy i wytrwałości, którym zawdzięczają to, czém są obecnie.

Stanisław Dobrzycki.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Histoire générale du IV siècle à nos jours, ouvrage publié sous la direction de MM. Ernest Lavisse et Alfred Rambaud. Paris, Collin et C-ie, 1893—95.“

Naczelną cechą tego dzieła jest jego encyklopedyczność, celowo zrównoważona i zaokrąglona. Wydawnictwo prowadzi się pod kierunkiem dwu znanych i głośnych dziś profesorów Sorbony, Ernesta Lavisse'a i Alfreda Rambaud, ale obok nich, współpracownictwo główne powierzone zostało kilkunastu specyalistom, omawiającym, każdy z osobna, jakąś składową, z góry ułożoną i omówioną część rozległych i różnolitych badań przeszłości.

W tomie I-m wstępny pogląd na historyę starego państwa rzymskiego do r. 395 i pierwotne dzieje ludów barbarzyńskich do śmierci Karola W. skreślił prof. Andrzéj Berthelot; dzieje cesarstwa wschodnio-rzymskiego do wieku XI — rektor akademii w Lille prof. Bayet; obraz początków islamizmu od r. 622 do 750 — prof. Maurycy Wahl; pierwsze wieki papiestwa do r. 756 — prof. Lavisse; dzieje Słowian, Litwy i Węgier do końca w. XI — prof. Ernest Denis z Bordeaux; celtycki i rzymski okres historyi W. Brytanii — prof. Bémont, i t. d. W t. II-m, oprócz osób pomienionych, spotykamy nazwiska profesorów: Karola Seignobos („Feodalizm i wojny krzyżowe"), Andrzeja Reville („Usamowolnienie gmin" tudzież „Handel i przemysł wieków średnich"); Karola Langlois („Cywilizacya zachodnia w wiekach XII i XIII"); Emila Haumant („Świat skandynawski"); Leona Cahun („Ludy tureckie, tatarskie, mongolskie") i t. d.

Wartość użytego do tych studyów materyału jest bardzo nierówna. Bibliografia działu polskiego wymienia np.: Bielowskiego „Monumenta" (bez wskazania daty i liczby tomów); Roepella „Geschichte Polens" (1840) i jego kontynuatora Caro (bez tytułu dzieła, z datą 1883 i ze wzmianką, że autor włożył w pracę „niemało gorliwości i talentu"); Zeissberga „Die polnische Geschitschreibung im Mittelalter"), Lipsk 1873; Meyera „Gesch. des Landes Posen", 1881; Lelewela „Histoire de Pologne", 2 t., 1840 (z dopiskiem: „encore intéressant sur l'influence des institutions"); Fletschera „The history of Poland", 1834 (z adnotacyą: „bon manuel"); Szujskiego „Historya", tomów 4, Lwów 1862—66 (z zaznaczeniem, że jest to „najlepsze opracowanie całości dziejów Polski"); Bobrzyńskiego „Dzieje Polski w zarysie", Warszawa, 1879, (z cenzurą: „très remarquable"). Nadto, w opisie dziejów obu Zakonów, pruskiego i inflanckiego, wymienieni: Schiemann „Geschichte Livlands bis zum Tode Walters von Plettenberg (kolekcya Onckena, Gotha 1880); Richter „Gesch. der Deutschen Ostseeprovinzen" t. 2, Ryga 1857; C. Groeger „Gesch. Liv-Esth- und Kurlands", t. 2, Petersburg 1867; Max Perlbach „Die Statuten des Deutschen Ordens", Halla, 1890; C. Sattler „Handelsrechnungen des Deutschen Ordens", Lipsk, 1887. Ma się rozumiéć, że w stosunku do téj skromnéj literatury przedmiotu, źródła do dziejów Europy zachodniéj przedstawiają się o wiele bogaciéj, a spożytkowanie ich wydaje się głębszém i wszechstronniejszém.

Do prac „najważniejszych i najświeższych", dotyczących historyi Słowian w ogólności, zaliczono: Szafarzyka „Starożytności słowiańskie" (po czesku z r. 1836, po niemiecku z 1843—44); Kreka „Einleitung in die Slavische Literatur-Geschichte", Gratz 1874; Miklosicza „Gramatykę porównawczą", Wiedeń 1852—1875; Jagicza „Archiv für slavische Philologie", od r. 1875; Riegera „Encyklopedyę czeską" 1859—1874; wreszcie Pypina i Spasowicza „Historyę literatur słowiańskich", któréj tom 1-szy wyszedł w tłómaczeniu francuskiém w r. 1881. Zdaje się wreszcie, że w wielu razach poprzestano na samym Szafarzyku; przynajmniéj statystyka Słowian (t. I, str. 695—698) wielce przypomina znany „Narodopis" uczonego czeskiego, przełożony przed 50-ciu laty na język polski przez Piotra Dahlmana (Wrocław, 1843). Ale zachodzą też gdzieniegdzie i różnice ciekawsze. O Bułgarach np. pisał niegdyś Szafarzyk: „Ludności dostatecznie podać nie można. Dawniejsi liczyli w Turcyi tylko półtora miliona, co naocznie zamało jest. Boué, który w latach od 1836 do 1838 w tych stronach podróżował, liczy 4 i pół miliona, co przesadzoném jest. My prawdopodobniéj liczbę ich w Turcyi na 3 i pół miliona ograniczamy,

co z osadnikami, których się w Rossyi 80,000, w południowych Węgrzech 7,000 liczy, ogółem 3,587,000 dusz wynosi" (str. 49 przekładu). W drugiém wydaniu Pypina i Spasowicza, z r. 1879 (t. I, str. 13), postawione są dwie cyfry: z r. 1856 — według petycyi Bułgarów do Sułtana — 7 i pół miliona i z r. 1878 — według urzędowych obliczeń — 5,120,000. Prof. Ernest Denis, w „Historyi" pp. Lavisse'a i Rambaud, zaokrągla te dane do 5,500,000, Połabian łużyckich Szafarzyk obliczał w r. 1842 na 142,000 dusz, z tych pod panowaniem pruskiém 98,000, pod panowaniem saskiém 44,000; Ernest Denis podnosi pierwszych do 100,000, drugich do 50,000, co razem czyni 150,000. Jednocześnie historyk francuski dodaje, że do Słowian połabskich („Wendów łużyckich") należą jeszcze i Kaszubi, których „setek parę" znajduje się w Prusach zachodnich. Szczegół ten wskazuje na inne jakieś źródło, gdyż jak wiadomo, Szafarzyk odnosi Kaszubów do narodowości polskiéj (str. 98), to samo i Pypin, który liczbę ich, nieznaną Szafarzykowi, podaje na 111,000 dusz (str. 16). Co do ludności polskiéj wszystkie trzy wersye dość ściśle zbiegają się z sobą w twierdzeniu, że ogół jéj nie dochodzi 10 milionów. U Szafarzyka Polaków przed r. 1840 było 9,365,000; u Pypina (w r. 1877) 9,492,000, u Ernesta Denis'a (w r. 1892) 9,500,000. Zgódźmy się, że niepodobna konserwatyzmu posunąć daléj... Natomiast całkiem oryginalnie skrzyżowały się z sobą cyfry tak zw. „narzecza ruskiego." Szafarzyk liczył wielkorosyan 35,314,000, małorusów 13,144,000, białorusinów 2,726,000; u Ernesta Denisa, po upływie pół wieku, jest pierwszych zaledwie 40 milionów, drugich do 12 milionów, trzecich — tylko 400,000... Prawdopodobnie, co do ostatniéj liczby zaszedł prosty *lapsus linguae:* miało być zapewne okrągłe 4 miliony... Zresztą i Pypin nie o wiele świadomszy: ogół plemienia ruskiego wszelkich odcieni wynosi u niego głów 61.200,000, z tych prawosławnych 54,520,000, roskolników 3,074,000, unitów 3,108,000, katolików 500,000 (str. 17),— wtedy, gdy za dni naszych mówi się już o stu milionach, jako o rzeczy znanéj, przebrzmiałéj.

W przedstawieniu dawno minionéj przeszłości powszechno-słowiańskiéj i naszéj poszczególnie, — pobieżność panuje wszędzie niezmierna i to było do przewidzenia; nawzajem atoli, we wnioskach ogólnych i poglądach historyozoficznych pozostało jeszcze gdzie niegdzie trochę dawnéj, zwyczajem utartéj i uświęconéj sympatycznéj frazeologii nadsekwańskiéj. Spostrzegać się to daje osobliwie w rozważaniu losów pobratymców naszych Połabian i Pomorzan, dziś już niemal doszczętnie wygnębionych w walce orężnéj i kulturalnéj z Niemcami, jak nas zapewnia jeden z dyrektorów wydawnictwa, pr. Lavisse w swém

dziele „La Marche de Brandebourg sous la dynastie ascanienne" (Paryż, 1875). „Postawieni na krańcach świata aryjskiego — pisze za nim pr. Denis—Słowianie ochraniać musieli Europę od nowych najazdów azyatyckich, wówczas właśnie, gdy od frontu trapili ich sąsiedzi zachodni. Na podwójne to niebezpieczeństwo zostali oni wystawieni wpierw, nim zdążyli skorzystać z tradycyi Rzymian i cywilizacyi zachodniéj, które kościół, w epoce owéj zaszczepiał Niemcom. Byłoby zatém niesprawiedliwością upatrywać w ich chwiejności i klęskach dowód wrodzonéj jakiéjś niższości plemiennéj. Godziłoby się owszem zapytać historyków niemieckich, wysadzających się na wzgardliwe politowanie nad polityczną nieudolnością Słowian, azali cesarstwo niemieckie istotnie jest dziełem wyłączném geniuszu germańskiego. Kto może powiedzićć, coby się to z Niemcami stało, gdyby ich Słowianie nie zasłaniali przed nawałnicami wschodniemi?" (I, 704).

Mówiąc o podbojach Karola W-go w krajach Wendów styryjskich, czyli Słoweńców dzisiejszych, o których w chwili gdy to piszemy (koniec czerwca) tyle jest rozgłosu z powodu gimnazyum w Cylei, autor, o kilka wierszy niżéj, tak się wyraża o faktycznym przebiegu osadnictwa niemieckiego nad Dunajem, dokoła dzisiejszéj stolicy Austryi: „Wendowie czyli Słoweńcy korątańscy uznali nad sobą, w połowie wieku VIII-o, zwierzchnictwo Bawarczyków, celem otrzymania od nich pomocy przeciwko Awarom. Ale gdy w r. 788 sama Bawarya straciła swą niepodległość, Wendowie wraz z nią dostali się pod panowanie monarchii frankońskiéj. Frankowie pozostawili do czasu w spokoju książąt i naczelników miejscowych, następnie atoli zastąpili ich własnymi hrabiami i rządcami. Jednocześnie chrystyanizm wkroczył na ziemię Słoweńców, a wraz z nim wtargnęło i osadnictwo niemieckie. Kraj nie był gęsto zaludniony; w moc obyczajów ówczesnych, pustkowia wszelkie, oraz grunta uprawne posiadaczy nie potwierdzonych przez zwycięzców, stawały się własnością królewską. Obszary te rozdane zostały nowym panom, biskupom, korporacyom kościelnym, które oddawały je sprowadzanym kolonistom niemieckim. Tym to sposobem osadnictwo obce zalało w owym okresie całą płaszczyznę Klagenfurtu i pobrzeże Dunaju od Enns do Wiener-Waldu; następnie zaś, po za Wiener-Waldem, zagarnęło północno-wschodnie spadzistości Semmeringu, posuwając się aż do Oedenburga i Raby. Mnóstwo Słowian dostało się wtedy pod jarzmo nowych właścicieli. Od r. 828 wyraz Słowianin (*sclavus*) wchodzi w użycie jako synonim niewolnika" (705).

Powody dla których misyonarze zarysowującego się wtedy w swéj odrębności kościoła wschodniego (greckiego) mieli początkowo, pośród

Słowian naddunajskich, niejaką przewagę nad misyonarzami kościoła zachodniego (rzymsko-niemieckiego), wskazane zostały—jak mniemamy—dość trafnie. „Co tu było począć, jak się obrócić? Odpychając chrystyanizm stanowczo, Słowianie nie tylko wystawiali się na niebezpieczeństwo odosobnienia, nie tylko pozbawiali siebie doskonałego narzędzia cywilizacyi i postępu, lecz narażali się jeszcze na wojnę bez pardonu; Europa bowiem gotowa była—że się tak wyrazimy — ofiarować swe obywatelstwo, ale tym tylko, co się do wspólnéj z nią wiary wkupili. Tymczasem, z drugiéj strony, czyliż podobna było Słowianom zgodzić się na przyjęcie dobrodziejstw téj wiary z rąk swych wrogów, z rąk niemieckich? — Znaczyłoby to tyle, co podpiérać własną niewolę, a tryumf ciemięzcy" (707). Ztąd to pójść miało wielkie powodzenie na Morawach nauki śś. Cyryla i Metodego, wysłanników carogrodzkich, uznanych na razie i kanonizowanych późniéj przez Stolicę Apostolską w Rzymie. Dalsze jednak rozumowania pr. Denis'a na temat wspólnoty słowiańskiéj, jéj rozbicie się po zgonie Cyryla i Metodego, jéj snu dziewięciowiekowego, jéj obudzenia się w wieku XIX w historykach i poetach z nad Wełtawy i znad Dniepru (str. 713), należą już do innego cyklu podań i trybów literackich. Historya odległych tych wieków nic o nich nie wié.

Jako próbkę pióra przytoczymy jeszcze ustęp o Bolesławie Chrobrym, ze względu, że krótsze to jeszcze od rozpowszechnionego ustępu „Śpiewów historycznych..." „Syn Mieszka I, Bolesław Dzielny (w odsyłaczu „Chrobry"), panował od r. 992 do 1025 i był prawdziwym założycielem monarchii polskiéj a zapewne téż i najznakomitszym z królów, jakich Polska kiedykolwiek wydała.. Chrobacya biała do Tatrów z Krakowem, Morawa, Pomorze, podbite przez niego zostały. Słowianie nadelbiańscy uciekali się pod jego obronę, a była chwila że i Czechowie władzę jego nad sobą uznawali. Bolesław rozpostarł nawet swe panowanie nad książętami ruskimi, dając przez to hasło do owych wojen pomiędzy Rosyą a Polską, które tak fatalnemi były dla Polski" (726).

Widnokrąg rozszerza się nieco w tomie drugim,—ale w tym samym zawsze kierunku. W przelotnym rzucie oka na wypadki XI—XIII stuleci czytamy takie *memento mori*: „Niezdolna obronić Śląska, Pomorza i Prus od Niemców, odcięta od gór i od morza, zepchnięta z porzecza Odry na porzecze Wisły, Polska nie potrafiła również zjednoczyć pod sobą krain nad Dnieprem i Dniestrem, które się jéj dostają na chwilę wskutek osłabienia i upadku Rusi; zdobycze jéj w tych stronach, są bez przyszłości i pociągają za sobą jedynie zaostrzenie się nieprzyjaźni pomiędzy Słowianami zlatynizowanymi a Słowianami

wschodnimi („*byzantins*"), z tego zaś skorzysta tylko ich wspólny nieprzyjaciel. Od téj pory wyrok dziejów staje się nieuniknionym. Bez granic naturalnych, bez stanu mieszczańskiego, bez konstytucyi, bez tradycyi politycznych, Polska mieć będzie wielkich panujących, rycerstwo bohaterskie, całe stulecia chwały; ale się już nigdy nie wzniesie do zrozumienia istotnych swych przeznaczeń. Wycieńczywszy się w walkach błyskotliwie wspaniałych, zagmatwawszy sobie życie, splątawszy się w cnotach swych podziwu godnych, — ujrzy się niepotrzebną dla saméj siebie i poniekąd szkodliwą dla innych Słowian" (II, 766).

Bez porównania donioślejszemi mogłyby być paralele rozmaitych urządzeń społecznych i państwowych na wschodzie Europy z odpowiedniemi instytucyami Europy zachodniéj. W wydawnictwie pr. Lavisse'a i Rambaud, streszczającém ostatnie w tym zakresie zdobycze umiejętności zachodniéj, znajduje się prawdopodobnie nie jedna cenna dla nas wskazówka. Posłużmy się przykładem.

Zarówno w zamknięciu wydanego w roku bieżącym dzieła prof. Adolfa Pawińskiego „Sejmiki ziemskie", jakoteż i we wnioskach poprzedniéj pracy tego autora (1888) p. t. „Rządy sejmikowe", zaznaczoną została myśl, „że dawny samorząd ziem polskich ze swojemi właściwościami osłabiającemi jedność państwa, nie stanowił odosobnionego zjawiska w ogólném życiu społeczności europejskiéj", że istota jego, jakkolwiek nie miała w sobie wszystkich pierwiastków porządku feudalnego, na którym w całéj zachodniéj i środkowéj Europie wspierała się budowla polityczna i społeczna, to jednak posiadała wiele wspólnego z formacyami średniowiecznemi na stałym lądzie aż do ich upadku i rozkładu w końcu zeszłego stulecia. Główne punkta téj wspólności prof. Pawiński wytknął poszczególnie. „Te same — są jego słowa — co i u nas żywioły arystokracyi ziemskiéj uprzywilejowanéj, ta sama organizacya wojskowa, polegająca na służbie rycerstwa czyli szlachty, te same gminy miejskie upodrzędnione, te same władztwa wiejskie i panujące w nich prawo dworskie, ten sam kościół, to samo duchowieństwo odosobniające się, spotykamy zarówno w terytoryach większych lub mniejszych cesarstwa rzymsko-niemieckiego, jak i w różnych prowincyach francuskich" (Rządy sejmikowe, str. 430).

Zdając sprawę z dzieła prof. Lavisse'a i Rambaud, w którém pierwotny feudalizm europejski szczegółowo został opracowany, należałoby przedewszystkiém skierować uwagę czytelnika ku owym powinowactwom i podobieństwom, wytkniętym przez prof. Pawińskiego. Zadanie jednak takie przekracza obręb prostego sprawozdania. Zazna-

czamy więc tylko, że do zestawienia z zasadniczemi rysami pracy prof. Pawińskiego przydałyby się szczególnie następujące miejsca z wydawnictwa prof. Lavisse'a i Rambaud: stan urządzeń społecznych i prowincyonalnych na schyłku cesarstwa rzymskiego (t. I, str. 5—8); rola w tymże czasie hierarchii kościelnéj (34); pierwotna organizacya społeczno-polityczna plemion germańskich (51—55); cywilizacya gallo-romańska (95); rządy Karola W. w stosunku do narodowości podbitych (322—348); walka cesarza Ottona I ze Słowianami i jego marchie wschodnie (511); szczególny ustrój gmin anglo-saskich za czasów Wilhelma Zdobywcy (581—584, 619); szlachta i duchowieństwo w Europie zachodniéj pod koniec wieku XIII (II, 25—50); instytucye Ludwika św. i ich stosunek do feudalizmu (II, 394—406); walka o swobody municypalne (411—535); ustrój Anglii pod królami normandzkimi, powstanie feodalne i Runnymede, jako Nieszawa wielkobrytańska (601, 622, 636—638).

***



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Hajota*. **Ich syn.** Powieść współczesna w 2 tomach (str. 271, 278). Warszawa. Teodor Paprocki, 1895. — Taż. **Jak cień.** Powieść. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1895, str. 336. — Hajota po powrocie swoim z Afryki, wystąpiła jako malarka silnych, gorących, gwałtownych namiętności, które łamią obowiązki wszelkie, zagłuszają szlachetne uczucia, gubią istnienia ludzkie. Mamy oto przed sobą dwie powieści tym żywiołem na wskroś przeniknięte. W dzisiejszych wychłodzonych czasach, jestto zjawisko rzadkie i przenosi nas w dobę dość odległą, kiedy stary Dumas, Sue, George Sand, Féval swojemi namiętnemi wybuchami o dreszcze przyprawiali czytelników. Czy autorka z zupełną samowiedzą artystyczną, czy też bezwiednie wskutek usposobienia poszła w tym kierunku, to rzecz, co do której ona sama tylko mogłaby dać objaśnienie; to wszakże pewna, że jéj powieści najnowsze pod względem treści swojéj i wykonania nie są wcale podobne do utworów literatury bieżącéj zarówno naszéj jak zagranicznéj; analitycznego pierwiastku mają tyle jedynie, ile go miały romanse przed laty 50, subtelnego zaś cieniowania, umiejętnego użycia półtonów głębokiéj psychologii — prawie wcale. W stylu nawet zamiłowania do długich a zaokrąglonych okresów więcéj ma analogii w sędziwéj przeszłości niż w chwili obecnéj. Wszystko tu obliczone jest wyłącznie na to, ażeby módz opowiedzieć romans sensacyjny, pełen gwałtownych perypetyi. Powieść: „Ich syn“ jest w tym względzie najbardziej znamienna. Pierwsza już scena otwierająca opowiadanie przedstawia się zajmująco, ale z gruntu nieprawdopodobnie. Mąż zmuszony jest opuścić kraj i wy-

jechać do Ameryki; ma mu towarzyszyć żona i siedmioletni synek. Ale żona poczuła nieprzezwyciężony wstręt do morza — więc oddaje synka ojcu i wyprawia ich na morze. Czy to zrobiła jakaś matka bez czucia? O nie! Autorka wystawia to jako czyn bohaterski ze strony matki. „Ja, matka — powiada Klotylda patetycznie do męża — ja ci go oddaję! Nie odmawiaj chociaż téj jednéj prośbie mojéj, zaklinam się, Wacławie, na Boga i wszystko, co ci jest święte!“ Jeżeli autorka mniemała, że w téj scenie prócz retoryki rozwinęła i głęboką znajomość duszy ludzkiéj, duszy żony i matki naprawdę kochającéj męża i syna, to chyba była w kropnym błędzie. Ale nic dziwnego, gdyż takie blędy psychologiczne popełniala w całym utworze, w każdém ważniejszém przejściu duchowém swych osobistości. Potrzebne jéj było to pozostanie Klotyldy a wyprawienie Wacława z synem, ażeby módz osnuć cały dalszy romans jéj ze „zblazowanym dyletantem sztuki i życia” (I, 271), panem de Soligny-Kierczyńskim, postacią demoniczną, magnetyzującą wzrokiem całe zastępy próżniaczek salonowych, ale dość wytrwałych, jak na „zblagowanego”, w swoim stosunku do Klotyldy, która go przecie po upływie dość długiego czasu żadnym świeżym powabem pociągać nie mogła. Zadługo byłoby opowiadać wszystkie szczegóły tego stosunku, w którym nie brakło i stron zabawnych, dość że syn Wacława i Klotyldy powraca, odkrywa bolesną tajemnicę, a nic nie uzyskawszy u matki, idzie do owego „zblazowanego dyletanta“ i zniewala go do opuszcznia Warszawy, co o tyle łatwiéj uzyskał, iż „zblazowany dyletant“ znalazł już towarzyszkę podróży w osobie bardzo wykształconéj i egzaltowanéj, ale widocznie i bardzo zmysłowéj panny Wandy, która zamiast więdnąć w staropanieństwie, wolała się zdać na łaskę i niełaskę „zblazowanego“ Don Juana. Klotylda zapadła w ciężką chorobę, ale się z niéj podniosła i — wyjechała za ocean przymuszona przez syna, który pozostał w Warszawie, ażeby uporządkować swoje interesa sercowe z ładną Ewunią, córką człowieka skrzywdzonego, mszczącego się na społeczeństwie wyzyskiwaniem wszystkich łatwowiernych. Ażeby Ewuni nie zagradzać drogi do szczęścia, ojciec oblawszy się naftą i zapaliwszy ją zginął, nie budząc podejrzeń o samobójstwo. Dosyć będzie tych napomknień, ażeby wartość psychologiczną dwutomowéj powieści „Ich syn“ uprzytomnić. Są w niéj sceny interesujące, ale bodaj nie ma ani jednéj, o którejby się mogło coś powiedzieć: jakże prawdziwa! — Powieść „Jak cień“ ma za widownią Afrykę równikową, lecz osoby są z Europy. Hrabia szwedzki pokochał się w „cyrkówce“, przecudnéj i cnotliwéj, ożenił się z nią i wszedł w zatarg z rodzica-

mi, musiał wyjechać do Afryki, by uprawą kakao módz zarobić na utrzymanie. Był to człowiek wykwintnie wykształcony, a pełen energii cichéj a wytrwałéj (bardzo dobrze i konsekwentnie nakreślony, jedyna postać w utworze, mogąca miéć prawo do nazwy kreacyi artystycznéj). Oszukano go przy sprzedaży plantacyi, ale to mu nie odjęło odwagi; dopiéro namiętność de la Rochy, wielkorządcy Fernando-Po, do pięknéj jego żony, którą znał jako „cyrkówkę“ i któréj pierścień włosów odcięty przez jéj matkę bez jéj wiedzy, miał w swém posiadaniu, zmusiła go po bolesnych stratach opuścić plantacye i wrócić do Europy. Otóż przebieg tego zawikłania stanowi główną treść powieści, a jest oparty na mało prawdopodobnym motywie psychologicznym. Karina odtrąca de la Rochę, ale nie śmié o jego zamachach nic powiedziéć mężowi, którego pozostawia w zupełnej nieświadomości. Dlaczego? Autorka nigdzie nie usiłowała tego wyjaśnić, zapewniła tylko czytelników, że odkrycie takie było dla Kariny niepodobieństwem. Czytelnicy, przynajmniéj niektórzy, nie zgodzą się na takie gołosłowne zapewnienie autorki, widząc, że było to jéj p o t r z e b n é m dla wywołania katastrofy, ale bynajmniéj nie konieczném ze względu na stosunki rzeczywistości. Hrabia znał przecie przeszłość „cyrkówki" i jéj położenie. Zwitek włosów w ręku de la Rochy nie mógł być postrachem dla Kariny, gdyż nic łatwiejszego, jak wyjaśnienie mężowi sposobu, za pomocą którego dostał się on w ręce namiętnego wielbiciela. Takie szczere wyznanie wobec męża, który Karinę ubóstwiał, nie miałoby dla niéj nic upokarzającego, — ale, ale, niestety, zapobiegłoby może katastrofie, bo tak dzielny człowiek, jak Oskar, potrafiłby się chyba obronić. Autorka zaś chciała miéć katastrofę, porwanie Kariny, pościg, zabicie de la Rochy przez Oskara, obłąkanie żony, wskutek nadmiernego naprężenia fizycznego i umysłowego, a w obłąkaniu efektowne sceny powrotu Kariny do dawnych popisów cyrkowych. Efektowne to ani słowa, lecz bardzo słabo umotywowane i nie budzące wiary. Wreszcie i forma opowiadania niefortunnie została obrana. Historyę całą opowiada autorce świadek naoczny, przyjaciel Oskara — opowiada nie w formnie zwykłéj wśród ludu narracyi, ale ze wszystkiemi przyborami i środkami powieściowemi, z charakterystyką, opisami, rozmowami i t. d. i t. d. Że w ten sposób dom Luiz nie mógł opowiadać Hajocie, to rzecz nie potrzebująca dowodzenia; że zaś Hajota w ten sposób kazała mu w swéj książce opowiadać, pokazuje to tylko, iż brak jéj subtelnejszego poczucia formy artystycznéj.

= *Kazimierz Gliński*. **Chata Nikodema**. Warszawa. Nakład M. A. Wizbeka, 1895, str. 31 (z portretem autora). Jest to scena dramatyczna, dziejąca się wśród ludzi zacnych i rozumnych. August, syn hrabiego Izydora, pokochał jego wychowanicę Salusię, pełną prostoty, szczerości, spółczucia dla ludu, odwiedzającą z największą rozkoszą sielskich mieszkańców, by nieść pomoc i pociechę. Salusia sama nie wié, jaka to moc dziwna ciągnie ją ku chatom wiejskim. Nie wiem—mówi—jakaś siła:

Przybiega stamtąd, wprost do serca wpada,
Gra piosnką wichru, szepce wierzby szumem,
Przez wszystkie żyły razem ze krwią płynie
I czyni jakiś przewrót w méj istocie,
I tam iść każe, gdzie drzemią w dolinie
Te chaty szare w miesięcznéj pozłocie,
Do których nędza czasem ścieżki depce,
Złe duchy licznym napływają tłumem...

Gdy z chat tych wraca do pałacu, to jak „istne chłopskie dziecię" boi się dotknąć marmurów w pokojach. Hrabia, lubo wyraźnie nie zakazywał Salusi tych wycieczek, nie bardzo je przecież lubił, ale Salusia pociągu stłumić w sobie nie mogła i uciekała z pałacu na pola i łany, by się poić dźwiękiem pieśni wieśniaczéj, a czasami wziąć sierp do ręki i razem z „mrowiem kmiecem" użnąć „snop duży". Szczególniéj uroczo działała na nią „Chata Nikodema", nie różniąca się zresztą niczem od innych, a jednak nęcąca Salusię „jakiémś tajemniczém wołaniem". Gdy pod jéj dach słomiany weszła, to jéj się zdawało, jakby wstępowała w progi kościoła. I myślała sobie wówczas, że „jeżeli dusze: Nie jeden raz się na téj ziemi rodzą, A głos z przeszłości niekoniecznie zmilka", to ona musiała być niegdyś rodem z téj chaty" i wspomnień z niéj trochę przechowała. Przeczucie nie myliło jéj. Matka jéj była wieśniaczką, karmicielką Augusta, którego ocaliła z narażeniem życia własnego podczas pożaru. Z uniesieniem tedy zwraca się myślą i uczuciem ku chatom:

Macie wy swoje niezbadane głębie,
Niewydobyte dotąd złota bryły
I smutki wielkie i płacze gołębie
I niezwiedzane poświęceń mogiły
Pod gzłem zczerniałém od trudu i potu
Mogłyby serca potężnie uderzyć —
Nie jedna myśl tam gotowa do lotu,
Lecz nie wié tylko jak skrzydła rozszerzyć.
Są perły własne—tylko nikt nie zbiéra,
Muszel przyjazną nie otwiera dłonią.
Nikt się róż dzikich nie upaja wonią

I kwiaty więdną i serce umiéra
Jak kwiat. —

Pochodzenie Salusi było trzymane przez hrabiego w tajemnicy. Odkrył ją synowi swemu sądząc, że to wpłynie na ochłodzenie jego uczucia. Ale August tém silniéj właśnie zapragnął połączyć swe losy z losami córki Maryny i ojciec zgodził się na ten związek, a August tuląc w swych objęciach Salusię powiedział: „W takim uścisku tylko przyszłość nasza!” Najszczegółowiéj i najlepiéj przedstawiony został w tym utworze charakter Salusi, a dopiéro po niéj charakter Augusta; hrabia Izydor dość mdło się przedstawia, pozbawiając scenę wyższego napięcia dramatycznego, tak że „Chata Nikodema” zachowuje przeważnie ton epiczno-liryczny.

= *Włodzimierz Zagórski* (Chochlik). **Nowele.** Serya III. Kraków. Nakład księgarni Spółki wydawniczéj polskiéj. 1895, str. 223. P. Włodzimierz Zagórski umié opowiadać swobodnie, gładko, potoczyście, nie brak mu ani dowcipu, ani trafnych spostrzeżeń; dużo w życiu widział, o wiele różnorodnych stosunków się ocierał, a lubił nad wszystkiém się zastanawiać, w młodości w sposób sarkastyczny, w latach dojrzałych w sposób rozważny, uwzględniający słabości ludzkie. Na stworzenie noweli nie potrzebuje zbyt wiele materyału; czasami zasłyszana jakaś anegdota, opisany w gazetach wypadek, poetyczne porównanie wystarcza mu do wysnucia dłuższéj lub krótszéj nici opowiadania. Tak np. anegdota jest podstawą noweli p. t. „Kochanka anioła“, przedstawiającéj żywo i dość interesująco miłość pięknéj, zabobonnéj, pełnéj uczucia tancerki Carlotty i malarza, któremu służyła z kaprysu za model do pokutującéj Magdaleny. Poetyczne porównanie i fantazya stworzyły ładny obrazek p. t. „Jaskółki“, gdzie owe ptaki były przed rokiem świadkami miłosnéj rozmowy dwojga młodych pierwszém uczuciem płonących, a za powrotem zastają wszystko wprawdzie tak jak zostawiły, są znowu świadkami rozmowy miłosnéj, ale nie owych dwojga, tylko rozmowy panny, która z interesu podbiła sobie jeżeli nie serce, to wyobraźnię i zmysły innego już mężczyzny. „Rodzina mojéj żony“ — to karykaturalnie trochę przedstawione utrapienie konkurenta i małżonka, którego obsiada i objada liczna familia narzeczonéj i małżonki, nie dając mu ani chwili odetchnienia, tak, że biedak musiał prosić zarząd kolei, gdzie służył, o przeniesienie go z Warszawy do Piotrkowa, dokąd go owa familijka gonić już nie mogła, i gdzie zaznał prawdziwego szczęścia, znajdując w swéj żonie wymarzone zalety, tłumione poprzednio wpływem rodziny. Podobnież karyka-

turalnie trochę przedstawia autor „Teatr w Błotowie", odsłaniając w wędrownéj trupie nietylko biedę i rywalizacyę, jak to czynili zazwyczaj dawniejsi opowiadacze, lecz nadto wszelakiego rodzaju zepsucie i najgorsze instynkta, bez cienia nawet poczucia estetycznego i czci dla sztuki. Od dyrektora do suflera wszystko to próżniacy, którym się zdaje, że mają talent i łatwo na utrzymanie i hulankę zarobić nim powinni. Ani jednéj jaśniejszéj postaci wśród tego grona nie ukazał nam p. Zagórski. Jeden tylko autor tragedyi, zakochany w podstarzałéj aktorce, wyróżnia się odrębną indywidualnością; lecz i jego za dodatnią figurę poczytać niepodobna. Tragedya jego odbywa się za czasów Ludwika XIV, dał dyrektorowi ostatnie trzysta guldenów, by ją wystawił, sam został aktorem, a na żądanie dyrektora powodowanego względami ubocznemi, kasę jedynie mającemi na oku, zgodził się wprowadzić do owéj tragedyi—wesele krakowskie, gdy go o to owa aktorka poprosiła. Gdy się trupa rozwiązała, nieszczczęśliwy tragik przez czas jakiś sumiennie spełniał obowiązki gospodarcze powierzone sobie przez byłego ucznia, lecz gdy tylko usłyszał, że się trupa na nowo zorganizowała, nic go powstrzymać nie mogło, porzucił wszystko i pieszo uciekł, by znowu przy pani swego starego serca się znaléźć. Najobszerniejszém opowiadaniem zawartém w zbiorze obecnym jest „Hypnotyzm." Chociaż oparte jest ono na najświeższych badaniach co do suggestyi i telepatyi, żywo przecież przypomina owe czasy romantyzmu, kiedy po „Jasnowidzącéj z Prevorst" ukazały się i w naszéj literaturze powiastki i powieści wyzyskujące sensacyjne, tajemicze objawy ducha ludzkiego, w śnie magnetycznym pogrążonego. Z miłości popadła hrabianka Irma w obłąkanie, zakochała się następnie w swoim lekarzu magnetycznym, którego sama odnalazła w lesie, a wreszcie pod wpływem suggestyi przeniosła swą miłość na kuzyna, z którym ojciec chciał ją widziéć połączoną... Żywości opowiadaniu temu nie brak, ale ostrożność radzi niezbyt wielką przywiązywać do niego wiarę.

— **Poezye** *O. Karola Antoniewicza.* T. I. wydał ks. Jan Badeni. Tom I. **Poezye religijne**, z portretem autora. Kraków. Nakład księgarni Spółki wydawniczéj polskiéj. 1895, str. 159.—Znany jako gorliwy misyonarz, wyborny kaznodzieja ludowy i zacny człowiek, ks. Antoniewicz (zmarły r. 1852) pisywał téż od lat najmłodszych wiersze treści świeckiéj i religijnéj. W początkach zawodu, jeszcze jako świecki, pomieszczał je w „Rozmaitościach lwowskich" i „Słowianinie." Wówczas mowa jego pod wpływem wychowania

w Galicyi i rozczytywania się więcéj w autorach obcych niż ojczystych, była wielce niepoprawna. Z czasem, w zakonie, wyrobił sobie większą poprawność, chociaż na zawsze mu pozostały pewne przywyknienia wadliwe, mianowicie w użyciu biernika zamiast dopełniacza (np. szukać *co*, zamiast: szukać *czego*). Czy był poetą? Jeżeli chodzi o uczucie, o szczerość, serdeczność, prostotę, tkliwość, to był nim niewątpliwie. Ale siła jego fantazyi nie dorównywała szczerości i głębi jego uczucia; stąd styl jego poetycki ubogim jest bardzo w obrazy, przenośnie, porównania świeże i oryginalne; posługiwał się on zazwyczaj utartą frazeologią, która lubo pierwotnie była obrazową, przez ciągłe używanie straciła właściwy koloryt. Prócz tego, zakres pomysłów jego był dosyć szczupły, a w poezyach religijnych nużył autor powtarzaniem tych samych wyobrażeń i wyrażeń. Dusza prosta, wierząca, znajdzie zapewne karm w tych nie wyszukanych i z serca płynących utworach, ale żeby one mogły zająć swą stroną poetyczną, twierdzić niepodobna. Antoniewicz nie był artystą; rymował trochę po częstochowsku, chociaż niekiedy, jak np. w silnie odczutym wierszu p. t. „Pragnienie Nieba", objawiał żywe zrozumienie śpiewności. Wydawca uszeregował wiersze religijne Antoniewicza w następujące grupy: jako przegrywkę umieścił rzecz słabą w wykonaniu: „Imię Jezus", a potém dał pieśni pod zbiorowemi napisami: „Jezus w żłobku", „U stóp krzyża", „Chwała Maryi", „Wianeczek majowy", „Pieśni błagalne", „Polscy patronowie", „Poselstwo anioła w niebie." Wydawca utrzymuje, że w wierszach pisanych w wieku dojrzalszym „forma coraz bardziéj i widoczniéj się udoskonala, nabiera siły, jasno i harmonijnie oddaje nurtujące w duszy uczucie, aż w niektórych pobożnych pieśniach, w paru rzewnych legendach... dostraja się w całéj pełni do treści i nic już do życzenia nie pozostawia." Gdyby orzeczenie to można było uznać za słuszne, mielibyśmy w tych pieśniach i legendach arcydzieła. Ale daleko do tego. Legendy, mojém przynajmniéj zdaniem, są bardzo słabiuchne i pod względem artystycznym najmniéj zadawalniające, a co do pieśni pobożnych, to oprócz wspomnianéj już powyżéj, mógłbym jako wyróżniające się od innych, wymienić chyba tylko: „Drogę krzyża", „W kaplicy Matki Boskiéj w Staniątkach", 14-ty ustęp z „Wianeczka majowego." Za najgorszą zaś, najmniéj estetyczną pieśń „Ave Maria", w któréj makaronizm łacińsko-polski bardzo niesmaczne sprawia wrażenie. W każdym razie, książeczka ta będzie wśród warstw ludności religijnéj bardzo pożądanym nabytkiem.

= *Władysław Reymont.* **Pielgrzymka do Jasnéj Góry.** Wrażenia i obrazy z illustracyami. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1895, str. 132. Autor przedstawia się nam w ciągu swego opowiadania, jako człowiek znużony trochę życiem, niezaspokojony nauką filozofii w obiegu będącéj i skłonny do odczuwania prawd wiary oraz szukania w niéj zaspokojenia serca i umysłu. Co prawda w czasie pielgrzymki, odbywanéj piechotą wraz z kompanią praską, więcéj w nim widać artystę szukającego wrażeń i oryginalnych ugrupowań, aniżeli człowieka przejętego do głębi uczuciem religijném; w notatkach swoich przynajmniéj częściéj wspomina o kłótniach, niezgodności słów z postępkami, śmiesznościach prowodyrów, nieznośnym zaduchu, niż o podniosłości wewnętrznéj; ale za to w rozmowie z księdzem Prokopem w Nowem Mieście, nie zaniedbał uwydatnić, iż „uwierzył" w głęboką wiarę tłumu pielgrzymującego i zazdrościł mu „zdolności wierzenia" i téj mocy, jaką czerpie z wiary, a przy końcu nie zawahał się przytoczyć wyniku téj wiary w nagłém wyzdrowieniu dziewczyny ślepéj i chroméj. Wogóle niejednolite od téj książki odbieramy wrażenie. Czasami tak się wydaje, jakby autor drwiąco był usposobiony względem podań cudownych, przez lud opowiadanych, np. w historyi św. Piotra podróżującego z panem Jezusem i wypasającego chłopu zboże, za co go chłop do komory zamknął (str. 75—78). Ale autor powiada, że był „zachwycony" naiwnością opowieści i pragnął słyszéć więcéj podobnych... Trudno się sprzeczać o gusta—wedle łacińskiéj sentencyi. To téż z tego punktu nie mamy nic do powiedzenia o guście p. Reymonta. Zaznaczyć jednak winniśmy, że jest w nim duży artysta, umiejący kilkoma dobitnemi rysami nakreślić sytuacyę i wywołać wrażenie, dla przykładu wspomnę tylko owego Antosia suchotnika, zamiłowanego w kwiatkach, którego matka wiozła do Częstochowy opiekując się nim z całą serdecznością i delikatnością, na jaką tylko czułe i przezorne serce matki zdobyć się może.

= *Włodzimierz Koszyc.* **W szynelu.** Obrazek powieściowy. Petersburg. Nakład K. Grendyszyńskiego, 1895, str. 132. Jest to utwór młodego, jak się zdaje, autora, który widocznie z własnéj obserwacyi i doświadczenia w wojsku austryackiém odmalował ponury obraz oburzających środków, jakiemi wyrabiają w niém posłuszeństwo, karność, poczucie porządku i obowiązku. Nieszczęśliwy, trochę głupkowaty rekrut Boguś, skazany za palenie cygara podczas marszu na karę „krzyża", dostał zapalenia płuc, a leczony lekceważąco, mając przytem usposobienie dziedziczne do suchot, umiera

w 20-ym roku życia. Jego historya jest ogniskowym punktem opowiadania, w którém ochotnik jednoroczny Drzewicki, z umysłem wykształconym, sercem szlachetném, z sumieniem bardzo draźliwém, przez nieumiejętny dobór sposobów dopomagania Bogusiowi (spojenie kaprala), przyczynia się w części do jego niedoli i robi sobie gorzkie wyrzuty, rozmyślając wogóle nad zgubnemi stronami militaryzmu. Uspokaja go trochę jego były profesor, Kowalski, nie bardzo co prawda jasno rozwiniętém rozumowaniem, w którém wystawia konieczność złego, ażeby umożliwić postęp dalszy. Jest on przekonany, że „pod młotem czasu niezawodnie przybiera świat lepsze kształty, chociaż nigdy nie wstąpi na wyżyny słoneczne”; że „człowiekowi wrodzonym jest popęd do trzymania dłuta i kucia doskonalszych linii na posągu świata...” Ta umiarkowana wiara w postęp ze świadomością przeszkód, jakie zewsząd ludzkości cywilizowanéj zagrażają, musi być dla nas podporą w działaniach naszych, musi nas krzepić w niepowodzeniach i odwracać od apatyi. Tak téż wywody profesora zrozumiał Drzewicki i zastawszy po odsłużeniu jednego roku, narzeczoną swoją zniechęconą do działania w sprawie oświaty dla tego, że rodzice uczniów jak i otoczenie patrzyło niechętném na pracę tę okiem, rozwinięciem owych myśli zachęcił ją do pokonywania przeszkód i tłumienia w sobie saméj rozpaczliwego głosu, że wszelkie wysiłki na nic się nie zdadzą. Autor pisze prozą jędrną, obrazową, czasami aż zanadto zwięzłą, rzuca tylko zarysy scen, sytuacyi, usposobień, charakterów, pobudzając myśl czytelnika, by je samoistnie sobie wyprzędła. Zdolności plastycznéj nie brak mu także a parę luźnie jeno rzuconych szkiców silnie utkwić może w umyśle. I pod względem językowym niewiele możnaby mu zrobić zarzutów, tak że ten występ „W szynelu”, do pomyślnych zaliczyć wypada.

— *F. Arnsztajnowa* (F. A. M.) **Poezye**. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1895, str. 88.—Z serdeczném uczuciem zwraca się autorka do matki swojéj (znanéj w literaturze naszéj p. Meyersonowéj), któréj zbiorek poezyi swoich poświęca, powiadając, że „jęk bólu, tłumiony wśród ciszy nocy, żar pragnień, modły, łzę, co w oku pała”, zebrawszy, nanizała na struny swéj lutni, jako pieśni swéj matki ukochanéj. Smutku, cierpienia, łez dużo jest w tych poezyach, ale nie ma w nich ani przygnębienia, ani rozpaczy, gdyż autorka wyraża swe zadowolenie z życia, dlatego że żyje, lubo istnienie jéj gęsto przetykają ciernie. Znaczna część utworów w zbiorku zawartych, to krajobrazy, wrażenia otrzymane od przyrody, czy to będą zarysy

miejscowe: „W śniegu“, „W lesie“, „Pożegnanie słowika“, „W noc księżycową“, „Obłok“, „Na cmentarzu“, „Na balkonie“, „Jesienią“ — czy téż widoki „Z gór Tyrolu.“ Naturalnie poetka nie zadawalnia się samém przedmiotowém nakreśleniem obrazu, lecz łączy z nim, na wzór Mickiewicza, jakieś uczucie, zazwyczaj wyraz sympatyi dla cierpień ludzkich wogóle. W jedném miejscu sympatya ta wypowiedziana została z dużą domieszką przesady, stanowiącéj dysonans z innemi częściami utworów w rozumnym umiarze trzymanych. Autorka obrazując zimę, zwraca do niéj mowę, powiadając:

Królowo, ten zdrój żywy w mojém bije łonie:
Ludzkość, co w twych objęciach lodowatych kona.
Niech w pierś mą zajrzy — światło w niéj znajdzie i ciepło.

Lepiéj, żeby nam taką zasługę przyznali inni, niż żebyśmy sami sobie z góry i bez trudu zapewniać mieli. Wyjątkowy to jednak objaw u p. Arnsztajnowéj; zazwyczaj nie napotykamy u niéj pretensyonalności, lecz szczere, otwarte wypowiedzenie uczuć i myśli, jakie ją w danéj chwili zajmowały. A umié je wypowiadać wytwornie. Trudne formy wierszowania, jak sonet, tercyna, przyswoiła sobie wybornie i włada niemi swobodnie, a czasami przez drobne zmiany umié wytworzyć nowe kombinacye zwrotkowe, jak np. przez rozbicie dwu strof czterowierszowych na dwie o następnym składzie: pierwsza zwrotka—pięciowierszowa, druga—trzywierszowa („Śnieg pada a pada“ str. 11, „Pożegnanie słowika“ str. 14), — albo przez przerzucenie końcowego wiersza w szeregu tercynowym na pierwsze miejsce („Na cmentarzu“). Wywoływanie efektów melodyjnych przez powtarzanie jednakowo brzmiących wierszy, również kilkakrotnie zastosowała p. A. szczęśliwie, na wzór Felicyana, w swoich sonetach (ustęp II i III z „Karnawału“). Ta kunsztowność układu wierszowego, chociaż wcale nie znać w niéj wymuszenia, sprawia jednak dość często wrażenie, że uczucie wypowiedziane przez poetkę nie wylało się bezpośrednio z jéj duszy, lecz powstawało pod wpływem refleksyi, pracującéj nad ujęciem chwilowych przepływów myśli w formę ściśle określoną i odmierzoną. Pod względem języka wszędzie widać czystość i poprawność wielką, zauważyłem jeden tylko wyraz wskróś użyty mniéj właściwie, gdy mówi: „Zagląda wskróś cienie dzień szary“ (str. 9). Ta dbałość o język zasługuje na najwyższe uznanie.

= **Lalka**, żart satyryczny, wierszem napisał *Józef Jankowski.* Warszawa. Nakład T. H. Nasierowskiego, str. 79 miniaturowego formatu. Wiersz jest bardzo zręczny i w efektach żartobliwych,

wywoływanych za pośrednictwem odpowiedniego dobiérania wyrazów, przeciwstawień i rymów, nieraz bardzo szczęśliwy. Czyta się go też z przyjemnością i zajęciem. Jestto historya lalki z krwi „portugalki" (oczywiście dla rymu tylko), o korpusie z Wiednia, o głowie z Paryża, o nogach z Warszawy. Różowa na twarzy, miała oczy duże lazurowe, które pod rzęs osłoną płonęły iskrami; usta wiśniowe, uśmiechnięte. „A że ta duszka, Ta patrycyuszka, Zamiast serduszka Wnętrznej drobiny, Przy wdziękach Fryny — Miała... trociny — Nie z mojéj winy" — dodaje poeta. Opis powodzenia téj laleczki wypchanéj trocinami, aż do wyjścia jéj za mąż, ma w sobie dużo lekkiego swobodnego, czasami tylko sarkastycznego zacięcia. Po tém dopiéro pomysłowość i werwa słabieją, autor coprędzéj dąży do zgonu lalki, jéj pogrzebu i mówki wypowiedzianéj przez siebie na usilne prośby, nad zwłokami. W pierwszéj części jest wiele aluzyi do ludzi w ogóle, a kobiét w szczególności — i to nadaje żarcikowi powab właściwy takim zestawieniom satyrycznym; w drugiéj części trudno się już dopatrzyć myśli głębszéj, sprawa schodzi do poziomu lalki rzeczywistéj. Wierszowanie wskazuje bardzo wielkie władztwo nad językiem i rymami; a ta zaleta zastosowana do treści poważniejszéj, może wydać rzeczy piękne. Żart nie jest zły, owszem, pierwiastków zdrowia w nim niemało, lecz oczywiście nie może on wypełniać całej sfery twórczości dzisiejszego poety. Nie trzeba się tém zrażać, że w życiu spotykamy zbyt często piersi „dyablo płaskie", nie na miarę Fidyasza, należy przypatrywać się pilniéj życiu a może się znajdzie treść inną niż treść „Lalki — dla śmiéchu."

= **Zając,** powiastka wiejska przez *Klemensa Junoszę*. Warszawa, Centnerszwer, 1895 (cena kopiejek 7½). Jest to powiastka dla ludu, mająca na celu wykazanie, że przesąd odnoszący się do przebieżenia drogi przez zająca nie ma podstawy. Ale Junosza w dydaktyzm się nie wdaje, z właściwym sobie talentem malowania żydów i chłopów dobitnemi rysami, nakreślił obrazek Michała Gila i jego żony Magdy, jarmarku w Okpiszowie, czapnika, szewca, zabawy na Pohulance, ukradzenia koni i szczęśliwego zakończenia przygody pomimo zająca. Rzecz pisana żywo, w ciągłych niemal rozmowach.

= **Kto zwycięzcą?** Nowele przez *Esteję*. Warszawa. S. Lewental, 1895, str. 325. — Mamy tu zbiorek samych drobiazgów, w których właściwości, ba, maniera Estei uwydatniają się tém wyraźniéj,

że nie ma tu prawie wcale jakiejkolwiek spomplikowanéj fabuły. Podlotki kapryśne, fantastyczne, ale z dobrem sercem, kobiéty nerwowe z zamożnéj sfery, wielce dotkliwe na punkcie miłości własnéj; młodzieńcy piękni, eleganccy, z prześlicznemi oczyma, zwykle czarnemi, wywierający urok na wszystkich, jakaś staruszka wyrozumiała na zachcianki i figle młodości; rozmowy niespodziankami myślowemi, a częściéj wyrazowemi przetykane, dowcip złośliwy, rzeczywisty i naciągany, a wszystko to odtworzone stylem bardzo żywym przewija się jak wąż połyskujący przez karty książki, która może chwilowo zabawić, ale ani nie wzruszy, ani też długo w pamięci nie pozostanie. Istotnie kiedy Esteja chce opowiedziéć coś wzruszającego, to albo popada w ton sentymentalno-patetyczny z początku naszego stulecia, („Zenab—historya z nad Nilu"), albo téż posługuje się środkami bardzo konwencyonalnemi, które wzruszenia wywołać nie mogą („Mamy pantofelki"). Natomiast kiedy przedstawia humorek takiéj „Panny Dziuby", albo nieporozumienia rozmowy dwojga zdenerwowanych („Kto zwycięzcą"), którzy kochając się wzajem, dopiéro po bolesnych przejściach zdecydowali się wyznać to sobie, albo kiedy kreśli „Szkice i obrazki bulońskie", przygody, Tomcia, Romcia i Myszki, lub Andrusia i Muszki, ubierających suczkę w różowe „ciapki", to widzimy, że autorka jest w swoim żywiole i sama się bawi swojém opowiadaniem. Jéj nie idzie ani o głębsze wniknięcie w charaktery, ani o uprawdopodobnienie zdarzeń, jeżeli nie są zwykłemi, ale tylko o przedstawienie jakiegoś oryginalnego kaprysiku, jakiéjś zabawnéj przygody, jakiéjś wymiany myśli w zwrotach niecodziennych. Szczupły jest bardzo ten światek, który Esteja umié dobrze malować z niezbyt wielką liczbą spostrzeżeń, jakie uzbierała w wędrówkach swoich po modnych miejscowościach kuracyjnych (Boulogne, Korfu); a przynajmniéj nie daje ich poznać w tych szkicach, jakie w obecnym zbiorku znajdujemy. Niektóre napomknienia w „Szkicach i obrazkach bulońskich" wskazują, że nie obce jéj są sprawy ogólne, społeczne, ale, niestety, na napomknieniach tylko poprzestaje.

— **Róża Montalboni.** Dramat w pięciu aktach, napisany przez *Leokadyę Tarnogórską*. Petersburg, 1894. str. 104.— Autorka występuje, jak się zdaje, po raz pierwszy na widowni literackiéj, przedstawiając dramat, osnuty na podaniu florenckiém o dziewicy nadzwyczaj pięknéj, z bogatego i starożytnego domu pochodzącéj, która pomimo swéj niewinności wskutek intryg wtrącona została do wię-

zienia, gdzie przecierpiała lat „kilkadziesiąt“ z twarzą „zakutą w maskę z kości trupiéj głowy.“ Motywów dramatycznych nie brak w saméj treści podania, lecz ażeby one wywrzéć mogły wpływ odpowiedni, muszą być psychologicznie zużytkowane. Autorka główną przyczynę nienawiści, jaką względem Róży Montalboni powzięło wiele wybitnych i możnych osób, które zdołały ku sobie pociągnąć duchowieństwo (wystawione tu ze strony najgorszéj), wskazała jedynie w samobójstwie kilku nieszczęśliwych wielbicieli, co przekonywającym argumentem nazwać się nie może. Nie wiele zresztą zadawała sobie p. T. zachodu z uprawdopodobnieniem wypadków i postępowania osób; czytelnik musi jéj zawierzyć na słowo, że się tak stało. Trzykrotnie sam czar piękności Róży ocala ją, gdyż ani tłum nie śmié się na nią rzucić, ani kat podnieść miecza, ani rycerze się dotknąć jéj; dopóki oszalała matka jednego z samobójców nie poddała mimowoli myśli zarzucenia na jéj twarz maski trupiéj. Gdy ojciec w obronie córki zginął, wtedy Bona Donati, która ojca swego i syna uważa za „ofiary“ Róży, nakłada jéj maskę trupią; a żołnierze odprowadzają ją do więzienia. Wiersze, któremi pisany jest ten dramat, nie okazują w autorce dokładnéj znajomości sztuki wersyfikacyjnéj, a i język szwankuje.

= *Marya Rodziewiczówna.* **Ryngraf.** Nowela. Petersburg. Warszawa. 1895, str. 51.—Rzecz się dzieje za czasów Napoleońskich przeważnie w Hiszpanii. Jak zwykle u téj autorki, znajdujemy tu pełnego energii, nieprzystępnego słabości, Plutarchowego bohatera, Konstantego, oraz jego przeciwieństwo, miękkiego, wrażliwego, lubo dzielnego Stanisława. Mieli się oni ze sobą spokrewnić, obaj, opuszczając kraj, pozostawili narzeczone. Stanisław, ranny w jednéj z bitew, został oddany pod opiekę Hiszpana, którego widok Matki Boskiéj na ryngrafie usposobił przychylnie. Tu poznał piękną oczywiście Mercedes i pokochał ją namiętnie, a dla téj miłości zapomniał i o narzeczonéj i o swych obowiązkach żołnierskich. Konstanty uchronił go raz od hańby biorąc winę na siebie i tracąc stopień już zdobyty; ale gdy Stanisław uciekł z wojska i na wezwanie przyjaciela pozostał głuchym, ulegając urokowi Mercedes, zabił go, ażeby przynajmniéj honor jego wojskowy ocalić. Rodzinie odniósł ryngraf, zapewniając, że „Stach poległ śmiercią walecznych na polu chwały”. Sam zginął w czasie najbliższéj wyprawy. Opowiadanie to w zwięzłości swojéj wygląda jak odtworzenie tradycyi o wypadku rzeczywistym, ale arstystycznie piękném nie jest; a uczucie czytelnika nie doznaje zadowolenia, gdyż dzielić się musi między obu

przyjaciół, z których jeden jest katem drugiego, sądząc, że dokonał rzeczy godnéj największego uwielbienia. Niewątpliwie, Konstanty działał w najlepszéj wierze i cierpiał nad czynem, który spełnić uważał za najświętszy obowiązek; lecz autorka téj właśnie najważniejszéj psychologicznie strony prawie nie dotyka i w sposób niemal sprawozdawczy z nią się załatwia. Stąd utwór wywiera wrażenie szkicu ledwie zgrubsza nakreślonego rysami wyrazistemi a nawet jaskrawemi.

= *Wincenty hr. Łoś.* **Nemezys życia I. Hrabina** (str. 317). II. **Aktorka** (str. 162). Warszawa. G. Centnerszwer, 1895. — Hrabia W. Łoś przedstawił nam znowuż grono szubrawców arystokratycznych. Hrabina odznaczająca się niesłychaną energią i dumą, wychowała swego jedynaka na idyotę prawie, ale w końcu niewiadomo dlaczego wzięła jakiegoś zubożałego hrabiego, ażeby synowi dał trochę ogłady towarzyskiéj i wprowadził go w świat. Ten hrabia, który przypadkiem ma demokratyczne przekonania, lubo ich wobec hrabiny nie zdradza, tak się do tego bierze, iż pupil płonie miłością ku szlachciance, względem któréj hrabina niegdyś zawiniła i którą dlatego nienawidzi całą duszą. Nie chcąc dopuścić do małżeństwa, przy pomocy księcia, za którego chce się wydać, podstępem uprowadza syna do Wiednia, osadza go w szpitalu obłąkanych i wytacza sprawę o odjęcie mu prawa rozporządzania majątkiem. Zręczna aktorka wydobywa go z tego szpitala i czyni go swoim małżonkiem, utrzymując fakt ten w tajemnicy. Ażeby oderwać syna od aktorki, matka zgadza się już na małżeństwo z szlachcianką; okazuje się to już rzeczą zapóźną. Zdradzony przez aktorkę Edward, dostaje obłąkania, a wtedy aktorka na mocy poprzedniego upoważnienia, wyrzuca hrabinę z pałacu, który był własnością Edwarda. Sensacyjnych szczegółów, jak widzimy, jest tu podostatkiem. Psychologia niemal wszędzie jest pogwałcona, a powieść niepoprawnym językiem pisana, zajmować może tylko bardzo niewybredne umysły.

= *Wiktor Hahn.* **Kilka słów o genezie „Mindowego“**, tragedyi Juliusza Słowackiego. (Lwów, 1894, str. 29). Tenże: **Studyum nad genezą „Lilli Wenedy“**, tragedyi Juliusza Słowackiego (tamże t. r., str. 55).—Znany czytelnikom „Ateneum“ autor rozprawy o źródłach „Maryi Stuart“ Słowackiego, w dalszych swoich poszukiwaniach co do motywów, jakiemi się ten poeta posługiwał w dwu innych tragedyach, drogą drobiazgowych zestawień, wykrywa kilka interesujących i parę dość ważnych szczegółów, które nie mogą się wpra-

wdzie przyczynić do zmiany dotychczasowych zasadniczych poglądów na twórczość potężnego mocarza fantazyi, lecz je rozszerzają i dokładniejszemi czynią. Pobudką do napisania „Mindowego", był Juliuszowi dramat jego ojca, przedstawiający losy tegoż samego bohatera litewskiego; ale syn inaczéj rzecz swoją pojął i rozwinął aniżeli ojciec. Głównem źródłem, którém się posługiwał do zobrazowania przeszłości litewskiéj za czasów Mindowego była kronika Stryjkowskiego, z którego wyjątki podał był Mickiewicz w przypiskach do Grażyny. W rysach charakteru Mindowego, w opisie aktu koronacyi, w postaci Heidenreicha, w przedstawieniu powodu zemsty Dowmunta, w wiadomości o Wojsiełku, synu Mindowego, widzimy wyraźne ślady wczytywania się w ową kronikę, co „nigdy przedtém światła nie widziała." W jednym drobnym szczególe co do tyranii Wojsiełka posłużył się Słowacki opowiadaniem Karamzina. Wykazuje następnie autor wpływ Szekspira, polegający nie „na naśladownictwie zwrotów i myśli, lecz tylko na zapożyczaniu się w sytuacye i pomysły." W „Mindowem" widzi p. Hahn reminiscencye z „Makbeta", „Hamleta" i „Ryszarda III." Powtarza i szczegółowiéj rozwija wpływ trzech miejsc z „Brytannika" Rasynowego w scenach Mindowego z Aldoną. Co do wpływu Byrona, to przyznaje autor, że się on odbił „w nakreśleniu postaci Mindowego, Heidenreicha, Wojsiełka, poczęści może i Dowmunta", jako postaci „czysto byronicznego pokroju", ale „widocznych" śladów tego wpływu nie odkrył. Wreszcie wspomina i przytacza reminiscencye z Mickiewicza. Co do „Lilli Wenedy", to p. Hahn udowadnia przedewszystkiém, iż grobowca Julii Alpinuli, który miał nasunąć pierwszą myśl napisania tragedyi, Słowacki widzieć nie mógł, gdyż grobowiec taki nigdy nie istniał, że wiadomość o nim zaczerpnął nasz poeta z przypisku Byrona do 66 zwrotki IV pieśni Childe-Harolda i pod wpływem tych strof zamierzył unieśmiertelnić bohaterski czyn córki poświęcającéj się za ojca. Oprócz wpływu Byrona, wykazuje autor „znaczne reminiscencye" z „Męczenników" Chateaubrianda—Roza Weneda to Welleda, nazwy Derwid i Druid są identyczne, a opis miejscowości, monumentu druidycznego, przyrody, Lelum-Polelum, ma swe źródło w utworze poety francuskiego. Są również podobieństwa między „Wilhelmem Tellem" Schillera a sceną, w któréj idzie o odcięcie Derwida powieszonego za włosy. W postaci Gwinony zapożyczył się Słowacki od Szekspira, mianowicie odpowiada ona Małgorzacie, żonie Henryka VI, jak to już wykazał Monat. Zachowanie się i mowa Haza przypominają parę ustępów z dramatów Kalderona. Wskazuje daléj autor pobudkę, która go

skłoniła do umieszczenia w sposób anachroniczny postaci św. Gwalberta w swéj tragedyi; były nią odwiedziny r. 1837 Walembrozy, w któréj ów święty z XI wieku założył klasztor. Napomknąwszy wreszcie, że i Edda zapewne nie pozostała bez wpływu na Słowackiego, przy tworzeniu Lilli-Wenedy, kończy autor zapewnieniem, że „chociaż Słowacki zapożycza się nieraz w rozliczne pomysły, to samo przedstawienie tych pomysłów tworzy tak oryginalne i pełne poezyi obrazy, że pierwowzoru często dopatrzyć się w nich nie można.“ Czas napisania „Lilli Wenedy“ naznacza p. Hahn na r. 1840. W języku autora zauważyliśmy kilka przykrych germanizmów.

= **O przekładach Mickiewicza z Goethego**. Napisał *Dr. Albert Zipper*. Lwów. Nakład autora, 1895, str. 15. Autor, który już nieeden przyczynek do bliższego poznania twórczości Mickiewicza jogłosił, zajął się w pracy niniejszéj przejrzeniem i oceną tych nielicznych tłómaczeń, jakie poeta nasz z dzieł Goethego zaczerpnął. Są to „Podróżny“ (*Der Wanderer*), „Wezwanie do Neapolu“ (*Mignon*), oraz dwa utwory w „Dziadach“ cytowane. Starannie i szczegółowo rozpatrzywszy się w tych rzeczach, doszedł p. Zipper do wykrycia, iż wiersz w „Dziadach“ zaczynający się od słów: „Tylem wytrwał, tyle wycierpiałem“, podany przez Mickiewicza za wzięty z Goethego, jest w rzeczywistości wzięty z piosnki jego przyjaciela Marcka, p. t. „Lotta przy grobie Wertera“, bardzo rozpowszechnionéj w swoim czasie i śpiewanéj wedle wcześnie dorobionéj muzyki. Autor robi przypuszczenie, że albo Mickiewicz znalazł tę piosenkę przy jakiém wydaniu Wertera, albo téż poznał ją wraz z melodyą, od kogoś, co ją śpiewał. Od siebie dodamy, że najłatwiéj zdarzyć się to mogło w Kownie, w domu doktorowéj Kowalskiéj. Za odkrycie interesujące badacze będą p. Zipperowi bardzo obowiązani.

= **Bibliografia filologii klasycznéj i literatury humanistycznéj w Polsce** za lata 1891—1893. Zestawił *Wiktor Hahn*. Lwów 1894, str. 24. Bibliografię tę dzieli pracowity autor na 6 działów: 1) autorowie greccy, 2) autorowie łacińscy, 3) gramatyka grecka i łacińska, 4) starożytności, 5) artykuły z dziedziny pedagogii, zostające w związku z filologią klasyczną, 6) humanizm w Polsce. Opis bibliograficzny jest ścisły i dokładny, prócz dzieł, broszur, artykułów, podaje także p. H. oceny tychże, ułatwiając badaczowi poszukiwania. Spis abecadłowy autorów uzupełnia tę pożyteczną pracę. Tenże autor wydał „Nieznany wiersz łaciński Szymona Szymonowicza: *Ode Georgio*

Zamoscio, episcopo chelmensi" napisany prawdopodobnie r. 1600 a drukowany dotychczas w dwóch tylko bardzo rzadkich zbiorach poezyi Szymonowicza z r. 1608 i 1619. Wielkich zalet poetyckich nie posiada, lecz do charakterystyki poety i jego stosunku z rodziną Zamojskich stanowi cenny przyczynek. Obie te prace są odbitkami z 1-go rocznika czasopisma filologicznego: „Eos", które we Lwowie zaczął wydawać r. 1894 prof. Ludwik Ćwikliński.

— **Gramatyka grecka i łacińska oraz metoda ich wykładu** przez *Bronisława Bieńkowskiego.* Odbitka z „Encyklopedyi Wychowawczéj". Warszawa 1895, str. 100. Praca to jest widocznie oparta na sumiennych studyach filologicznych i długoletniéj praktyce nauczycielskiéj, lecz, o ile mi się zdaje, autor jéj nie postawił sobie dosyć jasno pytania, o czém ma głównie traktować i dla kogo pisze rozprawę swoją. Nie mamy tu bowiem ani systematycznéj, przez wszystkie epoki należycie przeprowadzonéj historyi studyów nad gramatyką, ani też dostatecznie rozwiniętéj metodyki wykładu téj nauki szkolnéj. P. B. korzystając głównie z pracy Steinthala, rozszerza się aż zanadto niekiedy drobiazgowo nad dziejami studyów gramatycznych u Greków i Rzymian, zbywając wieki średnie i czasy nowożytne bardzo ogólnikowo, tak dalece, że zaledwie mimochodem potrącił o epokową w pewnym względzie działalność Amosa Komeńskiego na polu nauki języków w ogóle, a łacińskiego w szczególności. Co więcéj, nie ujął prac Greków i Rzymian, nad gramatyką w przejrzyste kategorye, któreby ułatwić mogły przegląd zdobyczy osiągniętych w téj dziedzinie przez starożytność, lecz zbyt niewolniczo trzymając się porządku chronologicznego i nazwisk gramatyków, dosyć chaotyczny dał obraz tego, co zdziałali. Dla pedagoga-praktyka część ta rozprawy, zajmująca miejsca najwięcéj, nie ma poprostu żadnego znaczenia i wyda się zupełnie zbytecznym balastem, gdyż chodzi mu o to głównie, jak należy dzisiaj uczyć łaciny czy greczyzny, nie zaś, jak powstawały poszczególne pojęcia gramatyczne. Część metodyczna pracy — w stosunku do historycznéj — jest szczupła i w przeważnéj mierze składa się z wyszczególnienia programów szkolnych, obowiązujących dzisiaj w Rosyi, Austryi i Prusach, z nielicznemi wzmiankami o innych krajach. W uwagach własnych autora, dotyczących metody wykładu znać dobrego praktyka, umiejącego szczegółowo wskazać, co i jak w danéj klasie wykładaném być powinno; nie wiem tylko, jakie znaczenie pedagogiczne ma wymaganie od ucznia, aby abecadło greckie umiał także wyliczać „od dołu do góry" (str. 39) i jakim sposobem

gramatyka łacińska może być uważana za czynnik moralny, który rozwija i kształci w uczniu „przewagę rozumu i woli” (str. 69). Streszczenie metodyki wykładu gramatyki łacińskiéj w 12 punktach (str. 97) jest ułożone w sposób zupełnie empiryczny, bez usiłowania o jakąkolwiek systematyczność. Wreszcie pozwolę sobie zrobić tę uwagę, że autor w dziejach gramatyki greckiéj i łacińskiéj w Polsce trzymał się wyłącznie Łukaszewicza; jedynie tylko szerzéj przytacza, widać z własnego czytania poczerpnięte uwagi co do gramatyki Jana Bono wydanej w Gdańsku r. 1651. Styl p. B. jest wszędzie jasny i prosty, w języku zauważyliśmy skłonność do makaronizmów, w tym np. rodzaju: „prawidła użycia *modorum*” (str. 43; dlaczegoż nie: trybów?), a dalej kilka naleciałości obcych, jak: wskazywać na co, rozumieć pod czémś (zam. przez co), stać w związku (zam. zostawać...). Wydanie jest niedbałe wielce, szczególniéj w przeprowadzeniu ustępów (*a capite*); są one tam, gdzie ich wcale nie trzéba, a nie tam, gdzie są konieczne.

= **Kilka uwag o napojach wyskokowych, w szczególności o piwie pod względem hygienicznym,** napisał doc. dr. *Stanisław Ponikło*, dyrektor krajowego szpitala św. Łazarza (Kraków 1894, str. 24 w 8-ce). Stwierdziwszy, iż „ze stanowiska hygienicznego należy uważać wyskok w każdéj formie za truciznę”, któréj „nawykowe” (t. j. nałogowe) używanie jest jedną z najczęstszych przyczyn rozlicznych zboczeń ustroju, wytyka autor błędny punkt wyjścia w opodatkowaniu rozmaitych napojów wyskokowych, bez uwzględnienia wskazówek hygieny, nastaje na konieczność rozpowszechnienia znajomości jéj zasad, podaje ogólnikowo zawartość wyskoku w rozmaitych gatunkach napojów wyskokowych i dochodzi do wniosku, że kiedy wódki i wino są wyłącznie środkami podniecającemi, piwo jest prócz tego środkiem odżywczym i pobudzającym czynność trawienia. Wykłada następnie pokrótce główne fazy fabrykacyi piwa, przedstawia analizy różnych jego odmian, podaje cechy, po których można poznać dobre i złe piwo, przytacza cyfry wskazujące ilość produkcyi piwa w krajach państwa austryackiego. W końcowym wreszcie rozdziale wykazuje, że wbrew zasadom hygieny opodatkowanie wyskoku w Austryi, jest trzy razy mniejsze od opodatkowania piwa i domaga się odpowiedniéj zmiany ustawodawczéj, ażeby można było odwrócić lud od picia wódki, dostarczając mu piwa „dobrego i taniego”, piwo bowiem „lekkie, mało odżywiające, nie zastąpi u naszego ludu wódki, może ją jednak zastąpić piwo lepsze, nieco cięższe”, przyczém autor objaśnia, że „ilość alkoholu w pi-

wach cięższych nie rośnie w tym samym stosunku, co ilość składników odżywczych" t. j. cukru słodowego (maltozy) i ciał białkowych (proteinowych). Broszurka napisana jest jasno i dla warstw średnio ukształconych zupełnie przystępnie; szkoda tylko, że pod względem językowym i stylowym niemało zawiera usterek, których inaczéj jak galicyanizmami nazwać nie można.

= **Katalog dzieł nakładowych,** (lub w większéj ilości nabytych) księgarni *Gebethnera i Wolffa* w Warszawio, 1874. Kraków, str. 168. Z niezbyt licznego szeregu katalogów spółczesnych księgarni naszych, wyróżnia obecny swą zewnętrznością. Nie jestto książczyna drukowana byle jak na lichéj bibule, ale estetycznie i bodaj pierwszy raz pojawiający się w tak wytwornym kształcie katalog pamiątkowy, drukowany bardzo pięknie z czerwonemi marginesami na krzyż na papierze pięknym, czerpanym, tak iż przyjemnością bierze się go do ręki i przegląda. Ułożony jest abecadłowo według nazwisk autorów lub, w razie bezimienności, według pierwszego wyrazu tytułowego. Wartości większéj bibliograficznéj nad repertoryum wydawnictw jednéj firmy, co prawda licznych bardzo, nie przedstawia oczywiście ta książka, ale bo téż nie miała innego zadania nad przypomnienie owych wydawnictw, nad zestawienie trzydziestokilkoletniéj działalności księgarni Gebethnera i Wolffa. Temu zadaniu czyni ona zadość w sposób wykwintny.

= **Zapomenuty kout slovansky.** Několik prvních pohledů do Kašubského pomoři. Z knih a objiždek podawa *Edward Jelinek.* (Praga, 1894, F. Simaček, str. 98). W pięciu rozdziałach zdaje autor dobrze u nas znany, sprawę ze swych spostrzeżeń i uwag, jakie mu się nasunęły podczas wycieczki do Pomorza wśród Kaszubów. W pierwszym daje rzut oka na przeszłość i teraźniejszość tego ludu, a w sprawie na nowo z powodu dzieła Ramułta o „języku" kaszubskim roztrząsanéj, przytacza odpowiedź prostego chłopa, Kaszuba z kościami, z którym on sam rozmawiał w Pucku. Pytał go p. Jelinek jak téż mówią po wsiach okolicznych. „Po kaszubsku" — odpowiedział mu ów chłop. „A więc nie po polsku?" — dopytywał się autor naumyślnie. „Ależ właśnie po polsku" — odrzekł Kaszub — „jeno że nie tak okazale (úhledně) jak wy." Podobne określenia spotykał p. Jelinek często. Następnie kreśli autor w ogólnych zarysach krajobraz wielce urozmaicony okolic zamieszkiwanych przez Kaszubów, mówi o ich zwyczajach i obyczajach, o wciskaniu się

kultury niemieckiéj, mianowicie wśród kobiet i t. p. Daléj rozpowiada o Heli i rybakach, o Oliwie i grobach książąt kaszubskich, opisuje Soboty (Zoppot), a kończy na przedstawieniu Gdańska. Opisy są ilustrowane bardzo dobremi obrazkami, które unaoczniają szczegóły niedające się tak dobrze słowem oddać. Książka wogóle robi bardzo miłe wrażenie szczerością swoją i świeżością. Autor choć bawił niedługo w kraju przez się zwiedzanym, widział wiele, dopełnił własne spostrzeżenia tém, co inni przed nim napisali i utworzył całostkę niepretensyonalną a wdzięczną.

= *Dr. Karl Schrauf.* **Regestrum Bursae Hungarorum Cracoviensis.** *Das Inwohner-Verzeichniss der Ungarischen Studentenburse zu Krakau* (1493—1558), *aus der Original-Handschrift mitgetheilt und erlaütert. Wien*, 1893 (str. XXIII i 138, 8-o). Główném źródłem naszych wiadomości o bursie węgierskiéj przy Akademii krakowskiéj, jest rękopism biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego Nr 2571 (*Regestrum Bursae Ungarorum*). Rękopism ten, zawierający w sobie imiona i nazwiska studentów węgierskich ,którzy, przybywając na studya do Krakowa, lokowali się w bursie węgierskiéj, początkowo był naturalnie w posiadaniu tejże bursy; kiedy ta jednak zwiniętą została, rękopism zapodział się gdzieś, aż dnia 3 maja 1613 roku uczony Jan Brożek znalazł go w jakimś kramie na rynku krakowskim, i kupił za dwa grosze, a następnie ofiarował bibliotece uniwersyteckiéj. Jerzy Samuel Bandtkie, ulegając prośbie słynnego macenasa nauk, hr. Franciszka Széchényi'ego, polecił przygotować odpis rejestru, a na podstawie tego „*apographum Bandtkeanum*", bibliograf Jakób Ferdynand Miller de Brassó (1749—1823) wydał w roku 1821 w Budzie „*Regestrum Bursae Cracoviensis Hungarorum nunc primum ex autographo codice bibliothecae Cracoviensis editum*". Z uwagi jednak, że wydanie Millera bynajmniéj nie czyni zadość wymaganiom ścisłości naukowéj, przeto p. K. Schrauf ogłosił pod wyżéj przytoczonym nagłówkiem wydanie nowe, prostujące liczne niedokładności i błędy pierwszego. Z zadania swego wywiązał się wydawca znakomicie, uwzględniając nietylko pierwotny tekst rękopismu, lecz nadto dodatki z drugiéj pochodzące ręki, oraz uwagi na marginesach. Rejestr mieści w sobie: 1) spis chronologiczny studentów, zamieszkałych w bursie węgierskiéj, 2) spis dozorców *(seniores)*, 3) spis radców *(consiliarii)*, a oprócz tego znajdujemy w nim wiadomości o założeniu i zwinięciu oraz o inwentarzu bursy. W dalszym ciągu podaje p. Schrauf przebieg studyów każdego poszczególe studenta węgierskiego, zaznaczając, kiedy mianowicie zapisał się w poczet uczniów uniwersytetu krakowskie-

go, kiedy został promowany na bakałarza lub magistra, oraz na którym uniwersytecie, prócz krakowskiego, studya odbywał. Spis abecadłowy imion własnych, dodany w końcu książki, wielce ułatwia korzystanie z rejestru. Wydawnictwo swe autor poprzedził obszernym wstępem, w którym szczegółowo opisuje rękopism, zastanawia się krytycznie nad czasem, w którym manuskrypt stopniowo powstawał, i kreśli historyę bursy węgierskiéj na podstawie rejestru. Bursa została założona, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przed r. 1486; pomimo to, spisy studentów zaczęto prowadzić dopiéro w r. 1493, za rektoratu profesora teologii Jana Staniszewskiego. Na jesieni r. 1541, wskutek niedostatecznéj ilości studentów (*propter bella intestina aliaque disturbia regni nostri*) bursę zwinięto; na jesieni 1557 powtórnie ją otworzono pod nazwą „Nova Bursa", w roku jednak następnym bursa przestała istnieć już nazawsze. W ten sposób rejestr zawiera spis studentów węgierskich od r. 1493 do 1558; okazuje się, że ogólna liczba studentów-bursaków wynosiła w tym przeciągu czasu 823. Liczba ta jednak nie daje dokładnego pojęcia o frekwencyi Węgrów do Krakowa, ponieważ nie każdy student mieszkał w bursie; tak np. w latach 1493—1506 z pomiędzy 750 Węgréw, uczęszczających do uniwersytetu (18% ogólnéj liczby 4,180 studentów) mieszkało w bursie tylko 256; w latach 1526—1539 na 138 studentów przypada bursaków 108 i t. d. Praca p. Schraufa, dokonana nader starannie i umiejętnie, jest pożądanym przyczynkiem do historyi sławnego niegdyś uniwersytetu krakowskiego, tak licznie nawiedzanego przez cudzoziemców. *I. Chrzan.*

= *Ernest Naville.* **La définition de la philosophie**. Paris 1894, str. 289. Pierwszego stycznia 1700 r. pisał Leibniz do Malebranche'a: „Gdybyśmy dawali określenia, pory przestałyby istnieć". Taki jest punkt wyjścia książki, którą autor uważa za wstęp do obszerniejszego dzieła — naukowego wykładu filozofii tak jak ją pojmuje profesor genewski. Pojęcie to wytworzył sobie przez długoletnią pracę na tém polu a w przedmowie do owego wstępu, szkicuje główne punkta swego poglądu. Oto są niektóre jego rysy: Filozofia różni się od innych umiejętności tém, że przedmiotem jéj jest problemat powszechny; opiéra się ona na wynikach umiejętności poszczególnych i posługuje się tą samą co one metodą. Metoda ta streszcza się w trzech słowach: o b s e r w a c y a — t. j. stwierdzenie faktu, który ma być wytłumaczony; p r z y p u s z c z e n i e, t. j. znalezienie zasady do wyjaśnienia; s p r a w d z e n i e wartości zasady przez wysnucie z niéj wniosków oraz ich zestawienie z fak-

tami obserwacyi. Ogniwem więc pośredniém jest zawsze hypoteza, któréj znaczenie tak często nie znajduje uznania [1]). a filozofia naukowa składa się z trzech części: analizy, która na podstawie wyników wiedzy szczegółowéj rozróżnia części składowe wszechświata; hypotezy czyli wyboru rozwiązania zagadnienia uniwersalnego, wyboru, opierającego się na znajomości historyi filozofii; wreszcie syntezy, t. j. wywodu następstw z przyjętego rozwiązania i ich zestawienia z danemi analizy. — Analiza doprowadza do trzech pierwiastków niepoddających się dalszemu rozkładowi: materya, życie, umysł. Wszelki monizm, usiłujący je sprowadzić do jedności, nie zgadza się z faktami doświadczenia. Ideą zasadniczą materyi jest opór; życie jest specyalną koordynacyą ruchów materyi; umysłowość absolutnie nie daje się sprowadzić do praw mechanicznych, zjawiska jéj różnią się od innych tak sposobem ich poznania (nie zmysłowym), jako téż pierwiastkiem wolności. — Rozwiązanie zagadnienia wszechświata stanowi systemat. Trzy tylko mogą być systemy: materyalizm, którego niedostateczność wykazuje proste stwierdzenie faktu, że nauka o materyi przypuszcza istnienie umysłu [2]); idealizm, uważający wszechświat jako konieczny rozwój z zasady nieświadoméj, podobnéj do zasady życia; spirytualizm, który za początek świata uważa akt wolny i twórczy ducha. Zdaniem autora, tylko ta jedna hypoteza może dać miejsce wolności woli, która jest wymagalnikiem moralnym. Niezgodność pomiędzy religią a filozofią usuwa się przez wyznaczenie właściwéj roli hypotezie; „Doktryny zawarte w tradycyi religijnéj a odpowiadające wielkim zagadnieniom, które stawia umysł ludzki, wchodzą zupełnie prawnie w zakres wiedzy, jako hypotezy podlegające badaniu". Wreszcie za ostateczną prawdę, ku któréj dąży w postępie swoim filozofia, uważa autor spirytualizm, ów dziedzic w prostéj linii dualizmu kartezyańskiego. — Nie podzielając tego zdania, nie możemy nie przyznać wielkiéj subtelności pojedyńczym analizom i trafności określeniom autora. Książka cała, napisana w formie paragrafów, z których każdy zawiera na początku kategorycznie sformułowane twierdzenie, daléj zaś jego rozwój — co niezmiernie ułatwia czytanie — składa się z dwóch części: 1) Wiedza i 2) Filozofia. —

---

[1]) Przypomnimy przy téj sposobności, że p. Naville jest autorem bardzo zajmującego studyum p. t. „La logique de l'hypothèse".

[2]) Autor dał bardzo trafną krytykę materyalizmu, dowodząc jego niezgodności z zasadą zachowania energii. Sprawozdanie z téj pracy daliśmy przed kilku laty w „Ateneum". Poglądy swoje na teorye fizyczne zebrał Naville w dziele p. t „La physique moderne".

Wiedza określa się jako stan umysłu, posiadającego prawdę. Przedmiotem jéj jest rzeczywistość. Wiedza zupełna jest d o ś w i a d c z a l n a i r a c y o n a l n a, gdyż dąży do wyjaśnienia faktów. Wyjaśnienia naukowe odbywają się przy pomocy czterech idei zasadniczych: Idei k l a s y — wyjaśnienie to polega na zasadzie, że co jest pradziwe względem rodzaju, słusznem jest względem gatunku lub osobnika. — Dążeniem wiedzy jest określenie klas pierwotnych czyli prostych substancyj, z których składają się istoty. 2) Idei p r a w a, która jest formułą wyrażającą stosunek faktu poprzedzającego do następnego. 3) Idei p r z y c z y n y — czyli potęgi twórczéj faktu. 4) Idei c e l u wyjaśniającéj stosunki pomiędzy tym celem a środkami ku jego osiągnięciu. — Metoda wiedzy polega na trzech wyżéj już omówionych czynnościach: stwierdzenia, przypuszczenia, sprawdzenia. — Wartości wiedzy nie zmniejsza ta okoliczność, że jest i będzie zawsze niezupełną i względną.—Wiedza polega na czterech przypuszczeniach koniecznych dla jéj istnienia (postulatach), któremi są: 1) istnienie pierwiastka wolności w człowieku; 2) różnica poznającego podmiotu od przedmiotu poznania; 3) istnienie harmonii pomiędzy faktami a rozumem; 4) rzeczywistość porządku powszechnego. — Filozofia poszukuje zasady, któraby w jedności swojéj tłumaczyła całość doświadczenia, jest ona bezgraniczna co do przedmiotu i powinna miéć charakter bezinteresowny nauki. Wymagalnikiem (przypuszczeniem koniecznem) filozofii jest idea zasady pierwotnéj. Filozofia całkowita składa się z trzech części: analizy, hypotezy i syntezy. Z tych ostatnia nietylko powinna tłumaczyć to co jest ale obejmować co powinno być. Kwestya filozofii jest kwestyą wartości rozumu ludzkiego. *Wł. M. K.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wystawy: ogrodnicza i hygieniczna. — Porządek i czystość. — Nowa szkoła techniczna. — Świętowanie niedzielne. — „Bez dogmatu".

Wystawa ogrodnicza zakończyła porę letnią w życiu Warszawy. Jesień ma jeszcze dla żądnych rozrywki ponętę w wyścigach. Gdy te się skończą, nastąpi niedługa przerwa w zabawach pod gołém niebem; ślizgawka zwabi znowu rój młodzieży do ogrodów warszawskich.

Na wystawie ogrodniczéj bawili się warszawianie robieniem odkryć. Zabawa ta powtarza się u nas tyle razy, ilekroć mamy sposobność przypatrzenia się czemuś, co się w kraju dzieje. Te miłe niespodzianki, te okrzyki radości na widok rzeszy, o których się powinno było wiedzieć, to najmilsza dla urządzających wystawę nagroda za trudy. Dowiedzieliśmy się, że mamy ogrodników, którzy się nie lękają popisu. Dowiedzieliśmy się, że przez ostatnie lata pracowano w cieplarniach i inspektach sumiennie, oglądając się bacznie na to, co się dzieje za granicą. Sprawiedliwość dodać nakazuje, że o ile umiano korzystać z wysokich cen i nie lękano się nakładów, o tyle téż umiano korzystać z pomyślnéj sytuacyi handlowéj i naznaczać ceny, które w sercu ogrodnika zagranicznego budzić muszą zazdrość. Jest to koléj, którą przebywa nie ta jedna tylko gałąź przemysłu, chcąc później produkować tanio, trzeba mieć naprzód możność pobierania cen wyższych. Że zaś lepiéj mieć drogie kwiaty, owoce i warzywa, niż nie mieć ich wcale, nie róbmy ogrodnikom naszym zbyt gorzkich wyrzutów i wyobrażajmy sobie, że jesteśmy w stanie nabywać ich produk-

ta po cenie, po jakiéj nie nabywają ich w żadném mieście zagraniczném nasi sąsiedzi zachodni.

Ileż to razy spotykaliśmy się ze zdaniem, że wystawa jest nie tylko popisem, ale także zachętą i wzorem. Wystawa ogrodnicza mogłaby zadanie to spełnić w wyższym stopniu niż wystawy inne, szczupła jest garstka ludzi, którzy zwiedzając wystawę sztuk pięknych, lub wystawę machin, mogą dla siebie znaleść wzór do naśladowania. Nie każdemu daném jest być artystą lub mechanikiem, ogrodnikiem może być każdy. Kto niema rozległego parku, w którym wycinać może wśród gęstwiny widoki na dalekie wzgórza, niech pielęgnuje skromną grządkę przed oknami, kogo nie stać i na to, niech podlewa parę doniczek na oknie. Pomyślmy, jak wyglądałyby okolice Warszawy, gdyby zamiłowanie ogrodnictwa weszło w krew mieszkańców, pomyślmy, jak wyglądałoby wnętrze miasta, gdyby na każdym obszerniejszym dziedzińcu znajdowało się trochę murawy i kwiatów.

Kto się od dziecka uczył pielęgnować roślinę, wyrastającą przed oknami domu rodzicielskiego, inne wyrobi w sobie upodobania, niż ten, kto przez całą młodość rozwijał w sobie instynkt łamania drzewek, niszczenia grzędek, odzierania przyrody z jéj krasy. Nie napróżno wszyscy przyjaciele ludzkości i zasłużeni w dziejach oświaty opiekunowie młodzieży powtarzali swym wychowańcom: kochajcie kwiaty i krzewy, kochajcie wszystko, co się zieleni i kwitnie. Kto wzbudził w sobie to uczucie, ten będzie myślał o przyszłości, ten pojmie łatwiéj od innych, że lekkomyślne tępienie tego, co żyć i rozwijać się miało, musi zemścić się późniéj.

Hodowanie roślin, to nauka nietylko dla jednostek, ale dla rodzin całych. Chcąc nauczyć mieszkańców naszych przedmieść i naszych miasteczek, by najbliższe otoczenie swych dworków utrzymywali schludnie, trzeba im wskazać jakiś cel żywy, trzeba ich „obejście" zaludnić istotami, potrzebującemi opieki, istotami mającemi także wiek młodociany, wymagający pieczołowitości i starań, a usychającemi bez troskliwych zabiegów. Zwiędłe kwiaty i uschłe drzewka same oskarżają niedbałą rękę właściciela, same wzywają go do poprawy.

Prócz skromnego kwiatka w doniczce, nie mogą setki tysięcy warszawian wychowywać innych dzieci Flory i Pomony. Natomiast każdy mieszkaniec ma możność utrzymywania schludności w mieszkaniu. Wystawa ogrodnicza poradzić na to nie może. Pokazanie nam, co na tém polu zdziałać można, będzie zadaniem przyszłorocznéj wystawy hygienicznéj.

Ma ona dać nam obraz wynalazków, zabezpieczających zdrowie. Ciekawi jesteśmy, w jaki sposób przedstawiony tam będzie wynalazek,

którym chlubiła się już odległa starożytność, który pod względem wartości hygienicznéj nie ustępuje żadnemu innemu, a który, mimo to, rozpowszechnia się nader powoli. Wynalazkiem tym jest zastosowanie czystości do mieszkań, jest użycie miotły i szczotki, ścierki i trzepaczki, mydła i wody. Zaledwie zastanowiliśmy się nad naszém żądaniem, przychodzi nam na myśl, że jest ono może zbyt śmiałe. Może za wcześnie jest mówić o czystości mieszkań ludziom, którzy czystość własnéj osoby uważają poniekąd za zbytek, mogący być udziałem warstw najzamożniejszych.

Niestety! Schludność nie jest naszą cnotą narodową. Wiemy o tém doskonale. Uczuwamy to, ile razy wypadnie nam zajrzéć wgłąb krajów ościennych, a upokorzenie, jakiego doznajemy, staje się może jeszcze dotkliwszém, gdy powracamy do kraju. Wszyscy cierpimy na tém, bo za leniwi i za nieporządni, by walczyć z niechlujstwem w domu, wybornie oceniamy dobrodziejstwa schludności niemieckiéj, holenderskiéj i angielskiéj. Wiemy, czém grzeszymy, ale mało jest grzechów, do których tak trudno byłoby nam się przyznać. Zdobyliśmy się na krytykę naszych poetów i polityków, mieliśmy odwagę walczyć z przesądami kastowemi i zwalczyliśmy ich nie mało, bez litości schłostaliśmy zaśniedziały konserwatyzm w rolnictwie i wstręt do przemysłu, ale nawet w przystępie najsilniejszych paroksyzmów krytycyzmu, strach nas zbiéra przed wypowiedzeniem téj przykréj prawdy, że kąpiemy się za rzadko, że wietrzymy mieszkania niedbale, że brak nam zawsze czasu na otrzepanie sprzętów z kurzu a brak energii do nieustannego wojowania ze służbą o czystość w kuchni i sieni.

Ktoś złośliwy zauważył, że Telimena zabrała się dopiéro wtenczas do radykalnego mycia Zosi, gdy do dworu soplicowskiego zjechali się konkurenci. Chcemy wierzyć, iż tak źle nie było. Zosia lubiła się myć, lubiła pluskać się jak wróbel w piasku, w „naczyniu srebrném, w które wody wlewano konewkę”. Jeżeli jednak za wojen napoleońskich nie wszędzie ceniono dobroczynny wpływ hydropatyi, to dziś niewątpliwie jest lepiéj. Nawet w porównaniu z przeszłością mniéj odległą postęp jest widoczny, widoczny, ale jeszcze za powolny. Chcielibyśmy, żeby jakaś wróżka dobroczynna tchnęła w społeczeństwo nasze zamiłowanie do szorowania i mycia, chcielibyśmy, żeby przynajmniéj nasze warstwy inteligentne, jeżeli już nie naród cały, mogły powiedziéć o sobie w zaraniu nowego stulecia, że nie ustępują cudzoziemcom.

Dziś bez obrazy prawdy powiedziéć by tego nie można. Dziś czystość wzorowa jest jeszcze przywilejem zamożniejszych. Rodzina mająca kilka tysięcy rubli dochodu, a pragnąca urządzić się według

wszelkich prawideł hygieny i czystości, znajdzie dokoła siebie mnóstwo wzorów do naśladowania. Młoda gospodyni ma na zawołanie legion przyjaciółek, śpieszących z radą. Rzecz zmienia się od razu, gdy porzucimy sferę zamożności i wejdziemy w krainę dochodów skromnych, graniczącą ze sferą niedostatku. Niemcy wytworzyli już w swém społeczeństwie typ ubogiego gospodarstwa domowego, które błyszczy porządkiem i schludnością tak samo, jak dwory książęce. Co tam typem, u nas jest wyjątkiem, i w tém właśnie mieści się całe złe.

Pierwsze chwile istnienia nowéj instytucyi mogą nieraz przekonać społeczeństwo o jéj potrzebie. Zauważyć to można w chwili obecnéj, gdy właśnie otwarto kurs nauk w warszawskiéj szkole przemysłowéj pod dyrekcyą p. Maurycego Mittego.

Że społeczeństwo nasze potrzebowało takiéj szkoły, świadczył o tém wymownie natłok młodzieży naszéj do zakładów naukowych już istniejących w państwie. Instytuty technologiczne w Petersburgu i Charkowie, instytut inżynierów cywilnych, instytut górniczy, szkoła elektrotechniczna w Petersburgu, przedewszystkiém zaś politechnika w Rydze, liczą stale Polaków w gronie swych uczniów.

Stosując się do stworzonego dla całego państwa typu szkoły technicznéj średniéj, ma szkoła warszawska na razie jeden tylko wydział mechaniczny. Mimo to napływ uczniów jest tak wielki, iż podzieleni zostać muszą na dwa oddziały. Nauka w jednym oddziale rozpoczęła się w ostatnich dniach września; w chwili, w któréj piszemy te słowa, jest rzeczą pewną, że w drugim rozpocznie się w ciągu października.

Nie wątpimy, że uczniowie szkoły technicznéj nie pożałują zapału, jaki ich ogarnął na wieść o jéj otwarciu. Czteroletni jéj kurs, w którym naukę teoretyczną przeplatają systematyczne zajęcia w warsztatach, daje możność nabycia tego zasobu wiedzy, którego żąda w naszym kraju fabrykant, poszukujący inteligentnego pracownika. Wciągnięcie elektrotechniki w program nauk świadczy, że pomyślano o przyszłości i że chciano dać wychowańcom możność zastosowania się w dalszem życiu do nowych zdobyczy, jakie wynalazcy wieku XX-go poczynią na polu techniczném. Przyjmując jedynie uczniów, którzy ukończyli piątą klasę gimnazyalną lub realną, sięga nowa szkoła warszawska niemal wyżyn akademickich. Organizacya jéj, jak widzimy, przedstawia się zachęcająco i ponętnie.

Społeczeństwo ma prawo oczekiwać z otuchą chwili, w któréj pierwsi wychowańcy p. Mittego wejdą w życie praktyczne. Znalazłszy się raz wśród realnych warunków bytu, będą mieli do spełnienia zadanie podwójne. Oni to głównie będą powołani do dostarczenia przemy-

słowi naszemu sił krajowych i oni mają równocześnie powiększyć ilość wykształconych pracowników w przemyśle.

Kto wie, czy od spełnienia pierwszego z tych warunków nie będzie zależał w dalekiéj przyszłości pomyślny rozwój naszych fabryk. Podobnie jak przemysł tylu innych narodów w czasach starożytnych i nowszych, powstał i nasz dzięki immigracyi, którą ściągnęło w części korzystne położenie geograficzne, w części poparcie czynników potężnych. Z biegiem lat nadejść musi chwila, w któréj dalsze istnienie ognisk fabrycznych wymagać będzie albo nowego napływu sił obcych, albo wychowania własnych. Epoka immigracyi skończyła się, nie pozostaje zatém nic innego, jak zapełniać powstające w rzeszy przemysłowéj szczerby siłami krajowemi.

Pamiętajmy zresztą, że kapitały uwięzione w przedsiębiorstwach naszéj prowincyi mają w większym stopniu niż gdzieindziéj, cechę wędrownego grosza, toczącego się po naturalnéj równi pochyłéj do tego punktu kuli ziemskiéj, na którym największy dać może dochód. Pamiętajmy, że mimo chwilowych przesileń, żyjemy od lat trzydziestu w okresie ciągłego wzrastania wkładów, jakie zagranica czyni na naszéj ziemi. Nie wiemy, czy w razie gdyby lotne te zasoby w inną zwróciły się stronę, znajdzie się dosyć kapitałów krajowych, wiemy natomiast, że kapitały te nie zdziałają nic bez nagromadzonego zapasu wiedzy fachowéj i wprawy technicznéj.

Podniesienia poziomu téj wiedzy oczekiwać kraj będzie od nowego zakładu naukowego. Na stanowiskach naczelnych, na posterunkach, na których głębsza wiedza techniczna jest niezbędna, nie brak i dzisiaj ludzi, którzy w pierwszorzędnych politechnikach czerpali jéj tajniki. Poza nimi nie spotykamy w szeregu przemysłowców zbyt wielu wykształconych fachowo. Olbrzymia większość pracowników składa się z sił, które wyrobiła praktyka, w ostatnich dopiéro czasach słyszymy właśnie w warstwie przedsiębiorców narzekania na stan obecny z nawoływaniem do nauki. Życzenia ich zaczynają się spełniać. Niechże w swoim czasie dowiodą czynem młodzieży, że nie na próżno poświęcała czas na naukę.

Gorąco poparliśmy przed dwoma miesiącami sprawę święcenia niedzieli. Śledząc dalsze postępy téj myśli, z przyjemnością przekonaliśmy się, że zaczyna działać i wydawać owoce. Liczba zakładów, świętujących raz w tygodniu, pomnaża się bez ustanku. Zarazem atoli przekonaliśmy się, jak dziwnemi kolejami kroczą u nas niejednokrotnie sprawy publiczne. Czy to brak wprawy w ich załatwianiu, czy zamiłowanie w rozumowaniu bez konkretnego celu, osądzać nie chcemy: dość, że jest u nas jakiś czynnik umysłowy, sprawiający, iż po niedłu-

giem zastanawianiu jesteśmy w stanie sprawę najjaśniejszą zamienić w zagmatwaną i mglistą, a tym prawdziwym wyjątkom między nami, które nie rezonują, lecz działają, odebrać wszelką śmiałość i ochotę do czynu.

Najulubieńszą metodą zabijania każdéj nowéj myśli jest popularne uzasadnianie téj niewątpliwéj prawdy, że wszelki pomysł, wprowadzony w życie w niemożliwie rozległych rozmiarach i z całym szeregiem niemożliwie dalekich konsekwencyi, dojść by musiał do absurdum. Nikt nigdy o tém nie wątpił, gdyby atoli dla tego, że przesada w wykonaniu może przynieść zamiast pożytku szkodę, zarzucano po kolei wszystkie projekta i plany, ludzkość z pewnością nie postąpiła by o krok naprzód, a wszelki rozwój cywilizacyi stał by się urojeniem. Na setki tysięcy liczyć można mieszkańców kuli ziemskiéj, żyjących pod rygorem święcenia niedzieli. Z pomiędzy nich wszystkich jedni tylko Anglicy dzięki odrębnym warunkom, dzięki wyjątkowym tradycyom, przeprowadzili tę zasadę z całkowitą bezwzględnością. We wszystkich innych krajach zmodyfikowano ją w zastosowaniu, licząc się z nieubłaganą koniecznością. I oto w polemikach o wypoczynek niedzielny, spotykać się nieustannie trzeba z powoływaniem się na tę nieszczęsną Anglię, jakkolwiek wiemy wszyscy, że nikt z inicyatorów téj sprawy nie myślał o wzorach angielskich i że projekt przez nich broniony o wiele jest skromniejszy.

Nie o grobową ciszę idzie obrońcom wypoczynku niedzielnego, lecz o sprawienie ulgi téj grupie pracowników, która, przez cały tydzień życie w zamknięciu trawiąc, ponosi uszczerbek na zdrowiu, a obowiązkom rodzinnym i potrzebom religijnym, gorąco przez wiele jednostek odczuwanym, zadosyć uczynić nie może. Daléj na razie najśmielsze zapędy nie sięgają. Nikt nie chce zabraniać kobietom, przynoszącym mléko ze wsi, wstępu do miasta w poranek niedzielny, bo każdy wié, że zajęcie to, do kategoryi powyższéj zaliczyć się nie da. Nikt nie mówił dotychczas o rozpędzaniu przekupniów, którzy na parę godzin w niedzielę rozkładają swe stragany. Nikt wreszcie nie sprzeciwia się temu, by ludność, niemogąca załatwiać sprawunków kiedy indziéj, miała przez parę godzin porannych wolny dostęp do sklepów z towarami niezbędnemi. Kto podsuwa nowatorom myśli, jakich nie mają, naraża się na uzasadniony zarzut, że chce całéj sprawie zaszkodzić.

Wiemy wszyscy, jak skłonnymi jesteśmy do refleksyi krępującéj ramię, które się wytęża do czynu. Dziś na tę stronę naszego charakteru spojrzeć mogą i cudzoziemcy. Z Paryża nadeszło do Warszawy „Bez Dogmatu” w tłómaczeniu francuskiém. P. Wodziński pracował

nad niém z widocznėm przejęciem się ważnością zadania. Czy będzie ta książka czytana nad Sekwaną? Czy będzie zrozumianą? Nic zawodniejszego, jak wszelkie obliczenia, mające naprzód odzwierciedlić wrażenie, jakie płody naszéj myśli sprawiają po za granicami kraju. Jeżeli co pozwala dobrze wróżyć o powodzeniu książki, to fakt, iż postać którą Sienkiewicz w ojczyźnie dostrzegł i opisał, występuje dziś liczniéj i w bardziéj typowych przedstawicielach, niż wówczas gdy powieść się rodziła. Ludzkość, zapomniawszy myśleć dogmatycznie, boleje nad tém, sili się na odnalezienie zapomnianéj sztuki, a dokonać tego nie może. Odskok od przeszłego pokolenia ogromny. Ludzie, którzy, pod różnemi walcząc sztandarami, staczali boje zawzięte, byli do siebie zbliżeni tém, że na każdym sztandarze jaśniał dogmat, jeden, zaczerpnięty z podań religijnych,—drugi, wymarzony w chwili półsennych zachwytow,—trzeci, skonstruowany z najnowszych hypotez naukowych. Różniąc się między sobą, jakże bliskimi byli siebie w porównaniu z odległością, która ich dzieli od wiecznych poszukiwaczy, trawionych nienasyconym głodem.

I w czémś innėm jeszcze znajduje powieść potwierdzenie, jakiego utworom literackim życie udziela. Nie dogmaty podbiły bohatera, lecz wyrzuty sumienia. Nie znalazł prawdy, któréj szukał, ale ukorzył się przed doskonałością etyki. Myśl, że postąpił źle i stał się powodem cierpienia, zagłuszyła wołanie o dogmat. Proces to, któremu dziś nie jednostki, lecz całe społeczeństwa ulegają. Budzi się etyka, budzi się przekonanie, że teorya ludzkości nie zbawi, że trzeba koić cierpienia.

Tadeusz Smarzewski



NEKROLOGIA.

† **Józef Bohdan Oczapowski**, syn dyrektora instytutu gospodarstwa wiejskiego w Marymoncie, Michała, ur. r. 1826, ukończywszy szkoły średnie w Warszawie, wyjechał do Heidelberga na studya prawnicze i ukończył uniwersytet ze stopniem doktora filozofii. Komisya rządowa oświecenia publicznego mianowała go w r. 1865 adjunktem Szkoły Głównéj przy katedrze teoryi skarbowości; ś. p. O. bowiem zwrócił był już uwagę na siebie rozprawami drukowanemi w „Ekonomiście", z których najważniejsze: „Zarysy skarbowości w wieku starożytnym", „Celniejsi pisarze umiejętności skarbowych, rzut oka na rozwój téj nauki". Prowadząc wykłady, pisywał ś. p. O. daléj do „Ekonomisty", mianowicie „Rzecz o rozchodach państwa" 1868. W tym téż czasie przełożył „Zasady umiejętności skarbowych" Henryka Raua tom I-szy. W r. 1869 opuściwszy zmienioną na uniwersytet Szkołę Główną, pracował prywatnie i ogłosił następujące rozprawy: „Ogólne i szczególne źródła fizyologii politycznéj czyli nauki o naturze państw" (Kraków 1871), „Rys encyklopedyi nauk politycznych" (tamże), „Opodatkowanie cudzoziemców" (Lwów 1871), „Układ i metoda prawa politycznego i polityki ustroju" (Krak. 1873), „Wpływ klimatu na państwo", „Zakres i osnowa prawa politycznego" (tamże). Na podstawie tych rozpraw powołany został r. 1874 do Krakowa, gdzie miewał wykłady statystyki porównawczéj europejskiéj. Wówczas ogłosił dwutomowe dzieło: „Władza i układ państwa, zarysy polityki i porównawczego prawa konstytucyi", oraz studya „Policyści zeszłego wieku i nowożytna nauka administracyi", „O ustawodawstwie paszportowém" i bardzo wiele artykułów w czasopismach. Zmarł w początkach września r. b.

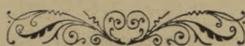
† **Ks. Eustachy Skrochowski**, urodzony r. 1843 w Kotowéj, pow. tarnobrzeskim, początkowo oddał się studyom technicznym i skończył w Paryżu szkołę dróg i mostów. Jako inżynier wydziału krajowego, zajęty był przy budowie zakładu dla obłąkanych w Kulparkowie pod Lwowem. W r. 1870 postanowił oddać się studyom teologicznym, wstąpił do zgromadzenia oo. Zmartwychwstańców, ukończył w r. 1874 wydział filozoficzny uniwersytetu gregoryańskiego w Rzymie, na którym otrzymał doktorat, poczém odbywszy studya teologiczne, uzyskał r. 1878 stopień magistra teologii. Odbywszy dwuletnią podróż po Francyi i Holandyi, został potem docentem historyi sztuki chrześciańskiéj w uniwersytecie krakowskim, a w r. 1891 profesorem zwyczajnym historyi kościelnéj we wszechnicy lwowskiéj. Pisał dużo rozpraw z zakresu archeologii artystycznéj, spółczesnego malarstwa, oraz dziejów religii; przeważnie mieszczą się one w miesięcznikach lwowskich i krakowskich, w programach i t. d. Mało co wyszło w oddzielnych odbitkach. Zmarł 16 września w Czerniowcach.

† **Jan Kleczyński**, urodzony 8 czerwca 1837 r. we wsi Janiewicze w gub. wołyńskiéj, uczył się w gimnazyum realném w Warszawie, poczém w 22 roku życia udał się do Paryża, by uczęszczać do konserwatoryum muzycznego pod kierunkiem A. F. Marmontela. Zajął się z nadzwyczajną gorliwością utworami Chopina. Powróciwszy do kraju w r. 1866 dał się poznać z koncertów, oraz z 3 odczytów „O wykonywaniu utworów Chopina, które wydał po polsku i po francusku p. t. „F. Chopin, de l'interprétation de ses oeuvres, trois conferences faites à Varsovie". Nieco późniéj znowuż wygłosił trzy odczyty: „Chopin w celniejszych swych utworach". Zawód wirtuoza rychło zamienił jednak na zajęcia nauczycielskie w konserwatoryum warszawskiém. Wydał wtedy „Wprawy pięciopalcowe". W r. 1879 przystąpił do wydawnictwa „Echa muzycznego", które założył Wincenty Kruziński. Wnet stał się wyłącznym jego właścicielem, ale z końcem 1882 musiał je zawiesić; a gdy r. 1883 Al. Rajchman wskrzesił to wydawnictwo, ś. p. Kleczyński był spółwydawcą do końca 1884, a potém został sprawozdawcą muzycznym, pisując wytrawne krytyki stylem jasnym i obrazowym. Dużo zostawił utworów na fortepian. Zmarł w Warszawie 15 września r. b.

† **Gustaw Ehrenberg**, urodzony w Warszawie 14 lutego 1818 r. początkowe wykształcenie tu również odebrał, ale dalsze i uniwersyteckie pobierał w Krakowie. Jako student dał się poznać pieśniami przeróżnéj treści, świadczącemi o niemałym talencie i o rozwiniętéj filozoficznie myśli. Poezye te wyszły w zbiorku r. 1848 p. n. „Dźwięki minionych lat 1835—36." W późniejszych czasach rzadko już formy

wierszowéj używał. W r. 1858 powrócił do Warszawy, otrzymawszy zajęcie w ordynacyi Zamojskich, gdzie mianowicie posadę bibliotekarza otrzymał. W r. 1870 znowu się przeniósł do Krakowa, pracował tu najprzód w banku, potém prowadził wykłady historyi literatury powszechnéj na wyższych kursach dla kobiet w Muzeum Adryana Baranieckiego. W r. 1871 ogłosił „Wykład bajek Krasickiego wraz z tekstem tychże; do tego dołączony przedruk łacińskiego przekładu bajek i przypowieści przez Markwarta" (str. 276); w r. 1872 wydał przekład prozą „Powieści Zimowéj" Szekspira. Szanowany powszechnie zmarł w Krakowie 28 września r. b.

† **Ks. Zygmunt Szczęsny Feliński**, urodził się r. 1821 w Wojutynie, powiecie łuckim, z Gerarda i Ewy z Wendorfów, znanéj w literaturze naszéj z opisu podróży i powieści; wychowywał się pod kierunkiem Z. Brzozowskiego, nauki uniwersyteckie pobierał w Moskwie na wydziale matematycznym, następnie wyjechał do Paryża, gdzie wszedł w ścisłe stosunki przyjaźni z Juliuszem Słowackim, którego chwil ostatnich był naocznym świadkiem; opisał je w liście drukowanym r. 1850 w czasopiśmie lwowskiém „Dzwonek." Wróciwszy do kraju, poświęcił się stanowi duchownemu, wyświęcony został na kapłana przez arcybiskupa Ignacego Hołowińskiego. Po kilkoletniéj pracy na parafii, powołano go na profesora logiki i filozofii moralnéj w Akademii duchownéj w Petersburgu. W r. 1862 został arcybiskupem warszawskim, lecz w rok potém opuścił Warszawę. Przed dwudziestu laty osiadł w Galicyi w Dźwiniaczce, dobrach hr. Koziebrodzkich. Zmarł 17 września w Krakowie, w powrocie z Karlsbadu. Pisma jego są następujące: „Wspomnienia życia i zgonu Ignacego Hołowińskiego, spisane na żądanie kolegów przez jednego z uczniów jego" (Warszawa, 1856), „Trzéj wieszczowie polscy wobec wiary" (Kraków, 1889), „Wiedza chrześciańska i bezbożna wobec zadań społecznych", „Wiara i niewiara w stosunku do szczęścia społecznego", „Konferencye duchowne", „Paulina córka Ewy Felińskiéj", „Wspomnienia z ostatnich chwil życia Słowackiego" (1895).



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Сентября, 1895 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. *Wacław Rudnica-Daniszewski.* **Uruchomienie własności ziemskiej** i reforma kredytu rolnego ze stanowiska ekonomi społecznéj. Kraków, G. Gebethner i spółka, 1895, 8-vo dwa tomy. I kart. alb. trzy i 320; II, str. 343.
2. **Przyjaciel koni.** Powiastka przez *A. Dygasińskiego* (z 6-ma obrazkami). Wydawnictwo Komitetu damskiego przy Warsz. Towarz. Opieki nad zwierzętami, Nr. I. Warsz. skład gł. w księg. M. A. Wizbeka, 1895, 8-vo, str. 67.
3. **Prawidła wystawy ogrodniczéj** ogólnéj gub. Królestwa Polskiego, urządzanéj w Warszawie przez Towarz. ogrodnicze warsz. w r. 1895, 8-vo, str. 17.
4. **Rad Jugoslavenske Akademije** znanosti i umjetnosti. Knjiga CXVII—CXXII. Zagreb, 1894 i 1895, 8-vo.
5. **O uprawie łubinu.** Opracował według najświeższych źródeł *A. Strzelecki.* Warsz. 1896 str. 52 (cena kop. 35).
6. **Dzieła dramatyczne** *Williama Shakespeara* (Szekspira) w dwunastu tomach, przekład *L. Ulricha*, Tom XI i XII Warsz., Gebethner i Wolff, 1895. 8-vo, str. 351. str. 272 + LII.
7. **Popiel i Piast.** Powieść historyczna z IX-go wieku. Przez *Zoryana.* Kijów i Odessa, nakł. księg. Bol. Koreywy, 1896. 8-vo, str. 98.
8. **Encyklopedya rolnicza** wydawana staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa Warszawa 1895. wielkie 8-vo, zesz. L str. 545—624. („Krochmal" — „Kura")
9. **Towaroznawstwo.** Podręcznik dla kupców, przemysłowców i szkół handlowych ułożył *Karol Jacobson.* Warsz. skład gł. u Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo. str. 190 + II + IX z tabl. rysunków.
10. *Fryderyk Queyrat.* **Wyobraźnia u dzieci** i jéj odmiany. Studyum psychologiczno-pedagogiczne. Przełożyła *Eugienja Piltz.* Warsz. nakł. księg. Wendego i S-ki. 1895. 8-vo, st. VIII + 148 + IV.
11. *Jan Bloch.* **Bank włościański** a parcelacya (Odbitka z „Gazety Rolniczéj". Warsz 1895. 4-to, str. 20.
12. *K. Fedorowicz.* **Czterdzieści dni** na morzu. Lwów, Jakubowski et Zadurowicz 1895 8-vo str. 159.
13. *Marya br. Hagenowa* (Alces). **Szalone serca.** Powieść współczesna. Lwów, Jakubowski et Zadurowicz, 1895, 8-vo. str. 419.
14. *Teodor Tomasz Jeż.* **Żusia.** Powieść współczesna w trzech częściach. Lwów, Jakubowski et Zadurowicz, 1895, 8-vo, str. 586.
15. **Walka o tron krakowski** w roku 1228. Napisał dr. *Kazimierz Krotoski*, Podgórze-Kraków, skład głów. w księg. Poturalskiego, 1895, 8-vo, str. 77.
16. *Sylweryusz Kondratowicz.* **Bez woli.** Powieść. Warsz. nakł. S. Lewentala (1895), 8-vo, str. 312.
17. **Poezye** *Władysława Stankiewicza.* Warsz. 1895, 8-vo. tom I. str. 238, t. II str. 183.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one donicsłością swoją uwydatniają.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty:

Prenumerata Ateneum w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs. 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Warecka 10.

